

SUZANNE ENOCH

Rozpustnik i dziewczica

Prolog

- Dżentelmen powinien wiedzieć, że kobieta ma swój rozum.

Evelyn Ruddick z brzękiem odstawiła filiżankę, nieco zaskoczona, że rozmowa z przyjaciółkami, która zaczęła się od oceny męskich manier, stała się taka... poważna. Owszem, musiała przyznać, że wszyscy mężczyźni są nieznośni, ale wcale nie była szczęśliwa z tego powodu.

Lucinda Barrett i lady Georgiana Halley jak zwykle miały rację, ich dowcipna krytyka była uzasadniona, a jej również, do licha, nie podobało się lekceważenie ze strony części ludzkości noszącej spodnie. Właściwe zachowanie mężczyzn. Evelyn uważała, że to oksymoron, ale mimo wszystko należało coś zrobić z ich arogancją i samolubstwem.

Lucinda wstała z kanapy i podeszła do biurka stojącego w drugim końcu pokoju.

- Powinnyśmy to zapisać - stwierdziła, biorąc kilka kartek z szuflady i wracając z nimi do przyjaciółek. - We trzy możemy wpłynąć na tak zwanych dżentelmenów, do których nasze zasady będą się stosować.

- I przy okazji wyświadczymy przysługę innym kobietom - dodała Georgiana, coraz bardziej zdeterminowana i spokojna.

- Lista pomoże chyba tylko nam. - Nadal sceptyczna Evelyn wzięła pióro od Lucindy.

- Owszem, pomoże, jeśli zastosujemy te zasady w praktyce - oświadczyła Georgie. - Proponuję, żeby każda z nas

7

wybrała jakiegoś mężczyznę i nauczyła go, jak robić odpowiednie wrażenie na kobiecie.

- Właśnie - poparła ją Lucinda, uderzając dłonią w stół. Evelyn przeniosła wzrok z jednej przyjaciółki na drugą.

Brat pewnie by ją skrzyczał za marnowanie czasu na głupstwa, ale przecież wcale nie musiał się dowiedzieć o ich planie. A gdyby został w Indiach na zawsze, byłoby o jednego nicponia mniej do reformowania. Uśmiechnęła się na tę myśl i przysunęła do siebie pustą kartkę. Prawdę mówiąc, nawet, jeśli ta lista nie na wiele się przyda, przynajmniej będzie miała poczucie, że zrobiła coś pożytecznego. Georgiana się roześmiała.

- Mogłybyśmy opublikować nasze zasady.

„Lekcje miłości, spisane przez trzy wybitne damy.” - Lista Evelyn

1. Dżentelmen nigdy nie przerywa damie, jakby to, co miał do powiedzenia, było ważniejsze.
2. Dżentelmen, który pyta damę o opinię, cierpliwie czeka na odpowiedź i nie śmieje się, gdy ją usłyszy.

3. Dżentelmeńskie zachowanie to nie tylko otwieranie drzwi. Chcąc zrobić wrażenie na damie, mężczyzna musi zatroszczyć się o jej potrzeby tak samo jak o własne.

4. Dżentelmen nie zakłada z góry, że kiedy dama podejmuje się jakiegoś zadania albo poświęca ważnej sprawie, jest to wyłącznie jej hobby.

Evelyn odchyliła się na oparcie krzesła i przeczytała, co napisała. Tak. To powinno wystarczyć. Teraz potrzebowała jedynie ofiary, a raczej ucznia. Uśmiechnęła się wesoło. Czekala ją dobra zabawa.

Rok później.

"Snadź nie wiedziała, że to serce młode, Które chłód pychy milczącej otaczał, W sztuce uwodzeń miało swą metodę. Siećmi on swymi nieraz świat uraczał, I od pościgu przenigdy nie zbaczał, Jeśli coś było godnego ścigania."

Lord Byron, „Wędrówki Childe Harolda”,
pieśń II.

- Naprawdę nie musisz robić z tego powodu zamieszania - oświadczyła Evelyn Ruddick, odsuwając się od brata. - Lucinda Barrett i ja jesteśmy przyjaciółkami od samego debiutu.

Victor zrobił krok w jej stronę i wyraźnie zirytowany wycedził:

- Bądźcie przyjaciółkami przy innych okazjach. Jej ojciec nawet nie ma głosu w Izbie, a mnie zależy, żebyś dzisiaj porozmawiała z lady Gladstone.
- Nie lubię lady Gladstone - odburknęła Evie i syknęła, kiedy brat chwycił ją za ramię. - Ona pije whisky.
- Ale jej mąż jest wpływowym właścicielem ziemskim z West Sussex. Pogawędka z lekko wstawioną osobą to nieduża cena za miejsce w Izbie Gmin.

9

- Łatwo ci mówić, bo nie na ciebie ona chucha. Przyszłam tutaj, żeby potańczyć i spotkać się z przyj...

Brat ściągnął ciemne brwi.

- Przyszłaś, bo zabrałem cię ze sobą. A zrobiłem to wyłącznie po to, żebyś pomogła mi w kampanii.

Oboje wiedzieli, że przegrała spór, jeszcze zanim się zaczął. Evelyn nieraz podejrzewała, że Victor pozwala, żeby mu się sprzeciwiała, bo lubi na koniec postawić na swoim i pokazać jej właściwe miejsce.

- Wołałam, kiedy byłeś w Indiach.
- Hm, ja też. A teraz idź, zanim uprzedzi cię któryś z przyjaciół Plimptona.

Evelyn przywołała na twarz uprzejmy uśmiech i ruszyła przez zatłoczony parkiet, żeby poszukać osoby, która mogła zapewnić jej bratu decydujące głosy. Prawdę mówiąc, upodobanie do mocnych trunków nie było największą wadą lady Gladstone. Trzy lata młodsza od męża wice-hrabina miała też inne, bardziej bulwersujące słabostki. Evelyn już zdążyła usłyszeć najświeższe plotki.

Znalazła lady Gladstone z boku orkiestry, w niewielkiej niszy zastawionej krzesłami. Wicehrabina siedziała na jednym z nich, w obcisłej szmaragdowej sukni z jedwabiu, podkreślającej słynne krągłości. Nad jej ramieniem pochylał się mężczyzna, ciemnobrązowymi włosami muskając jej ucho i złote loki. Był to bardzo nieprzyzwoity widok w szacownej sali balowej lady Dalmer.

Evelyn przez chwilę zastanawiała się, czyby dyskretnie nie odejść, ale wtedy dałaby Victorowi kolejny pretekst do nazwania jej głupią. Stała, więc w bezruchu, choć czuła się coraz bardziej nieswojo. W końcu chrząknęła znacząco.

- Lady Gladstone? Wicehrabina uniosła ciemne oczy.

- Zdaje się, że mamy towarzystwo - powiedziała z gardłowym śmiechem.
Jej towarzysz o szczupłej, bardzo męskiej twarzy wypro-

10

stował się i zdumiewająco zielonymi oczami bez pośpiechu zmierzył Evelyn od stóp do głów.

Dziewczyna oblała się rumieńcem. Wszystkie młode damy dbające o reputację starały się unikać wysokiego, niezwykle przystojnego, ale rozpustnego lorda St. Aubyna. Gdyby nie polityczne ambicje, Victor nigdy nie pozwoliłby jej zbliżyć się do lady Gladstone właśnie z powodu markiza.

- Dobry wieczór, milordzie - powiedziała, dygając.

St. Aubyn patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym wykrzywił usta w cynicznym uśmiechu.

- Trochę za wcześnie na takie stwierdzenie. Następnie odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę pokojów, gdzie grano w karty.

Evelyn wypuściła powietrze z płuc.

- To było niegrzeczne - powiedziała, gdy się oddalił. Lady Gladstone znowu się roześmiała. Policzki miała zarumienione, ale raczej nie od panującego w sali gorąca.

- Moja droga, Saint nie musi być dobry, bo jest bardzo... bardzo zły.

Dziwne rozumowanie. No cóż, ale nie przyszła tutaj, żeby dyskutować o niewychowanych osobnikach.

- Jestem Evelyn Ruddick, milady - przedstawiła się, ponownie dygając. - Byłyśmy razem na wieczorze bożonarodzeniowym u Bramhurstów i właśnie tam pani powiedziała, że mogę ją odwiedzić w Londynie.

- Och, czasami jestem zbyt wspaniałomyślna. Więc czego pani ode mnie chce, panno... Ruddick?

Evelyn nienawidziła takich rozmów, bo przeważnie wymagały od niej kłamstw. A ona nienawidziła kłamać.

- Przede wszystkim muszę stwierdzić, że jeszcze nigdy w życiu nie widziałam piękniejszej sukni.

Wicehrabina rozciągnęła w uśmiechu pełne wargi.

- Jaka pani miła! Chętnie polecę moją krawcową. Jesteśmy prawie w tym samym wieku, ale pani... biust wydaje się mniej...

11

Wydamy, dokończyła w myślach Evelyn, uważając, żeby się nie skrzywić.

- To byłoby bardzo uprzejme z pani strony - powiedziała gładko i usiadła obok wicehrabiny, choć wolałaby zjeść dżdżownicę. Zmieniła ton na bardziej poufały. - Słyszałam, że polityczny sukces lorda Gladstones jest w dużym stopniu pani zasługą. Ja nie bardzo wiem, jak mogłabym pomóc w karierze mojemu bratu Victorowi.

Twarz lady Gladstone przybrała wyraz wyższości.

- Po pierwsze musi pani poznać właściwych ludzi, to znaczy...

- Gdzie on jest?! - zagrzmiał rozniewany głos. W stronę niszy zmierzał zasapany mężczyzna o nalanym, czerwonym obliczu i wyłupiastych oczach. - Gdzie ten łotr?

Wicehrabina usiadła prosto, choć było trochę za późno na udawanie niewinności.

- A kogo szukasz, mój drogi? Gawędzę sobie tutaj z panną Ruddick, ale chętnie ci pomogę.

Cudownie, pomyślała Evelyn, gdy lord Gladstone wpił w nią płonący wzrok. Tylko tego brakowało, żeby została wmieszana w słynne skandale markiza St. Aubyna. Victor już nigdy więcej nie wypuściłby jej z domu, choć sam nie był bez winy.

- Dobrze wiesz, kogo szukam, Fatimo. A może ty, dziewczyno, widziałaś tego drania...
- Evie! Tu jesteś! - Lady Dare jak zwykle zjawiała się we właściwym momencie. Ujęła przyjaciółkę za rękę. - Musisz rozstrzygnąć spór. Dare upiera się, że ma rację, choć oboje wiemy, że tak nie jest.

Evelyn ukloniła się lordowi i lady Gladstone, a Georgia-na pociągnęła ją w bezpieczniejszy kąt sali.

- Dzięki Bogu! Już myślałam, że jestem zgubiona.
 - A co właściwie robiłaś z lady Gladstone? - zapytała Georgie.
- Evelyn westchnęła.

12

- Zapytaj Victora.
- Rozumiem. Twój brat próbuje zająć miejsce Plimptona w Izbie Gmin, tak? Słyszałam pogłoski.
- Tak. Pięć ostatnich lat spędził poza krajem, a mimo to nadal nie pyta mnie o zdanie, tylko po prostu wysyła, żebym porozmawiała z osobami, które mogą okazać się użyteczne. To takie męczące.

Na twarzy Georgiany odmalowało się współczucie.

- Hm. Wprawdzie nie chodziło nam o braci, ale mogłabyś udzielić Victorowi paru lekcji.
- Wykluczone - oświadczyła Evelyn. - Teraz kolej Lucindy. Zresztą, jeśli ty omal nie okaleczyłaś Dare'a, ja chyba zamordowałabym Victora.
- Skoro tak twierdzisz. Ale z mojego doświadczenia wynika, że uczeń sam może cię wybrać.
- Ha! Na pewno nie. Póki jestem słodka i czarująca dla głupich znajomych Victora, oni zawsze będą uprzejmi. Jeszcze ktoś spojrzełby na nich koso.

Lady Dare się roześmiała i ujęła przyjaciółkę pod ramię.

- Dość tego. Chodź i zatańcz z Tristanem. Możesz nawet go podeptać, jeśli masz ochotę.
- Ale ja lubię twojego Tristana - zaprotestowała Evelyn, dziękując w duchu za dobrych, apolitycznych przyjaciół. - Tylko on od czasu do czasu robi groźną minę.

Georgiana uśmiechnęła się czule.

- Właśnie, prawda?

2

"Bezwstydna iście była zeń kozera, Do biesiad tylko i żartów bezbożnych... Niczemu w świecie serca nie otwiera Prócz dla urwiszów i dziewczek nałożnych."

Lord Byron, „Wędrówki Childe Harolda”,

pieśń I.

- Langley, widziałeś mojego brata? - zapytała cicho Evelyn, biorąc szal od kamerdynera.
- Jest w saloniku, panienko, kończy czytać gazetę - odparł stary sługa także ściszym głosem. - Oceniam, że ma panienka jakieś pięć minut.
- Świetnie. Będę u cioci Houton.
- Dobrze, panienko.

Kamerdyner odprowadził ją do powozu i bezszelestnie zamknął za nią drzwi, ale Evelyn wypuściła powietrze z płuc, dopiero, kiedy karetka ruszyła krótkim podjazdem. Dzięki Bogu! Już dość się nasłuchała, że zaprzepaściła szansę oczarowania lorda i lady Gladstone. Gdyby brat wysłał ją z kolejną misją albo spróbował pouczać, z kim ma rozmawiać u ciotki, uciekłyby z Londynu i wstąpiła do cyrku.

Powóz z turkotem potoczył się w dół Chesterfield Hill i skierował na północ. Dom wujostwa od tak dawna należał do rodu Houtonów, że centrum Mayfair, modnej dzielnicy Londynu, zdążyło znacznie się od niego oddalić. Mi-

14

mo nowego sąsiedztwa nadal był imponujący, a jeśli ciotka Houton chciała odgradzić się od kupców i radców prawnych, po prostu zaciągała story.

Piętnaście minut później stangret skręcił w Great Titch-field Road,- swój ulubiony skrót, a Evie zobaczyła przez okno sierociniec Ufne Serce, dawne koszary armii królewskiej. Wysokie, długie i szare gmaszysko ciągnęło się wzdłuż lewej strony ulicy.

Większość jej znajomych opuszczała zasłonki w powozie i udawała, że go nie dostrzega. Do niedawna ponura budowla ją również przyprawiała o dreszcz, ale kiedyś, zanim uciekła wzrokiem, Evelyn dostrzegła w oknach dzieci. Wyglądały na ulicę, patrzyły na nią.

Tydzień temu poprosiła Philipa, żeby zatrzymał powóz. Z torebką cukierków i dobrymi intencjami zbliżyła się do ciężkich drewnianych drzwi i zapukała. Dzieci bardzo się ucieszyły, głównie na widok słodyczy, ale doświadczenie było... pouczające.

Od razu wyraziła chęć złożenia następnej wizyty, ale gospodyni obrzuciła ją sceptycznym wzrokiem i poinformowała, że każdy wolontariusz musi zostać zatwierdzony przez radę nadzorczą sierocińca.

Teraz Evelyn wychyliła się przez okno.

- Philipie, zatrzymaj się tutaj, proszę.

Powóz podjechał do krawężnika i stanął. Tak się składało, że tego dnia i o tej godzinie miało się odbyć posiedzenie rady. Gdy stangret otworzył drzwi, Evie wstała.

- Zaczekaj na mnie - rzuciła przez ramię i ruszyła przez ruchliwą ulicę w stronę wysokiego, przytłaczającego budynku.

Tam wreszcie mogła zrobić coś pożytecznego. Niemiła gospodyni spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Słucham?

- Mówiła pani, że dziś zbiera się rada.

- Tak, ale...

15

- Chciałabym omówić z jej członkami pewną sprawę.

Kobieta nadal patrzyła na nią nieufnie, więc Evie zastosowała jeden z ulubionych i skutecznych gestów brata: uniosła brew. Po długiej chwili wahania gospodyni poprowadziła ją ku krętym schodom.

Idąc za nią, Evelyn starała się opanować niepokój. Nienawidziła publicznych wystąpień, zwykle zaczynała się jąkać. Z drugiej strony, wzdrygała się na myśl o beczynności albo braniu udziału w niezliczonych nudnych przyjęciach Victora, póki brat nie znajdzie sobie żony, która przejmie od niej ten obowiązek. Mogłaby wreszcie zrobić coś dla siebie i dla dzieci, biednych i samotnych w ponurych koszarach z szarego kamienia.

- Proszę tu poczekać - powiedziała gospodyni. Obejrzawszy się przez ramię, jakby chciała sprawdzić, czy dziewczyna nie rozmyśliła się i nie uciekła, kobieta zahukała do wielkich dębowych drzwi. Gdy usłyszała pomruk męskich głosów, weszła do pokoju.

Evie zerknęła na zegar wiszący na ścianie. Ciotka oczekiwała jej dziś rano, więc pewnie wkrótce zawiadomi Victora, że Evelyn Marie nie pojawiła się na Politycznej Herbatce Żon z West Sussex. Idiotyczna nazwa dla grupy znudzonych dam, które na cotygodniowych

spotkaniach haftowały chusteczki w barwy ugrupowań politycznych swoich mężów, i plotkowały o nieobecnych członkiniach.

Drzwi się otworzyły.

- Tędy, panienko.

Evelyn splotła ręce przed sobą, żeby tak bardzo nie drżały, i weszła za gospodynią do dużego pomieszczenia, zapewne dawnej kwatery dowódcy koszar. W Mayfair widywała większe, ale tutaj najbardziej rzucał się w oczy kontrast między bogato urządzonej salonem a zaniedbanymi korytarzami i skromnymi pokojami.

Na jej widok mężczyźni wstali z krzesel, machając rękami, żeby rozpędzić dym z drogich cygar. Evie w jednej

16

chwili zapomniała o zdenerwowaniu. Na szczęście znała wszystkich sześcioro.

- Dzień dobry, panno Ruddick - przywitał ją sir Edward Wilisley, unosząc ze zdziwieniem gęste brwi. - Co panią tu sprowadza w taki piękny dzień?

Evie dygnęła, choć przewyższała pozycją połowę obecnych. Uprzejmość i pochlebstwo zawsze przynosiły więcej korzyści niż ściśle trzymanie się form.

- Sierociniec, sir Edwardzie. Dowiedziałam się niedawno, że jeśli chcę poświęcić czas i... środki tej instytucji, muszę uzyskać aprobatę rady nadzorczej. - Uśmiechnęła się miło. - Czyli panów, prawda?

- Tak, młoda damo.

Lord Talirand odwzajemnił uśmiech, ale popatrzył na nią protekcyjnie jak na osobę niespełna rozumu. Evie wiedziała, że ma, z braku lepszego określenia, anielski wygląd. I z jakiegoś powodu panowie, szczególnie ci myślący o małżeństwie, uważali, że skoro jest ładna i niewinna, musi być idiotką. Kiedyś wydawało się to jej nawet zabawne, ostatnio jednak musiała się powstrzymać od kąśliwych uwag i pogardliwych min.

- Wiec proszę panów o zgodę - powiedziała, z trzepotem rzęs zwracając się do Timothy'ego Rutledge'a, jedyne nieżonatego członka rady.

Udawanie idiotki miało czasami swoje dobre strony. Mężczyźni byli tacy przewidywalni.

- Na pewno nie woli pani spędzać czasu w miłszym otoczeniu, panno Ruddick? Niektóre sieroty są, proszę mi wierzyć, dość nieokrzesane.

- To kolejny powód, żeby poświęcić im czas - odparła Evelyn. - Jak już wspomniałam, mam pewne fundusze do dyspozycji. Z pozwoleniem panów chciałabym zorganizować...

- Herbatkę? - dobiegł od drzwi niski głos. Evie odwróciła się i zobaczyła opartego o framugę markiza St. Aubyna z butelką w jednej dłoni i rękawiczkami

17

w drugiej. Wyraz jego zielonych oczu sprawił, że riposta utknęła jej w gardle. Widziała w życiu wielu znudzonych, cynicznych osobników. W jej otoczeniu byli powszechni, ale ich postawa często okazywała się zwykłą afektacją. Z tych zimnych oczu, z przystojnej twarzy o wydatnych kościach policzkowych, mocnej szczęce i ustach wykrzywionych w lekkim uśmiechu, bił jadowity sarkazm. Ale dostrzegła pod nim coś jeszcze. Przełknęła ślinę.

- Milordzie - powiedziała.

Co, do licha, on tutaj robi? Nie przypuszczała, że za dnia w ogóle wychodzi z domu.

- A może recital dla sierot? - ciągnął, jakby w ogóle się nie odezwała.

Pozostali mężczyźni parsknęli śmiechem. Policzki Evelyn zapłonęły.

- To nie...

- Albo bal maskowy? - St. Aubyn wyprostował się i wolnym krokiem ruszył w jej stronę. - Jeśli pani się nudzi, mogę zaproponować wiele innych zajęć.

Jego ton nie pozostawiał wątpliwości, o jakie zajęcia mu chodzi. Lord Talirand odchrząknął.

- Daruj sobie te złośliwości, St. Aubyn. Powinniśmy być wdzięczni, że panna Ruddick jest gotowa poświęcić czas i pieniądze naszej...

- Pieniądze? - powtórzył markiz, nie odrywając wzroku od Evelyn. - Nic dziwnego, że aż się ślinicie.

- Posłuchaj, St. Aubyn...

- Jaki ma pani plan, panno Ruddick? - zapytał, okrążając ją jak pantera swą ofiarę.

- Ja... jeszcze nie...

- Jeszcze się pani nie zdecydowała? Przejeżdżała pani obok i postanowiła zajrzeć do sierocińca, żeby posmakować przygody?

- Już tutaj zachodziłam w zeszłym tygodniu - odparła Evie. Z konsternacją stwierdziła, że drży jej głos. Do licha,

18

zawsze tak było, kiedy ogarniał ją gniew. Możliwe jednak, że to bliskość St. Aubyna przyprawiała ją o zdenerwowanie. - Dowiedziałam się, że konieczne jest pozwolenie rady nadzorczej, więc jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, będę kontynuować rozmowę.

Markiz uśmiechnął się przelotnie i zaraz spoważniał.

- Ja jestem przewodniczącym tej rozkosznej rady -oznajmił. - A ponieważ nie ma pani żadnej konkretnej propozycji, jak nam pomóc, chyba będzie najlepiej, jeśli pani stąd wyjdzie i zajmie się błahostkami, które zwykle wypełniają pani dzień.

- St. Aubyn, doprawdy! - zirytował się Rutledge.

Jeszcze nikt nie mówił do niej w taki sposób. Nawet Victor na ogół nadawał swoim protekcjonalnym kazaniom uprzejmiejszą formę. Evelyn doszła do wniosku, że jeśli powie, choć słowo, narazi na szwank swoją reputację dobrze wychowanej damy, odwróciła się, więc na pięcie i wymaszerowała z sali narad. Na podeście się zatrzymała.

Wszyscy wiedzieli, że St. Aubyn to hultaj. Krążyły plotki, że stoczył kilka pojedynków, lecz zazdrośni mężowie w końcu przestali go wyzywać, bo jeszcze żaden go nie pokonał. A jeśli chodzi o kobiety...

Evie potrząsnęła głową. Przyszła tutaj w ważnej sprawie. I niezależnie od tego, co mówił St. Aubyn, ta sprawa nie straciła na ważności, przynajmniej dla niej. Ostatnio wszystko, co robiła, wydawało się takie miałkie i pozbawione sensu.

- Proszę pani?

Drgnęła. Na korytarzu, obok jednego z wysokich, wąskich okien, stały trzy dziewczynki, mniej więcej dwunastoletnie. Bawiły się szmacianymi lalkami.

Uśmiechnęła się do nich ciepło.

-Tak?

- To pani przyszła do nas w zeszłym tygodniu ze słodyczami? - zapytała najwyższa z nich, chudzielec o krótkich, rudych włosach.

19

- Tak.

- Ma pani ich więcej?

Evie sądziła, że dzisiaj będzie tylko rozmawiać z radą, a potem pójdzie na herbatę do cioci, więc nie przyszło jej do głowy, żeby przynieść cukierki.

- Przykro mi, ale nie.

- Nie szkodzi.

Dziewczynki wróciły do zabawy lalkami, jakby w jednej chwili przestała dla nich istnieć. Jeśli miała im do zaoferowania wyłącznie łakocie, może jej miejsce było gdzie indziej. Ruszyła w stronę dziewczynek z przyjaznym uśmiechem na twarzy. Nie chciała ich wystraszyć.

- A co najbardziej byście chciały? Cukierki? Rudowłosa podniosła na nią oczy.

- Ja bym wołała pudding z jabłkami i cynamonem.

- Pudding. Świetnie. A wy? Najmłodsza zmarszczyła brwi.

- Nie wiem. Jesteś kucharką?

- Nie. Mam na imię Evie. Chciałam was odwiedzić. Dziewczynki patrzyły na nią pustym wzrokiem. Evelyn pierwsza przerwała milczenie:

- A wy jak macie na imię?

- Molly - odparła ruda i trąciła łokciem średnią koleżankę. - To Penny, a tamta to Rose. Przyniesie nam pani pudding?

- Tak.

- Kiedy?

- Będę wolna jutro w czasie obiadu. Jaki jest wasz rozkład dnia?

Mała Rose zachichotała.

- Wrócisz jutro?

- A chciałybyście?

Molly wzięła najmłodszą przyjaciółkę za rękę i ruszyła przed siebie.

- Z puddingiem może pani przyjść, kiedy chce.

20

- Nie, pani nie może.

Jak na potężnego mężczyznę lord St. Aubyn poruszał się bardzo cicho. Evie wstrzymała oddech i odwróciła się do schodów. Dziewczynki pobiegły korytarzem. Chwilę później trzasnęły jakieś drzwi.

- Czy jest ktoś, kto pana lubi? - zapytała, patrząc markizowi w oczy.

- O ile wiem, nie. Miała pani wyjść.

- Nie byłam gotowa.

St. Aubyn przekrzywił głowę, a w jego wzroku na chwilę pojawiło się zaskoczenie. Gdyby wcześniej nie zachował się wyjątkowo niegrzecznie, Evie chyba nie starczyłoby odwagi na taką odpowiedź. Jak stwierdziła lady Gladstone, markiz w pełni zasłużył na złą reputację.

- A teraz jest już pani gotowa?

Wskazał na schody z miną, która wykluczała wszelkie protesty. Trzeba zachować, choć trochę godności, doszła do wniosku Evelyn, omijając go szerokim łukiem.

- Dlaczego nie pozwala mi pan zostać wolontariuszką? - rzuciła przez ramię, gdy usłyszała za sobą jego kroki. - Nie będę nic kosztować.

- Póki nie znudzi się pani przynoszenie puddingów i cukierków... albo póki sierociniec nie będzie musiał płacić za usuwanie zepsutych zębów dzieci.

- Zaproponowałam im słodczyce tylko, dlatego, żeby ze mną porozmawiały. Chyba mają niewiele powodów, żeby ufać dorosłym.

- Moje serce łka ze wzruszenia.

Odwróciła się na schodach i zatrzymała tak raptownie, że markiz omal na nią nie wpadł. Choć nad nią górował, nie uciekła wzrokiem przed jego aroganckim spojrzeniem.

- Nie sądziłam, że ma pan serce, milordzie.

- Nie mam. To była figura retoryczna. Proszę iść do domu, panno Ruddick.

- Nie. Chcę pomagać.

21

- Po pierwsze, wątpię, czy pani wie, czego potrzebuje ta instytucja i sieroty.

- Jak mogę...

- Po drugie - mówił dalej cichym głosem, zbliżając się tak, że jej twarz znalazła się na poziomie jego pasa. - Znam miejsca, gdzie byłaby pani bardziej użyteczna.

Evie poczuła, że na jej twarz wpływa rumieniec, ale nie cofnęła się.

- Gdzie?

- W moim łóżku, panno Ruddick.

Przez chwilę tylko na niego patrzyła. Nieraz mężczyźni się jej oświadczyli i składali różne propozycje, ale nigdy... tacy jak on. Zamierzał ją wypłoszyć. Właśnie tak należało tłumaczyć jego zachowanie. Teraz najważniejsze to oddychać głęboko.

-Wątpię, czy pan zna choćby moje imię, milordzie.

- Oczywiście, że znam, ale to nic nie znaczy, Evelyn Marie. Głęboki głos, który wypowiedział jej imię, przyprawił ją o dreszcz. Nic dziwnego, że markiz miał reputację uwodziciela.

- Cóż, przyznaję, że jestem zaskoczona - powiedziała, siląc się na spokój. - Ale zdaje się, że pytał pan o moje plany w związku z sierocińcem. Przyniosę je panu wkrótce.

Uśmiechnął się lekko, ale z jego oczu nadal bił cynizm i lekceważenie.

- Zobaczymy. Nie zna pani jakiegoś kółka haftowania albo czegoś w tym rodzaju?

Chciała pokazać mu język, ale pewnie uznałby to za prowokacyjny gest. A właściwie to, co niby robiła, stojąc na pustych schodach i rozmawiając z osławionym markizem St. Aubynem?

- Miłego dnia, milordzie.

- Do widzenia, panno Ruddick.

Saint odprowadził ją wzrokiem, po czym wrócił na górę po płaszcz i kapelusz. Ze wszystkich damulek, które nudę próbowały zabić wizytami w Ufnym Sercu, Evelyn Marie Ruddick była chyba najbardziej i zarazem najmniej zaskakująca. Jej brat z politycznymi aspiracjami zapewne nie miał

22

pojęcia o jej eskapadach. Żadna szanująca się dama, która chciała pomóc mężczyźnie w karierze, nie wypuszczała się poza Mayfair, do dzielnic zaludnionych przez biedotę. Z drugiej strony, na różnych przyjęciach, na których z rzadka się pojawiał, panna Ruddick i jej bystre przyjaciółki wyglądały zwykle na bardzo znudzone i przekonane o swojej wyższości. Widać dziewczyna nie mogła oprzeć się pokusie, żeby uszczęśliwić sieroty swoją obecnością.

- Coś jeszcze, milordzie? - Z pokoju na parterze wyrzała gospodyni.

- A co pani już zrobiła? - rzucił z sarkazmem, wkładając płaszcz.

- Słucham?

- Czy te biegające po korytarzu dzieci nie powinny raczej zająć się czymś pożytecznym? - zapytał, chowając butelkę do kieszeni. Znowu pusta. Powinni produkować większe.

- Nie mogę być wszędzie naraz, milordzie.

- Więc może pani skupi się na pilnowaniu nieproszonych gości.

- Właśnie, dlatego wyrzałam, milordzie - odparowała gospodyni.

Saint udał, że nie słyszy. Wolał czmychnąć, niż kłócić się z tą niemiłą kobietą. Zresztą wcale się nie dziwił jej niechęci. Personel sierocińca nie przepadał za nim, podobnie jak rada nadzorcza. On też nie lubił tu przychodzić.

Czekając na powóz, rozejrzał się po ulicy. Karetta Ruddicków właśnie zniknęła za rogiem. Evelyn Marie wahała się z odejściem, nawet, kiedy nieuprzejmie ją pożegnał. Hm.

Śmiała propozycja miała jedynie ją odstraszyć. Jak na jego gust dziewczyna, choć atrakcyjna, była zbyt anielska i niewinna. Ale miała piękne szare oczy, które zrobiły się wielkie jak spodki, kiedy ją obraził.

Uśmiechnął się lekko, wsiadł do powozu i kazał stangretowi jechać do Jacksona. Te szare oczy już nigdy więcej nie spojrzą w jego stronę. I dzięki Lucyferowi. Miał dość kłopotów.

3

"O ty zwycięzco i więźniu tej ziemi! Drży ona jeszcze i twe imię wrzawy Więcej dziś sprawia między tłmy temi."

Lord Byron, „Wędrówki Childe Harolda”,

pieśń III

Fatima Hynes, lady Gladstone, umiała okazać radość na widok gościa.

- Wyjmij rękę z moich spodni, proszę - rzucił Saint przez zęby, zerkając ponad jej głowę na uchylone drzwi.

- Przedwczoraj się nie skarżyłeś - stwierdziła wicehrabina, nie przerywając pieszczoty.

- Bo wtedy jeszcze nie odkryłem, że opowiedziałaś mężowi o naszych rozrywkach. Ostrzegalem, że nie chcę, żebyś wciągała mnie w wasze rodzinne kłótnie.

Lady Gladstone zabrała rękę.

- I dlatego chciałeś się ze mną zobaczyć na osobności? - spytała, mrużąc oczy. - Zamierzasz się mnie pozbyć?

- Nie udawaj, że jesteś zaskoczona. - St. Aubyn cofnął się o krok. - Żadne z nas nie umie płakać, więc do widzenia.

Fatima westchnęła.

- Nie masz niczego, co przypominałoby serce, prawda? Saint się roześmiał.

- Istotnie.

24

Upewniwszy się, że korytarz jest pusty, ukradkiem opuścił bibliotekę lorda Hansona i wrócił do sali balowej. Wiedział, że Fatima nie będzie protestować. Wystarczy trzymać się od niej z dala przez kilka dni, póki nie znajdzie sobie nowego kochanka. Stary cap Gladstone mógłby pod wpływem kaprysu wyzwąć go na pojedynek, a Fatima Hynes nie była warta rozlewu krwi.

Na balu zjawili się wielu gości, a kolacje lady Hanson powszechnie uważano za wyjątkowe, ale nie miał zamiaru zostać. U Jezebel albo w innych, niezbyt szacownych klubach znajdzie sporo pękatych trzosów i ciekawych rozmówców.

Ruszył przez hol do wyjścia, ale zatrzymał się, kiedy szczupła postać w niebieskiej jedwabnej sukni zastąpiła mu drogę.

- Lord St. Aubyn - powiedziała, dygając. Wszystkie jego mięśnie się napięły.

- Evelyn. - Celowo użył jej imienia, zaskoczony reakcją własnego ciała na jej bliskość.

- Chciałabym ustalić termin następnego spotkania, milordzie - rzekła panna Ruddick, patrząc mu w oczy.

Interesujące. Niewiele osób, mężczyzn czy kobiet, wytrzymało jego spojrzenie. -Nie. Na policzki Evelyn Marie wypełził lekki rumieniec.

- Powiedział pan, że nie pozwoli mi przychodzić do sierocińca, bo nie mam żadnego planu działania. Jeden już ułożyłam i chciałabym go przedstawić.

Saint mierzył ją wzrokiem przez dłuższą chwilę. Z łatwością mógłby ją odprawić. Lecz szczerze mówiąc, okazała się ciekawsza, niż sądził, a ostatnio zbyt często się nudził. Uznał, że przyda mu się trochę rozrywki za cenę niewielkiego wysiłku.

Skinął głową.

- Dobrze. Spotkamy się za tydzień od piątku. Jej miękkie usta rozciągnęły się w uśmiechu.

25

- Dziękuję.

- Mam zapisać, żeby pani nie zapomniała? Jej rumieniec się pogłębił.

- Niekoniecznie.

- To dobrze.

- Mam jeszcze jedną prośbę, milordzie. Saint skrzyżował ramiona na piersi.

- Słucham.

- Chciałabym najpierw zwiedzić sierociniec, żeby zobaczyć, czego dzieci najbardziej potrzebują. Tylko w ten sposób będę mogła się postarać, żeby moja obecność przyniosła im jakieś korzyści.

Nie roześmiał się jej w twarz, ale cyniczny wyraz nie opuścił jego oczu. Evie zachowała spokój. Niech markiz uważa ją za głupią i śmieszną, byle pozwolił jej działać.

- A pytała pani innych członków rady?

- Nie. Pan jest prezesem, więc przyszedłam do pana. Jego spojrzenie stało się czujne.

- Istotnie.

Evie wciąż zapominała oddychać w obecności markiza, a jej serce zaczynało walić młotem na samą myśl o zwróceniu się do niego z jakąkolwiek prośbą.

- Zgadza się pan?

- Tak, ale mam pewien warunek.

A niech to! Na pewno zaraz rzuci kolejną obraźliwą uwagę albo złoży nieprzyzwoitą propozycję.

- Tak?

- Przez całą wizytę ktoś będzie pani towarzyszył. Evie zamrugnęła.

- Dobrze.

Na ustach St. Aubyna pojawił się lekki, zmysłowy uśmiech.

- I... zatańczy pani ze mną walca.

- Walca, milordzie? - wykrztusiła Evelyn. - Tak.

26

Wahała się przez chwilę, myśląc gorączkowo.

- Niestety już komuś go obiecałam, ale na pewno jeszcze uda się nam zatańczyć w tym sezonie.

Markiz potrząsnął głową. Na oko spadł mu kosmyk ciemnych włosów.

- Dzisiaj.

- Ale mówiłam panu, że...

- Następny walc jest mój albo pani noga nie postanie w sierocińcu.

Lord St. Aubyn wyraźnie ją prowokował. Robił, co mógł, żeby się zniechęciła i uciekła gdzie pieprz rośnie. Lecz ona nie potrafiła przestać myśleć o dzieciach z Ufnego Serca. W sierocińcu zadziałałyby dużo dobrego i wreszcie stałyby się pożyteczna.

- Dobrze - powiedziała, prostując ramiona. - Tylko poinformuję lorda Mayfiew, że muszę odrzucić jego zaproszenie.

W oczach markiza pojawił się dziwny wyraz.

- Nie. - W tym momencie, jakby na jego znak, rozbrzmiały pierwsze tony walca. St. Aubyn wskazał na salę balową. - Teraz albo nigdy, panno Ruddick.

- Teraz.

Do tej pory jej najbardziej śmiałym, wręcz skandalicznym postępkim było włożenie ubrań brata na bal maskowy, a stało się to w Adamley Hall w West Sussex, kiedy miała piętnaście lat. Jej matka wtedy zemdląca. Teraz Genevieve Ruddick pewnie by umarła.

Markiz pierwszy ruszył na zatłoczony parkiet, nie biorąc jej pod rękę. Bez wątplenia liczył na to, że ona skorzysta z okazji i ucieknie. Bardzo ją to kusiło.

Gdy się do niej odwrócił, Evelyn wstrzymała oddech w oczekiwaniu na grom, który spadnie z jasnego nieba i zabije ją na miejscu. Nic się jednak nie stało, kiedy markiz otoczył ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie.

W tym momencie zjawił się lord Mayhew, ale jeśli zamierzał protestować, powstrzymał się na widok jej partne-

27

ra. Gdy St. Aubyn przeszył go wzrokiem, baron pospiesznie się oddalił, jakby przypomniawsobie o jakiejś pilnej sprawie.

- No, no! - mruknęła do siebie Evie.

Może Georgie i Luce jednak miały rację. Rycerskość umarła, a St. Aubyn ją pogrzebał.

- Zmieniła pani zdanie? - spytał, ujmując jej dłoń.

Pachniał mydłem do golenia i brandy. Jej oczy znajdowały się na poziomie jego białego kołnierzyka. Nie śmiała spojrzeć wyżej. Z bliska markiz jeszcze bardziej ją onieśmielał. Raptem przypomniały się jej wszystkie skandaliczne opowieści na jego temat. Co ona wyprawia, stojąc w jego objęciach?

Gdy zaczęli tańczyć, stwierdziła, że jej partner porusza się z gracją. Choć trzymał ją lekko, czuła jego stalową siłę. Nie miała wątpliwości, że nie zdołałaby mu się wymknąć.

- Proszę na mnie spojrzeć - szepnęła.

Gdy jego oddech poruszył jej włosy, Evie stanęła przed oczami scena jego intymnej rozmowy z lady Gladstone. Przełknęła ślinę i uniosła głowę.

- Jest pan podły. Markiz uniósł brew.

- Daję to, o co pani poprosiła.

- W zamian za upokorzenie.

- To tylko walc. Mogłem zażądać więcej.

Evelyn doszła do wniosku, że może spokojnie się rumienić. St. Aubyn pewnie i tak dawno uznał, że buraczkowy to naturalny kolor jej cery.

- Już pan to zrobił, a ja odmówiłam.

Markiz zaśmiał się serdecznie. Nawet jego oczy trochę poweselały. Ciekawe, dlaczego się upierał, żeby pokazywać światu cyniczną, znudzoną twarz.

- To nie było żądanie, tylko propozycja. W dodatku kusząca.

- Przecież ja nawet pana nie lubię. Dlaczego miałabym pragnąć... zażyłości z panem?

28

Przez chwilę wyglądał na szczerze zaskoczonego.

- A co tu ma do rzeczy lubienie? Chodzi o przyjemność. Evie przeraziła się, że zaraz zemdleje. Rozmawiając z St.

Aubynem o takich rzeczach w miejscu publicznym, kusiła los. Na szczęście markiz mówił cicho. Miała nadzieję, że nikt ich nie usłyszał, bo w przeciwnym razie jej reputacja byłaby niewiele warta.

- Przyznaję się do ignorancji w tej kwestii, ale myślę, że intymna zażyłość między dwojgiem ludzi daje więcej radości, jeśli w grę wchodzi szczerze uczucie.

- Pani naiwność jest doprawdy rozbijająca - stwierdził markiz, po czym nachylił się ku niej i szepnął: - Byłbym szczęśliwy, mogąc zaradzić pani ignorancji.

Delikatnie musnął wargami jej ucho, a Evelyn zadrżała. Tylko się ze mną bawi, powiedziała sobie w duchu. Jest znudzony i szuka rozrywki.

- Proszę przestać - zażądała, ale głos miała niepewny.

Gdy muzyka ucichła, markiz wypuścił ją z objęć i cofnął się o krok. Evelyn spodziewała się kolejnej złośliwej uwagi, ale St. Aubyn ukłonił się szarmancko.

- Wypełniła pani swoją część umowy - stwierdził z lekkim uśmiechem. - Proszę przyjść jutro o dziesiątej rano. Jeśli się pani spóźni, straci pani szansę.

Nim zdążyła odpowiedzieć, wmieszał się w tłum gości. Nagle stwierdziła, że potrzebuje świeżego powietrza.

Gdy ruszyła w stronę tarasu, ludzie się przed nią rozstępowali. Nie słyszała dokładnie, co szepczą, ale nie musiała. Do jej uszu kilka razy dotarło nazwisko Ruddick i St. Aubyn. To nie wróżyło dobrze.

- Evie!

- Luce. - Evelyn odetchnęła z ulgą. - Nie miałam pojęcia, że...

- Oszalałaś? - Lucinda Barrett mówiła ścisłym głosem, a z jej uśmiechu można by sądzić, że rozmawiają o strojach. - St. Aubyn? Jeśli twój brat się dowie...

29

- Na pewno już wie - odparła Evie, wychodząc na taras. -Dostrzega, że mam swój rozum tylko wtedy, gdy robię coś, czego nie pochwała.

Przyjaciółka zmierzyła ją wzrokiem.

- Tym razem bym się z nim zgodziła. Rozumiem bunt, ale dlaczego akurat St. Aubyn?

- Wiedziałaś, że on jest w radzie nadzorczej sierocińca Ufne Serce?

Panna Barret wytrzeszczyła oczy.

- Nie. Biedactwa. Ale co to ma do rzeczy?

- Chcę coś zrobić dla tych sierot - oznajmiła Evelyn, zastanawiając się jednocześnie, jak wytłumaczyć Lucindzie, dlaczego to dla niej takie ważne, skoro sama nie bardzo rozumiała swoje postępowanie.

- To... godne pochwały.

- Myślisz, że nie dam rady?

- Nic podobnego - zapewniła ją szybko przyjaciółka. -Ale są inne miejsca, którym możesz poświęcić czas i energię, niezwiązane z lordem St. Aubynem.

- Tak, ale wybrałam tamto, zanim dowiedziałam się o markizie. I uważam, że byłoby tchórzostwem zrezygnować tylko, dlatego, że jeden z członków rady ma kiepską reputację.

St. Aubyn był prezesem rady nadzorczej, a nie zwykłym członkiem, zaś przymiotnik „kiepska” w odniesieniu do jego reputacji wydawał się zbyt łagodny, lecz argument pozostawał w mocy.

- To nie wyjaśnia, dlaczego z nim tańczyłaś - stwierdziła Luce.

- Zawarliśmy umowę. St. Aubyn zgodził się, żeby ktoś oprowadził mnie jutro po sierocińcu, jeśli zatańczę z nim walca.

Sądząc po wyrazie jej twarzy, Lucinda była przekonana, że Evie postradała rozum. Ale jako dobra przyjaciółka jedynie skinęła głową.

- Tylko pamiętaj, że St. Aubyn nie robi niczego bezin-

30

teresownie. Nie muszę dodawać, że ma na względzie wyłącznie własny interes.

Na wspomnienie warg muskających jej ucho Evelyn zadrżała.

- Wiem. Nie jestem kompletną idiotką.

- Może, chociaż porozmawiasz o St. Aubynie z Dare'em? Oni się znają.

- Dobrze, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej.

- Mniejsza o mnie. Bądź ostrożna, Evie.

- Będę. - Evelyn westchnęła, dostrzegłszy zatroskaną minę przyjaciółki. - Obiecuję.

W tym momencie zbliżył się do nich jej brat. Evelyn dała znak Lucindzie, żeby zostawiła ich samych. Zastanawiała się, czy człowiek musi dożyć pewnego wieku, żeby trafiła go apopleksja, i czy zawsze się od niej umiera.

Victor ujął ją za ramię gestem pozornie czułym, a w rzeczywistości zostawiającym siniaki.

- Wychodzimy! - warknął. - Ze wszystkich głupich, naiwnych, pustogłowych...

- Jeszcze jedno słowo, a zemdleję - ostrzegła cicho. - Co sobie wtedy ludzie pomyślą?

Brat spiorunował ją wzrokiem, ale puścił jej rękę.

- Porozmawiamy w domu - zapowiedział groźnym tonem. Cudownie.

- Bez wątplenia. - Nagle dostrzegła w tłumie ciemnowłosego wybawcę. - A teraz wybac, ale czeka na mnie partner od kadryla.

Victor się obejrzał.

- Dare.

Tristan Carroway, wicehrabia Dare, ukłonił mu się z poważną miną, której przeczyły wesołe ogniki w niebieskich oczach.

Victor Ruddick posłał siostrze gniewne spojrzenie i ruszył w kierunku nowo zdobytych politycznych sojuszników.

- Ogr - mruknęła Evie pod nosem.

31

- Wiesz, że prędzej padnę trupem, niż zatańczę kadryla - powiedział Dare, biorąc ją pod ramię.

- Wiem.

- Georgiana kazała mi ciebie przyprowadzić - wyjaśnił Tristan, prowadząc ją przez tłum. - Chce cię zbesztać.

Jak wszyscy dzisiaj, pomyślała Evelyn. - A ty?

- Nie mam pojęcia, jaką grę toczy Saint, ale wołałabyś nie brać w niej udziału.

- Sądziłam, że jesteście przyjaciółmi. Wicehrabia wzruszył ramionami.

- Byliśmy. Teraz czasem grywamy w karty.

- Dlaczego wszyscy nazywają go Saint?

- Poza oczywistymi powodami? Odziedziczył tytuł, kiedy miał sześć albo siedem lat. Pewnie przydomek „Saint” lepiej pasował do chłopca niż pełne „markiz St. Aubyn”. Teraz pewnie uważa go za zabawny, bo sam jest jak najdalszy od świętości, nie licząc piekła.

- Dlaczego?

- Musiałabyś go zapytać, ale ja nie robiłbym tego, gdybym był tobą. I dzięki Bogu, że nie jestem, bo wyglądałbym okropnie w sukni balowej.

Evie się roześmiała, choć rada Dare'a trochę ją zaskoczyła. On sam w swoim czasie nie był święty, delikatnie mówiąc, ale odkąd się ożenił, plotki ucichły. Jeśli uznał za konieczne ją ostrzec, powinna potraktować jego słowa poważnie.

- Dziękuję za ostrzeżenie - powiedziała, śląc mu ciepły uśmiech. - Ale lord St. Aubyn to jedynie przeszkoda w moich planach. Za kilka dni nie będę miała powodu nawet na niego patrzeć.

- Ale do tego czasu, Evie, lepiej nie odwracaj się do niego plecami.

Wcale nie poczuła się lepiej. Z drugiej strony, plotki i osobiste spotkanie z St. Aubynem tylko podsyciły jej ciekawość. Nie zamierzała jednak jej zaspokoić.

32

Następnego ranka przygotowała sobie pytania, żeby je zadać w czasie obchodu sierocińca. Na szczęście Victor wyszedł wcześniej na jedno ze swoich spotkań, rzuciwszy jej badawcze spojrzenie, jakby się zastanawiał, dlaczego ona w ogóle oddycha bez jego pozwolenia. Evelyn doszła do wniosku, że im dłużej uda się jej odwlekać rozmowę na temat St. Aubyna, tym większa szansa, że brat zapomni o jej wyskoku, zwłaszcza, jeśli będzie chciał, żeby poszła z nim na przyjęcie albo oczarowała któregoś z jego tłustych, łysych protektorów.

Gdyby odkrył jej zamiary, zabroniłby jej zbliżać się do sierocińca. A nie była pewna, co wtedy by zrobiła. Najlepiej, żeby się nie dowiedział.

Bez przyzwotki mogła pójść jedynie do Lucindy, Georgiany albo Houtonów, więc powiedziała kamerdynerowi, że wybiera się do ciotki. Uznała, że ta wizyta nie powinna wzbudzić gniewu czy podejrzeń Victora. To śmieszne, żeby kłamać w sprawie dobrych uczynków, ale nie chciała, żeby coś pokrzyżowało jej plany, zanim zaczęła wprowadzać je w życie.

Kiedy Philip zatrzymał powóz na Great Titchfield Road, jeszcze przez chwilę siedziała w środku, sprawdzając, czy ma pióro i notes, nie chcąc się zbłąźnić przed swoim przewodnikiem.

- Zaczekaj na mnie - poleciła stangretowi, kiedy wreszcie wysiadła. - To może trochę potrwać.

Philip skinął głową.

- Dziś straszny ruch między Ruddick House a domem lorda i lady Houtonów - powiedział, zamykając za nią drzwi i wspinając się z powrotem na kozioł.

Evelyn uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Od powrotu Victora z Indii wszyscy słudzy pomagali jej w ucieczkach, choć wiedzieli, że gdyby ich nakrył, zostaliby zwolnieni.

Przebiegła przez ulicę. Gdy zapukała do drzwi, uświadomi-

33

miła sobie, że St. Aubyn nie powiedział, kto oprowadzi ją po sierocińcu. Miała nadzieję, że nie ta okropna gospodyni. Raczej się nie spodziewała po niej pomocy czy zrozumienia. Drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypieniem.

- Słucham? - Gospodyni wypełniła sobą całe wejście. Do licha.

- Byłam umówiona na dzisiaj... Kobieta dygnęła niezgrabnie.

- A... panna Ruddick - bąknęła. - Proszę wejść.

Evie weszła do holu, niepewna, jak potraktować nieoczekiwaną uprzejmość gospodyni. Ale na widok postaci, która stała oparta o poręcz schodów, wręcz oniemiała.

Nawet w ładny słoneczny poranek markiz St. Aubyn miał w sobie coś mrocznego. Pewnie chodziło o jego reputację, ale nawet gdyby Evie o niej nie słyszała, stwierdziłaby, że markiz nie pasuje do tego surowego miejsca o szarych ścianach. Łatwiej było wyobrazić go sobie w sypialni z ciemnymi storami, aksamitnymi draperiami, rozjaśnionej blaskiem żyrandoli.

- Gapi się pani, panno Ruddick. Evie drgnęła.

- Po prostu jestem zaskoczona, że pana tu widzę. To znaczy, doceniam, że osobiście pan uprzedził o mojej wizycie, ale wystarczyło wysłać liścik.

Markiz zbliżył się do niej krokiem pantery.

- Przyznaję się, że poranki oglądam tylko wtedy, gdy kładę się spać.

Evelyn nie była pewna, jak odpowiedzieć.

- Cóż, jeśli pani...

Saint zerknął na potężną kobietę.

- A właśnie, jak się pani nazywa?

- Natham. - Z tonu gospodyni wynikało, że nie pierwszy raz podaje mu tę informację.

- Dziękuję - powiedziała Evie z uśmiechem. Mimo trudnego początku nie było powodu zakładać, że nie będą mog-

34

ły się ze sobą porozumieć. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałabym już zacząć obchód.

- Ja... ale...

- To nie pani Natham będzie przewodnikiem, tylko ja -oznajmił markiz z nutą rozbawienia w głosie.

- Pan? - wyrwało się Evelyn.

- Tak. Idziemy?

Ruszył w stronę drzwi znajdujących się po prawej stronie holu, otworzył je i przytrzymał.

- Ale... nie ma pan ważniejszych spraw?

- Nie. - St. Aubyn wykrzywił usta w zmysłowym uśmiechu. - Prosiła pani o wycieczkę. Ja będę przewodnikiem. Jeśli pani nie chce, droga wolna. Ale uprzedzam, że więcej nie zostanie pani wpuszczona do sierocińca.

A więc to tak. Kolejna próba onieśmienia jej i zniechęcenia. Lecz tego ranka była w bojowym nastroju. I żaden znudzony, arogancki markiz nie przeszkodzi jej w rozpoczęciu pożytecznej działalności.

Saint z trudem powstrzymał się od śmiechu. Panna Ruddick wyglądała jak spłoszona sarna. Nie wiedziała, w którą stronę uciekać. Pewnie sądziła, że spędzi rano na plotkach z panią... Jakąś tam. Myśl, że naprawdę będzie musiała stanąć twarzą w twarz z mieszkańcami sierocińca, na pewno ją przerażała.

Wyraziste szare oczy spojrzały najpierw na niego, a potem na drzwi, jakby Evelyn Marie oceniała szanse ujęcia z życiem. Sytuacja byłaby zabawna, gdyby z góry jej nie przewidział.

- Dobrze, milordzie - powiedziała w końcu i pokazała mu gestem, żeby prowadził.

Saint ukrył zdziwienie i ruszył korytarzem. Hm. Może jednak się pomylił. To by oznaczało, że panna Ruddick jest wyjątkiem wśród kobiet. Na razie.

- Oto biura administracji. Kiedyś w tym gmachu mieściły się...

35

- Koszary gwardii króla Jerzego - dokończyła Evelyn.

- Przygotowała się pani - stwierdził Saint niechętnie.

- Zaskoczyłam pana? - spytała chłodno. Z każdą chwilą coraz bardziej.

- Trochę. W tych pomieszczeniach przechowujemy stare meble i wyposażenie.

Evelyn zanotowała coś w notesie.

- Ile jest biur? - zapytała. - I jakie są duże? Nieśmiała panna Ruddick przybrała rzeczowy ton. Saint

popatrzył na jej profil.

- Dwanaście. Jakiej wielkości, nie wiem. Wejźmy do któregoś i sprawdźmy, dobrze?

Evelyn podniosła głowę znad notatek.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne. Zresztą i tak nie mam przy sobie miarki.

Znowu stała się skromną dziewczyną.

- Może w takim razie chciałyby pani zajrzeć do pokoju muzycznego lub do pracowni malarskiej? Albo do sali balowej. Na pewno się pani spodoba.

Evelyn zatrzymała się raptownie. Gdy Saint się obejrzał, przez chwilę mierzyła go wzrokiem. Kobiety rzadko to robiły, więc St. Aubyn nagle stwierdził, że ją podziwia. Niestety za chwilę dziewczyna pewnie się rozpłacze, a tego nie znośli.

- Pozwoli pan, że coś wyjaśnię - powiedziała lekko drżącym głosem, takim samym jak wtedy, gdy przyjęła jego zaproszenie do walca. - Nie boję się, że zobaczę coś nieprzyjemnego. W przeciwnym razie nie mogłabym zrobić niczego pożytecznego dla sierocińca. Nie chcę jednak zepsuć sobie reputacji. Już sam obchód w pańskim towarzystwie jest dużym ryzykiem, ale przynajmniej na korytarzu są świadkowie. Wejście z panem do magazynu byłoby z mojej strony bardzo lekkomyślne i bezcelowe.

Markiz zrobił krok w jej stronę.

- Może i lekkomyślne, ale na pewno nie bezcelowe - po-

36

wiedział cicho. - Mógłbym panią nauczyć wielu rzeczy. Czy nie po to pani tutaj przyszła?

Evelyn oblała się rumieńcem. Saint powiódł wzrokiem po jej twarzy, po smukłym, drobnym ciele. Miał ogromne doświadczenie z kobietami, ale zupełnie nie znał się na dziewczicach. Ich histeryczne zachowania za bardzo wszystko komplikowały.

Panna Ruddick budziła jednak jego ciekawość.

- Do widzenia, milordzie - rzekła, okręcając się na pięcie.

- Już pani się poddaje?

Nie ruszył się z miejsca. Jeszcze z nią nie skończył, ale nie mógł również pozwolić sobie na przeprosiny, które dałyby jej chwilową przewagę. Nie tak zamierzał rozegrać tę grę.

- Nie. Pani Natham oprowadzi mnie „po sierocińcu. Przynajmniej nie będzie próbowała zaciągnąć mnie do schowka na miotły.

Najwyraźniej słyszała plotki o nim i o lady Hampstead. Jak wszyscy.

- Obiecałem pani obchód i dotrzymam słowa. Evelyn zawahała się, ściskając notes pod pachą.

- Będzie pan grzeczny?

- Będę. Dzisiaj.

Evelyn skinęła głową i ruszyła do najbliższych drzwi.

- Magazyn? - Tak.

Saint nie chciał, żeby się rozmyśliła i uciekła, więc został na korytarzu, kiedy otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Chwilę później wyszła i zaczęła coś pisać w notesie.

- Wszystkie pomieszczenia są takiej samej wielkości? St. Aubyn poczuł się dziwnie. Dobry Boże, niewinna dziewczyna zadaje niewinne pytania, a jego ogarnia podniecenie.

- Mniej więcej.

- Świetnie. Idziemy dalej?

Rzeczywiście postanowiła trzymać go za słowo. Kolej-

37

na niespodzianka i jeszcze silniejsze pożądanie. W tej sytuacji Saint uznał, że kontynuowanie obchodu nie ma sensu, skoro obiecał, że nie będzie próbował jej uwieść. Z drugiej strony, korciło go, żeby podjąć wyzwanie.

-, Co pani tam zapisuje? - spytał.

- Uwagi.

- O wielkości magazynów?

- Wolałabym nic nie mówić, póki nie ułożę całego planu, lordzie St. Aubyn. Podejrzewam, że z góry wyrobił pan sobie o mnie zdanie, więc nie będę panu dawać kolejnych powodów do lekceważenia.

- Saint - poprawił ją, nie odpowiadając na zarzut. Panna Ruddick spojrzała na niego z ukosa. Jej policzki nadal barwił uroczy rumieniec. Jak zwykle w jego obecności.

- Słucham?

- Poprosiłem, żeby mówiła mi pani Saint. Jak wszyscy. Evelyn odchrząknęła.

- Saint.

Markiz patrzył na nią, aż odwróciła wzrok. Najwyraźniej nie zamierzała mu proponować, żeby mówił jej po imieniu, ale i tak zamierzał to robić.

- Więc to wszystko są nieużywane pomieszczenia? - zapytała, przerywając ciszę.

- Sądziłem, że już omówiliśmy tę kwestię. - Saint z trudem pohamował uśmiech. - Czyżby zabrakło pani pytań? Mogła pani oszczędzić mi trudu, skoro...

- Zależy mi na szczegółach - przerwała mu ostrym tonem. - I nie prosiłam, żeby pan mnie oprowadzał. To był pański pomysł, mil... Saint.

Sprzeczała się z nim. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby przyparł ją do ściany i pocałował. I nie poprzestałby na tym. Gdyby raz jej dotknął, zerwałby z głowy ten okropny kapelusz, zdjął jelonkowe rękawiczki zapinane na guziki, poznałby dokładnie jej nagie ciało, żeby się dowiedzieć, dlaczego tak go podnieca, a w końcu przepędziłby tę kobietę z myśli.

38

Możliwe, że po prostu widok niewinnej dziewczyny w konserwatywnej sukni z wysokim kołnierzem pobudzał jego wyobraźnię.

- Nic pan nie powie? - zapytała Evelyn.

- Powiedziałbym, ale dałem słowo, że będę grzeczny. Miał nadzieję, że panna Ruddick to doceni, bo rzadko

zachowywał się przyzwoicie. Właściwie nigdy.

- Więc powinnam być wdzięczna?

- Niekoniecznie. Ja zdecydowanie wolałbym nie być grzeczny. Chce pani najpierw obejrzeć kuchnię czy sieroty?

- Kuchnię. Muszę wiedzieć jak najwięcej, zanim porozmawiam z dziećmi. Wcale ich nie unikam.

- Nic nie powiedziałem.

Popatrzyła na niego badawczo. W jej oczach pojawiło się rozbawienie.

- Ale pan zamierzał.

Saint na chwilę stracił mowę, zahipnotyzowany jej uśmiechem. Pobudka o tak wczesnej porze wyraźnie mu nie posłużyła. Inne wyjaśnienie nie miało sensu. W dodatku stwierdził z konsternacją, że zaczyna go cieszyć oprowadzanie po sierocińcu takiej porządnej dziewczyny jak Evelyn Marie Ruddick.

"Błąd jest, gdy panny uczone wychodzą
Za ludzi, którzy nie mają oświaty;
Za panów, którzy choć „dobrze się rodzą”,
Ale ich nudzą poważne debaty.
Przestrogi moje skromne w nic nie godzą,
Ja jestem prosty człek i nieżonaty...

Lecz - mężu mądrej żony, szczerze powiedz,
Czy was nie wodzą jak gromadę owiec?"

Lord Byron, „Don Juan”, pieśń I

Evie wciąż zapominała notować i dobrze wiedziała, kogo winić za swoje roztargnienie. Od początku denerwowała się, czy wypadnie wiarygodnie. Gdy się okazało, że przewodnikiem będzie lord St. Aubyn, jej niepokój wzrósł stukrotnie. Nie bała się mężczyzn. Od debiutu w towarzystwie z wieloma rozmawiała, flirtowała, tańczyła, ale rzadko budzili w niej uczucia silniejsze niż rozbawienie albo dezaprobata. Markiz zupełnie ich nie przypominał. Przed takimi właśnie mężczyznami ostrzegała ją matka oraz własny zdrowy rozsądek. I kiedy po raz pierwszy postanowiła spróbować innego życia niż to, które przewidział dla niej brat, trafiła akurat na Sainta. Odkąd ustaliła zasady, był uprzejmy, i choć czuła się nieswojo, mając pod bokiem drapieżnika z chwilowo tylko

40

schowanymi pazurami, postanowiła wykorzystać okazję. Spojrzała na markiza, który stał z skrzyżowanymi ramionami przed wejściem do jednej z sypialni. Jego zielone oczy przewiercały ją na wylot.

- Myślałam, że przyniosła nam pani pudding, panno Evie. Płaczliwy głos Molly przywołał ją do rzeczywistości.

- Tak powiedziałam i dotrzymam obietnicy, ale dzisiaj chciałabym z wami tylko porozmawiać.

- On też tu wejdzie? - wyszeptał inny głos. Rozległy się stłumione chichoty.

- Ja bym chciała - oznajmiła jedna ze starszych wychowanek. - Słyszałam, że jego dom w St. Aubyn jest wyłożony złotem.

Evie zmarszczyła brwi.

- Ile masz lat?

- Siedemnaście, panno Evie. Za osiem miesięcy odejdę stąd i zamieszkam z jakimś mężczyzną w Covent Garden.

- Mam nadzieję, że nie - powiedziała Evie, przyglądając się dziewczynkom, które otoczyły ją kręgiem.

Czy tego właśnie oczekują od życia?

- Wolałabym mieszkać w domu ze złotymi podłogami niż na ziemi w Covent Garden.

- Akurat markiz ożeniłby się z córką szwaczki, Maggie. Nie jesteś nawet godna szorować jego podłóg, nie mówiąc o chodzeniu po nich.

Maggie zakręciła poszarpaną bawełnianą spódnicą, uderzając nią Molly.

- Nie mówiłam o ślubie, ty głupia. Młodsza koleżanka pokazała jej język.

- Wtedy zostałabyś dziw...

Evie wkroczyła między dwie kłótnice. Nie zamierzała pozwolić, żeby w jej obecności ktoś się bił albo sprzeczał.

- Lord St. Aubyn na pewno nie jest wart tego całego zamieszania, nieważne, z czego są jego podłogi. Poza tym nie jego chcę lepiej poznać, tylko was, młode damy.

41

- Nie jestem młodą damą, tylko małą dziewczynką. -Rose wystąpiła do przodu, trzymając za nogę szmacianą lalkę. - I wszystkie jesteśmy sierotami.

- Nie wszystkie - odezwała się inna, chyba Iris. - William i tata Penny zostali skazani na zesłanie na siedem lat.

Alice Bradley się uśmiechnęła.

- A tata Fanny siedzi w Newgate za to, że stłukł butelkę na łbie właściciela gospody.

- Drań sobie na to zasłużył - odparowała Fanny, ubrana w burą sukienkę z nieokreślonego materiału.

- Przestań opowiadać bajki, Alice, bo powiemy jej, że twoja mama też skończyła w Newgate.

- Nie! O Boże!

- Uspokójcie się. Może ja będę zadawać pytania, a wy odpowiadać, oczywiście, jeśli zechcecie?

Evelyn usiadła na krześle i wygładziła spódnice. Rose oparła się o jej kolana.

- Podoba mi się, jak mówisz - stwierdziła.

- Dziękuję.

-, Jakie jest pierwsze pytanie?

Evie wzięła głęboki oddech. Nie chciała zdenerwować dziewczynek ani nastawić ich przeciwko sobie. Wolała również nie narażać się na złośliwe uwagi St. Aubyna.

- Ile z was potrafi czytać?

- Czytać? - zdziwiła się Penny. - Myślałam, że pani zapyta, jakie słodycze lubimy.

- Właśnie, słodycze! To pani przyniosła nam cukierki, tak?

Evelyn starała się ignorować spojrzenie, które czuła na plecach. Wolałaby, żeby St. Aubyn sobie poszedł. Wtedy mogłaby się skupić. Niestety najwyraźniej nie miał takiego zamiaru.

- A co z moim pytaniem? Czy któraś z was...

- Słodycze!

42

W pokoju rozbrzmiał chór dzikich okrzyków. Nie minęło dziesięć minut, a Evie całkiem straciła panowanie nad sytuacją.

- Zmykajcie! - ryknął St. Aubyn.

Pojawił się u boku Evelyn, a dziewczynki z piskiem pobiegły do drzwi. Po chwili dorośli zostali sami w pokoju.

- To nie było konieczne - powiedziała Evie z wyrzutem, skrupulatnie zbierając notatki, żeby nie napotkać cynicznego, rozbawionego wzroku markiza.

- Ich wrzaski przyprawiły mnie o ból głowy - odburknął Saint. - Już pani skończyła z tymi bzdurami?

- Jeszcze nie.

- Panno Ruddick, muszę przyznać, że wytrzymała pani dłużej, niż się spodziewałem, ale jasno widać, że niczego pani tutaj nie dokona - stwierdził znużonym tonem.

Evelyn zaczerpnęła powietrza, usiłując zapanować nad łzami. St. Aubyn nie zobaczy jej płaczącej.

- Mam iść do domu i zająć się haftowaniem, tak? - Okazując oburzenie, przynajmniej nie płakała.

- Podtrzymuję swoją pierwszą propozycję - rzekł ciszej, podnosząc ją z krzesła. Gdy ich dłonie się zetknęły, po plecach Evie przebiegł dreszcz. - Przekonałaby się pani, że to dużo przyjemniejsze.

Musnął kciukiem jej wargi. Evelyn wstrzymała oddech. St. Aubyn wyjął jej notes z ręki i rzucił go na jedno z łóżek. Zachowywał się tak, jakby stali w zacisznym buduarze, a nie w ogromnej wspólnej sypialni z otwartymi drzwiami.

- Co pan robi? - spytała drżącym głosem.

- Zamierzam panią pocałować - odparł markiz spokojnie, jakby mówił o czyszczeniu srebra.

Evelyn skupiła wzrok na jego zmysłowych, lekko rozchylonych ustach, ale szybko się otrząsnęła i skarciła w duchu. Wprawdzie dużo mogłaby się od niego nauczyć, ale te lekcje źle by się dla niej skończyły. Inne kobiety zakochiwały się w markizie, i jaki los je spotkał?

43

- Uważa się pan za Ryszarda Trzeciego? - wykrztusiła, cofając się, póki nie trafiła łydkami na ramę łóżka.

St. Aubyn zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem.

- Ryszard Trzeci uwiódł bratową nad martwym ciałem jej męża, a własnego brata.

- Wiem - rzucił markiz szorstko, pokonując dzielący ich dystans jednym długim krokiem. - Czy to znaczy, że jestem brzydki, garbaty i pretenduję do tronu?

- Nie, milordzie...

- Saint - poprawił ją, odgarniając włosy z jej czoła. Evelyn zadrżała. Wydawało się jej, że St. Aubyn chce pożreć ją żywcem.

- Saint. - Boże! On naprawdę zamierzał ją pocałować. Gdyby ktoś ich zobaczył, musiałyby spędzić resztę życia w West Sussex, o ile brat i matka całkowicie by jej nie wydziedziczyli. - Uznał mnie pan za niekompetentną i bezużyteczną, a teraz wykorzystuje moje rozczarowanie, żeby mnie uwieść.

Wyraz jego oczu zmienił się na krótką chwilę. Potem markiz się roześmiał.

- Nie jest pani bezużyteczna. Po prostu przekroczyła pani granice, których powinna się trzymać dziewczyna.

Najwyraźniej kobiety czasami mu wierzyły, bo inaczej nie odważyłyby się mówić takich niedorzeczności. Nad nią też miał władzę. Ciekawe, czy słyszał bicie jej serca. Ale choć jego spojrzenie i głos były uwodzicielskie, na razie zdołała mu się oprzeć.

- Według pana właściwym miejscem dla dziewczyny jest łóżko, tak?

Markiz skinął głową i przysunął się bliżej, wpatrując się w jej usta.

- W takim razie pańskie musi być bardzo zatłoczone - stwierdziła Evie, schylając się po notes.

- Nie sądzę, żebym jeszcze ja się w nim zmieściła.

44

- Chciałabym teraz obejrzeć sypialnię chłopców - oznajmiła, idąc do drzwi.

Starła się nie biec. Aż do tej pory nie przypuszczała, że jest zdolna do takiego gniewu i jednocześnie podniecenia. Jeszcze nigdy nie zalecał się do niej żaden łajdak, a teraz największy z nich, bardzo przystojny i doświadczony, próbował ją pocałować... i nie tylko. Zainteresowanie markiza przyprawiało ją o zawrót głowy mimo jego oczywistej pogardy dla jej zdolności umysłowych.

Evie zwolniła kroku i zmarszczyła brwi. A może St. Aubyn wcale nie chciał jej uwieść, tylko starał się ją w ten sposób zniechęcić?

- Jak pan znalazł się w radzie nadzorczej sierocińca? - spytała, niepewna, którą z tych możliwości by wolała.

- Przypadkiem - odparł, zrównując się z nią.

- Sądziłam, że ktoś taki jak pan nie wierzy w przypadki.

- Są pewne rzeczy, na które nic nie można poradzić. Jednym z nich jest pech.

- Więc jaki pech pana tutaj sprowadził? Markiz uśmiechnął się bez śladu wesołości.

- Proszę udawać ciekawość, jeśli pani chce, ale kiedy wielkie plany skończą się na rozdawaniu słodyczy i wspólnym śpiewaniu, wtedy się okaże, po co naprawdę pani tutaj przysłała.

- No, po co, milordzie? Z powodu pana? Zapewniam, że żadna szanująca się kobieta nie chciałaby być widziana w pańskim towarzystwie. Poza tym znajdujące się pod pańską pieczęcią Ufne Serce to jeden z najgorszych sierocińców, jakie w życiu widziałam. Widziała tylko ten jeden, ale nie musiała tego mówić St. Aubynowi. Markiz mruknął coś pod nosem, a ona wolała nie dociekać, co powiedział. Zanim zdążyła ponowić pytanie o jego motywy, chwycił ją za ramię i lekko pchnął ku ścianie.

45

Nie wykorzystał całej swojej siły, ale nie mogłaby się uwolnić, nawet gdyby chciała. A była zbyt zaskoczona, żeby próbować.

- Proszę nie zapominać, że jest pani w moim towarzystwie - syknął, przysuwając twarz do jej twarzy. - I kiedy pani mnie prowokuje, musi spodziewać się konsekwencji. - Pochylił się, łagodnie musnął wargami jej usta i zaraz się wyprostował. - Idziemy? - zapytał ze swoim zwykłym cynicznym uśmiechem.

Evie wirowało w głowie.

- Jest pan... łajdakiem.

St. Aubyn zatrzymał się, okręcił na pięcie i znowu do niej podszedł. Chciała powiedzieć coś jeszcze bardziej obraźliwego, ale zamknął jej usta gorącym pocałunkiem, przyciskając ją do ściany i obejmując mocniej. Evelyn usłyszała, że jej notes spada na podłogę. Zaciśnęła dłonie na połach męskiego czarnego surduta.

Musiała przyznać, że markiz umie całować. Miała kilka tego rodzaju doświadczeń z wielbicielami, całkiem zresztą przyjemnych, lecz brakowało jej prawdziwego porównania... aż do teraz.

Oblał ją war. Opamiętaj się, nakazała sobie w duchu, ale to St. Aubyn pierwszy uniósł głowę. Patrząc na nią z bliska, przesunął językiem po wargach, jakby właśnie zjadł coś smacznego.

- Jest pani słodka jak miód - powiedział cicho. Evelyn dzwoniło w uszach, nogi jej drżały. Nagle zapragnęła uciec, gdziekolwiek, w bezpieczne miejsce.

- Proszę... przestać - wykrztusiła, próbując odepchnąć impertynenta od siebie.

- Już przestałem. - Nawet nie drgnął. Opuścił wzrok na jej usta. - Ciekawe - mruknął, muskając je palcem.

Evelyn zaczerpnęła powietrza.

- Co?

Saint wzruszył ramionami i cofnął się o krok.

46

- Nic. Zaprowadzić panią do sypialni chłopców?

- Przecież sama to zaproponowałam - odparła, schylając się po notatki.

Nie próbował jej wyręczyć. Drżącą ręką podniosła notes i przycisnęła go do piersi.

Markiz pierwszy ruszył korytarzem, Evie skorzystała, więc z okazji, żeby poprawić kapelusz i trochę ochłonać. Powinna była spoliczkować St. Aubyna i wybiec z budynku... W ogóle niepotrzebnie tu przychodziła.

Zaraz jednak doszła do wniosku, że Saint pocałował ją właśnie po to, żeby wypłoszyć. Obrażliwe uwagi nie poskutkowały, więc przypuścił bardziej bezpośredni atak. Gdyby uciekła, miałby pretekst, żeby więcej jej nie wpuścić do sierocińca, a wtedy ona nie mogłaby sobie udowodnić, że potrafi zrobić coś pożytecznego. Najgorsze, że jego natarczywe, zmysłowe usta obudziły w niej dziwne pragnienia. Chciała znowu poczuć ich dotyk.

Saint otworzył drzwi do sypialni chłopców. Teraz żałował, że zaczął pokazywać pannie Ruddick magazyny, kuchnie i pokoje dziewczynek, zamiast zacząć stąd. Stawał się zbyt

miękki. Gdyby najpierw tutaj ją przyprowadził, nie musiałby uciekać się do całowania porządnej kobiety. Nic dziwnego, że czuł ściskanie w żołądku. Jeszcze nigdy nie miał do czynienia z dziewczyną.

Obejrzał się przez ramię.

- Idzie pani?

- Tak, oczywiście.

Gdy Evelyn go mijiała, nachylił się lekko, żeby powąchać jej włosy. Cytryna. Miód na ustach, a skóra zapewne pachniała truskawkami. Evelyn Ruddick była smakowitym deserem, a on miał ochotę go spróbować. Wielką ochotę.

Wstrzemięźliwość nigdy nie należała do jego zalet, ale podejrzewał, że rzucając się na dziewczynę, nie dostanie tego, czego pragnął. Evelyn Marie pewnie by zemdłała, co dla niego wcale nie byłoby zabawne.

47

Gdy wszedł do sali, zobaczył, że ponad dwudziestu chłopców tworzy półokrąg pod jedną ze ścian. Mimo okrzyków usłyszał brzęk bilonu.

- Co... - zaczęła Evelyn.

- Rzucają monetami - wyjaśnił St. Aubyn.

- Hazard w sierocińcu?

Saint stłumił westchnienie. Porządne dziewczyny to jednak zbyt duży kłopot, doszedł do wniosku.

- Pieniądze, które zostaną na podłodze, należą do mnie -uprzedził donośnym głosem, idąc w stronę chłopców.

Gracze z krzykiem rzucili się do zbierania monet, a gapie stanęli na baczność w nierównym szeregu. Niezbyt często widywali lorda St. Aubyna, ale żaden nie wyglądał na zadowolonego z jego wizyty.

- To panna Ruddick - oznajmił markiz, wskazując na gościa. - Chciałaby was poznać.

- Dziękuję, lordzie St. Aubyn - powiedziała Evelyn trochę niepewnym głosem. - Po pierwsze, mówcie mi Evie.

- Daj nam buziaka, Evie - zawołał jeden ze starszych chłopców.

Saint uśmiechnął się szeroko, skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o jedną z belek wspierających sufit pośrodku dormitorium. Powinno być ciekawie.

- Jeśli chcesz, żeby dziewczyna cię pocałowała, najpierw się wykup - powiedziała ostro panna Ruddick, patrząc na bezczelnego wyrostka.

Jego koledzy parsknęli śmiechem, a potem zaczęli szeptać: „brudny Mulligan”. St. Aubyn nie reagował.

- Już dobrze. - Evie poklepała chłopca po ramieniu. -Nie przyszłam tutaj dla zabawy. Chcę was poznać. Cały dzień siedzicie w tej sali?

- Żelazna Miotła powiedziała, że dzisiaj musimy zostać, bo będzie inspekcja - odparł jeden z wychowanków.

- Żelazna Miotła?

- Pani Natham.

48

- Rozumiem.

Saintowi wydawało się, że po ustach panny Ruddick przemknął lekki uśmiech, ale zniknął zbyt szybko, żeby nie uznać go za przywidzenie. Zmarszczył brwi. Przyzwoite damy nie miały poczucia humoru. Wystarczającym na to dowodem była jego fatalna reputacja.

- A jak na ogół spędzacie dni? Na lekcjach?
 - Na lekcjach? - powtórzył inny chłopiec. - Wypuścili panią z Bedlam, panno Evie?
 - Jest pani jedną z tych pobożnych dam, które przychodzą modlić się za nasze pogańskie dusze? - dodał Mulligan.
 - Nie, oczywiście, że...
 - Wielebny Beacham przychodzi, co niedzielę i próbuje nas ratować - wyjaśnił jego kolega.
 - Nie. On przychodzi do Żelaznej Miotły.
- Evelyn rzuciła spojrzenie na markiza. Saint uniósł brew.
- Może zaproponuje im pani pudding - doradził.
 - Jestem poganinem! - ryknął jakiś drągal.
 - A ja czerwonoskórym! - wrzasnął inny, zaczynając taniec wojenny.
 - Interesujące - mruknął Saint pod nosem, ale dostatecznie głośno, żeby panna Ruddick usłyszała. - Wszędzie wywołuje pani chaos?
- Evie spiorunowała go wzrokiem, ale szybko się opanowała i z miłym uśmiechem zwróciła się do urwisów.
- Co wiesz o Indianach? - Ukucnęła, żeby spojrzeć w oczy najmłodszemu. - Chciałbyś usłyszeć o nich więcej?
 - Randall mi opowiadał. Oni skalpują ludzi. Evie skinęła głową.
 - I potrafią bez żadnego hałasu poruszać się po lesie, odczytywać ślady nawet na kamieniach i w rzece, tropić niedźwiedzie.
- Oczy malca się rozszerzyły.
- Naprawdę?
 - Tak. Jak masz na imię?

49

- Thomas Kinnett. Evelyn wstała.
 - Przedstawiając się damie, należy się uklonić, panie Kinnett.
- Chłopiec zmarszczył czoło.
- Dlaczego?
 - Żeby zajrzeć jej pod spódnicę - wtrącił St. Aubyn. To typowe. Panienska z wyższych sfer próbuje uczyć smarkaczy etykiety, zamiast najpierw się upewnić, czy nie są głodni. Poczłł rozczarowanie. Przez chwilę sądził, że Evelyn Ruddick ma coś więcej oprócz kuszącego ciała.
 - Lordzie St. Aubyn! - ofuknęła go, czerwona jak burak. W sali rozległy się chichoty i szepty.
 - Tak, panno Ruddick?
 - Nie sądzę... - zaczęła ostrym tonem, ale zaraz umilkła. Popatrzyła na roześmiane twarze, odwróciła się i zbliżyła do markiza. - Nie sądzę, żeby chłopcy potrzebowali kiepskiego przykładu - dokończyła cichszym, ale wzburzonym głosem. - Niczego dobrego ich pan nie nauczył.
- St. Aubyn nachylił się, patrząc jej w oczy.
- Pani również. Lekcje ukłónów udzielane siedmioletnim kieszonkowcom są bezsensowne.
- Evelyn zbladła. Przez krótką chwilę Saint myślał, że go spoliczkuje. W końcu pokiwała głową.
- Przynajmniej próbuję coś dla nich zrobić. Bardzo wątpię, czy pan może się pochwalić tym samym.
- Dobry Boże. Rzuciała mu wyzwanie. Kobiety tego nie robiły, jeśli nie chciały zostać publicznie upokorzone... albo, jeszcze lepiej, skończyć nago w jego łóżku.
- Evelyn Marie, dzisiaj mogę się pochwalić tylko jednym: że posmakowałem pani ust - wyszeptał z uśmiechem. - Ale zamierzam spróbować reszty.

Panna Ruddick zamrugnęła i cofnęła się gwałtownie.

- Drań - syknęła..

Saint uklonił się grzecznie.

50

- Do usług.

Evelyn posłała mu piorunujące spojrzenie, po czym okręciła się na pięcie i uciekła z dormitorium. St. Aubyn odprowadził ją wzrokiem, stojąc w kręgu śmiejących się chłopców. Ta nauczka powinna jej wystarczyć. Panna Ruddick byłaby głupia, gdyby jeszcze kiedyś próbowała zbliżyć się do niego albo do sierocińca. Niestety ta myśl wcale nie poprawiła mu humoru.

- Głupie osły! - krzyknął najmłodszy chłopiec. - Chciałem posłuchać o Indianach.

Saint wyszedł z sali. Skarga go nie dotyczyła, bo nikt, nawet dzieci, nie mógł do niego mówić w ten sposób. Zresztą nie chodziło o pragnienia smarkaczy. Najważniejsze było to, co najlepsze dla niego... i dla Evelyn Ruddick.

5

"Święty Piotr siedział przy niebieskiej bramie. Klucz w niej zardzewiał, zawiasy skrzypiały, Gdyż ruch ostatnio jeśli się nie mamie: Nie z braku wolnych miejsc był arcymałym"

Lord Byron, „Wizja sądu”

- Żartujesz, prawda? - Lucinda stała obok powozu Barrettów, podczas gdy pokojówka układała na siedzeniu liczne pudła i torby.

- Wyglądam, jakbym żartowała?

Evie dołożyła do stosu swój pakunek. Dobrze świadczyło o stanie jej nerwów to, że podczas wędrówki po sklepach znalazła tylko jedną rzecz do kupienia.

- Hm. Nigdy nie słyszałam o St. Aubynie nic dobrego, a w każdym razie czegoś, co dałoby się powtórzyć, ale dziwię się, że publicznie zakwestionował twoje kompetencje. To naprawdę niestosowne. Przecież twoim wujem jest markiz Houton.

- Na pewno nie obchodzą go moi krewni - stwierdziła Evelyn.

Przyjaciółka nie powiedziała jej o reputacji markiza niczego nowego.

- Najwyraźniej - przyznała Lucinda. - Ach, podobno u Luckingsa była dostawa nowych kapeluszy. Obejrzymy je?

52

Evelyn chciała popracować nad swoim planem, ale Victor był dzisiaj w domu i gdyby przyłapał ją w bibliotece w taki piękny ranek, chyba nie zdołałaby rozproszyć jego podejrzeń.

- Oczywiście.

Ruszyły spacerkiem Bond Street. Lucinda paplała i uśmiechała się do znajomych, udając, że nie dostrzega roztargnienia Evelyn. Spokojna i rzeczowa, zawsze czekała cierpliwie, aż przyjaciółka sama zdecyduje się wyznać, co ją dręczy, a potem niezmiennie podsuwała rozsądną i logiczną radę. Była to jedna z jej najmiłszych cech.

Ale wyznając, że pozwoliła się pocałować markizowi St. Aubynowi, Evelyn wyszłaby na jeszcze większą idiotkę. Wątpiła, czy nawet Lucinda zdołałaby ją pocieszyć. Jeśli chodzi o

sierociniec, nie zamierzała się wycofać. Dlatego nie chciała powiedzieć na głos, że czuje się niewiele warta.

- Evie?

- Przepraszam. Co mówiłaś?

- Pytałam, czy twój brat już zdecydował się na opcję polityczną. Georgiana będzie dzisiaj jadła kolację z diukiem Wycliffe'em i zaproponowała, że wspomni o zaletach Victora.

- Nie jestem pewna, czy Victor ma jakieś zalety. A Georgie nie musi spędzać nielicznych wspólnych chwil z kuzynem na rozmowie o moim bracie.

Lucinda ściągnęła brwi.

- Dobrze, że troszczysz się o przyjaciółkę, ale nie jesteś zbyt zapobiegliwa, jeśli chodzi o karierę twojego brata.

Evie westchnęła.

- Nie chcę dbać o jego karierę. Pragnę robić coś ważnego.

- Na przykład zajmować się sierocińcem Ufne Serce? -Tak.

Lucinda przystanęła.

- Wiesz, mam pomysł. - Z uśmiechem wzięła Evelyn pod ramię i zawróciła w stronę powozu.

- Masz rację. To nie diuka Wycliffe'a potrzebujesz, tylko księżnej.

53

- Księżnej?

- Była kiedyś dyrektorką szkoły dla dziewcząt. Kto wie lepiej, jak pomóc młodym ludziom? I kto lepiej zachowa dyskrecję jak nie Emma Brakenridge?

Wstyd i rozczarowanie, które dręczyły Evie od poprzedniego dnia, ustąpiły miejsca nadziei. St. Aubyn był świadkiem jej ucieczki, ale to nie oznaczało, że Evelyn Marie Ruddick się poddała.

- Mówiłam ci ostatnio, jak bardzo cię lubię? - zapytała, ściskając dłoń przyjaciółki.

- Cieszę się, że mogę ci pomóc, moja droga.

Saint odchylił się na oparcie krzesła.

-To tylko propozycja - powiedział, strząsając popiół z cygara. - Wasza wysokość może ją przyjąć albo nie.

Pochmurny wyraz nie zniknął z twarzy dużego mężczyzny, który siedział naprzeciwko markiza.

- W przeciwieństwie do pana muszę brać pod uwagę opinię publiczną.

- To nic nielegalnego. Nowy publiczny park, część wielkiego planu księcia regenta, mającego na celu upiększenie Londynu.

- Tak, ale projekt wymagałby zburzenia sierocińca. Ćmiący ból w skroniach stał się silniejszy.

- Przecież nie będzie w nim sierot, na litość boską! Na własny koszt przeniosę je w inne miejsce.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu.

- Wasza wysokość?

- Nie teraz, Mithers - burknął regent. - Jestem zajęty interesami.

Na wąskiej twarzy mężczyzny stojącego w progu odmalowała się konsternacja.

- Interesami? Z... z...

-Tak, ze mną, Mithers - potwierdził Saint z lekkim uśmiechem.

54

- O Boże!

- Odejdź, Mithers - rozkazał księżę Jerzy, zamierzając się kieliszkiem drogiej madery w sekretarza.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

- A niech to! - zaklął regent. - Za pięć minut naśle na mnie połowę ministrów.

Ściskając cygareto w zębach, St. Aubyn ponownie napełnił kieliszek Prinny'ego. Mithers bez wątplenia udał się po posiłki. Saintowi zostało niewiele czasu.

- Zanim mnie stąd wyrzucą, proszę się zastanowić. Oddaję waszej wysokości kilka akrów ziemi. Może ją księżę wykorzysta w dowolny sposób. Płac graniczy z terenem budowy, którą wasza wysokość teraz prowadzi, a jedynym obciążeniem dla podatników będzie koszt zburzenia starego gmaszyska i posadzenia paru drzew.

Krzesło zaskrzypiało, gdy księżę Jerzy pochylił do przodu masywną postać.

- A co pan z tego będzie miał, mój drogi Saint?

St. Aubyn przez chwilę przyglądał się regentowi. Prinny nie potrafiłby dotrzymać sekretu nawet po to, żeby ratować życie, ale plan, nad którym on myślał przez kilka ostatnich miesięcy, nie był niezgodny z prawem, choć szatański.

- To proste - odparł, wydmuchując dym. - Testament mojej matki wyznacza mnie na głównego opiekuna Ufnego Serca. Gdyby korona przejęła tytuł własności i postanowiła zburzyć budynek, pozbyłbym się uciążliwego obowiązku.

- Twoja matka kochała ten sierociniec?

- Lubiła haftować obrusy na świąteczne posiłki i uważała, że w ten sposób „pomaga nieszczęśliwym”. Ja nie chcę zajmować się tymi bzdurami. Zwłaszcza, kiedy wasza wysokość urządza park po drugiej stronie ulicy.

Księżę roześmiał się i zakręcił kieliszkiem w pulchnej, ale wypielęgnowanej dłoni.

- Każę moim doradcom zająć się tą sprawą, ale nie zgo-

55

dę się na pańską propozycję, póki nie znajdę kogoś bardziej godnego zaufania, kto potwierdzi fakty. Saint uśmiechnął się niewesoło.

- Tego właśnie się spodziewałem.

Potrafił być cierpliwy. Odziedziczył tę ciężką kulę u nogi przed sześciu laty i dotąd udało mu się wytrzymać w oczekiwaniu na okazję. Mógł poczekać jeszcze kilka tygodni.

- A teraz powiedz mi coś, chłopcze - zaczął księżę bardziej poufałym tonem. - Czy to prawda, że lady Gladstone wydaje ciekawe odgłosy w chwili namiętności?

- Miauczy jak kot - odparł Saint i wysączył trunek do dna. - Coś jeszcze, wasza wysokość?

Regent znowu się roześmiał i pokręcił głową.

- To wszystko. Zdziwiał mnie, że masz taką kiepską opinię, a mimo to jesteś sympatyczny.

St. Aubyn wstał i z ukłonem zaczął się cofać do wyjścia. Nie było sensu obrażać księcia, kiedy wreszcie pojawiła się szansa pozbycia brzemia.

- To talent, wasza wysokość.

- Oby posiadało go więcej z nas.

Kiedy Saint opuścił Grafton House i dosiadł wierzchowca, uznał, że rozmowa z księciem Jerzym potoczyła się lepiej, niż przypuszczał. Zważywszy na to, że był gotów zapłacić za zburzenie budynku i utworzenie parku, ostrożne „zajmę się sprawą” zabrzmiało obiecująco.

Ruszył do Boodlesa na obiad, ale dopiero po kilku minutach zorientował się, że jedzie do klubu okrężną drogą. Zmarszczył brwi, zwalniając przed białym domem.

Ruddick House nie był duży ani specjalnie okazały, ale wyglądał na dobrze utrzymany, podobnie jak niewielki ogród i stajnia. Interesy prowadzone w Indiach w imieniu markiza Houtona przynosiły Ruddickowi, jego siostrze i matce niezły dochód.

Chodziły słuchy, że Victor ma polityczne ambicje, co jego wuj z pewnością pochwalał. Pewnie właśnie ze względu

56

na karierę brata Evelyn zaczęła Fatimę w zeszłym tygodniu. Niesmak malujący się na twarzy panny Ruddick był najzabawniejszym widokiem tamtego wieczoru. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby teraz zapukał do jej drzwi.

Gdy akurat w tym momencie się otworzyły, Saint zamarł w oczekiwaniu, ukryty w cieniu wiązów rosnących wzdłuż ulicy. Niestety była to tylko pani Ruddick, ubrana jak na obiad. Za nią wyszła tylko pokojówka. Evelyn Marie się nie pokazała.

Chyba był zbyt śmiały wobec wrażliwej panienki, dlatego zrezygnowała z pracy w sierocińcu i znalazła sobie inne zajęcie. Saint wzruszył ramionami i skierował się w stronę Pall Mall. Uznał, że jeśli panna Ruddick nie zjawi się pojutrze na posiedzeniu rady, to znaczy, że nie jest warta zachodu. Mimo to nie mógł się powstrzymać od obejrzenia przez ramię, zanim skręcił za róg. Postanowił zaczekać do piątku, żeby się przekonać. Potrafił zdobyć się na cierpliwość... pod warunkiem, że zostanie wynagrodzona.

- Bardziej znam się na planowaniu lekcji dla już wykształconych dziewcząt w wieku od dwunastu do osiemnastu lat - powiedziała księżna Wycliffe, biorąc ciastko z talerza i wkładając rękę pod stół.

- Każda pomoc będzie cenna, milady - odparła Evelyn. Stół się zakołysał.

- Emma - poprawiła ją gospodyni z uśmiechem. Zsunęła się z krzesła i uklękła na dywanie. - Pełzanie po podłodze to niezbyt dystygowane zajęcie. - Elizabeth! - zawołała do kogoś niewidocznego. - Mama się tam nie zmieści. Wyjdź, proszę.

Odpowiedział jej chichot. Emma westchnęła.

- Tata opowiedział ci bajkę o wróżce, która mieszka w jaskini, tak?

Kolejny stłumiony śmiech. Księżna wyprostowała się i sama ugryzła ciastko.

57

- W takim razie niech tata ci wyjaśni, dlaczego wróżka nie może mieszkać pod stołem.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Emma Wycliffe usiadła na krześle.

- Znalazłaś je, Beth? - zapytała służącej.

- Tak, milady. - Pokojówka położyła na stole plik papierów i książek. Aż podskoczyła, gdy spod stołu dobiegł wybuch śmiechu. - Boże!

- Poszukaj jego książęcej mości, Beth. Ostatnio widziałam go w pokoju bilardowym z lordem Dare'em.

Służąca dygnęła.

- Tak, milady.

Evie zerknęła na Lucinę. Przyjaciółka najwyraźniej dobrze się bawiła, ale to nie ona musiała tłumaczyć, że chce nauczyć sieroty czytania. Nie musiała również martwić się o reakcję diuka Wycliffe'a i wicehrabiego Dare'a na wieść o tym pomysle. Ale nawet ich dezaprobatą byłaby niczym w porównaniu z gniewem Victora. Przez chwilę Evelyn żałowała, że nie ma tutaj Georgiany, żeby wstawiła się za nią u mężczyzn z jej wpływowej rodziny. Niestety druga przyjaciółka jadła dzisiaj obiad z ciotką. Zresztą i tak nikt jej nie pomoże, jeśli brat się dowie. Musiała sama o siebie się zatroszczyć.

- Na czym to skończyłyśmy? - zapytała księżna, otrzepując ręce z okruszków. - A, tak. - Wzięła książki ze stolika, przekartkowała je i podała jedną Evie. - Oto podręcznik, który da pani przynajmniej wskazówki, od czego zacząć naukę liter z młodszymi dziećmi. Polecałabym najpierw samogłoski, bo jest ich mniej.

- Dziękuję - powiedziała Evelyn, otwierając elementarz. - Koniecznie chciałam robić coś pożytecznego, a nie miałam pojęcia, co.
- Pomysłów ci nie brakuje, tylko za bardzo się martwisz - wtrąciła Lucinda z przekonaniem. - Nikt nie będzie cię winił, że chcesz poprawić czyjeś życie.
Evie się uśmiechnęła.

58

- Dzięki, Luce.

Gospodyni zmierzyła ją wzrokiem.

- Zamierza pani sama podjąć się nauczania? Muszę panią ostrzec, że uczenie jest bardzo satysfakcjonujące, ale zajmuje, dużo czasu.

- Chciałabym, ale... - Evie się zawahała.

Wiedziała, że może ufać księżnej, ale wyznaczenie na głos, jak niewiele od niej zależy, oznaczało, że sama musiałaby spojrzeć prawdzie w oczy.

- Rodzinne obowiązki zajmują pani dużo czasu - dokończyła za nią gospodyni. - Proszę mi wierzyć, że rozumiem.

Evelyn z uśmiechem sięgnęła po kolejną książkę.

- Zamierzam zatrudnić nauczycieli, a później nadzorować edukację dzieci. Bardzo pani dziękuję, Emmo.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę korzystać z tych podręczników, póki będą pani potrzebne.

- Wzywałaś mnie? - dobiegł od drzwi głęboki głos.

Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna o brązowych włosach i szerokich barach. Tuż za nim podążał lord Dare. Evelyn miała nadzieję, że wcześniej nie czaili się w holu. Prawdę mówiąc, „czajenie się” nie leżało w ich zwyczajach, w przeciwieństwie do zwyczajów pewnego markiza, który przez kilka ostatnich nocy nawiedzał ją w snach.

- Tak. Pod stołem zamieszkała wróżka i nie chce wyjść na kąpiel.

Diuk uniósł brew.

- Wróżka? - Zapukał w mahoniowy blat. - Czy jest tam jakaś czarodziejka?

Odpowiedziała mu kaskada wesołego śmiechu.

Wycliffe wziął talerz ze słodyczami oraz tacę z herbatą i podał je Dare'owi. Evie spodziewała się, że diuk uklęknie na podłodze, tak jak wcześniej jego żona, tymczasem on po prostu uniósł stół i odstawił go na bok.

- Mój Samson - powiedziała księżna z ciepłym uśmiechem. Mała dziewczynka z jasnokasztanowymi loczkami,

59

ubrana w żółto-białą sukienkę, z piskiem pobiegła do biurka. Diuk dopadł córeczkę jednym długim krokiem i porwał ją na ręce.

- Cześć, Lizzy.

Mała lady Brakenridge zaszczębiotała coś niezrozumiale i z chichotem złapała ojca za klapy surduta.

- Słyszałeś? - zapytał diuk z dumnym uśmiechem, zwracając się do przyjaciela. - Powiedziała „tata”.

Wicehrabia Dare odłożył talerz z ciastkami i tacę na stół.

- A ja myślałem, że „pawian”.

- Jesteś głuchy.

- Wyraźnie słyszałem. Emma ze śmiechem wskazała na drzwi.

- Idźcie już. Rozmawiamy sobie. Dare natychmiast się zatrzymał.

-, O czym?

Gdy popatrzył na Evelyn, natychmiast przypomniała sobie jego ostrzeżenia przed Saintem. Cóż, nie uciekła, tylko pozwoliła, żeby markiz pocałował ją w usta.

- O francuskiej modzie i biżuterii - odparła księżna bez wahania.

- Hm. A my nauczymy Lizzy grać w bilard - rzekł wicehrabia z krzywym uśmiechem.

Diuk tylko pokiwał głową i ruszył do wyjścia.

- Właśnie ze względu na takie pomysły cieszę się, że zachęciłem cię do poślubienia mojej kuzynki.

- Zachęciłeś? O ile sobie przypominam, groziłeś, że mnie zastrzelisz, jeśli tego nie zrobię.

Evie ze zdumieniem słuchała ich przekomarzania, póki głosy nie ucichły w głębi holu. Ci dwaj mężczyźni słynęli kiedyś ze swojej złej reputacji i eskapad. Teraz jeden z nich nosił na rękach dziecko, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie, a drugi miał znaleźć się w podobnej sytuacji za sześć miesięcy.

- Evelyn?

60

Otrząsnęła się z zadumy.

- Przepraszam, Emmo. Coś pani mówiła? Księżna się uśmiechnęła.

- Pytałam, czy potrzebuje pani pomocy przy układaniu planu organizacyjnego.

- Dziękuję, nie. Chciałabym spróbować sama. Owszem, przydałyby się jej dobre rady, ale St. Aubyn

już uważał ją za idiotkę, która nadaje się tylko do ogrzewania jego łóżka. Gdyby się dowiedział, że ktoś jej pomaga, na pewno wspomniałby o tym na posiedzeniu rady. Nie, to był jej projekt i sama zamierzała go opracować.

- Oczywiście, ale proszę pamiętać, że odpowiem na każde pani pytanie.

Po krótkiej pogawędce o francuskiej modzie przyjaciółki opuściły Brakenbridge House. Niosąc naręczę książek, Evelyn czuła, że ma szansę stworzyć rzecz godną uwagi. Gorzej, że plan musiał być doskonały, a na jego przygotowanie zostały jej zaledwie dwa dni.

I stanowczo postanowiła, że markiz St. Aubyn nie odprawi jej znowu. A ona nie pozwoli mu się więcej pocałować. Nie zamierzała dostarczać mu rozrywek.

Saint zmrużył oczy.

- Nie jestem aż tak pijany, Rutledge, żeby przyznać ci fundusze na zlecenie inwentaryzacji magazynów.

Timothy Rutledge posłał mu ukośne spojrzenie i przygarbił się zrezygowany.

- Tam są meble zbierane przez sześćdziesiąt lat, obrazy...

- Jeśli jesteś ciekaw, sam zrób spis - przerwał mu Saint. - Ale jeśli sprzedasz, choć jedną rzecz, będę bardzo... niepokieszony.

-Ja...

- Daj spokój, Rutledge - odezwał się burkliwie sir Edward Willsley. - Ja też nigdy nie zatwierdzę tego pomysłu.

61

- Twoje kradzieże muszą być bardziej pomysłowe, jeśli chcesz, żeby uszły ci na sucho - dodał Saint.

Napełnił ponownie swój kieliszek i dolał porto sir Edwardowi. Cała ta gadanina i tak była bez sensu. Wynikała z niej tylko jedna korzyść:, że zabijał czas w oczekiwaniu na Evelyn Marie.

Wątpił, czy panna Ruddick się zjawi, ale mimo to przyszedł na posiedzenie rady. Czekanie zwykle mu nie służyło, lecz tutaj przynajmniej czuł się jak u siebie... zapewne ku żalowi Rutledge'a.

- Mamy jeszcze jakieś sprawy do omówienia? - zapytał lord Talirand, wydmuchując dym cygara.

Sir Edward odchrząknął.

- Okno w sypialni chłopców znowu się poluzowało. St. Aubyn uśmiechnął się blade.

- Jak inaczej wymykaliby się w nocy?

-, Co? - Baronet wyprostował się na krześle. - Wiedziałaś?

- Nie jestem ślepy, Willsley.

- Ha. Zamieniłbyś to miejsce w siedlisko złodziei, gdyby to od ciebie zależało.

Lord Talirand wydmuchał następny kłęb dymu.

- Przynajmniej wtedy mielibyśmy jakieś dochody. Saint przez chwilę sącył porto, rozmyślając, że gorsza

od przewodniczenia radzie sierocińca jest konieczność brania udziału w jej zebraniach.

Gdy nagle usłyszał pukanie do drzwi, odruchowo zerwał się na równe nogi. Zrobiło mu się gorąco. Do diaska, lepiej żeby to była ona.

- Spodziewasz się kogoś? - zapytał Talirand, mierząc go wzrokiem.

- Mam ochotę stąd wyjść - odparł Saint, podchodząc do drzwi.

Gospodyni aż odskoczyła, gdy otworzył je raptownie.

- O co chodzi? - spytał burkliwie.

- Och! Mówił pan, że... Przyszła panna Ruddick.

62

- Proszę ją wprowadzić, pani...

- Natham, milordzie.

Saint zignorował jej ton. Evelyn miała na sobie bladozieloną muślinową suknię z wysokim kołnierzykiem, bardzo prostą jak na jedną z najlepszych partii w Mayfair. Kasztanowate włosy związane w gładki kok w tyle głowy upodobały ją do guwernantki. Bez wątplenia panna Ruddick postanowiła wyglądać skromnie i profesjonalnie.

Dygnęła uprzejmie. W pokoju rozległo się szuranie krzesel.

- Dzień dobry, lordzie St. Aubyn, lordzie Talirand. Panowie.

Minęła Sainta, unikając jego wzroku.

- Jaka pani odważna - szepnął, wskazując jej wolne miejsce. - I przyniosła pani prezenty.

Chciał jej dotknąć, ale ograniczył się do postukania w plik papierów, którzy trzymała w ramionach.

- Dokumenty pomocnicze - wyjaśniła, kładąc je na krześle.

- Co panią tu sprowadza? - zapytał Rutledge, całując jej dłoń.

Saint wyczuł, że Evelyn na niego patrzy, ale nie odwzajemnił jej spojrzenia, tylko podszedł do biurka i usiadł na jego brzegu. Chciał mieć dobry punkt obserwacyjny, ale zależało mu też na tym, by inni nie zauważyli jego zainteresowania. Z tego samego powodu nie uprzedził członków rady o spodziewanej wizycie.

- Przyszłam zaproponować pewne ulepszenia w sierocińcu - powiedziała Evelyn lekko drżącym głosem. - Chętnie poświęcę mu czas i pieniądze.

Członkowie rady zajęli swoje miejsca.

- Urocze - rzekł Talirand z uśmiechem. - Proszę nam opowiedzieć o swoich planach, panno Ruddick.

Podczas gdy Evelyn mówiła o edukacji, ubraniach, jedzeniu, naprawach w budynku i kilku innych sprawach, Saint obserwował ruchy jej dłoni i głowy, szczerzy entuzjazm malujący się

na wyrazistej twarzy. Nie słuchał jej, ale czuł, że dziewczyna zamierza osiągnąć to, co sobie wymyśliła.

63

Bez wątpienia mógłby doprowadzić do tego, żeby zaczęła błagać o jego pieśczoły, o jeszcze jeden pocałunek, o dłonie na nagiej skórze. Nie wiedział jednak, dlaczego ma taką obsesję na jej punkcie. Fatima na pewno by się śmiała, że podnieca go dziewczica.

Na dźwięk braw otrząsnął się z zamyślenia. Przemowa panny Ruddick najwyraźniej przypadła do gustu członkom rady, choć zapewne odrzuciliby jej pomoc, gdyby zażądała pieniędzy.

- Podoba mi się pani entuzjazm - stwierdził Willsley. - Jeśli będzie pani potrzebowała pomocy albo rady, może pani do mnie przyjść w każdej chwili.

Rutledge też pokiwał głową.

- Na pewno pani stwierdzi, że to wszystko jest zbyt nudne i skomplikowane dla kogoś o pani wrażliwości, ale jestem do usług.

Osły, pomyślał Saint. Niech wezmą resztki, jego zadowoli tylko główne danie.

Evelyn uśmiechnęła się anielsko i trochę wyniośle, jak do partnerów od tańca.

- Dziękuję bardzo, panowie. Gzy to oznacza, że mam waszą aprobatę?

Nawet Talirand wstał. Zapach pieniędzy przyprawiał go o ślinotok.

- Głosujemy? Wszyscy są za.

W sali rozległo się chóralne „tak”.

- A ty, St. Aubyn? - zapytał Rutledge. - Zgadzasz się na propozycję panny Ruddick?

Saint nie zmienił niedbalej pozy. Mógł odmówić. Nie chciał, żeby wtrącała się akurat wtedy, gdy on próbował się pozbyć kłopotu. Evelyn Marie rozgniewa się, pójdzie do domu i do końca, życia będzie unikać go na wszystkich przyjęciach. I dobrze... gdyby nie jedno: że on nigdy nie usłyszy, jak dziewczyna jęczy jego imię.

Zmierzył ją wzrokiem.

64

- Zakładam, że ten mały eksperyment pozostanie pod moim nadzorem?

Evelyn spoważniała. Najwyraźniej nie wiedziała, jak traktować mężczyznę, który nie padał na kolana na widok jej uśmiechu.

- Jeśli pan nalega.

- Nalegam.

Uniosła podbródek, a na jej policzki wystąpił lekki rumieniec.

- Więc będzie pan miał nadzór nad moim projektem. Saint uśmiechnął się leniwie.

- W takim razie moja odpowiedź brzmi: „tak”.

6

"Choć się spełniły losów mych godziny, A gwiazda moja gaśnie na błękitcie: Nie chciałaś we mnie widzieć żadnej winy, Choć innym łatwe zbrodni mych wykrycie"

Lord Byron, „Strofy do Augusty"

- Evelyn!

Evie przystanęła w połowie drogi do drzwi. Przez krótką chwilę, gdy się wahała, czy nie zaryzykować biegu do czekającego na nią powozu, Victor zszedł z ostatnich stopni, skrzyżował ramiona na piersi i obrzucił ją groźnym spojrzeniem.

- Dzień dobry - powiedziała siostra, śląc mu promienny uśmiech.

- Wpadłem wczoraj do ciotki Houton - oznajmił brat. - Twierdzi, że nie widziała cię od tygodnia.

- Ale...

- Nie zjawiałaś się na wtorkowej herbatce.

- Ja-

- I nie wytłumaczyłaś mi, dlaczego zgodziłaś się zatańczyć walca z St. Aubynem.

- Victorze...

- Zanim wróciłem z Indii, mogłaś robić, co chciałaś. Gdy

66

zostanę wybrany do parlamentu, będziesz mogła wrócić do zakupów, przyjęć i innych rzeczy miłych twojemu sercu. Ale do tego czasu wykaż, proszę, trochę powściągliwości i zdrowego rozsądku.

Evelyn, z trudem zachowała pogodny wyraz twarzy. To nie był moment na wyznania, dlatego zdecydowała się na wyjaśnienie, które przygotowała sobie przed kilkoma dniami.

- Nie chcę zepsuć twojej kampanii, Victorze. Uważam, że byłbyś świetnym członkiem parlamentu. Ale mam pewne zobowiązania i nie mogę się z nich wycofać.

- Aha. - Brat pchnął drzwi, które przed chwilą otworzył jej Langley. - Jakie zobowiązania, jeśli mogę spytać?

Do licha! Jeśli powie, że postanowiła zająć się sierocińcem, w którym prezesem rady nadzorczej jest St. Aubyn, brat zamknie ją w pokoju na klucz.

- Lady Dare i księżna Wycliffe interesują się edukacją biednych. Poprosiły mnie o pomoc.

- Ciebie?

Evelyn nic nie dała po sobie poznać, choć uraził ją sceptycyzm Victora. Zupełnie jakby nie mógł sobie wyobrazić, że ktoś zwraca się do niej o pomoc w jakiegokolwiek sprawie.

- Tak, mnie. Tobie też pomagam, zapomniałeś?

- To się jeszcze okaże. A walc z St. Aubynem?

- Bałam się, że jeśli odmówię, zwrócę na siebie jeszcze większą uwagę.

Brat z niechęcią skinął głową.

- Pewnie masz rację. Ale trzymaj się od niego z daleka i nie dawaj mu okazji, żeby znowu poprosił cię do tańca.

- Dobrze.

Victor przysunął się o krok.

- I pamiętaj, że twoje „zobowiązania” są w tej chwili mniej ważne. Nie możesz zaniedbywać obowiązków wobec rodziny. Mama zgodziła się towarzyszyć ci na następną herbatkę. Musimy zdwoić wysiłki. Plimpton stara się o poparcie Alvingtona.

67

- Mama angażuje się w twoją kampanię?

- Jest bardzo oddana mojej sprawie. I ty też powinnaś mnie wspierać, Evelyn.

- Przecież to robię.

Cudownie. Teraz będzie musiała chodzić na herbatki i wysłuchiwać, jaki Victor jest wspaniały. A matka nie przepuści żadnej okazji, by jej wypomnieć, jak namawiała ją do zamążpójścia przed powrotem brata z Indii. Teraz żaden kandydat nie był, według niego,

dostatecznie dobry'. Nie żeby uważał siostrę za istotę doskonałą, tylko po prostu miał przesadzone wymagania.

- Gdzie teraz się wybierasz? - Brat wziął pierwszą książkę ze stosu, który trzymała przed sobą. - Elementarz?

- Księżna prosiła, żebym się z nim zapoznała. Victor prychnął i oddał jej książkę.

- Baw się dobrze. Czy diuk wie, że pomagasz jego żonie?

- Oczywiście, że tak. - Na szczęście Victor był tak pochłonięty kampanią, że brał wszystkie kłamstwa za dobrą monetę.

- Więc niech się dowie, że masz moją aprobatę.

- Dobrze.

- Pospiesz się. Nie każ księżnej czekać.

Gdy tylko Victor zniknął w swoim gabinecie, Evelyn wypadła z domu.

- Do sierocińca, jak najszybciej - poleciła stangretowi.

- Dobrze, panno Ruddick.

Byłoby jej dużo łatwiej działać, gdyby nie Victor i St. Aubyn. Jeden zły krok mógł wszystko zepsuć. Lucinda miała rację: istniały inne ważne sprawy, które jej ambitny brat potrafiłby zaakceptować.

Ale Evelyn uznała, że sierociniec Ufne Serce najbardziej jej potrzebuje. Była pewna, że tam może zrobić dużo dobrego. I postanowiła stanowczo, że nikt jej od tego nie odwiedzie.

68

Markiz St. Aubyn zmierzył wzrokiem grupkę kobiet, które stały przed głównym wejściem do sierocińca. Nie miał pojęcia, dlaczego akurat tego ranka złożyły wizytę w Ufnym Sercu, stwierdził jednak, że wszystkie są zupełnie nieciekawe. Gdyby nie napomknęły o pannie Ruddick, nie wpuściłby ich do środka. Przynajmniej zapewniły mu kilka minut rozrywki, kiedy chodził w tę i z. powrotem po holu, a one zbijały się w ciasną gromadkę jak stado spłoszonych kwok. Widać nawet niższe klasy znały jego reputację.

Straszenie starych panien o fatalnych fryzurach było niezłą zabawą, ale nie po to wstał o tak barbarzyńskiej porze jak dziewiąta rano. Wyjął zegarek kieszonkowy i otworzył kopertę. Panna Ruddick się spóźniała. Jeśli nie zjawi się w ciągu dziesięciu minut, zastanie zamknięte drzwi, a pod nimi grono nobliwych matron.

Był pewien, że im więcej przeszkód na drodze, tym prędzej dziewczyna zrezygnuje ze swoich mrzonek. Jednocześnie przyłapał się na tym, że jest ciekawy, co zamierza Evelyn Marie. Z jego doświadczenia wynikało, że nikt bezinteresownie nie ofiarowuje swojego czasu i pieniędzy. Już on się dowie, co panna Ruddick ma w planach. I wtedy odbije sobie na niej narastający zły humor.

Frontowe podwoje otworzyły się gwałtownie. Saint już myślał, że to kolejna kwoka, ale kiedy się odwrócił, zobaczył Evelyn. Kapelusza miała przekrzywiony, do falującej piersi przyciskała stos książek i papierów. Wyglądała rozkosznie.

- Dzień dobry - wysapała. - Przepraszam za spóźnienie. Coś mnie zatrzymało.

- Coś czy ktoś? - zapytał St. Aubyn, idąc w jej stronę. Powoli wyciągnął rękę i dotknął jej podbródka. Szare

oczy spojrzały na niego ze zdziwieniem, a następnie pobiegły w kierunku kobiet.

- Mój brat. Proszę przestać.

Saint rozwiązał wstążki jej kapelusza.

- Tkwię tutaj od dwudziestu minut - rzekł, poprawiając

69

niesforny kosmyk jej kasztanowatych włosów. - Powinna pani być wdzięczna, że jeszcze nie zakończyłem tej farsy. Panna Ruddick rozprostowała plecy.

- To nie jest farsa - oświadczyła. Następnie zabrała mu swój kapelusz i zwróciła się do skonsternowanych kobiet: -Zapewne przyszyły panie w odpowiedzi na ogłoszenie?

- Tak, proszę pani.

Saint pochylił się nad jej ramieniem.

- Jakie ogłoszenie? - spytał, wdychając cytrynowy zapach jej włosów.

- To, które zamieściłam w Timesie. I uprzedzę kolejne pytanie: szukałam nauczycielek.

St. Aubyn zacisnął szczęki. Wspaniale. Jeśli Prinny albo jego zauszniczy dowiedzą się, że sierociniec zatrudnia nauczycieli, będzie musiał mocno się tłumaczyć.

- Następnym razem proszę najpierw skonsultować się ze mną.

Evelyn nie spojrzała na niego, tylko skinęła głową.

- Dobrze. A teraz zapraszam panie do sąsiedniego pokoju. Po trzy.

- A co z resztą? Ja nie będę nikogo zabawiał. Panna Ruddick tym razem się odwróciła.

- Nie musi pan tutaj czekać.

- Owszem. Beze mnie nic tu pani nie zrobi.

- Rada głosowała inaczej, milordzie. Saint uśmiechnął się lekko.

- Ja jestem jej prezesem, panno Ruddick. Proszę o tym nie zapominać. Jakie jeszcze niespodzianki pani na dzisiaj zaplanowała?

Evelyn uniosła brodę i popatrzyła mu w oczy.

- W południe przyjdą robotnicy, żeby uprzątnąć pokoje na parterze. A panu nie uda się mnie zniechęcić.

Saint podziwiał jej śmiałość, dlatego powstrzymał się od wygłoszenia uwagi, że to jej pierwszy dzień w Ufnym Sercu, a on zwykle dostaje to, czego pragnie, i robi to, na co ma

70

ochotę. Wkrótce panna Ruddick i tak się o tym przekona.

- Opróżnia pani magazyny?

- Chcę w nich urządzić sale lekcyjne. - Evelyn ściągnęła brwi. - Nie słyszał pan mojej propozycji?

-Nie.

- Ale... -

- Evelyn Marie, nie zawdzięcza pani mojej zgody swojemu projektowi - powiedział cicho, żałując, że nie są sami, bo miał ochotę jeszcze raz spróbować jej miodowych ust.

Evelyn zmarszczyła czoło.

- Więc dlaczego...

- Jest pani tutaj z powodu mojej propozycji.

- Już mówiłam, że mnie pan nie odstraszy, milordzie.

- Saint. Widziała pani kiedyś nagiego mężczyznę? Na twarz dziewczyny wypłynął ciemny rumieniec.

- Nie.

- Więc pani zobaczy. - Dotknął jej policzka. - Rzeczy, których cię nauczę, Evelyn, nie są wykładane w klasach. I jeszcze będziesz błagać o więcej lekcji.

Panna Ruddick otworzyła i zamknęła usta.

- Proszę odejść - wykrztusiła po chwili drżącym głosem. -Nie dam się uwieść.

- Nie dzisiaj - zgodził się Saint, zerkając ponad jej ramieniem na kobiety. - Gdzie chce pani przenieść rzeczy z magazynów?

-Ja... - Evelyn najwyraźniej nie mogła się skupić. To dobrze. - Do stajni. Muszę zobaczyć, co może się przydać. Saint się uklonił.

- Jak pani sobie życzy.

- Pomoże mi pan?

St. Aubyn z uśmiechem okręcił się na pięcie.

- Tak, ale nic za darmo.

Robotnicy, których zatrudniła Evelyn, okazali się zbieraniną bojów i lokajów z mniej szanowanych klubów dla

71

dżentelmenów. Wyglądało to wszystko na sprawkę lorda Dare'a, choć wiedząc, jak wicehrabia zmienił się od chwili ożenku, Saint nie przypuszczał, żeby Evelyn podała mu prawdziwy powód swojej prośby.

Dare był kiedyś świetnym kompanem, póki nie wpadł w sidła porządnej kobiety. Wielka szkoda. Teraz ledwo wymieniali pozdrowienia w parlamencie lub przy rzadkich okazjach, kiedy St. Aubyn zjawiał się na przyjęciach. Saint życzył Dare'owi szczęścia, ale sam nie pragnął takiego życia.

Po udzieleniu robotnikom wskazówek, które pomieszczenia mają sprzątnąć i gdzie złożyć rupiecie, nie miał nic więcej do zrobienia. Wyjął butelkę z kieszeni, oparł się o ścianę i pociągnął łyk dzinu.

Evelyn uważała, że będzie pomocny, ale nie łudziła się, co do jego motywów. Saint miał do niej kilka pytań. On przynajmniej wiedział, co robi i dlaczego. Skoro Prinny zgodził się powiększyć swój park o teren sierocińca, przed wyburzeniem należało opróżnić budynek. Zdobycie względów Evelyn i przygotowanie Ufnego Serca do rozbiórki można było uznać za pożytki spędzonego tu dnia.

Grupa starych panien zgromadzonych w drugim końcu holu zmniejszyła się wczesnym popołudniem do zaledwie garstki, a w sześciu magazynach zostały tylko pajęczyny i kurz. Od jakiegoś czasu Saint czuł na sobie spojrzenia młodych oczu, ale je ignorował. Zapewniał sierotom dach nad głową i jedzenie, a reszta była pomysłem panny Ruddick i to ona powinna wszystko im wyjaśnić.

Nagle doleciał go zapach cytryny.

- Może pan im powiedzieć, co robimy - odezwała się za nim Evelyn.

- Co pani robi - poprawił ją Saint. - Ja próbuję zabić nudę.

- To dobre zajęcie.

Wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie.

- Panno Ruddick, nie wiem, co pani knuje, ale może być pani pewna, że mam oczy szeroko otwarte.

72

- Niczego nie knuję. Staram się jedynie pomóc tym biednym dzieciom. Sądziłam, że przewodniczy pan radzie nadzorczej z tego samego powodu.

- Źle pani sądziła. - St. Aubyn odsunął się od ściany. - Moja droga mama zastrzegła w testamencie: póki istnieje sierociniec Ufnego Serce, musi się nim opiekować członek rodziny Halboro. Ja jestem jedynym żyjącym członkiem rodziny Halboro, więc zasiadam w radzie.

Starał się nie kłaść zbyt dużego nacisku na słowa „póki istnieje”, ale na szczęście panna Ruddick skupiła się, na czym innym.

- Halboro - powtórzyła cicho. - Nie miałam pojęcia.

- Dobry Boże, nie jesteśmy chyba spokrewnieni? - zaniepokoił się Saint.

Starał się nie uwodzić krewnych, nawet dalekich. Żadne zagęszczenie rodzinnej krwi, celowe czy przypadkowe, nie wyszłoby na dobre nikomu z zainteresowanych.

- Nie. - Evelyn aż się wzdrygnęła. - Po prostu uświadomiłam sobie, że do tej pory nie znałam pańskiego nazwiska rodzowego. Imienia również.

- Michael. - Michael.

Saint patrzył na jej usta. Nie, dlatego, że chciał ją pocałować, choć nie miałby nic przeciwko temu. Po prostu niewiele kobiet mówiło mu po imieniu, a nawet, jeśli, wcale mu się to nie podobało. Sugerowało zażyłość, mimo że krótkie chwile namiętności nie dawały im prawa do pieszczotliwych słów i gestów. Ale kiedy niewinna Evelyn Marie Ruddick wyszeptała jego imię, puls mu przyspieszył. Ku jego wielkiej konsternacji.

- Tak. Nudne i zwyczajne, ale taka była również wyobraźnia mojej matki.

- Surowa opinia.

Saint wzruszył ramionami. Rozmowa z każdą minutą coraz mniej mu się podobała.

- Ale taka jest prawda. Sądziłem, że pani ją doceni.

73

Evelyn popatrzyła mu w oczy.

- Czuje się pan nieswojo, mówiąc o rodzinie, tak? Sama nie wiedziała, dlaczego zadała to pytanie. St. Au-

byn był arogancki, szorstki i cyniczny, ale z jakiegoś powodu ta sprawa wydawała jej się ważna.

- Nic nie wprawia mnie w zakłopotanie, Evelyn Marie - odparł, zbliżając się o krok. - Nie mam sumienia, przynajmniej tak twierdzą inni.

Evie cofnęła się, dostrzegłszy drapieżny błysk w jego zielonych oczach. Robotnicy na pewno słyszeli każde ich słowo. Lord Dare zapewniał jedynie o ich gotowości do pracy, a nie wspominał nic o dyskrecji. Wątpliwe, żeby powstrzymali się od plotek, gdyby zobaczyli, jak markiz St. Aubyn ją całuje.

- Prowokuje mnie pan - stwierdziła, siłąc się na lekki ton. Saint potrząsnął głową.

- Ostrzegam. Jak już mówiłem, nie robię nic za darmo, dlatego oczekuję zapłaty za moją dzisiejszą pracę.

- Nie prosiłam pana o pomoc - rzuciła Evelyn impulsywnie.

Na niebiosa, powinna mieć, choć tyle rozsądku, żeby nie rzucać mu wyzwania. St. Aubyn zawsze je podejmował, a tego rodzaju uwagi mogły jedynie skłonić go do pocałowania jej albo ośmieszenia, zależnie od nastroju.

- Moja droga, prosiła mnie pani o zgodę, a ja uległem, diabeł wie, z jakiego powodu. - Jego usta wykrzywił uśmiech. - Ale diabeł i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, Evelyn Marie. Nie powinna pani nas kusić.

Swobodnym gestem dotknął jej policzka i opuścił wzrok na usta. Evelyn przełknęła ślinę, ale zanim zdążyła oświadczyć, że pozwoli mu się pocałować, musnął palcami jej szyję, powędrował na kark i... zabrał rękę. Trzymał w niej jej ulubiony wisiołek z perłą.

Evelyn nawet nie poczuła, jak Saint rozpiną klamerkę.

- Jak pan...

74

- Powinna pani zobaczyć, jak rozpinam suknie - przerwał jej i uważnie obejrzał perłę. - Oto moja zapłata. Jeśli chce pani dostać ją z powrotem, może o nią poprosić dziś wieczorem u Dundredge'ow. Wybiera się tam pani?

- Tak.

- Ja również. Miłego dnia, panno Ruddick... Proszę poinformować gospodynię, kiedy skończy pani tę zabawę.

- Ja się nie bawię - zaprotestowała Evelyn, ale markiz już zniknął za zakrętem korytarza. Nawet, jeśli ją usłyszał, nie zwrócił uwagi na jej słowa. Nie obraziła się jednak, bo jej myśli krążyły wokół jego uwagi o rozbieraniu. Wyobraziła sobie, jak wprawne palce Santa suną po jej karku i plecach, a po chwili suknia opada na podłogę. A potem jego ręce...

- Na litość boską!

Odpędziła od siebie ten obraz. Nigdy nie da się mu uwieść. Markiz jedynie próbował ją zaszokować. Sam powiedział, że lubi takie rozrywki.

Mimo że potrafił ludzi oczarować, gdy miał taki kaprys, był również niebezpieczny. I jak powiedziała lady Gladstone: bardzo, bardzo zły. Lecz jeśli chciała jeszcze kiedyś zobaczyć swój naszyjnik, musiała spotkać się z markizem dziś wieczorem na balu, choć wiedziała, że on poprosi ją do tańca i już zadba o to, żeby nie odmówiła.

Evelyn zmarszczyła brwi. Victor ją zabije. O ile wcześniej lord St. Aubyn jej nie skompromituje.

7

"W to jedno zawsze wierzę ze spokojem: Że od zarania po kres, co uśmierca, Myśmy złączeni. Nasza miłość bratnia Najpierwsza była, będzie też ostatnia."

Lord Byron, „Poślanie do Augusty"

- Jeśli ukradł ci naszyjnik, powinnaś zawiadomić władzę -doradziła Lucinda ściszonego głosem, lustrując tłum gości zebranych u Dundredge'ów. - Niech go aresztują.

Evelyn też wypatrywała Santa, ale bez powodzenia,

- Aresztowanie go byłoby jak zabicie dwóch ptaków jednym strzałem - powiedziała szeptem, skubiąc kandyzowaną skórę pomarańczy. - Pozbyłabym się St. Aubyna i przyprawiła Victora o apopleksję. Doprawdy, Luce, to świetny pomysł.

Przyjaciółka zachichotała.

- Ja jedynie próbuję ci pomóc.

- Więc bardziej się postaraj. Co mam zrobić? Po prostu podejść do niego i zażądać, zwrotu naszyjnika? A jeśli będzie z nim ta okropna lady Gladstone?

- Mogłabyś wtedy tłumaczyć Victorowi, że prowadzisz jego kampanię wyborczą.

- Wiesz, że to mogłoby się udać. - Lecz po chwili zastanowienia stwierdziła: - Nie, bo lady Gladstone zapytałaby,

76

skąd Saint ma mój naszyjnik, i wydrapałaby mi oczy, zanim zdążyłabym odpowiedzieć.

- Kto komu wydrapałby oczy? - rozległ się za nimi kobiecy głos.

- Georgie. - Evelyn wzięła przyjaciółkę za rękę i odetchnęła z ulgą. - Przestraszyłaś mnie śmiertelnie.

Mąż Georgiany ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Mnie wciąż to spotyka. - Wziął z talerza garść czekoladowych kulek, jedną dał zonie, a resztę wsadził do ust. -Jak niewolnicy, których ci podesłałem?

- Cii! - syknęła Evie, choć nikt oprócz najbliższych nie mógł zrozumieć jego niewyraźnych słów. - To sekret.

- Tak się domyślałem - powiedział wicehrabia. - Ale właściwie, po co wysłałem, ich do sierocińca?

Żona skarciła go wzrokiem.

- To nie twoja sprawa, Tristanie. Idź do Emmy i Greydona.

- Dobrze, skarbie.

Lord Dare cmoknął ją w policzek i oddalił się posłusznie. Wtedy Georgie ściszym głosem powtórzyła pytanie:

- No, więc kto komu wydrapie oczy?

- Lady Gladstone mnie - odparła Evie bez uśmiechu.

Zawsze do tej pory mogła powierzyć przyjaciółkom każdą tajemnicę. Tylko, dlaczego żadna z nich jeszcze nie wiedziała, że St. Aubyn ją pocałował? I dlaczego sama tak często o tym myślała?

-, Z jakiego powodu?

- Dziś po południu markiz St. Aubyn ukradł Evie naszyjnik - wyjaśniła Lucinda. - Zastanawialiśmy się właśnie, jak go odzyskać, nie doprowadzając do rozlewu krwi.

- Jesteś pewna, że go ukradł? - Z oczu wicehrabiny zniknęło rozbawienie.

- Zdjął mi wisior z szyi i powiedział, że jeśli chcę dostać klejnot z powrotem, muszę go o to poprosić dziś na balu.

77

- Cóż, najwyraźniej próbuje się zabawić twoim kosztem. Słyszałam, że lubi takie rozrywki. - Georgiana też zaczęła przeszukiwać wzrokiem salę. - Wiesz, Evie, ta cała historia może zajść za daleko.

- Nie pozwolę, żeby ktoś mnie zniechęcił - oświadczyła Evelyn. - Zwłaszcza ten źle wychowany drań.

- Źle wychowany drań? - powtórzyła Lucinda w zamyśleniu. - Właśnie, Evie, przecież ty jeszcze nie masz ucznia...

- Nie! - przeraziła się Georgiana. - Nie możemy napuścić Evie na St. Aubyna. On zniszczy ją w jednej sekundzie, jeśli zorientuje się w sytuacji. Znajdziemy jej kogoś łagodniejszego.

- Ja... - zaczęła Evie z bijącym sercem.

- Właśnie - przerwała jej Lucinda ze współczującą miną. - Twój uczeń musi mieć przynajmniej ślad duszy. Zgadzam się z Georgiana, że twój pomysł z sierocińcem jest zbyt ryzykowany. Na pewno znajdziesz sobie bezpieczniejsze zajęcie.

- I bezpieczniejszego ucznia - dodała Georgie. Evelyn przeniosła wzrok z jednej przyjaciółki na drugą.

Dwie osoby najbliższe jej sercu z góry zakładały, że ona poniesie klęskę, a w dodatku straci reputację. Zapewne od samego początku uważały jej plany wobec sierocińca za czyste szaleństwo, a osławiony markiz stanowił jedynie dogodny pretekst, żeby odwieść ją od pomysłu, jednocześnie nie raniąc jej uczuć. Cóż, mimo wszystko chciała spróbować.

- Masz rację, Lucindo - przyznała, zastanawiając się, czy słyszą dudnienie jej serca.

- Nie martw się, Evie. Od jutra zaczniemy szukać innej działalności charytatywnej, której mogłabyś się poświęcić.

- Chodziło mi o to, że St. Aubyn jest doskonałym kandydatem do nauki właściwego zachowania wobec kobiet. I że znalazłam się w doskonałej sytuacji, żeby udzielić mu lekcji.

Oczy Lucindy się rozszerzyły.

78

- Nie, Evie. Bardzo, bardzo się myliłam. Jeśli się nie wycofasz, to zamiast poprawiać warunki w sierocińcu, będziesz pracować nad...

- Poprawą St. Aubyna. Wiem. Nie sądzę, żeby trafiło mi się większe wyzwanie. A wy? Georgiana ujęła jej dłoń.

- Jesteś pewna? Nie musisz niczego udowadniać. -Tylko sobie - odparła Evelyn, choć to nie była cała

prawda. - Tak, jestem pewna. Albo odniosę spektakularny sukces w jednej i drugiej sprawie, albo wszystko skończy się fiaskiem.

Przyjaciółki zaczęły ją przekonywać, że niepotrzebnie ryzykuje, bo zarówno sierociniec, jak i St. Aubyn są dla niej zbyt ambitnym zadaniem. Myliły się jednak, a w dodatku wszystko, co mówiły, i tak straciło znaczenie, kiedy do zatłoczonej sali balowej wszedł Saint.

Evie po raz pierwszy zauważyła, że wiele dam zerka na niego zza pleców swoich mężów albo zza wachlarzy z kości słoniowej. Przecież nie mógł mieć tylu kochanek. Nie wystarczyłoby mu nocy całego życia, zwłaszcza, jeśli do listy dodać mniej godne szacunku kobiety, z którymi go łączono. Lecz te ukradkowe spojrzenia przypomniały jej to, co powiedziała lady Gladstone: Saint nie musi być dobry, bo jest zły.

Wszystkie zdawały się go pragnąć albo przynajmniej lubiły na niego patrzeć. Markiz poruszał się lamparcim krokiem, nawet, jeśli akurat w danym momencie nie polował. Ale dlaczego jej szukał, skoro miał cały pokój zwierzyny? Może po prostu się zabawiał, jak sam przyznał. Może miał kieszenie pełne kosztowności i tylko czekał, aż zgłoszą się po nie właścicielki.

- Evie - wyszeptwała Lucinda. Evelyn otrząsnęła się z zamyślenia.

- Słucham.

- On jest tutaj.

- Wiem. Widziałam.

79

Przyjaciółki wymieniły spojrzenia, ale ona udała, że tego nie dostrzega.

- I co zrobisz? - spytała Georgiana.

Evelyn wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić bijące mocno serce.

- Poproszę o zwrot naszyjnika.

-, Ale...

Ruszyła do stołu z przekąskami, zanim straciła odwagę, Saint też zmierzał w tamtą stronę, więc uznała, że przypadkowe spotkanie wywoła mniejsze poruszenie, niż gdy-by podeszła do markiza z wyciągniętymi rękami.

Ale kiedy dotarła do celu, St. Aubyn znajdował się kilka jardów dalej. Prosił lokaja o drinka. Evie przyjrzała mu się zza lodowej rzeźby. Przezrocyste skrzydła łabędzia wydłużały jego sylwetkę, ale szczupła twarz pozostała nie-zniekształcona.

Michael Halboro. Ciekawe, jak brzmi jego drugie imię. Wiedziała o nim tak niewiele, że każda dodatkowa informacja wydawała się cenniejsza, niż w rzeczywistości była. Ciemne włosy opadały na jedno oko, nadając mu łobuzerski wygląd. W pewnym momencie Saint pomknął ku niej wzrokiem, jakby wyczuł jej bliskość. W Evelyn zamarło serce.

Jednak chodziło mu o nią. Z lekkim uśmiechem odprawił lokaja i ruszył w jej stronę, nie zaszczycając nawet spojrzeniem kilkunastu młodych dam, które mijał po drodze.

- Dobry wieczór, panno Ruddick - powiedział cichym barytonem, który nieodmiennie przyprowadził ją o dreszcz. -Więc pani przysła.

- Myślał pan, że schowam się pod łóżkiem? - odparowała Evie.

Na szczęście jej głos brzmiał pewnie.

- Gdy o pani myślę, nie wyobrażam sobie pani pod łóżkiem. A teraz zamieniam się w słuch.

O niebiosa! Stali pośrodku sali balowej, gdzie dziesiątki gości mogły usłyszeć ich rozmowę. A ona nie potrafiła wy-

80

myśleć zdania, które nie budziłyby podejrzeń, że robią coś niewłaściwego. Bez wątpienia markiz właśnie na to liczył. Zamierzał wykorzystać każdą jej kwestię, żeby ją skompromitować. Jednak powinna była schować się pod łóżkiem. Cóż, raz kozie śmierć.

- Zgubiłam naszyjnik, a lord Dare wspomniał, że na wieczorze u Hansonów znalazł pan jakiś. Mogę go zobaczyć?

Usta Sainta zadrżały.

- Tak, znalazłem go w wazie z ponczem - powiedział gładko i sięgnął do kieszeni. - Czy to ten?

Evie omal nie westchnęła z ulgą.

- Och, bardzo panu dziękuję, milordzie - zaszczebotała. - To moja ulubiona ozdoba. Myślałam, że już jej nie odzyskam.

Wyciągnęła rękę.

- Pozwoli pani - rzekł St. Aubyn, zrobił krok i stanął za nią. Nim zdążyła zareagować, włożył jej łańcuszek na szyję

i zapiął klamerkę, muskając palcami włoski na karku.

- Brawo, Evelyn Marie - pochwalił ją ściszym głosem. -A teraz proszę się uśmiechnąć i powiedzieć: „dziękuję, Saint”, bo inaczej pocałuję panią w ucho.

Gdyby jej serce zaczęło bić jeszcze trochę mocniej, wyskoczyłoby z piersi. Evie przywołała na twarz miły uśmiech.

- Dziękuję, Saint.

- Podnieca mnie pani - szepnął. - I zapłaci mi pani za to. Następnie odsunął się o krok.

Evelyn na chwilę zamknęła oczy, po czym, już spokojniejsza, odwróciła się do markiza.

- Lordzie St. Aubyn, poznał pan moją matkę? Na pewno chciałaby podziękować panu za uprzejmość.

Saint się zawahał.

- Chce pani przedstawić mnie matce? - spytał, wyraźnie zaskoczony.

Po raz pierwszy widziała go wyrażonego z równowagi.

81

- Tak. Dlaczego nie?

- Potrafię wymieni ć tysiąc powodów - odparł, wzruszając ramionami. - Ale rzeczywiście, dlaczego nie? Wieczór jak do tej pory jest bardzo spokojny.

Owszem, gdyby nie jej zauroczenie.

- Więc chodźmy, milordzie.

- Saint - poprawił łagodnie i ku przerażeniu Evelyn podał jej ramię.

- Ale...

- Po prostu jestem grzeczny.

Bez ceregieli ujął jej dłoń i położył ją na swoim przedramieniu.

Gdy przeszli z sali balowej do salonu, w którym zebrały się matrony, żeby plotkować i jeść słodczyce, Evie uświadomiła sobie, jaki błąd właśnie popełniła.

- Saint, mama nie wie, że pracuję w sierocińcu - wyszeptała błagalnym tonem. - Proszę nic jej nie mówić.

Przez chwilę myślała, że jej nie usłyszał, bo kontemlował zdumione i przerażone miny dam obecnych w pokoju. Gdy wreszcie przeniósł na nią wzrok, w jego zielonych oczach malowało się rozbawienie.

- Za pocałunek - odparł cicho.

- Słucham?

- Słyszała pani. Tak czy nie? Genevieve Ruddick uśmiechnęła się z przymusem.

- Evie! Co, na Boga...

- Mamo, chciałam przedstawić ci markiza St. Aubyna. Znalazł mój naszyjnik w wazie z ponczem na balu u Hansonów. Milordzie, oto moja matka.

- Pani Ruddick - powiedział Saint, ujmując jej dłoń. - Już dawno chciałem sam się przedstawić, odkąd pani córka i ja...

O, nie!

- Tak - syknęła Evie.

- Tańczyliśmy walca na balu u Hansonów - dokończył gładko Saint. - To bardzo dzielna młoda dama.

82

Genevieve Ruddick spochmurniała, co bardziej pasowało do jej bladej cery.

- Na pewno impulsywna.

Evelyn wstrzymała oddech, czekając na złośliwy komentarz markiza, ale on tylko uśmiechnął się enigmatycznie.

- Istotnie.

Cóż, udało mu się być uprzejmym przez całe trzy minuty, ale nie powinna dłużej kusić losu.

- Och, słyszę kadryla - powiedziała z udawanym ożywieniem. - Obiecałam go Francisowi Henningowi. Wybacz, mamo. Odprowadzi mnie pan, lordzie St. Aubyn?

Saint milczał, więc Evie uznała, że najrozsądniej będzie ruszyć do drzwi i mieć nadzieję, że markiz pójdzie z nią. Gdy znalazła się na korytarzu, na jej ramieniu zacisnęła się silna dłoń i pchnęła ją do najbliższej niszy.

- Co to miało znaczyć? - zapytał St. Aubyn, przeszywając ją wzrokiem.

- Nic. Chciałam jedynie zobaczyć, jak pan sobie poradzi. A teraz proszę mi wybaczyć, ale...

Saint zastawił jej drogę. Evelyn nerwowo przełknęła ślinę, wiedząc, że tylko zasłona oddziela ich od holu i sali balowej. Przyjaciółki ostrzegały ją, jak niebezpieczne będzie udzielanie St. Aubynowi lekcji, ale ona doszła do wniosku, że skoro markiz zamierza ją skompromitować, tym bardziej powinna starać się go poprawić.

- Proszę mnie przepuścić.

- Pocałuj mnie.

- Teraz?

Jednym krokiem pokonał niewielką odległość, która ich dzieliła, tak, że musiała unieść brodę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Tak, teraz.

Evie westchnęła. Puls jej przyspieszył.

- Dobrze.

Saint patrzył na nią bez słowa. Evelyn była ciekawa, co

83

takiego w niej zobaczył. Drobna kobietę o rudawych włosach i szarych oczach, z silnym rumieńcem na twarzy. Coś jeszcze? Czy podobnie jak przyjaciółki uważał ją za naiwną i bezużyteczną?

- No, więc? - ponagliła. - Miejmy to już za sobą. St. Aubyn potrząsnął głową.
- Pani mnie pocałuje, Evelyn, bo wymyślę coś innego. - Zamknął oczy i przesunął opuszkami po jej dekolcie.
Skóra zrobiła się gorąca w miejscach, gdzie jej dotknął. Evie nagle sobie uświadomiła, że chętnie spełni żądanie. Pragnęła doznać takich samych jak wtedy, w sierocińcu.
Saint powoli zsunął suknię z jej ramienia. Jego dłonie były ciepłe.
- Pocałuj mnie, Evelyn Marie - powtórzył szeptem. Evie uniosła się na palcach i musnęła wargami jego usta.
Ogarnął ją żar. Jeszcze nigdy tak się nie czuła, cała w środku rozdygotana.
- Jak, do diabła, mam jej pilnować przez cały czas? - rozległ się bardzo blisko gniewny głos Victora.
Evie omal nie krzyknęła, ale Saint zamknął jej usta ręką i przycisnął ją do ściany. Mogła liczyć tylko na to, że przed odkryciem uchroni ich cienka zasłona. Gdyby ktoś ją zobaczył sam na sam z markizem, byłaby skompromitowana.
- Wcale tego nie oczekuję - odparła Genevieve Ruddick równie ostrym tonem. - Ale ty ją tu przyprowadziłeś, Victorze. Chyba postradała rozum, przedstawiając mi St. Aubyna.
- Czasami mi się wydaje, że chce zniszczyć moją polityczną karierę, żebym wrócił do Indii. O, jest lady Dare. Zapytaj ją, czy nie widziała Evie. Ja poszukam St. Aubyna.
Głosy ucichły, ale Evie nie mogła się uspokoić. Zwłaszcza, kiedy czuła przy sobie szczupłe, twarde ciało Sainta. Dobrze, że nie rzucił jej wilkom na pożarcie. Wiedziała jednak, że jeśli dłużej zostaną w niszy, szczęście w końcu ją opuści.

84

- Saint...
Markiz pochylił się do jej ust, opierając dłonie o ścianę po obu stronach jej głowy. Tym razem był bezlitosny i natarczywy. Eve nie zdołała pohamować jęku. Ramiona same objęły go-w pasie.
Ale wtedy St. Aubyn się odsunął.
- Jesteś słodka, Evelyn Marie - powiedział cicho. - Lepiej trzymaj się ode mnie z daleka. Dobranoc.
Oparta bezsilnie o ścianę i zdyszana, Evelyn pomyślała, że matka ma rację. Chyba oszalała. Teraz nawet sam markiz ją ostrzegł, a ona mogła myśleć tylko o tym, czy jutro znowu go zobaczy.
Wzięła głęboki oddech, poprawiła suknię i wyszła do holu. Przy drzwiach sali balowej wisiało lustro. Evie zerknęła na swoje odbicie i zamarła. Na jej szyi lśniło srebrne serce z diamentem w środku. Dotknęła go drżącą ręką. Wyobrażenia nie splatała jej figla. Lord St. Aubyn zabrał jej po południu naszyjnik z perłą, a zastąpił go teraz diamentowym wisiorkiem. Przepięknym.
- A niech to! - wyszeptała Evelyn.
Skoro, jak sam twierdził, nic nie ma za darmo, czego oczekiwał w zamian? Bardzo chciała się tego dowiedzieć, zwłaszcza po ostatnim pocałunku.
- St. Aubyn.
Saint nie podniósł wzroku znad stolika. Udało mu się przemknąć do pokoju karcianego Dundredge'ow schodami dla służby, choć jednocześnie zastanawiał się, dlaczego unika Victora Ruddicka. Od dawna nikt nie wyzywał go na pojedynek. Ci, którzy przeżyli, ostrzegli innych przed niebezpieczeństwem.
Evelyn Marie poprosiła go jednak, żeby jej nie skompromitował, co tak go zaskoczyło, że się zgodził. Zresztą gdyby zniszczył jej reputację, musiałby raz na zawsze zapomnieć o pannie Ruddick. Dostał nauczkę, żeby nie uganiać

85

się za porządnymi kobietami, ale nie zmniejszyło to ani trochę jego obsesji.

- St. Aubyn.

Z westchnieniem obejrzał się przez ramię.

- Tak?

Victor rozejrzał się po zatłoczonym pokoju i spytał ściszym głosem:

- Widział pan moją siostrę?

- Przede wszystkim, kim pan jest, u licha? - warknął Saint, prosząc gestem o następną kartę.

Ruddick chwycił za oparcie jego krzesła i pochylił się do przodu.

- Dobrze pan wie, kim jestem - szepnął. - I zna pan moją siostrę. Straszna z niej głuptaska, ale to dobra dziewczyna. Trzymaj się od niej z daleka, St. Aubyn.

Brat Evelyn zyskał nieco w oczach Sainta. Bezpośrednie groźby wymagały odwagi, zwłaszcza skierowane do niego.

- Rezygnuję - poinformował graczy i rzucił karty na stół.

Słabo znał Evelyn Marie, ale uważał, że wcale nie jest głupia. Wstał i gwałtownie odsunął krzesło, tak, że Victor musiał uskoczyć w bok. W pokoju nagle ucichły rozmowy. Chyba wszyscy wiedzieli, że w zeszłym tygodniu tańczył walca z Evelyn Ruddick.

- Wyjdziemy? - Wskazał na drzwi.

- Wolę, żeby nie widziano, jak z panem rozmawiam - odparł Victor z zawziętą miną. - Pańskie towarzystwo źle wpływa na cudzą reputację. Proszę zostawić moją rodzinę w spokoju.

- Więc proszę przestać wysyłać siostrę, żeby rozmawiała z moimi... przyjaciółmi - odparował Saint. - Sam wykonuj brudną robotę, Ruddick.

Po tych słowach wymaszerował z pokoju i ruszył do sali balowej. Do diabła ze wszystkimi braćmi, mężami i ojcami! Wieczór był całkiem miły, póki nie zjawił się Victor

86

Ruddick. Ciekawe, że nikt z rodziny Evelyn nie wiedział o jej działalności charytatywnej w sierocińcu Ufne Serce.

Saint uśmiechnął się do siebie. Wyglądało na to, że w tej grze dostał same atuty. Evelyn zależało na sierocińcu, a on mógł wykorzystać jej zaangażowanie.

8

"Więc czaszę wina mi przynieście, Nie na to człek, by żył samotnie! Chcę lekkoduchem być nareszcie, Nie płakać z nikim, a ochotnie Śmiać się ze wszystkimi."

Lord Byron, „Cios jeszcze jeden”

St. Aubyn obudził się gwałtownie, chwycił pierwszą rzecz, którą namacał, i cisnął nią w niewyraźną postać stojącą w nogach jego łóżka.

- Au! To ja, milordzie! Pemberly!

- Wiem. - Saint położył się znowu i naciągnął kołdrę na głowę. - Odejdź.

- Kazał pan się obudzić w pół do ósmej, milordzie. Jest dokładnie...

- Przynieś mi coś do picia - warknął markiz. W głowie mu dudniło. - Natychmiast.

Lokaj pospiesznie wybiegł z pokoju, cudem unikając ciosu drugim butem. Gdy drzwi trzasnęły, Saint zaklął i chwycił się za skronie.

Jeśli w pół do ósmej było godziną, o której wstają porządni ludzie, cieszył się, że nie jest jednym z nich. Usiadł, tym razem powoli, i zapalił lampę, którą Pemberly zostawił na stoliku nocnym.

"Przekład Jana Kasprowicza. 88

Zważywszy na to, że Saint wrócił do domu trzy godziny wcześniej i spał sam - po raz trzynasty z rzędu - miał prawo być w paskudnym nastroju. W wieku prawie trzydziestu lat prowadził życie, które większość ludzi uważała za dekadentkie i grzeszne, a w duchu pewnie mu zazdrościła. Z kolei jemu taka egzystencja bardzo odpowiadała. Do niedawna.

Spochnurniał, odrzucił kołdrę i usiadł na brzegu łóżka. Gospodyni z sierocińca pokazała mu plan Evelyn na ten tydzień. Na dzisiaj było przewidziane malowanie, a prace miały się zacząć o dziewiątej rano.

Oczywiście nie musiał oglądać robotników kładących farbę na ściany, ale wiedział, że zastanie tam pannę Ruddick.

Przejechał ręką zmierzwiłone włosy, ziewnął i przeciągnął się ostrożnie. Nie przypominał sobie, żeby dla którejś z licznych kobiet, z którymi dzielił łoże albo schowek na miotły, aż tak się poświęcał.

Mimo to nie zamierzał zrezygnować z podboju. Czuł, że eksploduje, jeśli wkrótce nie zdobędzie niewinnej Evelyn.

Akurat wkładał spodnie, gdy drzwi się uchyliły i do środka zajrzał Pemberly.

- Milordzie? Przyniosłem whisky i kawę.

- Wejdz. I daj mi Timesa. Muszę wiedzieć, jakie bale szykują się w tym tygodniu.

Przez ostatnie dwa tygodnie wziął udział w większej liczbie przyjęć niż przez cały rok. Obcowanie z hipokrytami było kolejną ceną, którą płacił za oglądanie Evelyn.

Przymknął oczy, wspominając zapach jej włosów i gładką skórę, podczas gdy nie pamiętał nawet imion wielu kochanek. Doprowadzało go do szału, że tak bardzo pragnie Evelyn Marie. Wiedział, że jest głupcem. Ta dziewczyna była zupełnie niedoświadczona, a nauka wymagała dużo czasu. Saint zdawał sobie sprawę z tego, że przyciśnięcie do ściany i zadarcie spódnicy nie wystarczy. Nie, panna Ruddick potrzebowała starannej edukacji.

Stanął przed lustrem, żeby się ogolić, i wtedy zrozumiał,

89

że jeśli zamierza ją uwieść, musi lepiej się wysypiać. Uwodzenie nie polegało na przestraszeniu kobiety na śmierć czerwonymi oczami i włosami jak u stracha na wróble.

- Koszmar - mruknął do swojego odbicia.

Miał nadzieję, że przygotowana przez lokaja kawa z whisky okaże się mocna i dobra.

Gdy Pemberly wrócił z pocztą, Saint przejrzał gazetę, a potem odłożył na bok kilka zaproszeń, zamiast wyrzucić je do śmieci, co zwykle czynił.

- Co to jest? - zdziwił się na widok listu z pieczęcią księcia Walii.

Prinny zwykle potrzebował tygodni, żeby powziąć jakąkolwiek decyzję. Trzy dni były dla niego niezwykle osignięciem.

Saint rozłożył kartkę i przebiegł ją wzrokiem. Regent zapraszał go do Brighton, bo podobno królową Charlotte rozpalalo towarzystwo takich niepoprawnych drani jak markiz St. Aubyn.

Ale gdy przeczytał następny fragment, zmarszczył brwi.

- Do diabła! - Książę Jerzy kazał przygotować projekt nowego parku, co było ostatnim krokiem przed otwartą debatą w parlamencie. - Cholera!

Najwyraźniej regenta nakłoniono do uzyskania aprobaty parlamentu ze względu na finansowe kłopoty, ale sam Prinny też wspominał o możliwej negatywnej reakcji na plany zburzenia sierocińca. Najwidoczniej dbał o swoją wątpliwą popularność.

Saint ruszył do gabinetu, żeby od razu napisać odpowiedź. Nie miał czasu na subtelności. Musiał działać, zanim sprawa dotrze do wiadomości posłów... i pozostałych członków rady nadzorczej sierocińca. W liście zaproponował pokrycie wszystkich kosztów związanych ze znalezieniem innego miejsca na sierociniec i jego przenosinami, a także ze zburzeniem starego budynku i urządzeniem nowego parku.

- Jansen! - ryknął, pieczętując kopertę.

90

Kamerdyner wpadł do pokoju.

- Tak, milordzie?

- Wyślij to natychmiast do Carlton House.

- Dobrze, milordzie.

Saint odchylił się na oparcie krzesła i wytarł pióro. Tylko tego potrzebował: następnej komplikacji. Czas uciekał, a pewna młoda dama szykowała w sierocińcu klasy lekcyjne.

Widział tylko jedno wyjście: doprowadzić do tego, żeby zrezygnowała ze swojej misji, i jednocześnie ją uwieść. Z posępnym uśmiechem wrócił do sypialni i dokończył ubieranie. Powinien wyleczyć się z obsesji, zanim dziewczyna przejrzy jego zamiary. Z pewnością tylko ona mogła uwolnić go od napięcia. Czuł, że edukacja panny Ruddick będzie bardzo przyjemna.

- Nie chcę iść do szkoły!

- To będzie tylko kilka lekcji Charlesie - wyjaśniła Evelyn z uśmiechem.

Przygotowanie klas, kupno książek i zatrudnienie nauczycieli było dobrym pomysłem, ale wiedziała, że jej projekt zakończy się fiaskiem, jeśli nikt nie weźmie w nim udziału.

- Kilka lekcji, czego? - zapytał jeden ze starszych chłopców.

- Najpierw czytania, pisania i arytmetyki.

- To przecież szkoła!

- Jeśli ktoś was zatrudni, nie chcielibyście mieć pewności, że płaci wam tyle, ile obiecał? Albo umieć przeczytać gazetę, żeby dowiedzieć się o pracy? Poznać powieści o piratach, Indianach i dzielnych żołnierzach?

Niechętny pomruk zgody na nowo obudził w niej nadzieję. Rady księżnej Wycliffe okazały się cenne, ale Emma uczyła w szkole dla dziewcząt z wyższej sfery. Jej uczennice chciały się uczyć, żeby odnieść sukces w towarzystwie. Wychowanków sierocińca interesowało jedzenie i ciepłe ubranie, więc konieczne było inne podejście.

Evie zrozumiała już po pierwszym spotkaniu, że sucha

91

wiedza nie jest dla nich najważniejsza. Te dzieci bardziej potrzebowały pewności, że komuś na nich zależy. Właśnie, dlatego tak starannie wybrała nauczycieli, zadbała o czystość klas i ich wesoły, przytulny wygląd.

Próbowała wyjaśnić swoje pomysły radzie nadzorczej, ale jej członkowie wykazali podobne zainteresowanie jak jej rodzina. W końcu zaproponowała pieniądze i to ich przekonało. Reszta należała do niej. I bardzo dobrze.

W pewnym momencie poczuła mrowienie na karku. Gdy podniosła oczy, zobaczyła, że o framugę drzwi opiera się lord St. Aubyn i wpija w nią wzrok. Po jej plecach przebiegł dreszcz. Markiz bardzo ją pociągał, ale nigdy by się do tego nie przyznała. Równie dobrze mogłaby od razu się zgodzić, żeby ją rozebrał i pieścił jej nagie ciało.

Jak zawsze był ubrany na ciemno i sprawiał wrażenie, jakby nie lubił światła dziennego. Nocna pora bardziej nadawała się do jego podbojów. Evie wstała z krzesła.

- Dzień dobry, milordzie - powiedziała, dygając. Sama jego obecność wystarczała, żeby nasunąć jej sugestywne obrazy.

Saint uklonił się w niedbały, ale szarmancki sposób. Evelyn chciała dać chłopcom przykład do naśladowania, choć żałowała, że jest nim akurat St. Aubyn. Niestety pozostali członkowie rady najwyraźniej unikali kontaktu z sierotami. Dziewczynki otaczające ją kręgiem zaczęły szeptać i chichotać. Evie zmarszczyła brwi. Zdecydowanie wolałaby stawiać za wzór kogoś o lepszej reputacji, dla dobra wszystkich, ale biedacy nie mogli grymasić.

- Śmierdzi tu farbą - stwierdził markiz, marszcząc nos. - Zapraszam wszystkich do sali balowej. I otwórzcie okna.

Dzieci wybiegły z radosnymi okrzykami i tupiąc popędziły po schodach, nim Evelyn zdążyła zaprotestować.

- Rozmawialiśmy sobie o ważnych sprawach, a teraz, co najmniej kwadrans zajmie mi ich uspokojenie - powiedziała z naganą w głosie.

92

Saint uniósł brew.

- Gdzieś się pani spieszy? Na herbatkę czy recital?

Po prawdzie, jeśli nie zjawi się po południu u ciotki Houton, rodzina uzna, że ona naprawdę coś knuje.

- Nie o to chodzi. Staram się zdobyć zaufanie tych dzieci. Nie powinien pan tutaj bezceremonialnie wchodzić i wszystko psuć.

- Lubię chaos - odparł markiz z uśmiechem.

Evie zaparło dech. W jego zielonych oczach pojawił się błysk, który wyrażał szczere rozbawienie i zmieniał nie do poznania ostre rysy twarzy.

- Zauważyłam - rzuciła, żeby coś powiedzieć. Markiz odsunął się od drzwi.

- Gdzie pani naszyjnik? - zapytał, idąc w jej stronę. Evelyn odruchowo dotknęła szyi.

- Pan go ma - odparła, sięgając po torebkę. Wolałaby, żeby St. Aubyn został po drugiej stronie pokoju. - Chcę zwrócić panu ten. Nie mogę go przyjąć. - Podała mu wisiołek.

Markiz zatrzymał się tuż przed nią, ale naszyjnika nie wziął.

- Nie może pani czy nie chce?

Gdy powiódł po niej wzrokiem, Evie nagle sobie uświadomiła, że są sami. Dzieci były piętro wyżej, a robotnicy pracowali na dole.

- Jedno i drugie, milordzie. Pan...

- Saint. Proszę go zatrzymać.

- Nie, ja...

- Więc niech go pani wyrzuci albo sprzeda i kupi chleb dokerom. Nie obchodzi mnie, co pani z nim zrobi.

Evie uniosła brodę.

- Owszem.

- Nie. - Wyjął naszyjnik z jej ręki i schował go z powrotem torebki.

- Więc dlaczego pan mi go dał?

Saint objął ją i przyciągnął do siebie, a Evie położyła dłonie na jego piersi.

93

- Bo chciałem. Proszę zadać mi inne pytanie.

- Ja... Nie ma pan dzisiaj innych zajęć? Kobiet do uwiedzenia, gier do zagrania, drinków do wypicia?

Saint uśmiechnął się, ale tym razem bez wesołości.

- A jak pani myśli, co teraz robię? - szepnął, wodząc dłońmi po jej udach, podnosząc suknię nad kolana.

Jednocześnie nachylił się i pocałował ją, skubiąc jej usta wargami.

Evelyn wyrwała się z jego objęć i cofnęła na miękkich nogach.

- Proszę przestać! Szybko poprawiła suknię.

W oczach markiza pojawił się wyraz rozczarowania.

- Wkrótce będzie mnie pani błagać, żebym nie przestawał - powiedział wolno.

- Wątpię.

Evelyn ściągnęła brwi, ale nietrudno było dostrzec, że waha się między ucieczką a chęcią przekonania się, co markiz zrobi za chwilę.

- Hm. - St. Aubyn przez chwilę mierzył ją wzrokiem, a następnie ruszył do drzwi. - Proszę tu zostać, jeśli pani chce. Ja idę do sali balowej.

Gdy wyszedł na korytarz, Evie z westchnieniem rozejrzała się po pustej klasie. Musiała ignorować Sainta albo, jeszcze lepiej, powiedzieć mu, że traci czas i że jego uwodzicielskie sztuczki na nią nie działają.

Rzecz w tym, że właśnie na nią działały. Evelyn potarła ramiona, żeby pozbyć się gęsiej skórki, o którą przypawił ją dotyk markiza. Znała nazwiska pół tuzina jego kochanek, ale kiedy na nią patrzył, pamiętała tylko jego pocałunki.

Powoli zebrała książki i notatki. Słyszała o konfrontacji St. Aubyna z Victorem, wiedziała, że markiz dostał zakaz wstępu do Almacka oraz kilku szacownych domów w Mayfair. Choć na to zasłużył i udawał, że nic się nie stało, ten ostracyzm musiał go martwić. Nawet, jeśli lubił życie na obrzeżach socjety,

94

na pewno go bolało, że nie mógłby wrócić do centrum, nawet gdyby chciał. Nikt nie lubi być pariasem.

I niech niebiosy bronią, żeby znalazł kobietę, z którą zechciałby się ożenić. Przy jego reputacji żadna szanująca się dama nie pozwoliłaby mu starać się o jej względy. Samo zainteresowanie markiza mogło ją skompromitować. Evie dobrze wiedziała, że nawet jego żarty i przekomarzenia są niebezpieczne.

Ruszyła w stronę schodów. U ich stóp czekał na nią Saint, całkowicie opanowany, jakby przed chwilą nie zadarł jej spódnicy. Takie rzeczy zapewne stanowiły dla niego codzienność. Może naprawdę potrzebował lekcji wychowania, jak dzieci z sierocińca. Tak, wybranie go na ucznia było dobrym pomysłem, niezależnie od sceptycyzmu Lucindy i Georgiany. I jej decyzja nie miała nic wspólnego z jego dotykiem i pocałunkami.

- Pani pierwsza - powiedział Saint.

Evelyn przypomniała sobie ostrzeżenie Dare'a, żeby nie odwracać się plecami do markiza, ale stanie z nim twarzą w twarz też było ryzykowne. Jeśli St. Aubyn miał nauczyć się właściwego zachowania, ktoś musiał dać mu przykład.

Przy każdym kroku spod rąbka jej spódnicy ukazywały się buty i kostki. Saint trochę się ociągał z wchodzeniem na piętro, zafascynowany widokiem.

Naprawdę oszalał. To było jedyne wyjaśnienie. Na litość boską, widział w życiu więcej kobiecych nóg, niż potrafiłby zliczyć.

Bliski desperacji uniósł wzrok, ale widok kołyszących się bioder jeszcze pogorszył sprawę. To nie miało sensu. Nawet kochanki, które umiały zadowolić mężczyznę, nie robiły na nim takiego wrażenia. Od dawna żadna kobieta tak bardzo go nie podniecała.

- Otworzyliśmy okna! - krzyknął jeden z chłopców ze szczytu schodów. - Oni nie są tu dla nas, prawda?

Evelyn zmarszczyła brwi.

- Kto i dla kogo?

- Zobaczy pani.

- Nie jestem pewna, czy chcę - mruknęła Evie pod nosem. Saint uśmiechnął się szeroko. Wszystko, co sprawiało, że myślała o nim, i co odrywało ją od uczenia, mogło pomóc jego sprawie.

W szerokich podwojach prowadzących do sali balowej zrównał się z panną Ruddick. Ze ścian zdarto starą farbę i tapety, dwa otwarte okna były trochę wypaczone, natomiast drewniana podłoga prezentowała się nieźle. Lecz uwagę Evelyn przyciągnęły osoby siedzące w drugim końcu pomieszczenia. Wokół nich kręciły się rozbrykane dzieci.

Evie odwróciła się do markiza.

- Orkiestra?

- Pomyślałem, że to będzie miłą niespodzianka - rzek Saint niewinnym tonem.

- Cóż, rzeczywiście pan mnie zaskoczył - przyznała. Ale jak mam rozmawiać z dziećmi przy muzyce? Nie powinien pan...

- Niech zagrają, lordzie St. Aubyn!

- Tak, niech zagrają!

Saint powściągnął uśmiech. Im bardziej sfrustrowana była panna Ruddick, tym lepiej dla niego.

- Poproszę o walca! - zawołał, przekrzykując wrzawę.

- Walca? Nie może pan...

Gdy tylko rozbrzmiał głośny tusz, dzieci zaczęły piszczeć i hasać po sali. Scena kojarzyła się z czyścem. Doskonale.

- Muzyka uspokaja nawet dzikie bestie, nie sądzi pani? - rzucił St. Aubyn.

Na wyrazistej twarzy Evelyn odmalował się gniew.

- To nie są bestie, tylko dzieci.

- Mówiłem o sobie. - Saint obrzucił salę długim spojrzeniem. - Ale, swoją drogą, jest pani pewna, że się nie myli?

- Tak. A teraz niech pan każe muzykom przestać grać, bo inaczej ja to zrobię.

Markiz wzruszył ramionami.

- Jak pani sobie życzy. Lecz chyba powinienem ostrzec, że stanie się pani niepopularna.

Ku jego zaskoczeniu w szarych oczach panny Ruddick wezbrały łzy.

- Ma pan rację. Dzieciom należy się trochę zabawy. Taniec z pewnością jest ciekawszy od arytmetyki.

Do diaska! Kobiety często wykorzystywały łzy jako broń, a on bardzo tego nie lubił. Natomiast Evelyn próbowała walczyć ze swoimi i odwróciła się nawet, żeby nikt ich nie zobaczył.

- Może nauczymy pani podopiecznych liczyć do trzech - zaproponował, biorąc ją za ramię i odwracając do siebie. - Proszę ze mną zatańczyć.

- Co? Nie! Pan...

- Proszę dać spokój, Evelyn Marie. Pokażmy im, że arytmetyka może być zabawna.

Nim Evie zdołała wymyślić jakąś wymówkę, otoczył ją ramieniem w smukłej talii i porwał do walca. Nie chciał, żeby mu uciekła, więc zaczął liczyć na głos, wirując wśród dzieci.

Kiedy Evelyn zapomniała o strachu przed skandalem, odprężyła się i poddała rytmowi. Niemal fruwała nad parkietem.

- Raz, dwa, trzy - śpiewała razem z nim. - Raz, dwa trzy. Chodźcie, wszyscy! Dołączcie do nas! - Gdy uśmiechnęła się wesoło, serce Sainta zdrzało. - Proszę zatańczyć z którąś z dziewczynek - powiedziała, wywijając się z jego objęć.

Nim St. Aubyn zdążył zaprotestować, Evelyn porwała do walca jednego z młodszych wychowanków. Chłopiec nadepnął jej na palce, ale ona tylko się roześmiała.

Niedobrze. Sprowadził orkiestrę, żeby pokrzyżować jej plany na ten dzień i mieć okazję do potrzymania jej w ramionach. Skończyło się na tym, że uczył walca sieroty, które nigdy w życiu nie słyszały muzyki, nie mówiąc o tańczeniu na prawdziwej sali balowej.

Evelyn okrążyła go, trzymając za ręce już dwóch chłopców.

97

- No, niech pan się nie wstydzi, milordzie - rzuciła ze śmiechem. - Proszę wybrać partnerkę!
- Już to zrobiłem - mruknął Saint pod nosem. Został przechytzony przez prawdziwą damę. Wstyd

i hańba. St. Aubyn westchnął w duchu i zaprosił do tańca jedną z dziewczynek.

- Nie. Rzecz w tym, Donaldzie, że proponowanie jakichkolwiek przepisów jest bezsensowne, póki nie może-my liczyć na odpowiednią ilość głosów.

Victor Ruddick siedział w zatłoczonym powozie i silił się na pogodny, wyrażający skupienie wyraz twarzy, który praktykował od tygodni. Zależało mu na audiencji u księcia Jerzego, odkąd wrócił z Indii, ale towarzyszenie regentowi w drodze na jakieś spotkanie u Hoby'ego, w dodatku razem z pięcioma obiecującymi przedstawicielami Izby Gmin, nie było tym, czego oczekiwał. Dobrze, chociaż, że tego dnia nikt nie rzucał w pojazd zgniłymi warzywami.

- Ale przynajmniej damy dowód naszej determinacji - odparł Donald Tremaine. Na jego czole lśnił pot.

Victor powstrzymał się przed wytarciem twarzy. Dzień był ciepły, a on tkwił w zamkniętym powozie z tęgim księciem i jego nerwową świtą.

- I słabości, jeśli się nie uda.

- Racja - odezwał się regent. - Gdyby ten cholerny Pitt ustąpił, wtedy byśmy pokazali.

Gdyby poparcie księcia Jerzego było w stanie zapewnić nam głosy, moglibyśmy odnieść sukces, pomyślał Victor. Niestety wydawało się bardziej prawdopodobne, że przebywanie w towarzystwie starego głupca złamie mu karierę. Z drugiej strony, nie nadskakując regentowi, miał nikłe szanse na wybór do Izby.

Nagle przez okno wlała się do środka powozu muzyka i wesołe okrzyki.

98

- Woźnica, zatrzymaj się! - ryknął Prinny, bębniąc laską w sufit. - Co to za hałas?

- Nie wiem, wasza wysokość - dobiegła stłumiona odpowiedź.

Na polecenie regenta Tremaine otworzył drzwi i wychylił się, żeby sprawdzić, skąd dochodzi wrzawa.

- Myślicie panowie, że to powstanie? - zapytał księżę Jerzy. Na jego okrągłej twarzy malował się strach.

- Nie sędzę, wasza wysokość - odezwał się Victor. - Nie słyszałem ostatnio o żadnych niepokojach.

W każdym razie nie w Londynie. Ale od tej uwagi się powstrzymał. Przyprawienie księcia o apopleksję równałoby się politycznemu samobójstwu.

- Dochodzi stamtąd - orzekł Tremaine, wskazując kierunek. - To... sierociniec Ufne Serce. Wszystkie okna na piętrze są otwarte. Wygląda to na jakieś przyjęcie. Widzę dzieci skaczące po pokoju.

Regent wyraźnie się odprężył.

- A więc nie ma się, czym martwić. To pewnie St. Aubyn robi aukcję mebli przed wyburzeniem budynku.

Ruddick zmarszczył brwi. Znowu ten cholerny markiz.

- Jeśli mogę zapytać, wasza wysokość, dlaczego St. Aubyn chce zlikwidować sierociniec?

- Jest prezesem rady nadzorczej. Zaproponował mi teren za darmo, jeśli zgodzę się, żeby zburzył budynek. Nie wiem, o co mu chodzi, ale się dowiem. Nie przechytrzy mnie. - Książę się roześmiał. - Jedziemy?

Gdy powóz ruszył, Victor odchylił się na oparcie siedzenia. W duchu zatarł ręce. Nie domyślał się wprawdzie, jaką grę toczy Evelyn, ale kiedy jego wrażliwa siostra usłyszy, że jej markiz wyrzuca sieroty na bruk, nie będzie chciała mieć z nim więcej do czynienia. I dobrze. Lepiej niż dobrze. Doskonale.

9

"W tajemnicy się widzieli -W milczeniu żal tłumię, Że zapomnieć, oszukać Twoje serce umie."

Lord Byron. „Kiedyśmy się
żegnali"

Evelyn doszła do wniosku, że dzięki zaimprovizowanemu balowi zrobiła postępy. Pod pewnymi względami niespodzianka St. Aubyna wspomogła jej sprawę. Kilkanaście dziewcząt poprosiło ją później, żeby nauczyła je walca.

Wahała się przez krótką chwilę, bo szansa, że kiedykolwiek zostaną zaproszone na prawdziwe przyjęcie, była znikoma. Lecz prawie natychmiast, mimo że Saint zerkał na nią cynicznie z drugiej strony sali, uświadomiła sobie, że lekcje tańca to rzecz drugorzędna. Te sieroty potrzebowały jej uwagi, a tyle mogła im zapewnić.

- Dobrze - powiedziała. - Lekcje zaczną się jutro, dla wszystkich chętnych.

- A dzisiaj? - spytała mała Rose, wyraźnie zawiedziona. Evelyn już spędziła w sierocińcu dużo czasu. Szczerze

lubiła ciotkę i nie chciała ściągnąć na nią gniewu Victora ani lorda Houtona.

- Do jutra zostało już niewiele czasu.

- Panna Ruddick ma ważne sprawy - wtrącił markiz.

100

- A my nie jesteśmy ważni - stwierdził jeden z wyrostków, chyba Matthew, równie cynicznym tonem.

W tym momencie Evelyn doszła do wniosku, że koniecznie musi zmienić postawę St. Aubyna, jeśli to on ma być wzorem dla chłopców.

- Oczywiście, że jesteście ważni - zapewniła. - Ale już wcześniej obiecałam, że kogoś odwiedzę, a ja zawsze dotrzymuję słowa. Rose, jutro będziesz moją pierwszą partnerką. Potem zatańczę z Matthew.

Sądząc po poszturchiwaniach i gwizdach, zrobiła na podopiecznych duże wrażenie. Mała Rose objęła ją za nogi.

- Dziękuję, panno Evie.

- Nie ma, za co - odparła Evelyn z uśmiechem. Zerknęła na Sainta. Sądząc po jego ponurej minie, nie osiągnął tego, co zamierzał. I dobrze. - Powinniśmy podziękować lordowi St. Aubynowi, że to wszystko zorganizował.

Markiz przyjął podziękowania skinieniem głowy, co dzieci uznały za sygnał, żeby opuścić salę i wrócić do zabawy w sypialniach albo na dworze. Cóż, Evelyn udało się przy okazji pokazać Saintowi, że dama docenia dobre uczynki... niezależnie od ich motywów.

- To było miłe z pana strony - rzekła, zbierając książki i notatki.

- Ktoś ukradł pani broszkę - oznajmił St. Aubyn, zrównując się z nią w drzwiach.

Evelyn sięgnęła do sukni.

- Nie zauważyłam! Jest pan pewien?

- Wysoki chłopiec w czerwonym szaliku.

- Nawet nie zna pan jego imienia?

- A pani?

- Randall Baker. Dlaczego pan go nie powstrzymał? Markiz wzruszył ramionami.

- To pani zabawa, a nie moja, ale odzyskam broszkę.

- Jeśli ją ukradł, widać potrzebuje jej bardziej niż ja. Saint uniósł brew.

101

- Jest pani męczennicą?

- Nie. Nie zależy mi na tej broszce.

- Ale domagała się pani zwrotu naszyjnika.

- Bo panu nie był potrzebny. A przy okazji, ja się tutaj nie bawię. Jeszcze pan tego nie zauważył? - Nikt nie mógł być aż taki zgorzkniały. Nawet St. Aubyn.

- Ale na pewno pani lubi, kiedy sieroty patrzą na panią jak na swoją wybawczynię - stwierdził markiz. - Cóż, nie pani pierwsza.

- Słucham?

Saint obejrzał się przez ramię, idąc w dół po schodach.

- Gdy znudzi się pani ich uwielbieniem, też pani odejdzie.

- Nie jestem tu, żeby przyjmować hołdy.

- Moja matka też składała wizyty w Ufnym Sercu, w każdy pierwszy wtorek miesiąca.

- Tak? Więc powinien pan być dumny, że myślała o innych. Co...

St. Aubyn prychnął.

- Ona i jej przyjaciółki haftowały obrusy i serwetki na świąteczne kolacje w sierocińcu.

- Dobrze, że w ogóle coś robiła - powiedziała Evie do! jego pleców.

Markiz sugerował, że ona też jedynie zabija czas i uspokaja sumienie. Wcale jej się to nie spodobało.

- Tak. W swoim czasie szeptano, że dwójka czy trójka wychowanków przytułku to bękarty jej męża. Może stąd brało się jej zainteresowanie Ufnym Sercem. A przy okazji i mój ojciec coś zdziałał dla tego cholernego sierocińca.

Na policzki Evie wypłynął rumieniec. Mężczyźni nie powinni prowadzić takich rozmów z dobrze wychowanymi damami.

- A czy któreś z tych dzieci jest pańskie? - spytała, zaskoczona własną śmiałością.

Najwyraźniej on także, bo odwrócił się i zmierzył ją wzrokiem.

102

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł po chwili. - Nie lubię potęgować nieszczęść.

- Więc dlaczego pan tutaj przychodzi?

- Dzisiaj? Bo pragnę pani. O Boże!

- Chodziło mi o przewodniczenie radzie nadzorczej.

- Już mówiłem, że taka była ostatnia wola mojej matki.

- Ale...

- Miałem dość patrzenia, jak inni członkowie rady kupują sobie powozy i utrzymują kochanki z pieniędzy przeznaczonych na utrzymanie sierocińca, a pochodzących z kont rodziny Halboro.

- Wątpię.

- Każdy czerpał albo czerpie jakieś korzyści z sierocińca -dodał Saint z cynicznym uśmiechem. - Ojciec pozbywał się kłopotu, matka mogła uważać się przyjaciółką, jakie tragiczne, ale szlachetne jest jej życie. Teraz członkowie rady zgarniają do kieszeni wszystko, co uda się im wycisnąć, a oprócz tego, co roku dostają podziękowania od burmistrza Londynu za swoją działalność charytatywną.

- A pan?

- Ja odprowadzam pokutę. Czyż pomagając sierotom, nie ratuję się przed piekłem? A pani, panno Ruddick?

Gdyby powiedziała prawdę, roześmiałyby się jej w twarz.

- Nie odczuwa pan satysfakcji, widząc, że dzieci są ubrane i najedzone? - zapytała. - Gdyby pan nie dbał o właściwe wykorzystanie funduszy, pewnie żyłyby na ulicy.

- Satysfakcję sprawia mi krzyżowanie planów Timothy'emu Rutledge'owi i innym sępom, które co tydzień próbują uszczknąć coś dla siebie z dwóch tysięcy funtów łożonych rocznie na sierociniec. Może jednak spojrzysz pani na mnie łaskawszym okiem. Przynajmniej nie okradam tych dzieciaków.

- Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo – oświadczyła

103

Evie stanowczo. - Pan tylko próbuje mnie zaszokować i skłonić do rezygnacji.

- Nie. Ja jedynie staram się przekonać panią, że są inne, przyjemniejsze sposoby osiągnięcia satysfakcji. Pani działalność tutaj nic nie zmieni. Po prostu kolejny przedstawiciel klas wyższych okaże chwilowe zainteresowanie plebsowi.

- Nieprawda!

Saint dotknął jej policzka zażyłym gestem.

- Dlaczego mnie nie próbuje pani ratować? Gdyby wiedział!

- Sądzę, że jedynym dla pana ratunkiem jest nieuleganie pierwotnym instynktom - stwierdziła Evelyn, tak zirytowana jego cynizmem, że głos jej drżał. - Można, więc uznać, że staram się panu pomóc. - Wyminęła go na ostatnim stopniu. - Miłego dnia, milordzie.

Zesztywniała, słysząc jego cichy śmiech.

- Pocałowałem panią, Evelyn Marie. A pani mnie. Nie jest pani taka przyzwoita, jak się wydaje.

Evie przystanąła.

- Nie lubi pan tego miejsca, ale żywi sieroty, Michaelu. Więc może nie jest pan taki zły, za jakiego się uważa.

Saint odprowadził ją wzrokiem, gdy szła przez hol.

- Ma pani rację - mruknął do siebie. - Jestem gorszy.

Evelyn wpadła do domu w chwili, kiedy zegar wybił pierwszą. Czym prędzej zamieniła poranny kapelusz na popołudniowy i wzięła parasolkę. Pani Ruddick właśnie schodziła po schodach.

- Dzień dobry, mamó. Jesteś gotowa?

- Za dużo czasu spędzasz z Lucindą Barrett - stwierdziła Genevieve, poprawiając modne loczki na czole.

- Wiem, mamó. Straciłam poczucie czasu. Przepraszam.

- Ciesz się, że Victora nie ma w domu. Drzę na myśl, jak by zareagował, gdybyś nie poszła na kolejną herbatkę.
- Niepotrzebnie się martwisz. Idziemy?

104

Matka przyjrzała się jej z podejrzliwą miną.

- Masz wypieki, Evie - stwierdziła. - Na pewno dobrze się czujesz?
- Jestem tylko trochę zdyszana po biegu.

I nieco wytrącona z równowagi po ostatniej rozmowie z lordem St. Aubynem.

- Mam nadzieję, że tylko o to chodzi. Nie zniosłabym, gdybyś zrobiła scenę, mdlejąc albo coś w tym rodzaju.

Evie wzięła matkę pod ramię i ruszyła do czekającego powozu.

- Żadnych omdleń. Obiecuję.
- To dobrze, bo musimy zrobić dzisiaj jak najlepsze wrażenie ze względu na twojego brata. Polityczne herbatki markizy Houton stały się już słynne w Londynie. Rozpoczęło się tam albo legło w gruzach wiele karier. I nie powinnaś wspominać o swoich poglądach na kwestię edukacji biednych. To nie czas ani miejsce.
- Tak, mam. - Tę prośbę była gotowa spełnić, bo nareszcie zaczęła działać, zamiast tylko mówić. - Żadnych trudnych tematów, chyba, że ich poruszenie miałoby przynieść bezpośrednią korzyść Victorowi.
- Właśnie.

Mimo nowo zdobytej pewności siebie popołudnie okazało się dla Evelyn niemal nie do zniesienia. Większość dam przypominała jej matkę Santa, którą znała z jego opisu: współczujące i zatroskane, póki nie wymagało się od nich wysiłku i poświęceń. Ale skoro ta postawa była powszechna, dlaczego tak irytowała St. Aubyna, który twierdził, że nic go nie wzrusza?

- Jesteś dzisiaj milcząca - stwierdziła Lydia Barnesby, lady Houton, która siedziała obok Evie na kanapie. - Zwykle na tych spotkaniach niewiele się odzywasz, ale dziś nie wydusiłaś z siebie nawet słowa ani nie rzuciłaś żadnej kąśliwej uwagi.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

105

- Boję się, że najmniejsze faux pas z mojej strony zaszkodzi politycznym ambicjom Victora.
- Nie powinnaś tak myśleć, moja droga. Wątpię, czy sama zdołałabyś zniszczyć karierę Victora. Przede wszystkim ja nie pozwolę, żeby stało się to na jednej z moich herbatek.
- To pocieszające - odparła Evelyn. - Bo jestem mu potrzebna tylko do tego, żeby czarować jego znajomych polityków. Czuję się... odsunięta na drugi plan. - Ściszyła głos. - Chyba nikt tutaj nie zwraca na mnie uwagi.

Ciotka przysunęła się bliżej.

- Niezupełnie. Ja, na przykład, zauważyłam, że masz plamę na spódnicy. Wygląda to na ślad brudnych palców. Małych.

Evelyn zbladła.

- Och! Luce i ja spacerowałyśmy dziś rano i trafiłyśmy na dwójkę uroczych dzieci z guwer...
- Znowu odwiedziłaś sierociniec - przerwała jej markiza. - Ostrzegałam, że to może być niebezpieczne. Jeszcze nabawisz się jakiejś choroby. A poza tym Victor twierdzi, że większość wychowanków to przestępcy.
- Tam wcale nie jest niebezpiecznie! - Jeśli nie liczyć St. | Aubyna!

- Gdybyś była mężatką, mąż zapewne pozwoliłby ci przekazać jakąś sumę na sieroty, ale młoda dama o twojej pozycji w takim miejscu, w dodatku poza Mayfair... to po prostu nie uchodzi, Evie.

Evelyn przybrała skruszoną minę.

- Wiem.

- Obiecuj, że więcej tego nie zrobisz. Do licha!

- Obiecuję.

Jednocześnie skrzyżowała palce pod filiżanką.

Kiedy Saint wszedł do głównej sali posiedzeń, podniósł się szmer głosów, który narastał z każdą chwilą, aż na ko-

106

niec przypominał huk fali rozbijającej się o brzeg. To prawda, że minął prawie miesiąc od jego ostatniego pojawienia się, ale wszyscy wiedzieli, że markiz St. Aubyn czasami jednak bywa w parlamencie. Inaczej próbowano by odebrać mu miejsce w Izbie Lordów i doprowadzić do konfiskaty jego niemałych posiadłości na rzecz korony.

Przez chwilę zastanawiał się, czy jak zwykle usiąść obok Dare'a i Wycliffe'a, najmniej agresywnych parów. Niestety obaj znali Evelyn, a wicehrabia bardzo się starał zasłużyć na miano wzoru przyzwoitości. Z drugiej strony, obaj dobrze znali pannę Ruddick.

- Coś mnie ominęło? - zapytał, siadając obok Dare'a.

- Dzisiaj czy w zeszłym miesiącu?

- Cicho, młody nicponiu - syknął stary hrabia Haskell, piorunując go wzrokiem.

- Ma pan ślinę na brodzie, Haskell - odparował Saint. Hrabia poczerwieniał jak burak i zerwał się na równe nogi.

- Ty draniu!

Lordowie siedzący po jego bokach chwycili go za ramiona i pociągnęli w dół na ławę.

- Znowu mówimy o długach Prinny'ego - poinformował Wycliffe.

Do diaska! Jednak nie powinien był przychodzić. Gdyby regent albo któryś z jego doradców się wygadał, mogliby sięgnąć na niego kłopoty.

- Zwykle nudy, co? - mruknął.

Pożyczył od Dare'a wizytówkę i zaczął machinalnie bazgrać na jej odwrocie.

- Na to wygląda - odparł wicehrabia z bladym uśmiechem. - Gdyby niewybuchające od czasu do czasu kłótnie, chyba bym zasnął. Cieszę się, że przyszedłeś. Oszczędziłeś mi trudu ścigania cię.

- Myślałem, że wolisz mnie unikać. - Saint zauważył raptem, że twarz, którą szkicował, zaczyna wyglądać znajomo, więc szybko dodał jej wąsy i kapelusz. Evelyn Ruddick

107

ani na chwilę nie opuszczała jego myśli. - Rozumiesz, więzy małżeńskie, i w ogóle. Dare uśmiechnął się szerzej.

- Udomowienie ma swoje dobre strony. - Ściszył głos. - Właśnie, dlatego cię szukałem. Chcę cię poprosić, żebyś przestał uganiać się za Evelyn Ruddick.

Nie po raz pierwszy udzielano mu tego rodzaju ostrzeżeń, ale zwykle dopiero po tym, jak sprawy się komplikowały. Evelyn pragnął jak żadnej innej i był bardzo sfrustrowany brakiem sukcesu.

- Czy rada pochodzi od tej samej damy, którą w zeszłym roku nakryto z dłonią w twoich spodniach?

Dare spoważniał i zmrużył oczy.

- Jesteś pewien, że chcesz grać ze mną w tę grę? Markiz wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie?

- Mówisz o mojej żonie, St. Aubyn.

- I mojej kuzynce - wtrącił diuk Wycliff'e z zagniewaną miną.

- Rozumiem. - Saint wstał z udawaną niedbałością. Dare i Wycliffe razem byli groźni, ale chętnie by się z nimi zmierzył, tyle, że nie w Izbie Lordów. - Dlaczego nie zapytacie panny Ruddick, czy chce, żebym zostawił ją w spokoju? A na razie żegnam wasze udomowione mości.

Lord Gladstone siedzący po drugiej stronie przejścia spiorunował go wzrokiem.

Saint działał w ten sposób na wielu mężów. Gdy wyszedł z sali, uświadomił sobie, że Fatima zapewne jest o tej porze w domu i przyjmuje gości. Gdyby chciał pozbyć się napięcia, bez wątpienia chętnie by mu w tym pomogła.

Wiedział jednak, że do niej nie pójdzie. Polował na inną, trudniejszą zdobycz. Człowiek, który ma ochotę na bażanta, nie zadowoli się kurczęciem.

O ile się orientował, jego bażant był na jakiejś politycznej herbatce. Same kobiety, pewnie w większości stare i po-

marszczone. Młode dziewczyny znajdowały sobie inne rozrywki.

Nie interesowała go polityka, więc poszedł do domu.

- Jansen, nie wiesz przypadkiem, czym mógłbym się zająć? - spytał, zdejmując surdut.

- Chodzi panu o damskie towarzystwo, milordzie? Niestety nie złożyła dzisiaj panu wizyty żadna istota tej płci.

- Nie mówię o kobietach - burknął Saint. - No wiesz, chodzi mi o rzeczy, którymi zajmują się ludzie... mężczyźni, kiedy mają wolną chwilę.

- Aha. - Kamerdyner obejrzał się przez ramię, ale nie dostrzegł nikogo ze służby. - Cóż, na górze ma pan bibliotekę...

- Tak?

- Tak, milordzie.

- Z książkami?

Gdy Jansen zrozumiał, że jego pan żartuje, przyjął to ze zwykłym spokojem. Bez wątpienia uznał, że takie zachowanie jest lepsze niż krzyki albo latające przedmioty.

- Tak, milordzie.

- Hm. Nie lubię czytać. Coś jeszcze mógłbyś zaproponować?

- Może bilard.

- Bilard. Grasz, Jansen?

- Ja... nie wiem, milordzie. A gram?

- Chodź.

-, Ale...

- Gibbons albo ktoś inny przypilnuje drzwi.

- Nie zatrudnia pan żadnego Gibbonsa, milordzie. Saint zatrzymał się w połowie schodów, skrywając

uśmiech pod marsową miną.

- Ciekawe. Przypomnij mi, żebym zatrudnił kogoś o nazwisku Gibbons.

- Dobrze, milordzie.

- I nie myśl, że wymigasz się od bilarda. Chodź. Dręczył kamerdynera przez jakąś godzinę, ale w końcu,

wbrew sobie, zaczął go żałować. Bez wątpienia, wpływ Evelyn. Ta dziewczyna potrafiłaby chyba zmiękczyć serce posągu. Niemożliwe jednak, żeby jeden czy dwa pocałunki zrobili z niego świętego w rodzaju Dare'a albo Wycliffe'a. Ale dlaczego w takim razie siedział w domu o siódmej wieczorem i grał w bilard ze starym sługą?

- Każ Wallace'owi osiodłać konia - polecił, rzucając kij na stół.

Jansen omal nie westchnął z ulgi.

- Dobrze, milordzie. Wróci pan na kolację?

- Nie. Przy odrobinie szczęścia nie wrócę na noc. Zjadł kolację w klubie i zasiadł do faraona z lordem

Westgrove'em i dwoma mężczyznami, których nie znał. Bardzo mu to odpowiadało; większość znajomych dżentelmenów zawahałaby się przed grą z osławionym markizem.

- Wuj Fenston twierdzi, że w klubie Society aż roi się od parów i innych wybitnych osobistości - stwierdził młodszy i mocniej zbudowany z partnerów od stolika. -Dzisiaj jest tu dość pusto.

Westgrove chrząknął, straciwszy kolejne dziesięć funtów.

- Dzisiaj u Almacka prezentuje się kolejne stadko nie-opierzonych debiutantek. Tam poszły najgrubsze portfele.

- A niech mnie! - odezwał się drugi, chudszy z graczy. -Almack. Zawsze chciałem tam pójść.

- Po co? - zdziwił się Saint.

W tym momencie przypomniał sobie, że dziś środa. Panna Ruddick na pewno tam teraz dyga, uśmiecha się i opowiada wszystkim, jak przekonała St. Aubyna, żeby pozwolił jej zająć się cholernym sierocińcem. Choć, zdaje się, dziewczyna wołała zachować swoją nową rozrywkę w sekrecie.

- Wszyscy chodzą do Almacka, nieprawdaż?

- Letnia lemoniada, żadnego alkoholu, żadnych kart, wszędzie stare, wścibskie matrony i zaledwie jeden walc w ciągu całego wieczoru. To jest właśnie Almack. Niczego panowie nie tracą.

110

Westgrove się roześmiał.

- Nie wiercie mu, chłopcy. Markiz mówi tak tylko, dlatego, że dostał zakaz wstępu do Almacka.

- Naprawdę? Za co?

- Za nadmiar inteligencji - burknął Saint.

Chętnie uciszyłby Westgrove'a. Nie miał ochoty zabawiać dwóch wiejskich pajaców.

- Za amory z Isabel Rygel w magazynku, o ile sobie przypominam.

- Co takiego?!

Saint rzucił pieniądze na środek stołu.

- To były niewinne pieszczoty.

- A niech mnie kule biją! - wykrzyknął roślejszy młodzieniec. - Zapomniałem pańskiego nazwiska.

- Nie przedstawiałem się.

- Chłopcy, oto markiz St. Aubyn we własnej osobie -oznajmił wicehrabia.

- Ten Saint? Podobno zabił pan człowieka w pojedynku. To prawda?

- Zdaje się, że tak, lecz z pewnością na to zasłużył - odparł St. Aubyn, wstając od stolika. - Dobranoc, panowie.

- Ale...

Nocne powietrze przyjemnie chłodziło twarz, gdy dosiadł Cassiusa i ruszył na poszukiwanie mniej gadatliwych graczy. O tej porze u Almacka panował największy tłok. Pewnie z pół setki mężczyzn czekało w kolejce, żeby zatańczyć z Evelyn Marie Ruddick.

Niemal wbrew woli skierował się na północ. Kilka przecznic dalej stanął przed niepozornym ceglanym budynkiem i spojrzął w oświetlone okna. Niosły się z nich dźwięki muzyki i gwar rozmów.

Wiedział, że ona jest w środku. I nie podobało mu się, że Evelyn może chodzić tam, gdzie on nie ma wstępu. Od pięciu lat nie mógł wejść do Almacka, ale wcale się tym nie przejmował. Nie ciągnęło go do porządnym, zatłoczonym

111

i nudnych miejsc. Przynajmniej tak sobie wmawiał aż do dzisiejszej nocy.

Evie rozsunęła zasłony, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Niezależnie od temperatury na zewnątrz u Almacka zawsze było duszno. Mimo mroku po drugiej stronie ulicy dostrzegła jeźdźca na koniu. Pomyślała, że wygląda znajomo, ale zanim mu się lepiej przyjrzała, mężczyzna odjechał. Mimo to... Otrząsnęła się. Saint nigdy nie zbliżyłby się do takiego szanowanego przybytku jak Almack. I nie miał powodu, żeby się pod nim czaić po nocy.

- Evie, słuchasz mnie? Szybko opuściła zasłonę.

- Przepraszam, Georgie. Co mówiłaś?

- Powiedziałam, że St. Aubyn omal nie wywołał dzisiaj awantury w Izbie Lordów. Tak twierdzi Tristan.

- Takie zachowanie to dla niego chyba nie pierwszozna. Dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

- Może przynajmniej cię zainteresuje, że narażałem się dla ciebie - rozległ się za nimi męski głos.

Georgiana zeszywniała.

- Nieprawda. Odejdź, Tristanie.

- Istotnie tylko żartowałem - rzekł potulnie Dare. - Do widzenia.

- Zaczekaj! - Evelyn chwyciła go za ramię. - Co miałeś na myśli, mówiąc, że narażałeś się dla mnie?

- Ja... eee... - Wicehrabia zerknął na żonę. - Niczego nie miałem na myśli. To chwilowe zaćmienie.

- Powiedz mi, proszę, co się dzieje. Wiesz, że próbuję z nim współpracować, i naprawdę nie chcę, żebyś jeszcze ty utrudniał mi sprawę.

Dare westchnął.

- Zasugerowałem jedynie, żeby dał ci spokój. Nie należysz do typu kobiet, które go pociągają, więc mogę jedynie przypuszczać, że Saint nie ma dobrych zamiarów.

112

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek miał dobre zamiary - powiedziała Evie. - Doceniam twoją troskę, ale jeśli mam kontynuować swoją działalność, potrzebuję jego aprobaty, więc nie wstawiaj się za mną, proszę.

Wicehrabia skinął głową.

- Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem. Ja przy nim jestem aniołem.

- Istotnie, choć trudno w to uwierzyć - potwierdziła Georgiana, biorąc męża pod ramię. - Raczej mnie obwiniaj, Evie, bo to ja prosiłam Tristana, żeby coś powiedział St. Aubynowi. Martwię się o ciebie.

- Niepotrzebnie. Sama potrafię o siebie zadbać.

Najwyraźniej jej nie uwierzyli. Nawet bliscy przyjaciele uważali ją za bezradną i niezdolną do niczego więcej oprócz uśmiechania się i czarowania innych, kiedy wymagała tego sytuacja. Saint przynajmniej nie miał powodów, żeby myśleć o niej inaczej. Skradł jej parę całusów, ale jeśli taka była cena za jego zgodę na pracę w sierocińcu, była gotowa ją zapłacić. A gdyby jeszcze udało się jej skłonić go do większej uprzejmości, uznałaby to za sukces.

Orkiestra zaczęła grać walca, więc Evie bez większego trudu przekonała Georgie i Tristana, żeby dołączyli do tańczących. Lucindy dzisiaj nie było, więc nagle została sama, co rzadko się jej zdarzało. Niestety spokój nie trwał długo, bo podszedł do niej brat w towarzystwie starszego dżentelmena.

- Znasz diuka Monmoutha, moja droga? Wasza lordowska mość, oto moja siostra Evelyn.

- Bardzo mi miło - powiedział diuk. Evie dygnęła.

- Właśnie mówiłem jego lordowskiej mości o twoim zamiłowaniu do szachów.

Szachów? Nie cierpiała tej gry.

- Tak, to prawda, choć obawiam się, że mam do nich więcej uczucia niż talentu.

113

Diuk pokiwał głową. Siwy kosmyk sterczał samotnie na środku jego lśniącej czaszki.

- Często się mówi, że szachy są za trudne dla kobiet. Cieszę się, że przynajmniej jedna z młodych dam zdaje sobie z tego sprawę.

Evie uśmiechnęła się z przymusem.

- Przypuszczam, że pan jest dobrym graczem?

- Mistrzem Dorsetshire.

- Wspaniale!

Nie wiadomo, czego Victor oczekiwał od diuka, ale lepiej, żeby jego wkład w kampanię okazał się cenny. Stary nudziarz!

- Jego lordowska mość bardzo chciał cię poznać - powiedział brat z pobłażliwym uśmiechem.

- Proponuję spacer po sali, jako że oboje nie lubicie walca.

Evie stłumiła westchnienie.

- To będzie dla mnie przyjemność, milordzie.

Przynajmniej nie musiała martwić się o podtrzymywanie rozmowy. Diuk nie tylko znał się na szachach, ale również na historii gry oraz najlepszych materiałach na szachownicy i figury; najdroższy komplet, jaki kiedykolwiek zrobiono, ponoć należał do niego.

Evie potakiwała i uśmiechała się we właściwych momentach, jednocześnie przeklinając w duchu brata. Już wcześniej robił jej takie psikusy: dowiadywał się o ulubioną rozrywkę lub hobby potencjalnego zwolennika i mówił mu, że jego siostra ma podobne zainteresowania. Nie znosiła tego, zwłaszcza teraz, kiedy miała ważniejsze sprawy na głowie.

Była tak pochłonięta własnymi myślami, że minęła chwila, nim się zorientowała, że diuk życzył jej dobrej nocy.

- Dziękuję za interesującą rozmowę, wasza lordowska mość - powiedziała z uśmiechem i dygnęła.

Gdy tylko jego sterczący kosmyk zniknął w tłumie, poszła odszukać Victora.

114

- Dobra robota, Evie - pochwalił ją brat, wręczając jej szklankę lemoniady.

Evelyn odmówiła i powiedziała z wyrzutem:

- Mogłeś przynajmniej mnie ostrzec. Nie mam pojęcia o szachach.

- Już dawno nauczyłbym cię podstaw gry, gdybym sądził, że choć trochę cię to zainteresuje.

Evie bez słowa przyjęła jego wytłumaczenie. Może gdyby spróbowała przekonać brata...

- Sprawdziłam pewne fakty - zaczęła ostrożnie. - Czy wiesz, ile jest w Londynie dzieci bez rodziców? Gdybym tak...

- Nie, nie, nie. Prowadzę kampanię, a nie domagam się reform. I ty masz mi pomagać.
- Właśnie to staram się robić.
- Więc przestań zadawać się z St. Aubynem. Jeśli interesują cię dzieci, wyjdź za mąż i urodź sobie gromadkę.
- To podłe.
- Nie zamierzam się z tobą cackać. A przy okazji, nie powinnaś podierać ścian. Twoja popularność ma wpływ na moją.
- Przecież podobno nie lubię tańczyć - odparowała Evie. Żałowała, że nie przyjęła lemoniady. Nawet letnia byłaby błogosławieństwem w tym dusznym pomieszczeniu.
- Nie lubisz tańczyć walca, kiedy Monmouth jest obecny - sprostował Victor. - I kiedy St. Aubyn jest w pobliżu.
- St. Aubyn przynajmniej nie kłamie ani nie manipuluje ludźmi. Natychmiast uświadomiła sobie swój błąd, ale było już za późno. Brat odstawił szklanke, wziął ją za łokieć i poprowadził w drugi koniec sali.
- Do tej pory byłem cierpliwy - wyszeptał. - Na pewno uważasz, że jesteś sprytna i niezależna, ale muszę ci uświadomić, że jedynie wychodzisz na głuptaskę i hipokrytkę. W oczach Evie weszły łzy, ale odpędziła je mruganiem. Nie da Victorowi satysfakcji i nie rozplacze się przy nim.

115

- Zawsze uważałeś mnie za głupią - stwierdziła. - Ale wcale taka nie jestem. Nie mówiąc o hipokryzji.
- A! Więc zrezygnowałaś z pomocy niższym klasom, sierotom i londyńskim żebrakom? Gdyby wiedział!
- Nie. I nigdy nie zrezygnuję. Brat posłał jej złośliwy uśmiech.
- Zatem powinnaś wiedzieć, że ten łotr negocjuje z księciem Jerzym w sprawie zburzenia sierocińca; na jego terenie ma powstać park. Jeśli nie jesteś głupia i zakłamana, nie możesz pozostać przy swoim hobby. Evelyn wytrzeszczyła oczy. Nagle stwierdziła, że nie może zaczerpnąć oddechu. W jej głowie kołatała się tylko jedna myśl: że brat kłamie.
- To nieprawda.
- Oczywiście, że prawda. Słyszałem to z ust samego Prinny'ego. Ufne Serce czy coś w tym rodzaju. Bez wątpienia St. Aubyn dużo zyska na tej transakcji. Nie jest znany z altruizmu. Evie wyrwała rękę z żelaznego uścisku brata, choć większy ból zadały jej sercu jego słowa. Dlaczego Saint miałby zrobić taką rzecz? Czasami wydawał się prawie... miły. A sieroty znajdowały się pod jego opieką. Jeśli zamierzał wyburzyć budynek, dlaczego pozwolił jej opróżnić magazyny? I...
- Evelyn spochmurniała. Oczywiście. W ten sposób oszczędził sobie kłopotu i pracy. A malowanie ścian? Cóż, niewielka cena za odwrócenie od siebie podejrzeń. Zwłaszcza, że nie on ją zapłacił.
- Może od tej pory będziesz słuchać moich rad - powiedział Victor. - Chodzi mi o twoje dobro, przecież wiesz. - Nachylił się bliżej. - A teraz przestań stać z rozdziawionymi ustami i zatańcz z kimś. Dobrze się dzisiaj spisałaś. Należy ci się trochę rozrywki. Evie zacisnęła usta. Podły St. Aubyn! Nie przekreślił jej jedynej szansy na zrobienie czegoś pożytecznego. Ona na to nie pozwoli.

"Bądź zdrowa... a choć i na życie całe, I tak bądź zdrowa; przyjm me pożegnanie. Acz mówią, że me serce skamieniałe, Jednak przeciwko tobie nie powstanie."

Lord Byron, „Bądź
zdrowa"

Evelyn wcześniej zjawiała się w sierocińcu. Weszła do jadalni w chwili, kiedy dzieci kończyły śniadanie. Przekonała się, że są dobrze karmione, choć jedzenie jest proste i przygotowywane przez nieliczny personel.

Nagle wszystkie fragmenty układanki, do której Victor dał jej klucz, trafiły na swoje miejsce. Wszystko tutaj było poprawne, i nic ponadto. Do licha! Jak mogła być taka ślepa? Wszyscy ostrzegali ją przed St. Aubynem, a ona nie słuchała, bo chodziło im tylko o jej reputację. Nie zwracała uwagi na ich słowa, że markiz nie robi nic bezinteresownie i za darmo.

- Panno Evie! - pisnęła Rose. Obie z Penny podbiegły i objęły ją w pasie. - Narysowałam dla pani obrazek.

- Naprawdę? Nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć!

- Wszyscy na nim tańczymy. Ja mam zieloną sukienkę, bo zielony to mój ulubiony kolor.

Evie zanotowała sobie w pamięci, żeby podarować Rose zieloną sukienkę. Wszystkie dzieci potrzebowały no-

117

wych ubrań. Te, które teraz nosiły, były skromne i zniszczone. Niestety już wydała pieniądze na farby i nauczycieli. Może uda się jej przekonać Victora, że bardziej by mu pomogła w nowych strojach.

- Dzisiaj też będziemy tańczyć walca? - zapytała Penny.

Nawet bardziej cyniczna Molly nie zdołała powstrzymać się od radosnego uśmiechu. Evelyn odwzajemniła go, walcząc z łzami wzruszenia. Dzieci zaczynały jej ufać, a markiz St. Aubyn zamierzał wszystko zniszczyć.

- Nie mamy orkiestry, ale pokażę wam kroki. Każdy, kto chce nauczyć się tańca, niech ze mną idzie do sali balowej.

- Ja też? - dobiegł od drzwi głos Sainta.

Evie zeszytniała. Poprzedniego dnia markiz wydawał się jej tajemniczy i uwodzicielski. Teraz żałowała, że w ogóle go poznała.

- Dzień dobry, milordzie - rzuciła, nie odwracając się.

- Dzień dobry, lordzie St. Aubyn - rozbrzmiał chór młodych głosów.

- Dzień dobry. Dlaczego nie biegniecie do sali balowej? Panna Ruddick i ja dołączymy do was za chwilę.

- Ależ nie, pójdziemy wszyscy razem - zdecydowała Evie z wymuszonym śmiechem.

Bała się, że St. Aubyn ją zatrzyma, dlatego na wszelki wypadek wzięła za rękę Rose i Penny. Chciała i musiała porozmawiać z nim o jego zdradzie i dwulicowości, ale dopiero, jak się zastanowi, co mu powiedzieć. I będzie pewna, że nie wybuchnie płaczem albo nie rzuci się na niego z pięściami, choć miała na to wielką ochotę.

Podczas gdy sieroty i ukochana panna Evie wspinali się po schodach na drugie piętro, Saint został z tyłu. Najwyraźniej wszyscy wychowankowie Ufnego Serca chcieli ćwiczyć walca.

W tym momencie on wolał poprzestać na obserwowaniu. Evelyn śniła mu się w nocy, gdy na kilka godzin uda-

118

Jo mu się zamknąć oczy, dlatego jej dzisiejsze powitanie było niczym kubek zimnej wody wylany na głowę.

Widocznie panna Ruddick dowiedziała się o scysji w parlamencie i teraz próbowała ukarać go za złe zachowanie. On sam uważał, że jest niewinny, skoro nikomu nie zrobił krzywdy.

Gdy nagle przed nim stanęła, otrząsnął się z zamyślenia. Tego ranka miała na sobie suknię z delikatnego różowego muślinu, który podkreślał barwę jej oczu. Brakowało jej tylko skrzydeł, żeby dopełnić anielskiego wyglądu. Bóg i diabeł na pewno śmiali się teraz z niego w kułak.

- Będzie pan partnerem Molly? - zapytała Evelyn, patrząc gdzieś ponad jego ramieniem.

- A która to?

Szare oczy spojrzały na niego przelotnie i zaraz umknęły w bok.

- Nie zna pan żadnych imion?

Zważywszy na jej nastrój, nie byłoby mądrze wspominać, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni spędził w sierocińcu więcej czasu niż przez cały rok.

- Znam pani imię.

- Nie jestem wychowanką sierocińca, który znajduje się pod pańską opieką. Molly to ta zielonooka dziewczynka z krótkimi rudymi włosami. Przy mężczyznach jest nieśmiała, więc proszę być dla niej miłym.

Już miała odejść, ale Saint chwycił ją za ramię.

- Proszę nie wydawać mi poleceń, panno Ruddick - powiedział cicho. - Jestem tutaj, bo tak postanowiłem.

Evelyn uwolniła rękę.

- W przeciwieństwie do dzieci.

Jego nastrój, już kiepski z powodu braku snu i nadmiaru dżinu, jeszcze bardziej się pogorszył.

- I uważa pani, że kilka lekcji tańca poprawi ich los? Po jej policzku spłynęła łza. Evelyn otarła ją gwałtownym, niecierpliwym gestem.

119

- A pan myśli, że pomoże im zburzenie sierocińca? Niech pan nie waży się udzielać mi lekcji moralności, o której pan nie ma pojęcia.

Do diabła!

- Kto pani powiedział?

- A jakie to ma znaczenie? - odparowała, blada na twarzy. - Jest pan godny pogardy. Nie mogę na pana patrzeć.

Sainta ogarnął gniew. I frustracja, bo zrozumiał, że teraz już jej nie zdobędzie. A skoro on nie może dopiąć swego, ona też nic nie dostanie.

- Proszę wyjść - warknął. - Co?

- Słyszała pani. Nie jest pani tutaj mile widziana. Proszę wyjść.

Kolejna łza spłynęła po policzku Evelyn.

- Mogę przynajmniej się pożegnać?

Jej płacz tylko go zirytował. Ostatnio działo się z nim coś złego, a wszystko przez pannę Ruddick. Choć był taki wściekły, że najchętniej by ją udusił, sztywno skinął głową.

- Ma pani piętnaście minut. Będę czekał na dole.

- Dobrze.

Saint przysunął się o krok.

- I proszę pamiętać, że cokolwiek im pani powie, niczego to nie zmieni. Proponuję, więc, żeby ze względu na uczucia swoich pupilów trzymała pani buzię na kłódkę.

- Drań! - rzuciła za nim Evelyn.

Nie oglądając się, ruszył do schodów. Tymczasem Evelyn zauważyła, że wszystkie dzieci na nią patrzą. Nie mogły nic zrobić. Ona też nie miała żadnego wpływu na ich sytuację. Tylko trzy albo cztery osoby oprócz St. Aubyna wiedziały, że ona tu jest. I tyle jeśli chodzi o jej przekonanie, że zmieni świat.

- Co się stało, panno Evie? Evelyn pospiesznie wytarła oczy.

120

- Obawiam się, że... muszę odejść - powiedziała. Było to najtrudniejsze wyznanie w jej życiu.

-Trudno - pocieszyła ją Penny, biorąc za rękę. - Jutro pani z nami potańczy.

- Nie, Penny. Nie będę już mogła was odwiedzać.

- St. Aubyn nie chce pani tutaj, prawda? - zapytał Randall Baker z ponurą miną.

Evie miała dość bronienia ludzi, którzy na to nie zasłużyli. Nie zamierzała okłamywać podopiecznych, z pewnością nie przez wzgląd na St. Aubyna.

- Nie chce.

- Dlaczego? - Rose chwyciła ją za drugą rękę. W jej dużych brązowych oczach pojawiły się łzy.

- Bo nie wpuściła pani drania pod spódnicę, mogę się założyć - stwierdził Matthew Radley, wyciągając z kieszeni papierosa.

Evelyn poczerwieniała.

- Nie powinienes mówić takich rzeczy.

- Wszyscy to wiemy, panno Evie. - Teraz do przodu wystąpiła Molly. - On nigdy nie spędzał tutaj dużo czasu, póki pani się nie zjawiła. - Jej dolna warga zadrżała. - A teraz zmusza panią do odejścia.

- Zamknijmy St. Aubyna w lochu, żeby zjadły go szczury.

Propozycję Radleya koleżanki i koledzy przyjęli Z aplauzem. Evie dobrze ich rozumiała, ale nie chciała marnować czasu na knucie zemsty. Wiedziała, że jeśli nie zjawi się na dole za piętnaście minut, St. Aubyn po nią przyjdzie.

- Niestety, Matthew, jesteście dziećmi, ja kobietą, a on markizem. Zresztą nie mamy lochu. Penny, może przyniesiesz książkę, to poczytam wam na pożegnanie?

- Mamy loch - odezwał się Thomas Kinnett. - Z łańcuchami i szczurami.

- O czym ty mówisz?

Penny pociągnęła ją do drugich schodów.

- Pokażemy pani.

121

Evelyn nie wiedziała, co o tym myśleć, ale zaświtała jej nadzieja, że może uda się powstrzymać wyburzenie sierocińca. Jeśli się okaże, że w Ufnym Sercu ktoś urządził celę więzienną, ona natychmiast zawiadomi władze. Wprawdzie St. Aubyn nie wyglądał na oprawcę, ale w tej chwili była na niego taka zła, że uwierzyłaby we wszystko.

Dzieci, wyjątkowo ciche, zaprowadziły ją na tyły budynku, a następnie dalej na dół po czterech biegach starych, bardzo zniszczonych schodów do dużej spiżarni. Pomieszczenie było pełne skrzyń z jabłkami, worków mąki, beczek, sienników i tym podobnych rzeczy. W wilgotnym mroku wyglądało zupełnie jak loch, ale Evelyn nie dostrzegła w nim nic groźnego.

- Tak, rzeczywiście jest tutaj strasznie - przyznała, żeby nie urazić swoich przewodników. - Ale na więzienie się nie nadaje, chyba, że zarzucimy markiza jabłkami.

- Nie tutaj, panno Evie - powiedział Randall z uśmiechem wyższości. - Tam.

Razem z Matthew i Adamem Hensonem odsunął stos starych materacy. Gdy kurz opadł, Evelyn dostrzegła zarys drzwi w ścianie. Baker otworzył je łokciem, a Molly zapaliła świecę.

Krótkie, wąskie schody prowadziły do następnych drzwi, lekko uchylonych. U ich góry znajdowało się małe zakratowane okienko.

- Tam są pająki - szepnęła Rose. Pająki?

- W porządku, ale bądź ostrożny - powiedziała Evelyn drżącym głosem i dała Randallowi znak, żeby szedł pierwszy.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko i pchnął ciężkie drzwi.

- Dobrze.

Pomieszczenie okazało się bardzo małe. Na ścianie wisały dwa zestawy kajdan, na kostki i nadgarstki. Jedyne wyposażenie stanowił mały stół, wiadro i dwa świeczniki po obu stronach drzwi.

122

- To chyba dawny karczer - wyszeptała Evie.

- Widzi pani? - odezwał się Thomas, unosząc jeden z łańcuchów. - Moglibyśmy zamknąć tutaj lorda St. Aubyna i nikt by się nie dowiedział.

- Kusząco to brzmi, moi drodzy, ale porwanie arystokraty nie jest dobrym pomysłem.

- Ale gdybyśmy go uwięzili, mogłaby nas pani odwiedzać codziennie - powiedziała Penny ze łzami w oczach.

William otoczył chudym ramieniem plecy młodszej siostry.

- Nie płacz, Penny.

- Ale ja chciałam nauczyć się czytać.

- Ja też - burknął Randall. - Słyszałem, jak kiedyś markiz mówił do pani Nathan, że powinien zburzyć sierociniec i wreszcie mieć spokój.

- Och, nie! Matthew się zaśmiał.

- Nie mógłby go zburzyć, gdyby był pod nim zamknięty, no nie?

Evie popatrzyła na jasnowłosego chłopca. To były tylko przekomarzenia. W rzeczywistości wychowankowie Ufnego Serca - nie wiedzieli, że markiz naprawdę chce obrócić w stos gruzu ich jedyny dom.

- Korci panią, co, panno Evie? - spytał Randall. - Umówmy się: pani obieca, że wróci do nas za kilka dni, a my postaramy się, żeby St. Aubyn pani tego nie zabronił.

Jej serce zaczęło bić szybciej. Saint ostrzegał ją, że niektórzy jej podopieczni są przestępcami, ale chyba sam nie miał pojęcia, do czego są zdolni, gdy poczują się zagrożeni. Czuła, że niezależnie od tego, co teraz odpowie, chłopcy mogą po jej odejściu uwięzić markiza albo nawet zrobić coś gorszego. Urowadzenie arystokraty, nawet o tak skandalicznej reputacji, zawsze groziło śmiercią.

Z drugiej strony, gdyby Saint, chcąc nie chcąc, przekonał się, jak bardzo te sieroty potrzebują kogoś, kto się o nie

123

zatroszczy się, albo, chociaż namiastki domu takiej jak Ufne Serce, może zmieniłby zdanie. I zrozumiałby, co to znaczy być dzentelmenem i człowiekiem w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Och, to szaleństwo. Ale jeśli spróbuje ostrzec St. Aubyna, dzieci znajdą się w gorszej sytuacji niż przed jej przyjściem do sierocińca. Gdyby zachowała kontrolę nad sytuacją, ustaliła zasady i sama pokierowała spiskiem, może wszystkich by uratowała.

- W porządku - powiedziała, siadając na stołku. - Ale najpierw musimy coś uzgodnić. Po pierwsze ja tu dowodzę, a wy robicie to, co wam każę. Tak?

Matthes wyjął papierosa z ust i zasalutował.

- Tak jest, kapitanie.
- To dobrze. Musimy działać szybko.

"Wolności, ty najjaśniej lśniesz w więziennej celi,
Bo tutaj sobie gniazdo w dzielnych sercach ścielisz"

Lord Byron, „Sonet o Czellonie”

Saint nerwowo spacerował po holu. Żałował, że nie dał pannie Ruddick pięciu minut na spakowanie książek, zwolnienie nauczycielek i opuszczenie sierocińca. Ale jej łzy zbiły go z tropu i dlatego teraz, co dwie minuty zerkał na zegarek i przeklinał.

- Uważa, że jestem godny pogardy - mruknął do siebie, naśladowując jej oburzony ton. - Nie może na mnie patrzeć.

Nikt bezkarnie nie mówił mu takich rzeczy prosto w twarz. Zwłaszcza ktoś, kto budził jego ciekawość. Nie żeby Evelyn aż tak bardzo go interesowała, tyle, że rzadko miał okazję przebywać w towarzystwie osoby, która wydawała się taka... czysta.

Zbyt czysta, żeby brukać się znajomością z markizem St. Aubynem. Cóż, zobaczymy. Jeszcze będzie błagała go o więcej. I wszyscy dowiedzą się o jej hańbie.

Znowu otworzył kopertę zegarka. Zostały jej dwie minuty. Jeśli panna Ruddick zaraz się nie zjawi, pójdzie po nią na górę. Zamknął wieczko. Właściwie, po co czekać?

- Saint?

125

Odwrócił się i zobaczył, że Evelyn stoi u stóp schodów. Jej policzki płonęły, pierś falowała.

- Czas się skończył - warknął St. Aubyn. Panna Ruddick nie ruszyła się z miejsca.

- Myślałam.

Evelyn nie wyglądała na zapłakaną ani nie błagała go, żeby pozwolił jej zajmować się sierotami i nie burzył Ufnego Serca.

- O czym? - spytał podejrziwie.

- O tym, że pan niczego nie robi za darmo.

Była zdenerwowana, ale nie tylko. Saint wyraźnie czuł napięcie w powietrzu.

- I? - ponaglił ją, nagle czujny.

- Zastanawiałam się, jakiej ceny zażądałby pan za zmianę planów wobec sierocińca - powiedziała tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

O nie, nie był głupcem. Anioł coś knuł. Z drugiej strony, nie miałby nic przeciwko temu, żeby ujrzeć ją nagą. Mimo to...

- Sądziłem, że moja osoba budzi w pani wstręt.

- Byłam zła.

- A już pani nie jest? - Nawet nie próbował ukryć powątpiewania.

- Nie rozumiem, jak pan może planować likwidację sierocińca. Pańska matka...

- Na litość boską! Jeśli rozmawiamy o uwodzeniu, proszę nie wspominać mojej matki.

- Przepraszam - powiedziała Evelyn z nerwowym grymasem. - Nie mam doświadczenia.

- W czym?

- Chce mnie pan zmusić, żebym powiedziała to na głos? Saint zbliżył się do niej bez pośpiechu.

- Tak.

Przywarł wargami do jej ust. Zamierzała wymusić na nim różne obietnice i gdyby wybrała odpowiednią chwilę, zgodziłby się na wszystko. Sama rozmowa go podniecała.

126

Oczywiście wysłuchałby bardzo uważnie jej próśb. Doświadczenie nauczyło go, że istnieje więcej niż jeden sposób na uwiedzenie kobiety... i więcej niż jeden sposób na pozbycie się sierocińca.

Uniósł głowę, ale Evelyn wspięła się na palce i wsunęła dłonie w jego włosy. Saint otoczył ramieniem jej smukłą talię i przyciągnął ją do siebie.

- Nadal musi pani to powiedzieć, Evelyn Marie - szepnął. Sale lekcyjne były najlepszym miejscem, jakie w tej chwili przychodziło mu do głowy. Drzwi nie zamykały się na klucz, ale wszystkie dzieci sądziły, że ich panna Evie już sobie poszła. - Słucham.

-Ja... - zaczęła, patrząc na jego usta. - Ale muszę wiedzieć, czy zrezygnuje pan ze zburzenia sierocińca, jeśli ja... jeśli... Na Lucyfera! Anioły potrafią być irytujące.

- Jeśli pani mi się odda - podpowiedział, wyjmując szpilki z jej włosów.

Kasztanowe sploty o zapachu cytryny rozsypały się po jego dłoniach. -Tak. Saint pokręcił głową.

- Całym zdaniem, proszę.

Jej policzki płonęły, usta były nabrzmięte, piersi mocno przyciśnięte do jego torsu.

- Jeśli się panu oddam - wyszeptała.

Choć logiczne myślenie stawało się coraz trudniejsze, St. Aubyn doszedł do wniosku, że sposób, w jaki Evelyn sformułowała warunek odnośnie sierocińca, zostawia mu duże pole do manewru.

- Umowa stoi.

-Ale nie tutaj - zastrzegła i jęknęła cicho, kiedy ujął w dłonie jej piersi. - Dzieci...

- A może w klasie?

Znowu ją pocałował, zaskoczony siłą swojego pożądania. Owszem, wypościł się przez ostatnie trzy tygodnie, ale te-

127

raz był rozgorączkowany jak młokos. I pragnął Evelyn Marie, a nie pierwszej lepszej kobiety do zaspokojenia żądz.

- Nie, Saint, proszę.

- W sali narad.

- W piwnicy - wykrztusiła Evelyn. - Już po śniadaniu i...

- Dobrze - zgodził się skwapliwie, wziął ją za rękę i pociągnął w stronę schodów.

W tym momencie wystarczyłby mu kawałek klepiska.

- Ale moje włosy - zaprotestowała Evie.

- Zejdziemy na dół inną drogą. Nikt nas nie zobaczy. Do podziemia prowadziły dwie pary schodów: jedne

z kuchni, drugie z dawnej kancelarii koszar.

Idąc przez hol, Saint wziął lampę ze stolika. Otworzywszy drzwi biura, przygarnął do siebie Evelyn.

- Jesteś pewna? - zapytał.

Dobrze, że postanowiła mu ulec, bo nie był pewien, jak długo jeszcze by wytrzymał i nie oszalał.

- Okna - wykrztusiła Evie, ściskając klapy jego surduta.

- Będiesz krzyczeć z rozkoszy - wyszeptał Saint. Gdyby zostali tu jeszcze chwilę dłużej, on, taki dumny

z własnej samokontroli, nie dałby rady dalej iść na miękkich nogach. Ujął dłoń Evelyn i poprowadził ją do drugich drzwi. Na dole przycisnął ją do kamiennej ściany i sięgnął wygłodniałymi ustami do jej warg. Nareszcie sami. Mieli dla siebie, co najmniej godzinę, póki kucharki nie zaczną szykować obiadu.

- Evelyn - jęknął, całując jej szyję.

- Przykro mi, Saint - powiedziała, oddychając urywanie. St. Aubyn otoczył ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie.

- Z jakiego powodu? - zapytał cicho.

- To dla twojego dobra.

- Co...

Słyszając za sobą kroki, Saint odwrócił się błyskawicznie, ale w tym momencie coś ciężkiego uderzyło go w skroń. Zdążył jedynie wymamrotać przekleństwo i runął na ziemię.

128

Evelyn w osłupieniu patrzyła na St. Aubyna leżącego u jej stóp. Nie mogła się poruszyć ani wydobyć z siebie głosu. Niemal żałowała, że nie są sami w piwnicy i że Saint nie wypełni obietnicy doprowadzenia jej do rozkoszy.

Randall opuścił dębową nogę od łóżka.

- Od roku miałem ochotę to zrobić.

Evelyn w końcu się otrząsnęła i uklękła obok nieprzytomnego markiza.

- Oddycha - stwierdziła z ulgą.

Choć był nieznośny, nie chciała, żeby umarł. Na samą myśl poczuła wielki smutek.

- Jasne, że oddycha - powiedział Randall, wyraźnie urażony, że ktoś może wątpić w jego doświadczenie. - Zanieśmy go do lochu, zanim wścibska Nelly przyjdzie do spiżarni po jabłka.

- Wścibska Nelly? - powtórzyła Evie, odgarniając włosy z czoła Sainta.

Za jego uchem dostrzegła strużkę krwi. Upewniła się jeszcze raz, że jego serce bije mocno. Wyglądał tak... niewinnie. Z twarzy zniknął cyniczny wyraz. Z najpiękniejszego męskiego oblicza, jakie w życiu widziała.

- Jedna z pomocy kuchennych. Chodźcie, chłopaki. Musimy go dźwignąć, bo inaczej zostawimy ślady.

Randall rzeczywiście dużo wiedział o porwaniach. Evelyn wstała i odsunęła się na bok, a sześciu starszych chłopców chwyciło nieprzytomnego za ręce i nogi. Podnieśli go, stękając.

- Ostrożnie - uprzedziła Evie, idąc ze świecą w stronę wąskich, ukrytych drzwi.

- Teraz tak pani mówi - obruszył się Matthew. - A niech pani sobie przypomni, co chciał z nami zrobić.

Evelyn zadrzała. W Londynie szeptano, że St. Aubyn zabił kilku ludzi w pojedynkach. A teraz spotkało go coś gorszego niż obraza honoru. Jednocześnie nadal była oszołomiona i trochę rozczarowana, że Saint już jej nie uwiedzie.

Wcześniej chłopcy rzucili w kąt pomieszczenia całkiem

129

porządny siennik i czyste koce, wypędzili pająki i osadzili dwie świece w ściennych uchwytych. Mając niecałe piętnaście minut, sprawnie przygotowali celę dla więźnia.

Niestety cisnęli markiza na materac z mniejszą troską, niż Evelyn by sobie życzyła. Saint jęknął.

- Zakujmy go w kajdany! - krzyknął Adam Henson.

- Zaczekajcie! - powstrzymała ich Evelyn. - Nie zróbcie mu krzywdy!

- Za późno, panno Evie. St. Aubyn każe nas wtrącić do więzienia albo zesać do Australii.

- Albo powiesić - dodał Randall, mocując łańcuchy na nogach i rękach markiza.

- Mamy przynajmniej klucz? - spytała Evie. Zaczęło kręcić się jej w głowie.

- Tak. I do drzwi też.

- Dajcie je mnie.

Matthew posłusznie wręczył jej mosiężne klucze. Evelyn schowała je do kieszeni i usiadła ciężko na stołku. Na Boga, co ona najlepszego zrobiła?! Z drugiej strony, gdyby nie ona, Randall i jego koledzy znaleźliby bardziej radykalny sposób pozbycia się kłopotu. A tak przynajmniej mogła go chronić do pewnego stopnia.

- Budzi się - stwierdził Adam.

- Dobrze, teraz wyjdźcie wszyscy. Nie chcę, żeby was zobaczył. Zamknijcie drzwi, ale zostawcie świecę na schodach. Starajcie się zachowywać normalnie.

Randall uśmiechnął się szeroko.

- Jeszcze zrobimy z pani przestępczynię, panno Evie. Nic nie wskazywało na to, żeby potrzebowała w tej kwestii ich pomocy.

- Idźcie już. Szybko.

Gdy tylko zamknęli za sobą zakratowane drzwi, Saint ocknął się tak raptownie, że wystraszył Evie. Z cichym jękiem dźwignął się na kolana, podpierając rękami.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała Evelyn drżącym głosem.

130

- Co się stało, u licha? - warknął markiz, dotykając skroni. Na jego palcach została krew.

- To długa historia. Potrzebuje pan pomocy medycznej?

Oczywiście nie mogli wezwać lekarza, chyba, że rana zagrażałaby życiu St. Aubyna. W razie konieczności Evie spróbowałaby ją zaszyć, choć na samą myśl robiło się jej słabo.

- Nie. Wystarczy pistolet. Kto mnie uderzył?

Nadal klęcząc, St. Aubyn wyprostował się powoli i wpił w nią spojrzenie.

- Nie mogę powiedzieć.

Markiz rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Gdzie jesteśmy? Nic się pani nie stało?

- Mnie? Nic. Muszę...

Saint wstał chwiejnie, jedną ręką opierając się o ścianę.

- Nie martw się, Evelyn. Wydostanę nas stąd. A niech to! Postanowił być rycerski.

- Saint, nie rozumie pan. Ja nie jestem uwięziona, tylko pan. Gdy Evelyn zobaczyła, że dotarł do niego sens jej słów,

nabrała powietrza, żeby mu wszystko wyjaśnić, ale St. Aubyn skoczył na nią jak tygrys.

-Ty...

Łańcuch się napiął i Saint runął na ziemię niemal u jej stóp, a Evelyn z okrzykiem szarpnęła się do tyłu i spadła ze stołka. Markiz chciał złapać ją za kostkę, ale nie dał rady, bo podciągnęła kolana pod brodę.

- Proszę przestać! Zrobi pan sobie krzywdę! - wysapała, odpelzając od niego pospiesznie.

Wiedziała, że zniszczy sobie suknię, ale gdyby ją złapał, byłoby to jej najmniejsze zmartwienie.

Nagle z jej kieszeni z brzękiem wypadły klucze. Saint rzucił się po nie, ale zabrakło mu łańcucha. Zaczął drapać palcami klepisko, żeby ich dosięgnąć, lecz Evelyn chwyciła je szybko i schowała.

- Dawaj te cholerne klucze! - ryknął markiz.

To był St. Aubyn, którego wszyscy się bali, pozbawio-

131

ny warstewki ogłady. Obudziła w nim bestię, a znajdowała się z nim sam na sam w piwnicy i nie mogła nikogo wezwać na pomoc.

- Proszę się uspokoić - rzuciła surowo, cofając się jeszcze dalej, mimo że nie zdołałby jej dopaść.

Saint przycałił się jak do skoku. Błysk furii w jego zielonych oczach zmroził krew w żyłach Evelyn.

- Uspokoić? - warknął, wycierając brudną ręką krew z policzka. - Jestem przykuty do ściany, Bóg wie gdzie i...

- W piwnicy sierocińca, chyba w dawnym lochu - podpowiedziała Evie, siadając prosto.

Oczy markiza śledziły każdy jej ruch.

- Dlaczego jestem w kajdanach? - zapytał groźnym tonem. - Kto mnie uderzył?

Wszystko wskazywało na to, że próby racjonalnej rozmowy były skazane na niepowodzenie, bo tylko jeszcze bardziej rozwścieczyłyby St. Aubyna. Evie oparła się o ścianę i wstała.

- Myślę, że powinien pan trochę ochłonać - stwierdziła lekko drżącym głosem. - Przyniosę wodę i opatrunki.

Ruszyła do drzwi. Saint się wyprostował.

- Nie zostawi mnie pani tutaj. To niedorzeczne. Daj mi klucze, Evelyn, Natychmiast.

- Nie mogę. I wcale pana nie zostawiam. Wrócę za kilka minut.

Markiz zmierzył ją wzrokiem.

- Jeśli zaraz nie dostanę kluczy, lepiej niech pani się modli, żebym nigdy stąd nie wyszedł - ostrzegł. - Ponieważ pierwszą osobą, którą dopadnę, będzie pani.

Tak. St. Aubyn na pewno dopilnuje, żeby ją aresztowano. Evie przełknęła ślinę.

- Jeśli chce pan kiedyś się stąd wydostać, proszę lepiej nie mówić takich rzeczy - poradziła i wyszła z lochu.

"Choć towarzysze od pucharu Chcą ból w wesołej gnać godzinie, Rozpalać duszę mą do żaru, Serce samotne przecież ginie."

Lord Byron, „Cios jeszcze jeden"

Saint zamarł, kiedy szcęknął zamek w jego celi. Potem usłyszał stuk butów Evelyn wspinającej się po schodach. Siedmiu... nie, ośmiu. Skrzypnęły drugie drzwi, a następnie zapadła całkowita cisza.

Jeszcze przez chwilę stał bez ruchu, wyteżając słuch. Żadnego odgłosu.

Całe ubranie miał pokryte kurzem. Czuł go również pod paznokciami i w ustach. Splunął na ziemię i wrócił na ciśnięty w kąt materac.

Zardzewiałe żelazo kajdan już zniszczyło skórę jego drogich butów, tuż nad kostką.

Na próbę szarpnął łańcuch. Bez rezultatu. Ogniwo po ogniwie dotarł do pierścienia zamocowanego w ścianie. Wszystko było solidne, jakby zrobione przed tygodniem, a nie przed wiekiem.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami i zaczął przeszukiwać kieszenie. Trochę pieniędzy, chusteczka, zegarek, guzik,

133

który nie należał do niego - pewnie od sukni Fatimy. Nic, co pomogłoby w ucieczce.

Dotknął rozcięcia na skroni. Był skończonym idiotą. Dlaczego sądził, że Evelyn naprawdę postanowiła mu się oddać? Bo chciał tak myśleć. Zachowywała się dziwnie przez cały ranek, potem go zwymyślała, a dwadzieścia minut później on uwierzył, że panna Ruddick oferuje mu swoje ciało jako łapówkę.

Nie docenił jej. Ta myśl, o dziwo, sprawiła mu przyjemność. Bywał w różnych opałach, lecz jeszcze nigdy zazdrosny mąż czy kochanek nie zamknął go w piwnicy.

- Cholera!

Znowu szarpnął łańcuch, ale tylko rozciął palec ostrym ogniwem.

Nie wiedział, jaką nauczkę chce dać mu panna Ruddick, lecz nie zamierzał pokornie jej przyjąć. Niedoczekanie. Musiał jedynie poznać plany Evelyn, a następnie wykorzystać tę wiedzę, żeby się uwolnić. A potem... zemsta będzie słodka i zajmie bardzo dużo czasu.

Gdyby nie spojrział na zegarek, uznałby, że minęło więcej niż trzydzieści siedem minut, nim drzwi na szczycie ośmiu schodów ponownie zaskrzypiały. Zerwał się z siennika tak gwałtownie, że zakreśliło mu się w głowie.

Gdy w zamku zachrobotał klucz, St. Aubyn oparł się o ścianę i skrzyżował ramiona na piersi. Może dziewczyna zapomni, jak daleko sięga łańcuch?

- Saint?

Nie odpowiedział, oceniając odległość do drzwi. Dobre sześć stóp. Ten, kto budował loch, zadbał o to, żeby nikt stąd nie uciekł.

- Dobrze, że trochę się pan uspokoił - powiedziała Evelyn. Zdążyła otrząść suknię z kurzu i upiąć włosy, ale nadal była zarumieniona i lekko wytrącona z równowagi. -Czy teraz pan mnie wysłucha?

- Tak. Chciałbym usłyszeć, jak uderzyła mnie pani w głowę i porwała... „dla mojego dobra”.

134

- Lady Gladstone stwierdziła kiedyś, że jest pan taki zły, że nie musi być dobry.

Fatima miała więcej rozumu, niż przypuszczał.

- A pani nie zgadza się z tą opinią, tak?

- Owszem. - Evelyn cofnęła się za drzwi i za chwilę wróciła z tacą. - Woda i ręcznik, tak jak obiecałam.

Saint obserwował ją uważnie. Napiął mięśnie, gotowy do skoku w razie najmniejszego błędu z jej strony.

Niestety postawiła przyniesione rzeczy daleko od niego, po czym sięgnęła za drzwi, od niewidocznego pomocnika wzięła kij od miotły i popchnęła nim tacę w jego stronę.

- Na pewno nigdy wcześniej pani tego nie robiła? - zapytał Saint z przekąsem.

- Oczywiście, że nie.

- Nie to miałem na myśli, kiedy mówiłem, że zamierzam być pani pierwszym mężczyzną.

Evelyn zarumieniła się jeszcze bardziej, szepnęła coś do osoby stojącej na zewnątrz i zamknęła drzwi.

- Rozumiem, że jest pan zły - powiedziała, siadając na stołku. - Został pan uderzony w głowę i uwięziony.

- Pani to zrobiła.

- Ktoś musiał.

Saint zmrużył oczy. Zwykle lubił ich rozmowy, ale wtedy nie był przykuty do ściany.

- Słucham z uwagą.

- To dobrze. Zabrałam panu wolność, zanim pan czegoś mnie pozbawił.

- Dziewictwa? - podsunął St. Aubyn. - Sama pani mi je zaoferowała.

- Nie! To był podstęp.

- Kłamczucha.

- Proszę przestać! Zamierza pan odebrać dom sierotom, a mnie sposobność zrobienia czegoś pożytecznego, szansę wprowadzenia zmian. Jest pan taki sam jak inni mężczyźni.

Zabrzmiało to obraźliwie.

135

- Nieprawda.

- Owszem. Victor wysyła mnie na rozmowy z okropnymi starcami, którzy uważają mnie za czarującą. Nie obchodzi go, że muszę ich okłamywać, jacy są interesujący. Polityczne herbatki, w których każe mi brać udział, są bezsensowne. Zwykle marnowanie czasu, A pan... jest jeszcze gorszy.

- Proszę mówić dalej.

- Pozwolił mi pan przychodzić do sierocińca, bo uznał, że w ten sposób łatwiej mnie zdobędzie. Jest pan przystojny i... pociągający, ale ja mam swój rozum. Nie zna pan mnie ani dzieci, które całkowicie od pana zależą. Są dla pana kulą u nogi.

Anioł był wygadany. Saint nigdy by tego nie podejrzewał, ale w tym momencie jakos' nie potrafił docenić elokwencji panny Ruddick.

- Skończyła pani? - warknął.

- Jeszcze nie. Tak się składa, że ma pan teraz mnóstwo czasu. I ktoś inny osądzi, czy powinien pan zostać puszczony wolno. - Evelyn wstała ze stołka. - Niech pan pomyśli, lordzie St. Aubyn, czy ktokolwiek będzie za panem tęsknił, jeśli pan się nie pojawi?

Saintowi przebiegł po plecach chłodny dreszcz.

- Proszę się zastanowić, co pani robi - powiedział. Właśnie zaczął sobie uświadamiać, w jakim znalazł się położeniu. - Jeśli natychmiast pani mnie nie wypuści, czy kiedykolwiek będzie mogła pani to zrobić?

Evelyn zatrzymała się z ręką na kłamce.

- Mam nadzieję, że tak. Jest pan inteligentny. Sądzę, że może pan stać się dobrym człowiekiem. Pora czegoś się nauczyć.

Zamknęła drzwi na klucz i oparła się o ścianę. Nigdy w życiu nie przemawiała do nikogo w taki sposób. Była zadowolona, że nareszcie wyraziła swoje myśli na głos.

136

Z drugiej strony, sytuacja ją przerażała. Nie mogła pozwolić, żeby markizowi stała się jakaś krzywda, ani dopuścić do tego, żeby oskarżył sieroty o uprowadzenie.

- Proszę, Saint, zrozum - wyszeptała zdławionym głosem.

Rozmowa poszła lepiej, niż Evie się spodziewała, zwłaszcza, że nie była pewna, co powiedzieć, póki nie zaczęła mówić. Jego drapieżny wzrok niepokoił ją i jednocześnie podniecał. Poza tym wołała groźną minę niż krzyk i próby ataku.

Niewykluczone, że St. Aubyn w końcu przyzna, że musiała uciec się do radykalnych środków, żeby zmienić go w prawdziwego dżentelmena. Mimo że porwania nie było na liście, którą ułożyły z Lucindą i Georgianą. Evelyn pociągnęła nosem, wytarła oczy i uśmiechnęła się blado. Rok temu martwiły się, że Georgie przesadziła, ale lord Dare ze spokojem zniósł jej manewry.

Evie poszła do sali balowej i udzieliła lekcji walca, a kiedy wychowanków zawołano na obiad, wydała najstarszym ostatnie polecenia.

- Musimy go uwolnić? ~ zapytała Molly z ponurą miną.

- Oczywiście, że tak. I bądźcie dla niego mili. Markizowi nie podoba się, że siedzi w piwnicy. Musimy mu pokazać, że należy troszczyć się nie tylko o siebie.

- A jeśli to nie podziela? - odezwał się Randall, mrugając okiem.

- Podziela - zapewniła go Evie z przekonaniem, którego wcale nie czuła. Uważała jednak, że plan się nie powiedzie, jeśli St. Aubyn nie zostanie zmuszony do lepszego poznania dzieci znajdujących się pod jego opieką. - Z początku zapewne będzie niemiły. Musimy nauczyć go lepszych manier.

-Ja mogę pokazać mu kilka - zaproponowała Alice Smythe.

Evelyn tego właśnie się obawiała. Dobrze wiedziała, ja-

137

ki czarujący potrafi być Saint. Sama już nigdy więcej nie pozwoli mu się pocałować, ale te dziewczęta... te młode kobiety, mogą okazać się podatne na jego urok.

- Tylko pamiętajcie, że lord St. Aubyn jest bardzo podstępny, i dlatego nie wolno wam chodzić do niego pojedynczo. Ja zatrzymam klucze do kajdan, żeby nie próbował ich od was wydostać.

- Myślę, że jest na niego łatwiejszy sposób. - Randall wyciągnął z kieszeni spodni mały nóż. Na niebiosa!

- Nie. Lepiej mieć lorda St. Aubyna po swojej stronie, niż go zabijać. Przrzeknijcie, że nie zrobicie mu krzywdy.

- Chce pani obietnicy? Od nas?

- Tak. I spodziewam się, że jej dotrzymacie. Randall dźgnął ostrzem w nogę łóżka.

- Dobrze. Obiecujemy.

Gdy reszta dzieci powtórzyła za nim te słowa, Evie odetchnęła z ulgą. One też musiały jeszcze się dużo nauczyć. I to było jej zadanie.

- A zatem do jutra. I powodzenia.

Spóźniła się do Barrett House tylko dwadzieścia minut, ale miała wrażenie, że straciła dużo więcej czasu. Zaraz wszyscy się domyślą, że porwała St. Aubyna i przetrzymuje go w piwnicy sierocińca Ufne Serce.

- Evie! - zawołała Lucinda na jej widok i wstała z sofy. -Już się o ciebie martwiłyśmy.

Evelyn roześmiała się beztrudnie, podeszła do kanapy i cmoknęła Georgianę w policzek.

- Chyba aż tak bardzo się nie spóźniłam?

- Nie, ale zwykle jesteś punktualna.

- Bawiłam się z dziećmi.

- A twoja suknia? - spytała Lucinda.

Evie spojrzała w dół. Choć próbowała się doczyścić, na materiale nadal widniały brudne smugi.

138

- No, no! - wykrzyknęła ze śmiechem. - Chyba za dobrze się bawiłam.

- A włosy? - Georgie dotknęła kosmyka, który wymknął się z niedbale upiętego koka. Do licha!
- Dziewczynki i ja czesałyśmy się nawzajem. Strasznie wyglądam?
- Lucinda się roześmiała.
- Każę Helenie doprowadzić cię do porządku, zanim wyjdiesz.
- Potem jak zwykle zaczęły gawędzić o wydarzeniach ostatniego tygodnia. Georgiana uraczyła je opowieścią o najmłodszym bracie męża, Edwardzie, który właśnie skończył dziewięć lat. Evie powoli się odprężała, choć nie dawał jej spokoju obraz Sainta przykutego do ściany piwnicy, podczas gdy ona jadła ciastka, piła herbatę i gawędziła z przyjaciółkami.
- A jak twoje lekcje? - zapytała Lucinda.
- Jakie lekcje?
- No wiesz, z St. Aubynem. A może postanowiłaś skorzystać z naszej rady i wybrać sobie innego ucznia?
- Nie widziałam go dzisiaj - odparła Evie pospiesznie. Do diaska, ależ z niej idiotka! - I... - Udała, że nie widzi spojrzeń, które wymieniły między sobą przyjaciółki. -Prawdę mówiąc, markiz jest większym wyzwaniem, niż się spodziewałam.
- Więc zapomnisz o nim? - Georgiana ujęła jej dłoń. -Nie chodzi o to, że w ciebie wątpimy, ale on wydaje się...
- Okropny - dokończyła Lucinda. - I niebezpieczny.
- Sądziłam, że właśnie w tym rzecz, żeby wybrać kogoś okropnego - zauważyła Evelyn. - Ty sama, Georgie, kiedyś wciąż nam powtarzałaś, że Dare to najgorszy mężczyzna w Anglii. Myślałam, że właśnie, dlatego został twoim uczniem.
- Wiem. - Wicehrabina uśmiechnęła się lekko. - Ale ja

139

- miałam osobiste powody, żeby udzielić mu paru lekcji. Ciebie nic nie łączy z St. Aubynem. Teraz już tak.
- Mimo to jestem zdecydowana zrobić z niego dżentelmena - oświadczyła Evie. - Pomyślcie o tych wszystkich dziewczinach, które mogą uratować.
- Lucinda otoczyła ją ramieniem.
- Lepiej pomyśl o sobie. Obiecuj, że będziesz ostrożna.
- Obiecuję - powtórzyła Evelyn posłusznie. Jednocześnie zastanawiała się, czy Saint przypadkiem nie ma na nią większego wpływu niż ona na niego. Nigdy do tej pory nie kłamała.
- To dobrze. A jeśli potrzebujesz dzisiaj rozrywki, zatańczę z twoim bratem - powiedziała Lucinda z uśmiechem.
- Evie zmarszczyła brwi.
- Dzisiaj?
- Bał u Sweeneyów, moja droga. O ile wiem, nawet St. Aubyn został zaproszony.
- Wnętrznosci Evelyn zmieniły się w lód.
- Miała nadzieję, że przed balem zdąży zajrzeć do Sainta, ale zanim wróciła do domu i przebrała się, brat już na nią czekał, spacerując po holu. Genevieve Ruddick też już była gotowa.
- Chyba nie chcesz, żebyśmy przyszli pierwsi, Victorze? -zapytała, biorąc szal od Langleya,
- Owszem, chcę - odparł brat, ujmując matkę pod rękę i prowadząc ją do frontowych schodów. - Od tygodnia próbuję zamienić słowo z lordem Sweeneyem. On też był w Indiach. Nie trafi mi się lepsza okazja, żeby zapewnić sobie jego poparcie. Może nawet załatwi mi audiencję u Wellingtona.
- Evie stłumiła westchnienie.

- A co my mamy robić, kiedy ty będziesz prowadził swoją kampanię?

140

Victor spojrzął na nią jak na porcelanową lalkę, która nagle przemówiła.

- Oczywiście rozmawiać z lady Sweeney.

Evelyn przez chwilę zastanawiała się, czy nie wspomnieć, że więzi pewnego aroganckiego markiza, a w piwnicy jest druga para kajdan. Zamiast tego się uśmiechnęła.

- Dobrze.

Saint nie wiedział, która godzina, bo nie mógł dojrzeć tarczy zegarka. Był pewien jedynie tego, że jest rano, sądząc po burczeniu w brzuchu i kłującym zaroście.

Nie wiedział również, od jak dawna nie śpi, ale na pewno od wielu godzin. Jeśli nawet udawało mu się na chwilę zasnąć, dręczyły go niespokojne sny, w których mścił się na nagiej Evelyn Marie. Budził się rozpalony.

- Idiota - mruknął w ciemność.

Jego głos zabrzmiał głucho w małym pomieszczeniu. Panna Ruddick uknuła intrygę, porwała go i uwięziła, a mimo to jej pożałował. Nie miał pojęcia, jakiej lekcji chciała mu udzielić ta uparta, podstępna dziewczyna, ale nie zamierzał jej przyswoić.

Przez jakiś czas zastanawiał się nad jej ostatnimi słowami. Jego służba była przyzwyczajona do tego, że znikał na kilka dni bez słowa, a parlament niedawno odwiedził, więc nikt przed upływem tygodni nie zaniepokoił się jego nieobecnością. Z powodu Evelyn od dłuższego czasu nie miał kochanki, dlatego żadna kobieta nie zaczęła się uskarżać na zimne łóżko.

Jeśli chodzi o przyjaciół, tak naprawdę żaden mu nie pozostał. Niektórzy z dawnych kompanów sporządzili i się pożenili, inni zmarli z rozpusty, a on z zapalem oddał się nocnym szaleństwom Londynu.

Saint zadrzał. Jego myśli były czarne jak piwniczna cęla, odkąd zgasła ostatnia świeca. Uświadomił sobie, że nikt za nim nie zatęskni. Nie bał się śmierci; sam się dziwił, że

141

tak długo przeżył. Martwiło go raczej to, że zostanie całkiem zapomniany. Nikt nie będzie go opłakiwał, nikomu nie będzie go brakowało, nikt nawet nie zauważy jego zniknięcia.

Skrzypnęły drzwi. Saint usiadł prosto. Przez zakratowany otwór wpadła smuga światła i musnęła ścianę nad jego głową. W zamku zachrobotał klucz i chwilę później blask świecy zalał pomieszczenie. St. Aubyn zmrużył oczy. Minęła chwila, nim dostrzegł Evelyn.

- Och, nie wiedziałam, że siedzi pan w ciemności. Przepraszam! - wykrzyknęła. - Myślałam...

- Warunki istotnie nie są najlepsze. Kawy też pewnie nie dostanę? Ani gazety?

Za drzwiami dobiegło przekleństwo wypowiedziane z wyraźnym podziwem. Saint uniósł brew. Przynajmniej zrobił na kimś wrażenie.

- Jest kawa, a także chleb z masłem i pomarańcza - powiedziała Evelyn, wkładając świecę w uchwyt.

- Nie szczydziła pani sobie kosztów, żeby o mnie zadbać - stwierdził markiz sucho.

Panna Ruddick postawiła tacę na podłodze i pchnęła ją w jego stronę kijem od miotły. Saint przyciągnął ją do siebie, był zbyt głodny, żeby unieść się honorem.

- Dostał pan wczoraj kolację? - zapytała Evelyn, siadając na stołku poza jego zasięgiem.

- Ktoś otworzył drzwi i rzucił surowym ziemniakiem w moją głowę - odparł St. Aubyn, zabierając się do skromnego śniadania. - Postanowiłem zachować go na później.

- Tak mi przykro.

- Więc niech pani mnie wypuści. Albo przestanie przeproszać, na litość boską!

- Ma pan rację. Po prostu staram się dawać dobry przykład.

- Mnie? - Saint zamarł z kromką chleba uniesioną do ust. - Dziwne metody nauki manier.

142

- Przynajmniej zwróciłam pańską uwagę - odparowała Evie.

- Już wcześniej pani to zrobiła.

- Pana interesował raczej mój wygląd, natomiast teraz musi pan mnie wysłuchać. - Panna Ruddick złożyła ręce na kolanach, jakby siedziała w eleganckim salonie, a nie w brudnej piwnicy. - Więc, o czym porozmawiamy?

- O wyroku więzienia?

Evelyn zbladła tak bardzo, jakby zaraz miała zemdleć. Saint już chciał cofnąć swoje słowa, ale się powstrzymał. Niech dziewczyna nie myśli, że całkowicie panuje nad sytuacją.

- Na pewno dojdziemy w końcu do porozumienia - stwierdziła po dłuższej chwili. - Mam dużo czasu, żeby pana przekonać.

Szybko uczyła się reguł.

- Jak spędziła pani wieczór? - zapytał Saint uprzejmie.

- Byłam na balu u Sweeneyów. Powinien pan wiedzieć, że mój brat uznał pańską nieobecność za skutek jego ostrzeżenia.

St. Aubyn chrząknął.

- Szkoda, że go pani nie posłuchała.

Evelyn milczała przez chwilę, a kiedy Saint podniósł wzrok, przyłapał ją na tym, że go obserwuje. Zarumieniła się i udała, że poprawia spódnice.

- Mam dla pana propozycję. - Jaka?

- Przyniosę panu krzesło, jeśli poczyta pan dzieciom. Oczywiście mógł odmówić, ale od siedzenia na twardej podłodze bolały go plecy.

- Wygodne i miękkie - zażądał. Evelyn kiwnęła głową.

- W zamian za wygodne krzesło nauczy pan dzieci samogłosek.

- Pisząc na ziemi?

- Przyniosę panu tablicę. I podręcznik.

St. Aubyn odstawił pustą filiżankę na tacę i dźwignął się

143

z podłogi. Evelyn patrzyła na niego czujnie, kiedy zbliżył się do niej na tyle, na ile pozwalał mu łańcuch.

- I jeszcze jedną świecę.

Evelyn spojrzała mu w oczy i po chwili wahania powiedziała:

- Zgoda.

- Szkoda, że mnie pani nie lubi - rzekł Saint, ścisząc głos. - Przydałoby mi się teraz towarzystwo.

Evelyn uśmiechnęła się lekko.

- Zobaczę, co się da zrobić. - Ruszyła do drzwi. - Zajrzę do pana przed pójściem do domu.

Proszę się grzecznie zachowywać przy dzieciach.

- To nie o dzieci powinna się pani martwić.

Upewniwszy się, że zrozumiała, pchnął tacę nogą.

Nie musiał mieć daru jasnowidzenia, by wyczuć, że nadal podoba się Evelyn. Nie zostawiła go samego w ciemności, za co był bardziej wdzięczny, niż powinien. Mimo to tylko czekał na pierwszy fałszywy krok swojej porywaczki. Jeśli panna Ruddick sądziła, że on nie wykorzysta choćby najmniejszego błędu, bardzo się myliła.

"Kto się zestarzał na tej cierpień ziemi
 W czynach, nie w latach, i wynikł w głąb żywota,
 Że go nie wzruszy nic i nie oniemi -
 W kim miłość, sława i działań ochota
 Wciąż topi w serce ostrze swego grota,
 By go nie stępić - ten powiedziec umie,
 Czemu do jaskiń wiecie go tęsknota
 Pustych, acz rojnych: znajdzie się tam w tłumie
 Tych widm, co władną w duszy w nieosłabłej dumie"

Lord Byron: „Wędrowki Childe Harolda”,

pieśń III

- Co wy za jedni?

Mała dziewczynka przewróciła oczami.

- Ja jestem Rose, a to Peter i Thomas. Panna Evie kazała nam powiedzieć, że nie mamy żadnych kluczy.

Saint zacisnął usta. Evelyn najwyraźniej doszła do wniosku, że dzieciom nic nie grozi, skoro je do niego przysłała.

- Ale nie przynieśliście mi krzesła.

- Panna Evie powiedziała, że musi pan najpierw pokazać dobrą rolę.

- Chyba dobrą wolę?

- Nie wiem, mam dopiero siedem lat. Poczyta nam pan? Starszy z dwóch chłopców, Peter, pchnął w jego stronę

książkę z obrazkami. Evelyn chyba uprzedziła dzieci, żeby

145

się do niego nie zbliżały, bo cała trójka usiadła na ziemi obok drzwi.

Saint sięgnął po podręcznik.

- A czy panna Evie powiedziała, dlaczego miałbym wam czytać?

- Żeby dostać krzesło - odparł Thomas.

- I żeby nas pan polubił - dorzucił Peter.

- Żeby was polubił? - Tak, to miało sens. Panna Ruddick próbowała powstrzymać go przed zburzeniem sierocińca, zmiękczając jego serce. Szkoda, że go nie posiadał. -W takim razie zaczynajmy.

Choć nigdy nie zajmował się dziećmi, wkrótce musiał przyznać, że pokazywanie im liter jest lepsze niż siedzenie w samotności w mrocznej piwnicy. Przynajmniej miał jakieś towarzystwo.

- Jaki ładny widok! - dobiegł od drzwi głos Evelyn. -Lord St. Aubyn dobrze czyta bajki, prawda?

Rose pokiwała głową.

- Umie straszyć.

- Wcale nie jestem zdziwiona. No, pora na obiad. Tylko pamiętajcie, żeby iść kuchennymi schodami.

- Pamiętamy. I nikomu o nim nie powiemy.

- Świetnie.

Gdy dzieci wybiegły z celi, Saint pokręcił głową.

- Wspaniale! Uczenie przestępstwa od małego. To oszczędzi później kłopotu, nieprawdaż?

- Ja tylko poprosiłam, żeby dochowały sekretu ze względu na dobro całego sierocińca.

St. Aubyn zamknął książkę i odłożył ją na bok.

- Pani jedynie odwleka to, co nieuniknione. Potrafiłaby pani mnie zabić, Evelyn Marie?

Panna Ruddick nerwowo przełknęła ślinę.

- Nie mam zamiaru zrobić panu krzywdy.

- Zatem na miejscu Ufnego Serca powstanie kolejny park regenta.

146

- Nie, jeśli zmieni pan zdanie.

- Nie zmienię. Gdzie moi następni uczniowie?

- Zostałam tylko ja. - Evelyn obejrzała się przez ramię. - Ale obiecałam panu krzesło.

Usunęła się na bok, a Randall i Matthew wtaszczyli do środka ciężki, wyściełany mebel, prawdopodobnie pochodzący z sali rady. Czujnie zerkając na więźnia, chłopcy pchnęli fotel w jego stronę.

- Wystarczy - powiedziała Evie. - Markiz sam go sobie przyciągnie.

- Tak jest, kapitanie - odparł Matthew z szerokim uśmiechem.

Evelyn wolałaby, żeby nie okazywali, jak dobrze się bawią, zwłaszcza w obecności St. Aubyna, który z kamienną twarzą obserwował podopiecznych, póki nie wyszli z celi i nie zamknęli za sobą drzwi.

- Jeden z członków rady ostrzegał mnie, że Ufne Serce to schronienie dla złodziei - rzekł markiz. - Zdaje się, że miał rację.

- Nie uważam, żeby dbanie o czyjaś wygodę było przestępstwem - odparowała Evelyn. - A zresztą ten fotel to własność sierocińca. My tylko ją przemieściliśmy.

Saint wstał z przeciągłym stęknieniem.

- Plecy tak mnie bołą, że nie będę tracił czasu na jałowe spory.

Bez wysiłku zaciągnął fotel w kąt, obok siennika.

Wyglądał na zmęczonego, a poza tym bardzo przydałaby mu się brzytwa. Eleganckie ubranie było pokryte kurzem, przez policzek biegła krwawa smuga. Choć Evie zawsze uważała go za atrakcyjnego, teraz, o dziwo, jeszcze bardziej się jej podobał.

- Obmyśla pani następną torturę? - zapytał, opadając na fotel z westchnieniem prawdziwej ulgi.

- Powinien się pan ogolić - stwierdziła Evelyn. Czują, że płoną jej policzki.

147

- Cóż, mam tylko dewizkę od zegarka, a trudno uznać ją za ostrą.

- Zobaczą, co się da zrobić. - Evie usiadła na stołku. - Chyba pora wyjaśnić sytuację.

Saint odchylił się na oparcie fotela i zamknął oczy.

- Myślałam, że już to pani zrobiła. Jestem tutaj, bo odebrałam pani jedyną szansę na zbawienie świata.

- Rose mieszka w Ufnym Sercu od drugiego roku życia. Podobnie Matthew, a Molly - odkąd skończyła trzy i pół roku. To ich dom.

- Równie dobrze mogą zamieszkać w innym domu. Takim, którym nie będę musiał się opiekować. Niech pani tam zgłosi się na ochotnika.

- Nie o to chodzi. Te dzieci są jak bracia i siostry, a pan chce je rozdzielić, bo dla pana sierociniec to kula u nogi.

Markiz otworzył oczy.

- To za mało powiedziane. Moja matka i jej biedne sieroty! Śmieszne! Zawsze się bała, że zarażą ją jakąś okropną chorobą. Jej oddanie przejawiało się w jednej krótkiej wizycie na miesiąc.

- Już pan to mówił.

St. Aubyn pokiwał głową.

- I kiedy zachorowała na odrę, obwiniła o to dzieciaki. Mimo to w ostatniej woli przekazała mi opiekę nad Ufnym Sercem. Nie zdążyła jej zmienić. - Saint zaśmiał się niewesoło. - Obarczyła mnie swoimi skarbami, które ją zabiły.

Evelyn stwierdziła, że niechęć markiza do sierocińca jest większa, niż sądziła. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

- To tylko dzieci, które nie mają nikogo, kto by się o nie troszczył.

Saint skrzyżował nogi w kostkach, pobrzękując łańcuchem. Znowu zamknął oczy.

- Mają panią, Evelyn. Tylko, że pani nawet rodzinie wstydzi się przyznać do swojego zaangażowania.

- Nie wstydzę się, tylko muszę zachować je w sekrecie ze

148

względu na brata, który inaczej pojmuję moje obowiązki.

- A czy kiedyś zadała sobie pani pytanie, po co uczyć je walca albo czytania? Gdy skończą osiemnaście lat, odejdą stąd, a ja jakoś nie potrafię wyobrazić sobie praktycznego zastosowania umiejętności, które próbuje pani im wpoić. Nie licząc oczywiście, w przypadku dziewcząt, tańczenia w spelunkach i czekania, aż ktoś rzuci im pensa za zadarcie spódnicy.

Evelyn splotła dłonie, żeby ich drżenie nie zdradziło, jak bardzo zdenerwowały ją słowa markiza.

- Taniec i czytanie to środki do celu, milordzie - oświadczyła sucho. - Przede wszystkim chodzi mi o pokazanie im, że nie cały świat jest zamieszkały przez pozbawionych serca, egoistycznych i aroganckich osobników, takich jak pan.

- Odważne słowa, moja droga - powiedział Saint, patrząc na nią spod uchylonych powiek. - Póki jestem przykuty do ściany. Może okazałaby mi pani odrobinę dobroci i przyniosła obiad. Rano zjadł tak mało, że już umierał z głodu.

- Dzieci coś panu przyniosą, kiedy zjawią się na popołudniową lekcję. - Evelyn wstała ze stołka i otrzepała spódnice. - Ma pan w ogóle serce?

- Gdybym je miał, nie zamykałaby mnie pani w lochu. A przy okazji, skoro pani chce, żebym uczył dzieci liter, przydałoby mi się pióro i papier.

- Oczywiście. Wpadnę do pana przed powrotem do domu.

Zostawiła go rozpartego w fotelu. Wiedziała, że przekonanie markiza, żeby nie likwidował sierocińca, będzie w tych okolicznościach trudnym zadaniem. Ale miała po swojej stronie jedną rzecz: czas. Czas i cierpliwość. Poza tym mogła liczyć tylko na szczęście.

Gdy pod koniec dnia wróciła do celi, St. Aubyn nie był bardziej skłonny do współpracy niż rano. Wcale mu się nie dziwiła. Gdyby ją zamknięto samą w piwnicy na całą noc, chyba wpadłaby z histerią. Dlatego pomyślała o zapasie

149

świec, żeby nie musiał siedzieć po ciemku. Nie miała najmniejszej ochoty zostawić go i iść do domu.

Kiedy przebierała się w domu do kolacji, powtarzała sobie w duchu, że zasłużył na takie traktowanie.

- Evie, ty w ogóle mnie nie słuchasz.

Victor tak energicznie odstawił kieliszek, że madera wy-chlapała się na obrus. Lokaj pospiesznie wytarł czerwoną plamę i dołał trunku.

- Mówiłam, że trochę boli mnie głowa.

Ledwo tknęła jedzenie, a przecież potrzebowała sił na następną rundę słownego pojedynku z St. Aubynem. Z niechęcią wróciła do skubania pieczonego bażanta.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś jednak się skupiła. Lord Gladstone zaprosił nas jutro na kolację. Odpisałem, że przyjdziemy.

Evelyn się zakrztusiła.

- Podobno lady Gladstone wspomniała mi o mnie, a ciebie uznała za czarującą. Postaraj się zasłużyć na tę opinię. Plimpton bezczelnie im się podlizuje, więc może to być nasza ostatnia szansa.

- Nie wolisz, żeby mama poszła zamiast mnie? Dużo lepiej sobie radzi z uprzejmą konwersacją i...

- Chcę, żebyś ty poszła. Ciebie lady Gladstone już zna. Dobrze, że kazałem ci zawrzeć z nią znajomość. Zrobiłaś korzystne wrażenie. Dziękuję.

- Wiesz, lady Gladstone i ten okropny St. Aubyn podobno są kochankami - odezwała się matka.

- A właśnie! - wtrącił Victor. - Evie, nie wspominaj o tym łotrze w domu Gladstone'a. Jeszcze dostanie apopleksji, i co wtedy?

- Ale nie masz nic przeciwko temu, żebym zaprzyjaźniła się z lady Gladstone?

Brat zmarszczył brwi.

- Dzięki niej zostaliśmy zaproszeni.

- Nawet, jeśli wzięła sobie kochanka za plecami męża?

150

Sądziłam, że w swojej kampanii kładziesz nacisk na moralność.

- Ludzie lubią słuchać takich rzeczy, więc masz mówić to samo. A przy okazji, St. Aubyn za tobą również się oglądał, o ile sobie przypominam. Czy ty za nim, żeby mnie zdenerwować?

- Ani jedno, ani drugie - odparła siostra sucho.

- Ciekawe, czy w ogóle ktoś go toleruje - powiedziała Genevieve Ruddick.

- Może budzi niechęć, bo nie udaje, że jest kimś innym, niż jest - stwierdziła Evelyn.

- Szkoda, że nie wszyscy mogą sobie pozwolić na taki luksus - rzekł brat z westchnieniem. - Jeszcze tylko kilka tygodni. Proszę, chodź ze mną do Gladstone'ow.

Evelyn opuściła głowę.

- Dobrze, Victorze.

Wcześniej wymówiła się bólem głowy i ukryła w bibliotece. Pan domu zamknął się w swoim gabinecie. Gdy kilka minut później jego lokaj Hastings zszedł schodami dla służby po świeże koszule dla swojego pracodawcy, Evelyn pobiegła do sypialni brata.

Na toaletce znalazła przygotowaną na rano brzytwę, mydło do golenia i pędzel. Zgarnęła wszystko, łącznie z kubkiem i zawinęła w chustkę, którą specjalnie wzięła ze sobą, idąc na kolację. Przez chwilę nasłuchiwała pod drzwiami, a potem wymknęła się ukradkiem na korytarz. Gdy znalazła się w swoim pokoju, rozłożyła przybory na łóżku.

Oczywiście nie mogła dać St. Aubynowi brzytwy, a to oznaczało, że musi sama go ogolić. Nie powinna mieć z tym trudności, bo kiedy miała siedem lat, nieraz przyglądała się ojcu, a gdy jej pozwalał, rozsmarowywała mydło na jego twarzy.

Zaczęła spacerować przed kominkiem. Wiedziała, że najtrudniejsze będzie przekonanie St. Aubyna, żeby włożył ręce w kajdany. Musiała mieć w zanadrzu silny argument.

Czyli broń albo... własne ciało. Przebiegł ją dreszcz na myśl, czego Saint mógłby w zamian od niej zażądać. Z drugiej strony, pamiętając jej wcześniejszy podstęp, tym razem na pewno nie dałby się nabrać.

Pozostawał, więc pistolet. Niestety było mało prawdopodobne, żeby markiz przestraszył się jej groźby. Gdy z kolei wyobraziła sobie Randalla albo Matthew z bronią palną w ręce, ogarnął ją strach.

Położyła się na łóżku i suchym pędzlem do golenia przesunęła po brodzie. Po chwili doszła do wniosku, że gdyby Saint uwierzył, że chłopcy są uzbrojeni, nie musiałaby nawet dawać im amunicji.

Uśmiechnęła się do siebie. Jeśli dzisiaj zdobędzie jeden z pistoletów Victora, jutro rano lord St. Aubyn będzie ogolony. Może nawet uda się jej wycygnąć od kucharki, pani Thatcher, zimnego bażanta ze śniadania.

Saint wrzucił kolejny kamyk do wiadra. Zdążył już narysować portrety Evelyn, swoje i uczniów na kilku kartkach papieru, które mu zostawiła. Książkę przeczytał tyle razy, że nauczył się jej na pamięć, choć był to podręcznik etykiety dla młodych dam. W czasie lektury nieraz dochodził do wniosku, że mogłaby go napisać Evelyn i jej przyjaciółki. Jeśli panna Ruddick chciała go oświecić, jej zamiar się nie powiódł, ale Saint przynajmniej parę razy wybuchnął śmiechem.

Nie znosił się nudzić. W swym życiu wiele energii poświęcał na unikanie tego stanu.

Niestety miał teraz bardzo dużo czasu i zabijał go, zajmując się bardzo niezdrowymi rzeczami, takimi jak myślenie.

Cisnął jeszcze jeden kamyk. Wprawdzie jego celę rozjaśniała świeca, ale nocna cisza i samotność zdawały się trwać wiecznie. Wolał skupić się na niewygodach, niż zastanawiać, czy służbę zaniepokoiła jego nieobecność już drugą noc z rzędu i czy w Londynie ktoś w ogóle za nim tęskni.

Po prawdzie, fizyczne dolegliwości coraz bardziej się na-

siłały. Ubranie było brudne, skóra lepka, lewa kostka na przemian pulsowała boleśnie albo drętwiała, twarz swędziała od zarostu. Lecz najbardziej doskwierało poczucie osamotnienia, rzecz do tej pory zupełnie mu nieznaną.

W roztargnieniu podrapał się po brodzie, sięgnął po następny kamyk i zamarł, bo z góry dobiegło skrzypnięcie. W pierwszym odruchu chciał włożyć surdut, ale uznał, że to nie ma sensu. Nie mógł wyglądać dużo lepiej.

Upewnił się, że część łańcucha jest ukryta pod materacem. Liczył na to, że Evelyn zapomniła, jaką on ma swobodę ruchu. Gdyby się na nią rzucił, bez trudu zabrałby jej klucz od kajdan.

Kiedy drzwi się otworzyły, poczuł zapach cytryny. Panna Ruddick przyszła go odwiedzić. Choć uknuła szalony plan, zdawała się szczerze o niego troszczyć. To więcej, niż mógł powiedzieć o niemal wszystkich swoich znajomych.

- Dzień dobry - powiedziała Evelyn, patrząc na niego czujnie.

Wcale jej się nie dziwił. Poprzedniego dnia nie był zbyt miły, ale z drugiej strony, dziewczyna nie zasłużyła na lepsze traktowanie.

- Dzień dobry. Przyniosła mi pani rację chleba i wody?

- Kanapkę z bażantem i gorącą herbatę. Ślinka napłynęła Saintowi do ust.

- Naprawdę? Co muszę zrobić, żeby dostać te smakołyki?

- Nic.

Jeden z chłopców, chyba Matthew, wniósł tacę do celi i pchnął ją w jego stronę kijem od miotły. Saint wstał bez pośpiechu, wziął talerz ze śniadaniem i usiadł z nim w miękkim fotelu. Dwoje młodszych dzieci zastąpiło wypalone świece nowymi. St. Aubyn polizał palce i zgasił ogarek, przy którym czytał. Na wszelki wypadek wołał oszczędzać światło. Gdy Evelyn chrząknęła znacząco, zorientował się, że pożarł kanapkę jak zwierzę.

153

- Gratulacje dla szefa kuchni - powiedział, sięgając po herbatę.
Wolałby więcej cukru, ale nie zamierzał się skarżyć. Ziemniak, który rzucili mu poprzedniego wieczoru, przynajmniej był ugotowany.
- Dziękuję - odparła Evie z uśmiechem.
Saint tak natarczywie wpatrywał się w jej usta, że w końcu spoważniała. Uniósł brew, żeby pokryć zmieszanie. Samotność najwyraźniej doprowadzała go do szaleństwa.
- Pani sama zrobiła śniadanie?
- Tak. To właściwie był mój lunch, ale pomyślałam, że doceni go pan bardziej niż ja.
- Więc dziękuję pani - rzekł St. Aubyn, zdobywając się na uśmiech.
Na pewno wyglądał jak zagłodzony zbieg z Bedlam, ale panna Ruddick nie uciekła przed nim z krzykiem. Okazała się odważniejsza, niż sądził.
- Proszę.
Odwróciła się i ruszyła do drzwi, a Saint wyprostował się tak gwałtownie, że omal nie zrzucił tacy z kolan.
- Wychodzi pani? - wykrztusił, ratując resztki kanapki przed upadkiem na podłogę.
Evelyn zatrzymała się i spojrzała na niego przez ramię.
- Nie. Przyniosłam panu kolejny prezent. A właściwie dwa.
- Jeden z nich to klucz, prawda? I zdejmie pani ubranie. Panna Ruddick zarumieniała się ślicznie.
- Nie powinien pan mówić takich rzeczy.
- Jestem zakuty w kajdany, a niewykastrowany. Chyba, że to właśnie jest pani niespodzianka.
Evelyn bez słowa zniknęła za drzwiami. Po chwili wróciła z Randallem, który niósł mały stolik. Saint przyjrzał się młokosowi. Nie mógł być pewien, ale podejrzewał, że to on zdziesiął go w głowę.
- Najpierw muszę poprosić o pańską współpracę - powiedziała Evie.

154

Nie zabrzmiało to obiecująco. Saint przełknął ostatni kęs kanapki.
- W czym? - zapytał.
Taca była marną bronią, ale mogła przynajmniej odwrócić uwagę w razie potrzeby. Chwyił ją mocniej. Panna Ruddick sprawiała wrażenie zdenerwowanej.
- Chcę, żeby pan wstał i wsunął prawą rękę w kajdany. St. Aubyn wytrzeszczył oczy. Przyszło mu do głowy kilka odpowiedzi, ale wszystkie odrzucił jako niestosowne.
- Może wyglądam w tej chwili na szaleńca, ale zapewniam panią, że prędzej odgryzę sobie stopę, niż pozwolę całkiem się unieruchomić - oświadczył w końcu.
Evelyn zbladła.
- Źle mnie pan zrozumiał. To tylko na kilka minut, żebym mogła... pana ogolić.
Cóż, tego się nie spodziewał. Nagle opuścił go gniew, ale zostało mu dość dumy, żeby sytuacja go zirytowała.
- Sam się ogolę.
- Nie dam panu brzytwy.

- Bystra dziewczyna. Ale zapewniam panią, że bez cholernego zarostu wcale nie poczuję się lepiej.

- Nie w tym rzecz. Korci mnie, żeby wydobyć z pana dobre cechy. Wierzę, że mężczyźnie łatwiej zachowywać się jak dżentelmen, kiedy wygląda jak dżentelmen.

Saint skrzyżował ramiona.

- Ja nie jestem dżentelmenem.

- Mimo to proszę o współpracę.

- Właśnie - odezwał się Randall, wyjmując pistolet zza pleców. - Niech pan robi, jak każe panna Evie, milordzie.

- Hm. - Saint miał wyczulone wszystkie zmysły, kiedy wolno odłożył tacę i wstał z fotela. - Nawet diabeł mógłby udawać dżentelmena, gdyby ktoś celował w niego z pistoletu. Evelyn nie była zaskoczona widokiem broni; pewnie sama dała ją chłopakowi. St. Aubyn przez chwilę się zasta-

155

nawiał, czy dziewczyna ma pojęcie, ile praw złamała, przeprowadzając swój mały eksperyment.

- To tylko środek ostrożności - powiedziała uspokajającym tonem. - Proszę zrobić, jak mówię.

Wypuściła powietrze z płuc, dopiero, kiedy Saint zrobił krok ku ścianie. Byłoby lepiej, gdyby ustąpił bez groźby użycia broni, ale niestety Randall nie dał mu dużo czasu na rozważenie tej możliwości.

Z zaciśniętymi szczękami markiz sięgnął po kajdany. Spojrzenie, które jej posłał, mówiło, że drogo za wszystko zapłaci, lecz Evelyn posunęła się już tak daleko, że nic nie mogło ściągnąć na nią większych kłopotów. St. Aubyn wziął głęboki oddech, wsunął prawy nadgarstek w obręcz i zatrasnął ją lewą ręką.

Zerknąwszy na Randalla, Evie zauważyła, z jaką wprawą chłopak trzyma pistolet. Całe szczęście, że nienaładowany. Z niepokojem wkroczyła na terytorium Sainta. Lewą rękę nadal miał wolną, a był dostatecznie rozgniewany, żeby broń nie powstrzymała go przed atakiem.

Evelyn mogła zapomnieć o wszystkim i pozwolić, żeby broda urosła mu do kolan, ale naprawdę chciała zrobić z niego dżentelmena i uważała, że powinna zacząć od wyglądu. Poza tym nawet gdyby się rozmyśliła, i tak musiałaby do niego podejść, żeby uwolnić mu rękę.

- Boi się mnie pani? - zapytał Saint, jakby czytał jej w myślach.

- Po prostu jestem ostrożna - odparła, podchodząc bliżej.

Bez surduta, z podwiniętymi rękawami koszuli, w wymiętym krawacie, był jeszcze bardziej męski niż zwykle. Evelyn uświadomiła sobie nagle, że nie dotknęli się od trzech dni. A ostatnim razem zdejmował z niej suknię i...

- Drżą pani dłonie - stwierdził, opuszczając lewą rękę.

- Niech pan uważa, markizie! - ostrzegł go Randall.

- Nie musi pan wszystkiego utrudniać - powiedziała Evie.

156

Stała przed nim, wstrzymała oddech i ujęła go za nadgarstek.

- Owszem, muszę. - Saint ściszył głos prawie do szeptu. - Wiem, czego pani. chce.

Nie opierał się, kiedy uniosła jego ramię i zakłuła je w kajdany.

- Czego? - zapytała śmielszym tonem.

St. Aubyn uśmiechnął się krzywo. Brodę miał ciemną od trzydniowego zarostu.

- Nie chcę być dżentelmenem, Evelyn Marie. - Zerknął na Randalla. - Niech pani każe mu wyjść. Już nie jest potrzebny.

Nie zrobiłaby tego, gdyby miała, choć odrobinę rozsądku. Wiedziała jednak, że w obecności chłopca markiz nie porozmawia z nią o niczym ważnym. A poza tym jakiś głos szeptał jej w głowie, że pomysł z goleniem to tylko wymówka, żeby znowu dotknąć Sainta. Odwróciła się i powiedziała:

- Randallu, ukryj pistolet w piwnicy, żeby nie znalazło go żadne dziecko. Zaraz masz lekcję czytania z panią Aubry, prawda?

Chłopak skinął głową.

- Tak. Nie wypuści go pani?

- Oczywiście, że nie. Wrócisz za trzydzieści minut?

- Na pewno pani tego chce?

- Tak. To konieczne.

- Jak pani każe. Trzeba zacząć go przekonywać.

- Właśnie.

Baker wyszedł z celi i zamknął za sobą drzwi.

- Powinna pani na niego uważać - szepnął Saint, patrząc za nim i nasłuchując. - Randall? - Przeniósł wzrok z powrotem na Evelyn. - Jeśli coś pójdzie nie po jego myśli, nic nie powstrzyma chłopaka przed zamknięciem pani razem ze mną.

Po plecach Evie przebiegł dreszcz.

- Martwi się pan o mnie?

- Uważam, że jest pani w większych tarapatkach, niż są-

157

dzi, i każdy pani błąd może się dla mnie źle skończyć. Więc myśli tylko o sobie.

- Zagroził pan, że odbierze mu dom. Jak miał zareagować? Albo reszta dzieci?

St. Aubyn sposepniał.

- Jest pani dla mnie bardzo ważna. Proszę, więc zachować ostrożność. - Zagrzechotał łańcuchami. - Poza tym nie chcę skończyć jako szkielet w piwnicy sierocińca.

- Bez obawy.

To śmieszne. Nawet w tych okolicznościach jego wyznanie, choć zdawkowe, sprawiło, że puls jej przyspieszył. Saint zwykle nie okazywał troski o innych, ale kiedy się to zdarzało, robiło piorunujące wrażenie.

- Evelyn?

Evie drgnęła i spojrzała w jego zielone oczy. Nawet, jeśli przejrzał jej myśli, nic nie powiedział. Mimo to oblała się rumieńcem. Do tej pory nikt jej aż tak nie onieśmielał. Pewnie, dlatego, że nikt nie mówił rzeczy, które wytrącały ją z równowagi i zawstydzaly.

- Przepraszam. Zastanawiałam się nad pańskim ostrzeżeniem. Zapamiętam je.

- To dobrze.

- A teraz pora na golenie.

- Prawdę mówiąc, twarz swędzi mnie jak diabli - rzekł Saint, nieco się rozchmurzając.

Evie wolałaby, żeby był wściekły. Zły i czarujący markiz St. Aubyn budził w niej różne dziwne doznania.

Sięgnęła po stolik. Na szczęście udało się jej wymknąć z domu, zanim Victor wstał i zauważył braki. Wiedziała, że i tak nasłucha się o kradzieży po powrocie do Ruddick House i później u Gladstone'ow. Zmieszała mydło do golenia z wodą.

- A niech to! - mruknęła pod nosem.

- Mówiłem, że mogę sam się ogolić. Evelyn zanurzyła pędzel w pianie.

- Nie chodzi o pana, tylko o dzisiejszą kolację.

- To znaczy?

Evie zawahała się z uniesionym pędzlem.

- Dlaczego pan pyta?

- A dlaczego nie? Nie mam nic innego do roboty oprócz słuchania pani błyskotliwych opowieści.

- To właściwie drobiazg. Po prostu mój brat i ja zostaliśmy zaproszeni na kolację do lorda i lady Gladstone.

Wyraz twarzy St. Aubyna nie zmienił się ani trochę.

- Zapewne nie przekaże pani ode mnie pozdrowień gospodyni?

- Istotnie. - Evie dotknęła pędzlem jego brody, ale przy okazji zachlapała Saintowi pianą szyję i kołnierzyk koszuli. - Przepraszam.

- Nie ma, za co? Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani nie lubi Fatimy.

- A pan, dlaczego ją lubi?

- Cudowne piersi, długie nogi i ciągła ochota...

- Proszę przestać! Lady Gladstone ma męża.

Saint wzruszył ramionami, aż kajdany z brzękiem otarły się o szorstki mur.

- Przysięgę małżeńską traktuje równie poważnie, jak ja. Jak wszyscy? Niemożliwe, żeby była pani aż tak naiwna.

- Nie uważam się za naiwną. Sądzę, że przemawia przeze mnie uczciwość.

St. Aubyn zaśmiał się niewesoło.

- Jest pani niezwykła, Evelyn Marie. To muszę pani oddać. Ogoli mnie pani wreszcie czy tylko dla zabawy wysmarowała mnie pianą?

- Jest pan okropny.

Jak ten mężczyzna mógł ją pociągać?

- Nigdy nie twierdziłem inaczej. To nie moja wina, że widzi pani we mnie kogoś innego, niż jestem, moja droga.

Evie milczała przez dłuższą chwilę.

- Wolę myśleć, że widzę pana takim, jaki mógłby się pan

stać mimo swojego cynizmu... i zarostu. - Namydliła mu policzek. - I zamierzam pokazać światu tego człowieka.

- Obawiam się, że umarł bardzo dawno temu. I nikt, łącznie ze mną, go nie żałuje.

- Najlepiej będzie, jak pan przestanie mówić, bo inaczej zrobię panu krzywdę.

Ponownie zanurzyła pędzel w pianie i nałożyła ją na drugi policzek. Lubiła dotykać markiza, zwłaszcza, kiedy rodzaj kontaktu zależał wyłącznie od niej.

- Już pani postanowiła, jak długi ma być mój wyrok? - zapytał Saint, gdy odstawiła kubek i sięgnęła po brzytwę.

- Wolę określenie „wymuszona edukacja”.

- Gdyby sytuacja była odwrotna, też nauczyłbym panią kilku rzeczy - powiedział markiz z lekkim uśmiechem. - Niestety jestem zdany na pani łaskę. Czy golenie to najbardziej perwersyjny pomysł, na jaki pani wpadła?

Cichy zmysłowy głos przyprawił Evelyn o dreszcz. Cofnęła się o krok, żeby nad sobą zapanować.

- Proszę być grzecznym - skarciła więźnia. Saint przeniósł wzrok z jej twarzy na brzytwę.

- Niech pani przynajmniej mnie pocałuje, zanim poderżnie mi gardło.

- Cicho! - Evie przytrzymała jedną ręką brodę St. Aubyna i ostrożnie przeciągnęła po niej brzytwę. - Jest pan dla mnie za wysoki - poskarżyła się.

- Proszę wejść na stołek - doradził markiz.

Raptem stał się bardzo pomocny, a kiedy Evelyn posłuchała jego rady, zrozumiała, skąd ta nagła uprzejmość. Znalazła się z nim twarzą w twarz.

-Ja...

Nie dokończyła zdania, bo Saint wpił się w jej usta w mocnym, mydlanym pocałunku.

Wystarczyłoby, żeby Evie cofnęła się o kilka cali, a nie mógłby jej dosięgnąć. Ta świadomość dała jej poczucie władzy, mimo że jego natarczywe usta pozbawiły ją tchu

160

i obudziły pragnienia, których nie śmiała wyrazić na głos.

Wsunęła dłonie w jego potargane włosy i odwzajemniła pocałunek. Saint jęknął głucho, a po plecach Evie przebiegł silny dreszcz.

O tak, miał rację. Wolałaby robić inne rzeczy, niż go golić. Przywarła do niego mocniej. Łańcuchy zabrzęczały, kiedy Saint próbował ją objąć. Był całkowicie od niej zależny. Gdyby chciała, mogłaby spełnić każdy swój kaprys.

- Przestań - szepnęła bardziej do siebie niż do niego.

-, Dlaczego? - zamruczał uwodzicielsko. - Obejmij mnie. Pragnęła tego tak bardzo, że odsunięcie się od niego sprawiło jej niemal fizyczny ból.

- Nie.

Saint zmarszczył brwi. Pianę miał rozmazaną na całej twarzy.

- Pragniesz mnie tak samo, jak ja ciebie, Evelyn. Chodź. Evie potrząsnęła głową, nadal oszołomiona.

- Nie chodzi o nasze pragnienia, lecz o to, co jest najlepsze dla dzieci.

- Nie pochlebiaj sobie - odparował St. Aubyn. Próbował jej dosięgnąć, ale zatrzymały go łańcuchy. - Naprawdę myślałaś, że goląc mnie, zmienisz w dżentelmena? Po prostu chciałaś mnie dotknąć. Nadal tego chcesz. Cała drżysz.

- Wcale nie. - Evie schowała ręce za plecami.

- Wypuść mnie, Evelyn. Porzuć bezsensowne mrzonki, a zabiorę cię tam, gdzie są satynowe prześcieradła i płatki róż. - Ściszył głos, a jej serce zaczęło galopować. - Pożądaj cię, a ty mnie.

- Oszukuje się pan - oświadczyła, spacerując do drzwi i z powrotem. - Owszem, jest pan przystojny i niewątpliwie zręczny w uwodzeniu. - I nieznośny. Pod wpływem jego słów wyobraźnia podsuwała jej ekscytujące obrazy. -Ale nie, dlatego został pan przykuty do ściany, że pańskie zalety przewyższają wady. Proszę o tym nie zapominać.

Saint uniósł brew.

161

-I?

- Więc lepiej niech pan przestanie mnie uwodzić i zacznie słuchać tego, co mówię. - Odsunęła stołek o pół kroku i znowu na niego weszła. - Niech pan się nie rusza.

- Póki trzyma pani brzytwę przy moim gardle, zrobię wszystko, co pani każe. A jestem tutaj nie dlatego, że chcę, tylko dlatego, że pani mnie okłamała i zamknęła. I nie planuję zostać tu tak długo, żeby pani mogła wykonać swoje zadanie.

Dobrze, że ją rozzłościł, bo przestała myśleć o całowaniu. Na pewno nie był tchórzem, skoro drażnił się z nią, choć miała brzytwę w ręce. Ale jeśli oczekiwała, że zmieni się na lepsze, musiała dać mu przykład.

Wzięła głęboki oddech.

- Nie wątpię, że będzie pan próbował uciec. - Przesunęła ostrzem po drugim policzku, starając się ignorować twarde spojrzenie zielonych oczu, które obserwowały każdy jej ruch. - Wierzę jednak, że wysłucha pan moich argumentów.

Usta Sainta wykrzywił złośliwy uśmiech.

- Zanim je pani przedstawi, proszę wytrzeć mydło z brody, Evelyn Marie.

14

"A jego miłość to esencja chuci: Eteryicznymi żary płomięący, Był on jak drzewo, gdy grom w nie rzuci I zajmie..."

Lord Byron, „Wędrówki Childe Harolda”

pieśń III

St. Aubyn miał nadzieję, że ktoś opiekuje się jego koniem. Evelyn wspomniała, że zaprowadzili Cassiusa do dawnej koszarowej stajni. Postąpili przezornie. Niezależnie od tego, czy znajomi za nim tęsknili, ktoś musiałby zauważyć cennego gniadego araba stojącego przez tydzień przed sierocińcem Ufne Serce. Saint nie wiedział wprawdzie, czy go dobrze karmią, ale uznał, że panna Ruddick jest równie wrażliwa na los zwierzęcia, jak na los sierot.

Cały cholerny tydzień. Przyniosła mu nawet Timesa, by udowodnić, że nikt nie zauważył jego zniknięcia. Od godziny spacerował do końca łańcucha i z powrotem. Nie były to intensywne ćwiczenia, ale musiał się ruszać.

Igrał z panną Ruddick. Zapamiętał imiona wszystkich sierot, uczył dzieci liter i cyfr. W ten sposób zabijał czas. Wiedział, na co czeka Evelyn: na jakiś znak, że ruszyło go sumienie i że polubił tych smarkaczy. Kryjące się w nim upór i duma nie chciały się zgodzić na realizację tego scenariusza, nawet po to, żeby ją oszukać. Niektóre sieroty

""Przekład Jana Kasprowicza.

163

rzeczywiście okazały się bystrzejsze, niż sądził, a kilka naprawdę miało spore zdolności. Zresztą zajmowanie się nimi było lepsze niż spacerowanie po lochu.

Trzech najstarszych chłopców niepokoiło go nie tyle ze względu na twarde spojrzenia, które mu rzucali, co na sposób, w jaki traktowali całą tę sytuację: uważali ją za dobrą zabawę. Wiedział, że paru wychowanków Ufnego Serca należy do miejscowych band złodziejskich i, gdyby nie jego interwencja, mogliby przechowywać skradzione rzeczy w sierocińcu albo nawet ukrywać starszych kolegów po fachu. Gdyby Evelyn natknęła się na któregoś z nich, nie uchroniłoby jej poczucie sprawiedliwości ani honor.

Poprzedniego dnia zebrała się rada nadzorcza. Saint nie miał pojęcia, jaki plan obmyślili jej członkowie, żeby uszczknąć coś dla siebie z funduszu przeznaczonego na utrzymanie sierocińca. Jeszcze gorsza była obawa, że któryś z nich spróbuje pomóc pannie Ruddick w czasie jego nieobecności. Oczywiście nadszkaliby jej i prawili komplementy, choć uważali, że jest tylko ładną dziewczyną z pustą głową.

Gdy skrzypnęły drzwi, Saint zatrzymał się zdziwiony, że jego uczniowie już przyszli na popołudniową lekcję. Poza tym nie słyszał kroków na schodach. Do diaska, Evelyn rozpraszała go nawet wtedy, gdy nie było jej w pobliżu.

- , Co to jest?! - wykrzyknął kobiecy głos. - O święci pańscy!

Dzięki Bogu!

- Niech pani natychmiast przyniesie mi siekierę albo piłę - zażądał Saint.

Musiał się stąd wydostać, zanim dzieci poinformują pannę Ruddick o jego zniknięciu.

- Co pan tutaj robi, milordzie? - zapytała gospodyni, rozglądając się po obskurnej celi.

- Jestem więźniem - odburknął St. Aubyn. Cudownie! Zostanie uratowany przez imbecylną. - Nie mam klucza

164

do kajdan, dlatego potrzebuję siekiery. Niech pani się pospieszy, jeśli łaska.

- Od dawna byłam ciekawa, dlaczego dzieciaki wymykają się do piwnicy i znikają na kilka godzin. Myślałam, że przygarnęły bezpańskiego psa albo coś takiego. A tymczasem one więżą arystokratę. To ci dopiero!

- Na litość boską, pani...

- Natham, milordzie. Natham. Od czterech lat to powtarzam. Słyszałam, jak maluchy szepczą, że zamierza pan sprzedać sierociniec. Zostałabym wtedy bez pracy, wie pan.

-Możemy później porozmawiać o pani zatrudnieniu. Uwalniając mnie, zasłuży pani na nagrodę. Niech pani przyniesie...

- Hm, chyba najpierw porozmawiam z panną Ruddick. Ona też tutaj schodziła, o ile się nie mylę. Ostatnie dni na górze były okropne, a ona dała mi podwyżkę. Miła z niej kobieta.

- Tak, jest wspaniała. A teraz...

- Do widzenia, milordzie.

Gospodyni cofnęła się i z trzaskiem zamknęła drzwi. Gdy w zamku obrócił się klucz, St. Aubyn zaklął. Odpowiedział mu gardłowy śmiech. Chwilę później rozległy się kroki na schodach.

Saint opadł na krzesło, miotając przekleństwa w kilku językach. To pewnie Evelyn przysłała tą wiedźmę, by mu pokazać, że jego nieliczni przyjaciele i sojusznicy są daleko.

On sam już to wiedział. Praktycznie od siódmego roku życia, kiedy do posiadłości rodzinnej przyjechał prawnik z wiadomością, że lord St. Aubyn zmarł w Londynie i teraz on jest markizem. Ledwo znał ojca, który do pięćdziesiątki hulał i grał w karty, a potem ożenił się i spłodził dziedzica. Wypełniwszy zadanie, wrócił do dawnego rozpustnego życia, które w końcu go zabiło. Saint postanowił pójść w jego ślady.

Matka była tak zajęta urządzaniem kolacji żałobnych

165

i przyjmowaniem słów pociechy od nowych wielbicieli, że wróciła do wiejskiego domu dopiero po sześciu miesiącach od pogrzebu. Służba w St. Aubyn Park rozpieszczała młodego dziedzica w czasie jej nieobecności, licząc na to, że zachowa posady po ponownym zamążpójściu wdowy. Kiedy matka i jeden z nowych tatusiów dujour oznajmili, że wysyłają go do szkoły z internatem, Saint poczuł wielką ulgę.

Niestety nauczyciele i koledzy zaprowadzili zwyczaj spełniania wszelkich jego kaprysów. Dwunastoletni, bogaty markiz, którego nie obowiązywały żadne zasady, zrozumiał, że uszłoby mu na sucho wszystko oprócz morderstwa. Gdy osiągnął pełnoletniość i przejął rodzinny majątek, matka też zaczęła mu pochlebiać i nadskakiwać.

Nie ufał już nikomu, dlatego jego też przestano darzyć zaufaniem. Wiedział, dlaczego wszyscy szukają jego towarzystwa. Zważywszy na jego reputację, na pewno nie chodziło im o przyjaźń. Ludzi przyciągał zapach pieniędzy i władzy. Ale Saint doskonale umiał sobie radzić z tymi głupcami.

Rozszyfrowanie Evelyn kosztowało go dużo więcej czasu i wysiłku. Panna Ruddick oznajmiła, że chce uratować dzieci, sierociniec i jego. O dziwo, sprawiała wrażenie, że mówi prawdę. Nie miała żadnych ukrytych motywów. Nic, co Saint powiedział, zrobił albo zaproponował, nie było w stanie odwieść jej od planu. Rzecz godna uwagi, zważywszy na to, że główną przeszkodą w osiągnięciu celu był właśnie on.

Taka istota po prostu nie mogła istnieć: czysta, prostolinijna i szlachetna. Poza tym do tej pory jeszcze nikt nie próbował go zmienić. To inni starali się dostosować do niego, żeby zdobyć to, czego chcieli. Gdy odmawiał, odchodzili bez protestu. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby go porwać i zamknąć.

Saint kopnął jeden z ostatnich kamyków, które zostały po jego stronie celi. Markiz St. Aubyn zniknął na tydzień i nikt tego nie zauważył. Służący, którym pensję regular-

166

nie wypłacali prawnicy, też nie zaniepokoją się jego nieobecnością. Do licha, pewnie się teraz cieszą, piją jego drogie francuskie wina i palą najlepsze cygara.

Jeszcze raz przeklął panią Natham. Do diaska! Wstał z fotela, zdjął koszulę i cisnął ją na kamizelkę i surdut. Rano Molly i Jane przyniosły mu ręcznik i miskę wody. Marzył o kąpieli, ale na razie nie mógł na nią liczyć.

Namoczył ręcznik i wycisnął go nad głową. Zimne strużki spływały mu po włosach i ramionach.

Na górze skrzyknęły drzwi, ale nie zwrócił na to uwagi. Popołudniowa lekcja mogła zaczekać, aż on skończy się myć.

Nie widział sensu w uczeniu etykiety gromady sierot. Oczywiście domyślał się, że w ten sposób Evelyn próbuje go ucywilizować. Cóż, poczuje się bardziej cywilizowany, gdy będzie czysty.

W zamku szczęknął klucz.

- Lordzie Saint, dziewczynki się nie kłaniają, prawda? - rozległ się piskliwy głos Rose.

- W pewnych sytuacjach tak - odparł, nie przerywając mycia. - Dziewczyna odwraca się tyłem do mężczyzny, a on chwyta ją za...

- Dość tego! - krzyknęła Evelyn.

Saint się obejrzał. Panna Ruddick miała zaciśnięte pięści, jej szare oczy ciskały błyskawice.

- Dzień dobry, Evelyn Marie.

Evie zerknęła na jego nagi tors i czym prędzej uciekła wzrokiem.

- Dzisiejsza lekcja z lordem St. Aubynem zostaje odwołana - oznajmiła. - Możecie się pobawić.

Jęk zawodu szybko przerodził się w okrzyki radości. Szóstka dzieci wybiegła z celi.

- Kogo pani każe, ich czy mnie? - zapytał Saint.

- Proszę włożyć koszulę.

- Jestem mokry.

Panna Ruddick okręciła się na pięcie.

167

- Dobrze. Każę przynieść panu kolację.

Wyszła z celi i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi. Saint poczuł ściskanie w gardle i w żołądku. Do kolacji było jeszcze dobre sześć godzin.

- Evelyn!

Nadała wchodziła po schodach. Saint popatrzył na świece. Zostały mu najwyżej dwie godziny światła.

- Przepraszam! Zaskrzyphiały drugie drzwi.

- Evelyn, na litość boską, nie zostawiaj mnie tutaj samego! Proszę! Przykro mi!

Cisza.

Saint zaklął, chwycił porcelanową miskę i cisnął nią w drzwi. Roztrzaskała się na drobne kawałki, resztką wody rozlała się po podłodze.

- To ma być dzisiejsza lekcja? Ty robisz, co chcesz, a ja muszę siedzieć na brudnej ziemi, w ciemności, aż postanowisz inaczej? Do diaska, naucz mnie czegoś nowego, Evelyn Marie!

- Niech pan się uspokoi, to wejdę - dobiegł zza drzwi jej głos.

Saint oddychał ciężko. On, pozbawiony serca, bezduszny, osławiony markiz St. Aubyn bał się zostać sam w ciemności. Wpadł w panikę.

- Jestem spokojny - warknął.

Nie uwierzyłby mu nikt o zdrowych zmysłach, ale Evelyn najwyraźniej miała więcej współczucia niż rozsądku, bo otworzyła drzwi.

St. Aubyn chciał powiedzieć coś, co skłoniłoby ją do zostania w piwnicy, choć przez kilka minut, ale powstrzymał się, gdy zobaczył jej twarz. Zapomniał o własnym strachu i zaczął gorączkowo się zastanawiać, czym ją zranił.

- Dlaczego pani płacze? - spytał zatroskanym tonem. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Evelyn wytarła łzy i pociągnęła nosem.

168

- Bo nie wiem, co robić. Saint uniósł brew.

- Pani?

Jego barki, nagi tors, umięśniony brzuch i przód spodni były mokre. Wilgotne włosy opadały na oczy. Evelyn nagle zapragnęła je odgarnąć. Wyglądał tak... niewinnie. I pociągająco. Miała ochotę go pożreć.

Przyciągnęła sobie stołek i usiadła. On doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jakie robi wrażenie, pomyślała. Dobrze wie, co mówić, żeby dotrzymała mu towarzystwa albo, jeszcze lepiej, zaczęła mu współczuć i wypuściła go z celi. Kiedy w końcu zapanowała nad niebezpiecznymi emocjami, podniosła wzrok i zobaczyła, że markiz stoi bez ruchu i ją obserwuje. Przetknęła ślinę.

- Wcale nie zrobiło mi się pana żal - oświadczyła.

- Ależ tak. Przecież wszystkich pani żałuje.

Evelyn rozumiała, że dla własnego dobra powinna trzymać się z dala od St. Aubyna.

- Jestem na pana wściekła.

- Owszem, ale to pani ma klucze. Proszę wczuć się w moją sytuację.

- Może ma pan rację. To nie na pana jestem zła, tylko na siebie.

- Więc coś nas łączy - stwierdził, potrząsając głową. Na Evelyn prysnęło kilka kropel wody.

Dostała gęsiej

skórki, głównie, dlatego, że znajdowała się sam na sam z bardzo przystojnym półnagim mężczyzną.

- Przez tydzień próbowałam panu udowodnić, że może pan zrobić dużo dobrego. Zyskałam pańską niepodzielną uwagę, ale niestety nic z tego nie wyszło.

Saint przez chwilę mierzył, ją wzrokiem. Po jego twarzy przemknął wyraz, którego Evie nie potrafiła odczytać.

- Jestem beznadziejnym przypadkiem - stwierdził w końcu.
- Niemożliwe.
- Dlaczego?

169

St. Aubyn ukucnął na piętach. Wyciągając rękę, zdołał dotknąć jedynie czubków jej butów. Do licha! Teraz przystojnego, zdesperowanego, półnagięgo mężczyznę miała dosłownie u swoich stóp.

- Pan... nikt nie jest taki okropny jak pan.

- A jednak!

- Nie o to mi chodziło...

Saint przekrzywił głowę, taksując ją spojrzeniem.

- Może pani mówić bez ogródek. Szczerłość do pani pasuje.

- Czy to komplement?

- Proszę nie zmieniać tematu. Rozmawiamy o mnie.

- Owszem. Miałam na myśli to, że nie można być czarującym, interesującym i nawet sympatycznym łajdakiem.

- Zastrześliła mnie pani.

- Udaje pan złego, Michaelu. Markiz na chwilę opuścił wzrok.

- To miłe z pani strony, ale proszę mi wierzyć, że jestem egoistycznym draniem.

- Może, ale nie tylko.

Ku zaskoczeniu Evelyn wargi Sainta wykrzywił ten przeklęty zmysłowy uśmiech, który w jednej chwili zmieniał go z niewinnego chłopca w prawdziwego uwodziciela. Nagle zaschło jej w ustach. Przełknęła ślinę.

- Jest pani bardzo interesującą kobietą - stwierdził markiz. - Ale twierdzi pani, że dostrzega pani we mnie zalety, ze względu na siebie czy na mnie?

- Jedno i drugie.

- Znowu ta szczerłość.

Trącił jej but, od niechcienia, jak kot bawiący się motkiem wełny. Po raz pierwszy dotknął jej, nie żądając czegoś więcej. Evelyn przeszył dreszcz. Wzięła głęboki oddech, żeby odzyskać zdolność myślenia.

- Dlaczego pan się tak zachowuje?

- Bo mogę? Nie mam pojęcia. A skąd pani będzie wie-

170

dzieć, czy naprawdę mnie uratowała, czy to nie jedynie gra z mojej strony?

Gdy się wyprostował, Evie nagle sobie uświadomiła, że siedzi za blisko. Nim zdążyła się cofnąć, St. Aubyn chwycił ją za kostkę i pociągnął tak mocno, że spadła ze stołka na twarde klepisko.

Otworzyła usta do krzyku, ale natychmiast zrozumiała, że w pobliżu nie ma nikogo, kto by ją usłyszał. Zresztą zanim z jej gardła wydobył się jakikolwiek dźwięk, Saint położył jej dłoń na ustach.

- Cii! - szepnął, wolną ręką wyjmując z jej kieszeni klucz do kajdan. - Zaraz pani się przekona, czy mnie zbawiła, czy nie. Chce się pani założyć?

- Ale...

Evelyn próbowała się wyrwać, ale Saint nogą przycisnął jej spódnicę do podłogi, żeby nie mogła się ruszyć. Następnie wsunął klucz w zardzewiały zamek i przekręcił go. Kajdany otworzyły się ze szczęknięciem. Był wolny.

Wstał i cisnął łańcuchy na ścianę. Evie rzuciła się do drzwi, półpełznąć. Gdyby udało się jej... St. Aubyn dogonił ją w dwóch susach.

- To nie będzie takie łatwe, moja droga.

Przez chwilę Evelyn myślała, że sam ucieknie, a ją uwięzi w piwnicy. Ogarnęła ją panika.

- Saint...

Markiz wyjął klucz z zamka, przełożył go do środka i zamknął drzwi.

- A nie mówiłem. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. -I uprzedzałem również, że panią pierwszą dopadnę.

Następne będą dzieci, pomyślała. Nie mogła na to pozwolić. Rzuciła się do klucza, ale Saint uniósł go nad głowę. Evie z rozpędu uderzyła w nagą pierś St. Aubyna i pchnęła go na ścianę.

- Ciekawa strategia - powiedział, obejmując ją wolną ręką i przyciągając do siebie.

171

Przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym wpił się w jej usta.

Oboje wiedzieli, że nikt nie nakryje ich, przez co najmniej kilka godzin. Evelyn powtarzała sobie wprawdzie, że musi natychmiast stąd wyjść i zamknąć markiza dla dobra sierocińca, ale jednocześnie słyszała cichy głos, który szeptał, że w tej chwili Saint na pewno nie myśli o ucieczce.

Z pasją odwzajemniła pocałunek, czując, jak od stóp do głów się ogarnia ją żar. Dłonie sięgające po klucz opadły na wilgotne ciemne włosy St. Aubyna. Przez moment zastanawiała się, czy inne kobiety czuły się równie odurzone jego bliskością. Oddychała szybko, urywanie. Brakowało jej powietrza.

- Próbuje pan odwrócić moją uwagę - oskarżyła go zdyszonym głosem, przytulając się do jego nagiej piersi.

Saint potrząsnął głową i cisnął klucz w drugi koniec piwnicy.

- To pani odwraca moją - mruknął.

Powoli, ale zdecydowanie zsunął suknię z jej ramion, zarazem muskając wargami szyję i dekolt. Następnie obrócił, ją plecami do ściany i ujął w dłonie jej piersi. Evelyn poczuła ciepły dotyk przez delikatną tkaninę i gwałtownie zaczerpnęła oddechu.

- Saint, proszę - wyjęczała, szukając jego ust. - O co?

Jak zręczny harfista przebiegł palcami po jej plecach, z wprawą rozpinając suknię? Opuściwszy ją za łokcie, unieruchomił Evelyn. Nim zdążyła zareagować, szarpnięciem rozerwał halkę, ostatnią rzecz, która zasłaniała ją przed jego płonącym wzrokiem.

- Och, Saint, proszę...

- Michael.

- Michael - wykrztusiła Evie niemal bez tchu. Koniuszki jej piersi stwardniały pod jego dotykiem.

- Och!

- Masz taką delikatną skórę. Taką miękką.

Gdy, nie przestając pieścić dłonią jednej piersi, chwycił w usta drugą, Evelyn pomyślała, że zemdleje.

172

Uniosła głowę i zacisnęła powieki, chłonąc nowe doznania. Nie mogła się poruszyć. I wcale nie chciała. Ze skrzepowanymi ramionami zdołała jedynie się przytulić.

Gdy Saint się odsunął, otworzyła oczy.

- Nie przerywaj - poprosiła, zaskoczona błagalnym tonem swojego głosu.

- Dobrze.

Ściągnął z niej suknię, po czym ukląkł i do końca zniszczył halkę, rozrywając ją cal po calu. Każdy obnażony skrawek skóry okrywał pocałunkami.

- Unieś nogę - poleciał.

Zdjął jej but, a wraz z nim suknię. Powtórzył czynność z drugą nogą, a następnie powędrował dłońmi w górę jej ud. Evelyn zadrżała.

- Michael!

- Cii - uspokoił ją zachrypniętym głosem. Wstał, sunąc rękami po jej ciele. Podartą halkę rzucił na resztę ubrania. -Pragnę cię, Evelyn Marie.

Wziął ją na ręce, zaniósł na siennik i położył na skotłowanych kocach, a sam usiadł i zaczął ściągać buty. Przy lewym się skrzywił.

- Jesteś ranny - stwierdziła Evelyn z niepokojem, wracając do rzeczywistości.

- Mam spuchniętą kostkę. Wkrótce mi za to zapłacisz, - Ja...

Rozpiął pasek u spodni. -Och!

- Zobaczyłaś mężczyznę nagiego i podnieconego - rzekł Saint, po czym nachylił się i ponownie wziął w usta jej pierś.

- Michaelu, proszę - wykrztusiła Evelyn, przyciągając go do siebie. Jej serce biło mocno i szybko.

- O co? Powiedz, Evelyn Marie, że chcesz poczuć mnie w sobie.

- Chcę poczuć cię w sobie. - Nie miała pojęcia, co robić, ale jej ciało wiedziało. Uniosła biodra. - Proszę.

173

Saint przywarł ustami do jej ust.

- Zaboli - uprzedził cicho. -Jak...

Gdy w nią wszedł, krzyknęła, zaciskając powieki. Ból z wolna ustąpił, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że Saint patrzy na nią z odległości kilku cali. Na jego twarzy malowało się napięcie.

- Ból za ból - wyszeptał, cofając biodra.

- Nie odchodź - zaprotestowała.

- Nie zamierzam. Teraz będzie przyjemność za przyjemność. Evelyn przestała myśleć, oplótła go nogami, wpiła palce w plecy. W głowie jej wirowało, w uszach miała szum.

- Michaelu, och, Michaelu! - krzyknęła w ekstazie.

W tym momencie Saint zadrżał gwałtownie i po chwili znieruchomiał.

- Evelyn - wyszeptał, wtulając twarz w jej ramię.

Jeśli z dziewicą zawsze tak było, to wiele stracił. Miał zamiar solidnie ją ukarać, ale kiedy osiągnęła szczyt, nie zdołał się powstrzymać. Jeszcze nigdy nie stracił kontroli nad sobą. Żadna kobieta nie dała mu takiej rozkoszy. Zapragnął przeżyć to wszystko jeszcze raz.

- Michaelu - szepnęła Evelyn.

Uniosł głowę i spojrzał na jej zarumienioną twarz, nabrzmiałe wargi. Pocałował je mocno.

- Słucham.

- Zawsze jest tak... przyjemnie?

Mógłby teraz naprawdę się zemścić, wmówić jej dowolną rzecz, ale potrząsnął głową.

- Nie. Ty jesteś wyjątkowa, Evelyn.

Niechętnie zsunął się z niej i położył na boku, obejmując jedną ręką jej smukłą talię. Jeszcze nie był zdolny do myślenia, ale już wiedział, że nie chce się z nią rozstać. Najpierw musiał rozważyć kilka spraw. I zastanowić się, co dalej.

Oparł głowę na zgięciu łokcia i spojrzał na Evelyn. Uśmiechnęła się i musnęła palcami jego szczękę.

- Wiedziałam, że masz dobre serce - powiedziała.

- A co tu ma do rzeczy moje serce? - spytał, usiłując zlekceważyć wzruszenie, o które przyprawiła go jej delikatna pieśczoła.

- Nie pamiętasz? Powiedziałeś, że jeśli ci się oddam, nie zamkniesz sierocińca. To, dlatego... - Zmarszczyła brwi, dostrzegłszy podejrzliwość na jego twarzy. - Prawda? Saint usiadł.

- Mówisz, że sprzedawałeś się dla tych dzieciaków? Powinna go tylko pragnąć i niczego od niego nie oczekiwać.

Inaczej okazałaby się taka jak inne... a przecież tak nie było.

- Nie! Marzyłam, żeby... to zrobić. Natomiast tobie chodziło jedynie o dotrzymanie umowy, tak?

- Chciałem być z tobą, bo chciałem - burknął Saint. Jego pierś ścisnęła stalowa obręcz. Może coś niedobrego działo się z sercem. Podobno właśnie tak umarł jego ojciec. -To nie znaczy nic więcej.

Evelyn też usiadła, śliczna, delikatna i nadal pełna złudzeń, co do jego duszy, podczas gdy poznała tylko ciało.

- Ale dałeś słowo.

- Porwałaś mnie. Już zapomniałaś, skarbie? Wskazał na spuchniętą kostkę. Evelyn się skrzywiła.

- Nie chciałam cię zranić.

St. Aubyn sięgnął po spodnie.

- Wiem.

- Proszę... - zaczęła Evie, ale się rozmyśliła. - Jeśli zamierzasz mnie oskarżyć, powiedz, że ja sama to zrobiłam. Nikt mi nie pomagał.

Udając, że nie słyszy jej prośb, które budziły w nim dziwne uczucia, Saint wzuł buty, wciągnął przez głowę brudną koszulę. Musiał uciec od Evelyn, zapomnieć o jej delikatnej skórze i ustach o smaku miodu, żeby móc pomyśleć.

- Michaelu. - Evie położyła dłoń na jego ramieniu. -Saint. Nie obwiniaj dzieci, proszę. One nie mają nikogo, kto by się za nimi wstawił.

St. Aubyn spojrział na nią, odsunął się i wstał.

- Mają ciebie - rzucił krótko i wyszedł z celi. Evelyn spodziewała się, że ją zamknie, ale zostawił drzwi otwarte i ruszył w górę po schodach.

- Och, nie! - wyszeptała, a z jej piersi wyrwał się szloch. Ona trafi do aresztu, kariera polityczna Victora legnie w gruzach, dzieci zamiast sierociniec na więzienie, i to wszystko przez nią. Bo zawiodła. Miała jedynie przekonać St. Aubyna, że ma serce i że powinien go słuchać. Miała powstrzymać go przed zburzeniem sierocińca.

Zawiodła. A teraz, przez swoją nieopanowaną żądzę i złudne nadzieje, co do tego mężczyzny bez serca, była zgubiona. I inni razem z nią.

"Śród labiryntu grzechów on wędrował, Nie znał pokuty, nabroiwszy siłą: Do wielu wzdychał, lecz jedne miłował, Ale ta jedna nie dla niego była."

pieśń I

Jansen otworzył frontowe drzwi Halbora House i powiedział z ukłonem:

- Milordzie, już się zastanawialiśmy, gdzie...
- Butelkę whisky, pół kurczaka i gorącą kąpiel, u mnie w apartamencie. Natychmiast.
- Dobrze, milordzie.

Saint wiedział, że prezentuje się fatalnie: nieogolony, brudny, w pomiętej koszuli, bez surduta, krawata i kamizelki. Jednak zupełnie się tym nie przejmował. Przez siedem dni był przykuty do ściany w piwnicy i nikt nie zauważył jego nieobecności. A Evelyn Marie Ruddick popełniła błąd, sądząc, że potrafi go zmienić. Ha! On jeszcze jej pokaże.

Jego sypialnia wyglądała jak zawsze: mahoniowe meble, ciemne draperie i grube zasłony nieprzepuszczające dziennego światła. Saint obrzucił pokój niezadowolonym spojrzeniem, po czym pokuśtykał do najbliższego okna i otworzył je szeroko, rozsuwając story. Zrobił to samo z pozostałymi pięcioma, nie zwracając uwagi na lokajów, którzy akurat

177

wnieśli ciężkie, parujące wiadra. Po tygodniu spędzonym w ciemności doceniał blask słońca. Garderobiany zamarł w drzwiach.

- Milordzie, pańskie...
- Tak, wiem. Zmykaj.
- Ale...
- Wynocha!
- Tak, milordzie.

Tylko tego mu brakowało, żeby służący zaczął rozpowiadać o jego wyglądzie, a zwłaszcza o spuchniętej kostce i śladach paznokci na plecach. Gdy przyniesiono obiad i whisky, Saint zatrzasnął drzwi i opadł na krzesło. Koszulę zdjął bez trudu, ale z butami poszło mu gorzej. Stękając, ściągnął prawy, cisnął go na podłogę i wziął się do lewego.

Lśniąca czarna skóra była zniszczona, a opuchlizna pod nią jeszcze się powiększyła. Po kilku nieudanych próbach i przekleństwach Saint wziął nóż, którego używał do ostrzenia piór, i rozciął cholewkę.

Kostka była sinoczarna i obrzmiała. Nie bolała tak bardzo jak przed godziną, ale wtedy był zajęty, czym innym. St. Aubyn zdjął spodnie, wszedł do balii i powoli osunął się do gorącej wody, posyukując z bólu.

Przyciągnął sobie krzesło, na którym wcześniej położył talerz z jedzeniem. Popatrzył na butelkę, ale w gorącej kąpeli nagle przeszła mu ochota na whisky.

Evelyn Marie Ruddick. Ze względu na swój styl życia często dowiadywał się rzeczy, które zniszczyłyby niejedno małżeństwo, fortunę albo karierę polityczną. Przeważnie dotrzymywał sekretów, bo taki miał kaprys. Teraz mógł posłać kobietę do więzienia albo nawet do Australii. Sieroty, zwłaszcza starsze, czekał gorszy los... tyle, że Evelyn wzięłaby na siebie całą odpowiedzialność za ich przestępcze czyny.

Saint siedział w rozkosznie ciepłej kąpeli, zamiast wezwać prawnika, żeby przygotował pozew. Nie wysuwał żadnych

178

oskarżeń, nie zamierzał spotkać się z księciem Jerzym, żeby przeprowadzić plan zburzenia sierocińca, nie rozgłaszał wszem, wobec, że Evelyn Marie Ruddick mu się oddała.

Uciekł. Zaspokoił żądze i uwolnił się z kajdan, mógł teraz robić, co chciał. Lecz w tej chwili myślał jedynie o tym, żeby jeszcze kiedyś wziąć Evelyn w ramiona. Namydlił głowę i zanurzył się pod wodę.

Po ostatnim tygodniu, a szczególnie po dzisiejszym dniu, wiedział o niej aż za dużo. Usiadł prosto.

- Jansen! - ryknął. - Przynieś mi pocztę!

Przez pannę Ruddick przepadło mu kilka londyńskich balów. Nie zamierzał tracić ich więcej.

- Evie! Spóźnimy się!

Evelyn drgnęła i po raz trzeci upuściła kolczyk.

- Chwileczkę, mamó.

Próbowała wykręcić się od kolacji u Alvingtonów, mówiąc, że nie czuje się dobrze. Zważywszy na bladość i drżenie rąk sądziła, że bez trudu przekona matkę i Victora. Niestety brat najwyraźniej chciał, żeby zatańczyła z synem lorda Alvingtona Clarence'em, więc kazał jej się pozbierać i wypełnić rodzinne obowiązki.

Przez całe popołudnie nasłuchiwała, czy do drzwi Ruddick House nie pukają już policjanci, przychodzący aresztować ją za uwięzienie markiza. W napięciu czekała, aż zjawi się z wizytą któraś z przyjaciółek jej matki albo jakiś znajomy Victora z nowiną, że po tygodniu nieobecności pojawił się lord St. Aubyn, a następnie uraczą wszystkich opowieścią o tym, jak Evelyn błagała go, o choć jeden dotyk.

Gdy schyliła się po kolczyk, przyszła jej do głowy myśl, że ze względu na pozycję jej rodziny oraz pokrewieństwo z markizem Houtonem władze zawahają się przed aresztowaniem jej publicznie. Wystarczy, więc, jeśli będzie chodzić na wszystkie przyjęcia i bale do końca sezonu. W ten sposób ukryje się pod latarnią.

179

Westchnęła z drżeniem.

- Wszyscy cię ostrzegali - powiedziała do siebie. - Nawet on, idiotko.

- Evie! Na litość boską!

Chwyciła torebkę i wybiegła z sypialni, modląc się w duchu, żeby przynajmniej tego wieczoru zostało jej oszczędzone upokorzenie.

-Idę!

Gdy we trójkę wsiedli do powozu, matka poprawiła jej szal.

- Przynajmniej udawaj, że dobrze się bawisz.

- Właśnie - poparł ją Victor, obrzucając siostrę baczny spojrzeniem. - Uszczypnij policzki. Jesteś zbyt blada.

Do licha! Nagle doszła do wniosku, że więzienie wcale; nie byłoby takie straszne. Jej najbliższych w ogóle nie interesowało, co ją dręczy.

- Postaram się - obiecała, wtulając się w kąt powozu.

- I pamiętaj, żeby zachować pierwszy walc dla Clarence'a Alvingtona.

- Może powinnam przypiąć sobie twoje wskazówki do sukni, żeby o niczym nie zapomnieć.

Brat łypnął na nią spode łba.

- Narzekaj do woli, ale na osobności. W miejscu publicznym bądź czarująca.

Kampania musiała iść dobrze, skoro nawet nie chciało mu się jej zbesztać. Kolacja u Gladstone'ow okazała się wyrafinowaną torturą, a Evelyn nie mogła pozbyć się wrażenia, że Fatima Hynes wie o jej zafascynowaniu Saintem. Lord Gladstone wprawdzie udzielił poparcia Plimptonowi, ale Victorowi nigdy nie brakowało pomysłów ani sojuszników.

Evie zadrzała. Gdy St. Aubyn skontaktuje się z władzami, Victor nie poprzestanie na jej skarceniu. Żaden sojusz nie przetrwałby takiego skandalu. Mogła liczyć jedynie na to, że brat

przetrwaj jej upadek, jeśli szybko ją wydziedziczy, a ona zdoła przekonać wszystkich, że nie wiedział o jej wyczynach. Powinna chyba mu wyjawiać, co się stało,

180

żeby mógł opracować strategię obrony, ale już dręczyło ją przecucie kłęski. Woliała nie ściągać na siebie uwagi.

Przynajmniej kierowały nią szlachetne motywy, gdy porywała St. Aubyna. W każdym razie tak uważała. 2 pewnością nie zamierzała dać się uwieść, ale to, co zrobiła, nie miało nic wspólnego z troską o innych. Pragnęła Santa, chciała go dotykać, całować, poznać go lepiej, dowiedzieć się, jak to jest.

Najgorsze, że zaspokoila ciekawość, ale nie tęsknotę, żeby powtórzyć doświadczenie. St. Aubyn lubił, zdaje się, mieć dużo kochanek, natomiast ona pożądała tylko jego. Wiedziała jednak, że kiedy następnym razem go zobaczy, markiz pewnie ją wyśmieje i każe aresztować. Po wejściu do sali balowej odruchowo rozejrzała się za mundurami. Wypatrywała również Santa, choć jego obecność była mało prawdopodobna. Gdy jakaś dłoń spoczęła na jej ramieniu, Evelyn omal nie krzyknęła. Obejrawszy się, westchnęła Z ulgą.

Lucinda cmoknęła ją w policzek.

- Podobno Clarence Alvington cię szuka. Evie zaczerpnęła tchu.

- Tak, mam z nim zatańczyć walca. Przyjaciółka zmarszczyła nos.

- Szczęściara. - Objęła ją w talii i poprowadziła do stołu z przekąskami. - Słyszałam również, że St. Aubyn zniknął z Londynu. Może wypłoszyły go twoje lekcje.

Evelyn zdobyła się na śmiech.

- Może.

- Jak tam twoje sieroty?

- Cii!

- Spokojnie, jestem bardzo dyskretna, ale nie podoba mi się, że twój brat przyprawia cię p poczucie winy z tego powodu, że pomagasz dzieciom. Do diabła z tym, co wypada, a co nie!

Och, Evie czuła się winna z całkiem innego powodu niż

181

wizyty w sierocińcu. Ponadto rozumiała, że samą swoją obecnością może zaszkodzić przyjaciółkom. Odsunęła się od Lucindy.

- Przynajmniej trochę im pomogłam. Ale teraz powinnam odszukać Clarence'a, zanim Victor mnie znajdzie.

- Dobrze się czujesz, Evie? - Lucinda zmarszczyła brwi. -Dlaczego mówisz w czasie przeszłym. Skończyłaś z pracą w Ufnym Sercu?

- Nie. Oczywiście, że nie. Po prostu żałuję, że tak niewiele zrobiłam.

- Na pewno więcej niż inni. Nie rób takiej ponurej miny.

- Trochę boli mnie głowa. - Evelyn zdobyła się na uśmiech. - Sądzę, że odzyskam humor, jak przeżyję taniec z Clarence'em. Wyświadczysz mi przysługę i zajmiesz Victora rozmową? Tymczasem ja poszukam pana Alvingtona.

Przyjaciółka uśmiechnęła się szeroko.

- Nawet z nim zatańczę.

Gdy Lucinda zniknęła w tłumie, w drzwiach sali balowej ukazał się syn gospodarzy. Ktoś musiał zaszyć na nim czarny frak i spodnie, bo były tak opięte, że wydawało się niemożliwe, żeby Clarence włożył je w normalny sposób. Kiedy się uklonił, Evelyn odniosła wrażenie, że słyszy trzask pękających nici.

- Jak zwykle urocza panna Ruddick - powiedział Alvington, przeciągając słowa. Ujął jej dłoń i musnął ją wargami. -Bardzo mi miło panią widzieć.

- Dziękuję.

Jasne kędzierzawe włosy zostały rozprostowane szczotką na mokro, ale schnąc, znowu się skręciły, tak, że Clarence wyglądał jak przerośnięty, pulchny amerek o niebieskich oczach.

- Zaszczyci mnie pani walcem? - spytał uprzejmie.

- Z przyjemnością, panie Alvington.

- Nalegam, żeby mówiła mi pani Clarence. Evie posłała mu wypraktykowany uśmiech.

182

- Oczywiście, Clarence. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia, moja droga.

Alvington złożył jej kolejny ukłon, od którego omal nie pękło mu ubranie, i odszedł.

- Dzięki Bogu - szepnęła Evelyn.

Odwróciła się, żeby poszukać spokojnego miejsca, gdzie mogłaby pomyśleć, ale zamarła na widok Sainta.

Markiz St. Aubyn stał zaledwie kilkanaście kroków od niej i wymieniał uściski dłoni ze znajomymi dżentelmenami, którzy nie śmieli zrobić mu afrontu w miejscu publicznym. Napotkawszy jej wzrok, przeprosił lorda Trevorstona i ruszył w jej stronę.

Evelyn zapało dech. Nogi miała jak wmurowane, serce przestało bić. Czuła, że zaraz padnie trupem na środku sali balowej Alvingtonów. Saint zbliżył się, wyraźnie oszczędzając, lewą nogę, a jej przyszła do głowy bardzo głupia myśl: przynajmniej nie będę musiała tańczyć z Clarence'em.

- Dobry wieczór, panno Ruddick - powiedział z ukłonem.

On też był ubrany na czarno, ale w przeciwieństwie do młodego Alvingtona nie potrzebował wzmocnionych szwów ani watowanych ramion. Był szczupły, umięśniony i... bardzo pociągający.

- Zapomniałaś języka, Evelyn? - spytał cicho, podchodząc jeszcze bliżej. - Nie przywitasz się ze mną?

- Chyba zemdleję.

- Proszę bardzo.

Evie zamknęła oczy i skupiła się na oddychaniu. Saint nie przyszedł jej z pomocą. Pewnie nawet nie złapałby jej, gdyby runęła na podłogę. Po chwili zawrót głowy minął, ale serce nadal tłukło się w piersi jak szalone. St. Aubyn patrzył na nią z niezmiennym wyrazem twarzy.

- Już lepiej?

- Nie wiem.

W jego twardym wzroku odmalowało się uznanie.

183

- Powiedz „dobry wieczór”.

- Dobry... wieczór, lordzie St. Aubyn. Saint zerknął ponad jej ramieniem.

- Na twoim miejscu nie zadawałbym sobie trudu porwania Clarence'a Alvingtona. Chodzą plotki, że rodzinne kufry są prawie puste.

- Proszę nie mówić takich rzeczy.

- Poza tym już. kogoś masz.

Czyżby usłyszała zazdrość w jego głosie? Niemożliwe. Przecież on sam twierdził, że nie ma serca.

- Mój brat chce, żebym była dla niego miła. Ale co pan tutaj robi? Sądziłam, że woli pan inne miejsca.

St. Aubyn ściągnął brwi.

- Jestem tutaj z twojego powodu, najdroższa. Myślałaś, że nie aresztują cię na balu u Alvingtonów, prawda?

O, nie!

- Jeśli zamierzasz mnie oskarżyć, zrób to - szepnęła Evelyn, poblądła na twarzy. - Ale błagam, nie wciągaj w tę sprawę dzieci ani mojej rodziny.

- Już mnie o to prosiłaś. Zapłacisz za milczenie? Jej puls przyspieszył.

- Ale ja... my...

- Pragnę cię, Evelyn. - Saint przyjrzał się jej uważnie. - A ty mnie?

Z trudem powstrzymała się przed rzuceniem na niego mimo dziesiątków świadków. Do oczu napłynęły jej łzy, ale wytarła je dyskretnie. Niemożliwe, żeby mu na niej zależało. Była głupia, nierozważna, szalona.

- Ja tylko starałam się pomóc.

- Wiem. I nie mam zamiaru wsadzać cię do więzienia, moja droga.

- Naprawdę? - wykrztusiła. Saint potrząsnął głową.

- To byłoby za łatwe. Wolę cię szantażować.

- Szantażować?

184

Jednym krokiem pokonał niewielką odległość, która ich jeszcze dzieliła.

- Teraz należysz do mnie - rzekł cicho.

- Ja nie...

Wytarł kciukiem łzę z jej policzka,

- Obawiam się, że musisz poczekać do jutra, żeby się dowiedzieć, czego chcę od ciebie. Uśmiechnij się, więc i idź zatańcz ze swoim adoratorem, a dziś w nocy śnij o mnie.

- Obiecałeś, że nikogo nie oskarżysz o to, co się stało. Z wyjątkiem mnie. Proszę.

Twarz St. Aubyna rozjaśnił ciepły uśmiech.

- Nie martw się. Tylko ciebie obwiniam.

- O co obwinia pan moją siostrę, St. Aubyn? - odezwał się tuż za nimi Victor.

Tym razem Evie naprawdę omal nie zemdląca. Przemknęło jej przez myśl, żeby udawać obłąkaną. Zamknięto by ją w Bedlam i już nikt nie musiałby odpowiadać za jej uczynki.

- Panna Evelyn przekonała mnie, żebym porozmawiał z Prinnym o powołaniu pana do jego gabinetu - odparł Saint gładko. - Przed końcem sezonu rozdawane będą wakanse w kilku ministerstwach. I zwolnią się dwa ambasadorstwa.

Victor zrobił sceptyczną minę.

- A dlaczego miałbym szukać pańskiego poparcia, St. Aubyn?

- Proszę poczekać - powiedział markiz i ruszył w stronę salonu.

Gdy tylko się oddalił, brat chwycił Evelyn za łokieć.

- Przecież cię ostrzegałem, żebyś trzymała się z dala od tego człowieka! - warknął. - Nie mogę uwierzyć... - Potrząsnął głową. - Czy skupienie się przez jeden wieczór na obowiązkach jest aż takie trudne? Tłumaczyłem sobie twoją płochość młodym wiekiem, ale zaczynam myśleć, że jesteś tępą i...

- Panie Ruddick! Mam przyjemność przedstawić panu diuka Wellingtona. Wasza lordowska mość, Victor Ruddick.

185

Evelyn nie była pewna, kto jest bardziej zdumiony: brat czy ona. Victor pierwszy odzyskał panowanie nad sobą i uściśnął dłoń księcia.

- To zaszczyt pana poznać, wasza lordowska mość.

- Saint mówi, że spędził pan trochę czasu w Indiach -rzekł Wellington. - Zna pan może Mohmara Singha?

Obaj ruszyli spacerkiem przez tłum gości, zostawiając Evelyn z St. Aubynem.

- Jak ci się to udało?

- Potrafię być przekonujący, a uznałem, że w ten sposób najłatwiej pozbędę się twojego upartego brata. Nie myśl jednak, że wyświadczyłem ci przysługę. Wellington czasami lubi... się zabawić, ale jest bardzo konserwatywny. Gdyby się dowiedział, że jego nowy znajomy to brat skompromitowanej, szalonej kobiety porywającej arystokratów...

- Zadbaj o to, żeby kariera Victora legła w gruzach -dokończyła Evie.

- Ale pamiętaj, że to sprawa między tobą a mną, Evelyn Marie. Ty zaczęłaś grę, a ja tylko zmieniłem zasady. Do zobaczenia jutro, moja słodka.

Najwyraźniej jej postępek wystarczył, żeby zyskać całkowitą, niepodzielną uwagę lorda St. Aubyna. Evelyn bardzo to niepokoiło, zwłaszcza, że Saint tak bardzo ją pociągał. Ale ponieważ chciał kontynuować grę, miała szansę uratować sierociniec. Markiza i siebie również.

Nie tak planował zakończyć rozmowę, ale kilka rzeczy zbiło go z pantałyku. Po pierwsze, był niedorzecznie szczęśliwy, że widzi Evelyn. Po drugie, rozwścieczyła go tyrada Victora Ruddicka, której fragment usłyszał. Po trzecie, miał ochotę zabić Clarence'a Alvingtona jak owada za to, że jej dotknął. On był jej pierwszym mężczyzną i panna Ruddick należała teraz wyłącznie do niego.

Evelyn posunęła się za daleko, nie uważał jednak, żeby była głupia czy samolubna. Myślała bardziej sercem niż

186

głową, lecz, o ile potrafił stwierdzić, kierowała się czystymi pobudkami.

Jednocześnie nie mógł zapomnieć, że przez nią spędził wiele długich, samotnych godzin w ciemnej piwnicy. Chciała zmienić go w dżentelmena. Cóż, on z kolei chciał zrobić z niej swoją kochankę. A był o wiele bardziej doświadczony i pomysłowy, niż dziewczyna przypuszczała.

Czy mogło być jej lepiej z kimś innym? Saint spochmurniał. Możliwe, ale i tak nie zamierzał z niej zrezygnować. Evelyn wszystko zaczęła, ale on skończy w wybrany przez siebie sposób.

- Wiedziałam, że nigdy nie opuściłbyś miasta w czasie sezonu - rozległ się tuż za nim głos Fatimy. - Oczywiście nie uwierzyłam plotkarkom.

- A mówią coś ciekawego? Lady Gladstone odęła usta.

- Że znalazłeś sobie nową kochankę. - Przesunęła dłonią po kłapie jego fraka, mrużąc jak kotka. - Czy to Evie Ruddick? Polowałeś na nią przez trzy tygodnie.

- Jest dla mnie za porządna, nie uważasz?

Saint zdjął jej rękę ze swojego torsu. Nie miał czasu na pojedynkowanie się z zazdrosnymi mężami i użeranie z porzuconymi kochankami.

- Nakłoniłam Gladstones, żeby zaprosił pannę Ruddick i jej uroczego brata pojutrze na kolację - oznajmiła Fatima. - Posmakowałeś jej. Kobieta potrafi wyczuć takie rzeczy.

- Lubilem twoje towarzystwo, kiedy byłaś zabawna. Teraz jesteś irytująca. Idź sobie.

Hrabina zmrużyła oczy.

- Zapłacisz za wszystkie okropne rzeczy, które zrobiłeś, Saint. Kazałam Gladstone'owi poprzeć Plimptona, więc brat panny Ruddick nic nie zyska na znajomości z tobą.

- Brawo! Kiedy przyjdzie na nas czas, będziesz przede mną w kolejce do Hadesu. Dobranoc.

Pani Hynes przez chwilę miała taką minę, jakby chcia-

187

ła go spoliczkować, ale w porę się zreflektowała. Saint odgadł, że postanowiła zostawić go w spokoju, póki nie obmyśli zemsty, która nie narazi na szwank jej reputacji. Albo póki nie znajdzie sobie kogoś, kto lepiej zaspokoi jej kaprysy. Niemal potrafiłby zaznaczyć w kalendarzu datę planowanego rewanzu. Wiedział jednak, że zanim Fatima czegoś spróbuje, będzie na tyle roztropna, żeby porozmawiać z jego dawnymi kochankami. A one opowiedzą jej o swoich daremnych usiłowaniach.

W tym momencie orkiestra zagrała walca, więc Saint czym prędzej ruszył do sali balowej. Evelyn już była na parkiecie z Clarence'em Alvingtonem, który próbował objąć ją mocniej, niż pozwalała przyzwoitość. Panna Ruddick powstrzymała go chłodnym uśmiechem i jednym słowem.

St. Aubyn przez chwilę zastanawiał się, jaka byłaby reakcja dandysa, gdyby znalazł się w lochu, przykuty do ściany łańcuchem. Pewnie najpierw by się zmoczył, a gdyby zdołał się uwolnić, natychmiast złożyłby zeznanie pod przysięgą przeciwko Evelyn Marie. Potem kazałby zburzyć sierociniec. Z dziećmi w środku.

Saint uśmiechnął się do siebie. Ktoś powiedział, że zemsta najlepiej smakuje na zimno, lecz on aż płonął z żądy. I zamierzał ją zaspokoić. Porządne kobiety nie porywały ludzi, a z markizem St. Aubynem jeszcze nikt nie odważył się zadzierać. Teraz on trzymał w ręce wszystkie atuty, natomiast Evelyn nie mogła wymigać się od gry. Póki on jej nie pozwoli.

16

"Nie dorówna twej urodzie
Żadna spośród dziew I jak muzyka na wodzie
Zda mi się twój śpiew"

Lord Byron, „Strofy pod muzykę”

Pemberly cisnął na podłogę już trzeci tego ranka krawat.

- Może gdyby pan mi wyjaśnił, na jakim stylu panu zależy, byłbym bardziej pomocny, milordzie.

Saint łypnął na swoje odbicie w lustrze.

- Gdybym wiedział, sam bym sobie poradził. Chodzi mi o coś... nudnego.

- Nudnego? Chce pan wyglądać biednie, milordzie?

- Nie! Zwyczajnie. Bez ostentacji. Nieszkodliwie. Jak „prawdziwy dżentelmen”.

Lokaj mruknął coś pod nosem. St. Aubyn zmrużył oczy.

- Co mówiłeś?

- Nic, milordzie.- - Sługa odchrząknął, wyraźnie zmieszany. - Powiedziałem tylko, że jeśli chce pan zrobić wrażenie nieszkodliwego, powinien pan wysłać kogoś innego w swoim imieniu.

Garderobiany miał rację.

- Postaraj się, Pemberly. Nie oczekuję cudów.

189

- Dobrze, milordzie.

Gdyby Saint już wcześniej nie doszedł do wniosku, że po prostu nie może się doczekać, kiedy wprowadzi w życie swój plan, pomyślałby, że jest zdenerwowany. To oczywiście było wykluczone, bo nigdy się nie denerwował.

Idąc na dół po schodach, stwierdził, że ból kostki prawie całkiem ustąpił. W przeciwieństwie do nieprzyjemnego ucisku gdzieś pod łożami, który zniknął tylko w obecności Evelyn. Mężczyzn naprawdę powinno się ostrzegać przed porządnyimi dziewczynami.

- Faeton gotowy? - zapytał, biorąc kapelusz i rękawiczki od Jansena.

- Tak, milordzie. Reszta też, tak jak pan kazał.

- To dobrze. - Saint zatrzymał się tuż za drzwiami. - Spodziewam się, że wrócę wieczorem. Jeśli nie, możecie uznać, że jestem w niebezpieczeństwie.

Kamerdyner się zaśmiał.

- Dobrze, milordzie. Życzę powodzenia.

St. Aubyn westchnął. Gdyby rzeczywiście zniknął, nikt by się tym nie przejął.

- Dziękuję.

Zszedł po frontowych stopniach i wsiadł do faetonu. Gdy lokajczyk w liberii wskoczył na tył pojazdu, Saint zaciął konie.

Na ulicach Mayfair panował ożywiony ruch. Jedenasta rano wydawała się dobrą porą na odwiedzin, ale gdy utknęli w rzece karek, wózków, jeźdźców i pieszych, Saint zaczął się zastanawiać, czy wcześniejsza godzina nie byłaby lepsza. A jeśli panna Ruddick już gdzieś wyszła, choć uprzedził, że złoży jej przedpołudniową wizytę? Zegarek kieszonkowy wskazywał, że zostały mu jeszcze pięćdziesiąt trzy minuty do dwunastej. Lepiej, żeby Evelyn była w domu.

Do Ruddick House przybył z trzydziestominutowym zapasem. Służący przytrzymał konie, a Saint wziął pakunek z siedzenia i ruszył do frontowych drzwi.

190

Sądząc po minie, sługa, który je otworzył, nie miał pojęcia, kim jest gość.

- Chciałbym zobaczyć się z panną Ruddick.

- Kogo zapowiedzieć?

- St. Aubyn.

Profesjonalny wyraz twarzy kamerdynera zepsuły rozdziawione usta.

- P... proszę zaczekać, milordzie. Spytaam, czy panna Ruddick jest w domu.

Drzwi zamknęły się przed nosem Santa. Najwyraźniej nawet w krawacie dobranym przez Pemberly'ego nie wyglądał dostatecznie nieszkodliwie, żeby zostać wpuszczonym do holu. Kiedyś po prostu wszedłby za służącym. Teraz postanowił czekać.

Po pięciu minutach sterczenia na ganku zmienił zdanie, ale kiedy sięgnął do klamki, drzwi się otworzyły.

- Proszę za mną, milordzie.

Nowina o jego wizycie najwyraźniej już się rozniosła, sądząc po liczbie pokojówek i lokajów, którym nagle się przypomniało, że mają pilne zajęcia w holu.

- Lord St. Aubyn - zaanonsował go kamerdyner, otwierając drzwi salonu.

Saint wkroczył do pokoju... i przystanął zaskoczony. Evelyn siedziała na jednej z ciemnozielonych kanap, ale nie była sama. Gdy ich oczy się spotkały, St. Aubyn poczuł w żyłach płynny ogień.

- Panno Ruddick, lady Dare, panno Barrett - powiedział z ukłonem.

Próbowała go przechytryć, zapewniając sobie świadków. Niezła strategia. Gdyby ktoś dowiedział się o porwaniu i późniejszej chwili zapomnienia, Saint nie mógłby dłużej trzymać jej w szachu. A brat uważał ją za głupią!

- Lordzie St. Aubyn - przywitała go Evelyn, nie ruszając się z miejsca. - Miło, że pan mnie odwiedził.
- Czuję się trochę niezręcznie - odparł Saint z uśmie-

191

chem, przeklinając ją w duchu. Jeszcze się nie zorientowała, że on nie ma pojęcia, jak być prawdziwym dżentelmenem? Gdyby go uprzedziła, że spodziewa się przyjaciółek, mogłby wcześniej poćwiczyć salonową konwersację. - Myślałem, że zabiorę panią na piknik - dodał, wręczając jej róże.

Gdy musnął jej dłoń, Evelyn przeszył dreszcz. Irytował ją własny brak dyscypliny i powściągliwości, ale nie była pewna, kogo ma za to winić: jego czy siebie.

- Są śliczne, prawda, Evie? - wykrzyknęła panna Barrett z nadmiernym entuzjazmem.

- Tak. Dziękuję.

Evelyn wiedziała, że Saint chciał zobaczyć się z nią sam na sam. Wiedziała również, że nie mogłby tak po prostu dać jej bukietu, życzyć miłego dnia i wyjść. Jedynym ratunkiem, jaki zdołała wymyślić przez noc, było zaproszenie przyjaciółek na pogawędkę.

- Słyszałyśmy, że musiał pan wyjechać z miasta na kilka dni - odezwała się Georgiana, śląc Evie spojrzenie, które wyraźnie mówiło: „Co, do diabła, on tutaj robi?” -Ufam, że wszystko w porządku?

St. Aubyn pokiwał głową, ruszył do kanapy i nieproszony usiadł obok gospodyni.

- Miałem kilka spraw do załatwienia - odparł lekkim tonem. Evelyn zerknęła na niego podejrzliwie. Nigdy nie zachowywał się tak miło. W każdym razie bez ukrytych motywów.

Sama się przekonała, że markiz potrafi z nią zrobić, co chce. Zapewne słyszał podobne komplementy od wielu kobiet, więc nie widział powodu, żeby się zmienić. Evie spochmurniała. Oczywiście wcale nie była zazdrosna, tylko współczuła tym biednym istotom. Przyjaciółki miały rację. Powinna wybrać inny sierociniec i innego ucznia. Takiego, który nie przyprawiałby jej o drżenie. Teraz mogła jedynie zapobiec większym szkodom.

Raptem uświadomiła sobie, że wszyscy na nią patrzą. Powiedz coś, zbeształa się w duchu.

192

- Napije się pan z nami herbaty?

- Dziękuję, ale nie. Mój faeton czeka. Lucinda odchrząknęła.

- Nie wiedziałam, że lubi pan pikniki, milordzie.

- Evelyn sama stwierdziła, że powinienem spędzać więcej czasu na powietrzu. To będzie początek. Jedziemy, panno Ruddick?

- Nie mogę zostawić gości - odparła. Jej głos zabrzmiał piskliwie. - Może innym razem, milordzie.

Zielone oczy przeszyły ją na wskroś. Evie poczuła, że twarz jej płonie.

- Dzisiaj - powiedział markiz twardym tonem. - Bo inaczej pójdę do Prinny'ego i sfinalizuję transakcję.

- Nie robi pan tego.

St. Aubyn pokazał zęby w uśmiechu.

- Kazałem kucharzowi przygotować kanapki z bażantem. Zdaje się, że pani je lubi.

Lucinda i Georgiana milczały, z zainteresowaniem słuchając tej wymiany zdań, mimo że nie chwyciły podtekstu. Pożegnałyby się, gdyby przyjaciółka dała im znak, ale wydarzenia poranka najwyraźniej zbiły je z tropu. Evelyn również, jeszcze bardziej.

- Evie? - Do pokoju zajrzał Victor. - Langley mówi, że St. Aubyn... A, St. Aubyn. Dzień dobry.

Evelyn osłupiała, kiedy brat wszedł do pokoju i podał rękę Saintowi. I, o dziwo, markiz ją uściskał.

- Dzień dobry. Próbuje zabrać pańską siostrę na piknik. Niestety panna Evelyn się obawia, że pan nie pochwali tego pomysłu.

Evie zakrzuszyła się herbatą. Miała nadzieję, że obecni przypiszą jej zmieszanie surowości brata, a nie słowom markiza. Saint wydawał się całkowicie pewny, że teraz on. ustala zasady.

I wciąż jej o tym przypominał. Do diabła z nim!

Sądząc po wyrazie twarzy, Victorowi nie podobała się

193

obecność St. Aubyna ani jego propozycja. Z drugiej strony, od powrotu z Indii próbował zawrzeć znajomość z Wellingtonem. Musiał, więc być wdzięczny markizowi, że przedstawił go diukowi.

- Myślę, że jedno popołudnie mogę siostrze darować - stwierdził w końcu. - Oczywiście musi wam towarzyszyć przyzwoitka.

Do licha! Szkoda, że o tym nie pomyślała. W obecności pokojówki nie będą mogli zachowywać się swobodnie.

Saint również zrozumiał, że przepadła okazja do prywatnej rozmowy... albo czegoś więcej.

- Mam ze sobą lokajczyka. Ruddick potrząsnął głową.

- Jestem panu wdzięczny za ostatni wieczór, St. Aubyn, ale nie głupi. Evelyn może jechać tylko z pokojówką.

- Dobrze.

Cóż, nie przechytrzył jej, ale niewiele brakowało, mimo że znajdowali się w salonie jej własnego domu, w obecności trzech innych osób. Gdyby teraz zaprotestowała, Victor byłby zły, co postawiłoby ją w jeszcze gorszej sytuacji, a Saint mógłby zrealizować swoją groźbę, że pozbędzie się sierocińca raz na zawsze. Przyjaciółki też najwyraźniej rozumiały, kto wygrał, bo obie wstały.

- Muszę już iść - oznajmiła Lucinda. - Georgie, nadal chcesz obejrzeć tę nową koronkę u Thakera?

- Tak. - Wicehrabina pocałowała Evie w policzek. - Dobrze się czujesz? - zapytała szeptem.

Evelyn skinęła głową.

- Po prostu nie sądziłam, że tak szybko się poprawi. Lucinda uścisnęła jej dłoń.,

- Zobaczymy się na jutrzejszym recitalu Lydii Burwell?

- Evie ma jutro herbatkę u ciotki Houton - przypomniał Victor, odprowadzając gości do drzwi.

- Więc zobaczymy się jutro wieczorem.

- O, tak, nie przepuszczę tej okazji.

194

- Jakiej okazji? - zainteresował się St. Aubyn, gdy zostali sami w pokoju.

- „Jak wam się podoba” w Drury Lane.

- Ciekawy tytuł. - Evelyn czekała, aż markiz coś doda, ale on tylko znacząco uniósł brew. - Idź po pokojówkę. Nie traćmy dnia, dobrze?

Po jej plecach przebiegł dreszcz. Do tej pory wydawało się, że Saint jest gotowy dotrzymać sekretu, lecz Evie nie miała wątpliwości, że jego uprzejme zachowanie to tylko maska, a on sam prowadzi jakąś nową grę.

- Ich możesz oszukać, ale nie mnie - powiedziała.

- Nie muszę cię oszukiwać - odparł Saint cicho. - Jestem twoim właścicielem, pamiętasz?

Wspinając się po schodach, Evie nie po raz pierwszy zaczęła rozważać korzyści płynące z ucieczki z domu. Zwykle chciała się wynieść z powodu Victora i jego tyrad. Teraz, znikając, ochroniłaby brata. Ale wtedy nikt nie byłby w stanie powstrzymać St. Aubyna przed zburzeniem sierocińca... i zszarganiem jej reputacji.

Chyba, że blefował, ale wołała nie ryzykować. Zwłaszcza, że nadal miała szansę przekonać go, żeby pomógł dzieciom.

Gdy razem z Sally zeszła na dół, zobaczyła w holu Sainta i Victora. Obaj wyglądali, jakby rozpaczliwie pragnęli znaleźć się w innym miejscu. Gdyby nie zdenerwowanie, byłyby rozbawiona ich minami.

- Idziemy, milordzie? - Postanowiła udawać, że przewidziała każdy jego ruch i nic nie może jej zaskoczyć.

- Tak. Do widzenia, Ruddick.

- St. Aubyn. Oczekuję siostry o czwartej.

Victor rzeczywiście musiał być bardzo wdzięczny za przedstawienie go Wellingtonowi, skoro pozwolił markizowi spędzić cztery godziny w jej towarzystwie. Gdy ten na nią spojrział, kiwnęła głową i ruszyła do drzwi. Kiedy schodzili po frontowych schodach na krótki podjazd, St. Aubyn ujął jej dłoń w rękawiczce i położył ją sobie na przedramieniu.

195

- Ciekawe, czy gdybym postarał się, żeby wybrano twojego brata do parlamentu, pozwoliłby mi na nienadzorowaną nocną wizytę w twoim łóżku? - rzekł cicho.

Prawdopodobnie tak. Evelynomal nie powiedziała tego na głos, ale na szczęście zdrowy rozsądek wziął górę nad impulsem.

- Sally i ja nie zmieścimy się obie w faetonie - stwierdziła.

- Ależ owszem.

- Nie. - Evie nie zdołała powstrzymać lekkiego uśmiechu na widok jego pochmurnej miny. - Nie możesz zostawić lokajczyka, bo Sally nie przejmie jego obowiązków. Panicznie boi się koni.

To nie była prawda, ale służąca chyba wczuła się w swoją rolę, bo z daleka ominęła zaprzęg. Słowa, które Saint wymamrotał pod nosem, nie były uprzejme, podobnie jak spojrzenie, które posłał dziewczynie.

- Dobrze, więc pójdziemy na piechotę.

- Na piechotę?

- Tak. Felton, jedź do domu.

- Dobrze, milordzie.

St. Aubyn wziął z siedzenia powozu duży kosz piknikowy i wrócił z nim do Evelyn.

- Jaką jeszcze przeszkodę rzucisz mi pod nogi?

- Na razie wystarczy.

- Świetnie. Chodźmy.

Podał jej ramię. Evelyn przyjęła je po chwili wahania. Bardzo lubiła go dotykać, a taki gest był do zaakceptowania.

- Naprawdę nigdy wcześniej nie byłeś na pikniku?

- Nie pod eskortą, w publicznym miejscu, z kanapkami w koszu.

- Więc jak... Mniejsza o to. Nie chcę wiedzieć.

- Owszem, chcesz. - Saint spojrział na nią z ukosa. - Uważasz, że jesteś zbyt przyzwoita, żeby pytać o takie rzeczy.

- A ty uważasz, że musisz być nieprzyzwoity i szokować wszystkich każdym zdaniem. Nie masz tego dość?

- Próbujesz zmienić mnie na lepsze czy po prostu karcisz za złe zachowanie?

Evelyn westchnęła.

- Nie nauczyłeś się niczego? - szepnęła, mając na uwadze Sally, która szła parę kroków za nimi.

- Przeciwnie. Dowiedziałem się, że lubisz przykuwać mężczyzn łańcuchami do ściany i całować ich, kiedy możesz dyktować warunki. Dowiedziałem się...

- Nieprawda! - wykrzyknęła Evie z płonąca twarzą.

- Nie? Kochałaś się ze mną, Evelyn Marie. Dotykałaś kogoś innego w ten sposób?

- Nie.

- Takie odniosłem wrażenie.

- A ty z pewnością miałaś wiele kobiet. Nie rozumiem, dlaczego dręczysz mnie z powodu... małego potknięcia.

Saint zaśmiał się tak uwodzicielsko, że kilka mijanych kobiet obrzuciło go wzrokiem, a potem zaczęło coś do siebie szeptać.

- Moja droga, sama powiedziałaś, że chcesz zrobić ze mnie dżentelmena. Czy ja nie mam prawa próbować zmienić cię w rozpustnicę?

- To by mnie skompromitowało - odparła Evelyn, pamiętając o swoim postanowieniu, żeby nie dać mu się zgorszyć. - A ja nie chcę stracić reputacji.

- Straciłabyś ją, gdyby ktoś się o nas dowiedział. Wystarczy, że będziemy dyskretni. Mógłbym uczynić uległość warunkiem utrzymania twojego wybryku w sekrecie, nie sądzisz?

- Chyba tak. Ale przypomnianie mi o nim raczej nie nastawiłoby mnie przychylnie do twoich uwodzicielskich starań.

Tym razem Saint roześmiał się głośno. Evelyn po raz pierwszy słyszała jego szczery, wesoły śmiech. Przebiegł po niej dreszcz. Do licha! Gdyby nie pamiętała o tym, jaki markiz jest naprawdę, byłaby w połowie drogi do zakochania. Ale choć czarujący i godny pożądania, przecież nadal ją szantażował.

- Co cię tak rozbawiło? - spytała.

St. Aubyn nachylił się i szepnął jej do ucha.

- Już cię uwiodłem, moja droga. I myślę, że mnie lubisz, bo jestem okropny.

W tym momencie Evie przypomniał się wieczór, kiedy zobaczyła go, jak szepcze nieprzyzwoite rzeczy do ucha lady Gladstone. A teraz ona była obiektem jego skandalicznych zalotów. I chętnie je przyjmowała; budziły w niej żar i pragnienie. W tym momencie lady Trent omal nie wpadła na latarnię, zaskoczona widokiem panny Ruddick idącej pod rękę z markizem St. Aubynem.

- Owszem - przyznała Evelyn. - Ale może lubiłabym cię bardziej, gdybyś był miłszy.

Właśnie zbliżali się do zachodniego krańca Hyde Parku.

- Zaprosiłem cię na piknik - powiedział Saint. - Uważam, że to bardzo miłe z mojej strony.

Evie zaśmiała się i oparła mocniej na jego ramieniu.

- Tak, jeśli pominiemy drobiazg, że groziłeś zburzeniem sierocińca, o ile nie będę ci towarzyszyć.

- A inaczej byś poszła?

W jego ustach pytanie zabrzmiało naiwnie, ale Saint z konsternacją stwierdził, że chce znać odpowiedź. Był pewien, że Evelyn jak zawsze odpowie prawdę.

- Nie wiem. Obiecałeś, że nie każesz mnie aresztować, ale...

- Mam ci dać słowo, że zostawię Ufne Serce w spokoju -dokończył St. Aubyn. Nieco rozpraszała go ciepła dłoń, którą czuł na przedramieniu. - Tak?

W przeciwnym razie już nigdy więcej mu się nie odda, a jeśli to zrobi, będzie oczekiwała, że on dotrzyma słowa, pomyślał Saint. Wziął głęboki oddech. Sześć lat czekał na okazję pozbycia się kłopotu. Mógł wstrzymać się jeszcze trochę, póki jego żądza nie wygaśnie.

Skinął głową.

- Dobrze. Masz... cztery tygodnie na przekonanie mnie,

198

żebym nie burzył sierocińca. Ale ostrzegam, że będziesz musiała bardzo się starać.

Sądząc po wyrazie jej twarzy, Evie nie wiedziała, co dalej robić, skoro już ustąpił. To mu odpowiadało; zyskał cztery tygodnie, żeby zrozumieć swoją obsesję na jej punkcie, wyleczyć się z niej i zakończyć znajomość. Jeśli nie on, robi to Evelyn Marie, bo za niecały miesiąc sierociniec Ufne Serce stanie się częścią najnowszego parku księcia Walii.

- Tu jest ładnie - stwierdziła, zatrzymując się pod starymi angielskimi dębami.

Saint popatrzył na zatłoczoną ścieżkę do jazdy konnej oddaloną o zaledwie pięćdziesiąt stóp i na równie ruchliwą alejkę dla pieszych, która biegła po drugiej stronie skupiska drzew.

- Za dużo świadków - stwierdził, ruszając w głąb parku. Evelyn uwolniła rękę.

- To przecież tylko obiad na trawie, prawda? Czy to ważne, że ludzie nas zobaczą?

Ważne, bo ona była deserem, którego pragnął.

- Naprawdę chcesz tutaj zostać? - spytał z powątpiewaniem.

- Tu jest miło i ładnie.

- Ale nie będę. mógł cię pocałować, nie niszcząc twojej reputacji. A o ile sobie przypominam, bardzo się tego boisz.

Evie roześmiała się zbyt głośno i ujęła go pod ramię. ~ Sama rozmowa o tym jest niebezpieczna.

- Ale mniej zabawna niż czyny. - Przyszła mu do głowy myśl, że znalazł się w jakiejś koszmarnej idylli, lecz w końcu niechętnie ustąpił. - Zbyt dużo ode mnie wymagasz, wiesz.

Evelyn obdarzyła go uśmiechem.

- Nie takie to straszne, gdy już człowiek się przyzwyczai. Przyniosłeś koc?

St. Aubyn postawił ciężki kosz na trawie.

- Nie wiem. Kazałem służbie przygotować wszystko na piknik.

199

- Więc zobaczmy.

Panna Ruddick najwyraźniej dobrze się bawiła, zapewne jego kosztem. Postanowił jednak tolerować jej zachowanie, bo dobry humor sprawiał, że lśniły jej oczy, a w policzkach robiły się dołeczki.

W koszu znaleźli niebieski koc. Saint wziął go od Evelyn i rozłożył na chłodnej trawie.

- Co teraz?

- Postaw kosz na środku koca. Usiądźmy. Markiz zerknął na pokojówkę.

- A przyzwoitka?

Na policzki Evie wypłynął rumieniec, który Saintowi nieodmiennie się podobał. Wyglądała wtedy tak świeżo i niewinnie.

- Sally usiądzie na brzegu koca - oznajmiła Evelyn, klękając.

Zielona muślinowa suknia wydeła się wokół niej jak balon. Saint przez chwilę patrzył na kasztanowe włosy upięte w kok na czubku głowy, na łagodną linię szyi, kiedy wyjmowała z koszyka butelkę wina, na długie, podwinięte rzęsy, które zasłaniały przed nim oczy. Przełknął

ślinę, bo nagle zaschło mu w ustach. Dobry Boże, najchętniej zdarłby z niej ubranie i obsypał pocałunkami każdy cal gładkiej skóry.

W tym momencie Evelyn podniosła na niego wzrok.

- Zamierzasz stać?

Saint usiadł, krzyżując przed sobą nogi. Co on robi z tą boginią gracji? Albo ona z nim?

- Jesteś bardzo milczący - zauważyła, podając mu butelkę. - Dobry cabernet.

- Pasuje do bażanta. Mam też dżin, jeśli wolisz.

- Wino będzie lepsze. - Evie wyjęła z kosza dwa kieliszki i podsunęła je Saintowi. - Nalej.

Na Lucyfera, zachowywał się jak wiejski gamoń! Markiz St. Aubyn nie tracił głowy przy pięknych kobietach, zwłaszcza po tym, jak je zdobył. Zręcznie odkorkował butelkę.

200

- Cabernet smakuje najlepiej, gdy się je pije z nagiej skóry - powiedział. - Ale skoro to wykluczone...

Kryształowe kieliszki lekko drżały w dłoniach Evelyn, kiedy je napełniał.

- Wybrałeś piękny dzień na piknik - stwierdziła sucho.

- Teraz porozmawiamy o pogodzie?

Saint odstawił butelkę na trawę i wziął od panny Ruddick jeden kieliszek, muskając przy tym jej palce. Musiał, co chwilę jej dotykać.

- Pogoda to zawsze bezpieczny temat.

St. Aubyn upił łyk wina, patrząc na nią ponad krawędzią naczynia.

- Fascynujący. Evelyn opuściła wzrok.

- Nie. Nudny.

Najwyraźniej powiedział niewłaściwą rzecz. Bycie porządnym okazało się trudniejsze, niż przypuszczał.

- Ależ nie. To dla mnie nowe terytorium. Zwykle na tym etapie pikniku byłem już bez ubrania. Znasz inne bezpieczne tematy?

Evie spojrzała na niego podejrzliwie.

- Pogoda jest najlepsza, bo wszyscy coś wiedzą na jej temat. Jeśli chodzi o modę, można ponarzekać na nowy dekadenski styl i...

- Lubię dekadencję. Evelyn się uśmiechnęła.

- Wiem. Z tego samego powodu w rozmowie ze starszymi trzeba potępiać walc. Poza tym nikt nie lubi Bonapartego, a Amerykanie są bardzo...

- Widzę, że najbezpieczniej jest nie lubić wszystkiego.

- A także niczego nie pochwalać i nic nie robić.

- No, no. Nie miałem pojęcia, że jesteś cyniczna. - Saint przekrzywił głowę, próbując odczytać wyraz jej twarzy. - Ale nie o to chodzi, prawda? W ten sposób konwersujesz ze znajomymi twojego brata, natomiast sama jesteś dużo

201

bardziej interesująca niż nudna istota, którą musisz udawać.

Ku jego zaskoczeniu oczy Evelyn napełniły się łzami, ale przeprosiny zamarły mu na ustach, kiedy zobaczył jej ciepły uśmiech. Poczul, że dzieje się z nim coś dziwnego.

- Powiedział pan bardzo miłą rzecz, lordzie St. Aubyn. Saint sięgnął do kosza, żeby pokryć nagłe zmieszanie.

- A to niespodzianka - mruknął. - Bażanta?

"Tu szła i miłość śladem jego kroku... Choć w nim już żądza na popiół zgorzała"

Lord Byron, „Wędrowniki Childe Harolda”, pieśń

III

Słońce już dotykało drzew, kiedy Evie poprosiła Sainta, żeby spojrział na zegarek.

- Za dwadzieścia czwarta.

Evelyn nieco zmartwiła ta wiadomość. Wprawdzie dobrze się bawiła, ale nie zdążyła napomknąć o dzieciach z sierocińca. St. Aubyn dał jej niecały miesiąc na przekonanie go, żeby nie burzył Ufnego Serca, a ona już straciła prawie cztery godziny. Lecz gdyby zbyt późno wróciła do domu, Victor zabroniłby jej spotykać się z markizem.

- Musimy iść.

Z zawiedzioną miną Saint wstał z koca i podał jej rękę.

- Obawiam się, że porwanie nie wchodzi w grę. - Gdy wstała, nachylił się do jej ucha. - Zresztą już tego próbowaliśmy, nieprawdaż?

- Przestań! - syknęła Evie, protestując bardziej z powodu jego intymnego tonu, który przyprawił ją o dreszcz, niż tego, co powiedział.

Nagle zrozumiała, że Saint nikomu nie zdradzi jej sekretu. Gdyby to zrobił, straciłby przewagę, którą tak sobie cenił.

203

St. Aubyn wrzucił resztki posiłku z powrotem do kosza, zwinął koc i położył go na wierzchu.

- Na pewno nie pozwolisz mi zaciągnąć się w krzaki...

- Saint!

Markiz zerknął na Sally.

- Tylko wymienimy uścisk ręki na pożegnanie. Pokojówka oczywiście wiedziała, o co chodzi lordowi

St. Aubynowi, ale znając jego reputację, zapewne uznała, że skandaliczna propozycja należy do jego stylu bycia. Przynajmniej taką nadzieję miała Evie.

- Żadnych uścisków dłoni.

Wzięła go pod ramię. Nawet, kiedy zachowywał się grzecznie, tak jak tego popołudnia, czuła się w jego towarzystwie jak w klatce z czarną panterą; choć oswojona i ze schowanymi pazurami, nadal stanowiła zagrożenie.

- Moja siła woli nie jest nieograniczona, Evelyn Marie.

Evie zrobiło się gorąco na widok pożądania, które dostrzegła w jego oczach. Co najmniej dziesięć razy w czasie pikniku musiała się powstrzymać, żeby go nie pocałować? Pragnęła znowu poczuć się tak jak wtedy, w jego ramionach. Ale gdyby o tym wiedział, straciłaby niewielką władzę, którą nad nim miała. Balansowała na krawędzi przepaści.

- Z kim jeszcze chciałby spotkać się twój brat? - zapytał Saint, najwyraźniej pogodzony się z jej odmową.

- Zdaje się, że Gladstone poprze innego kandydata, więc teraz Alvington może zrobić najwięcej, żeby zapewnić mu głosy z West Sussex. A przy okazji, jak udało ci się z Wellingtonem?

St. Aubyn wzruszył ramionami.

- Słyszałem o planach twojego brata, a musiałem zobaczyć się z tobą. Wellington lubi dobre sherry, ja zaś mam w piwniczce kilka skrzynek najlepszego.

- Victor byłby dobrym politykiem. Saint spojrział na nią z ukosa. -Tak?

204

- Spełniłeś dobry uczynek.
- Owszem. Zabrałem cię na piknik. Evie się skrzywiła.
- Doskonale wiesz, co mam na myśli. Dlaczego nie chcesz przyznać, że zrobiłeś coś miłego?
- A dlaczego sądzisz, że to było miłe z mojej strony? Zrobiłem to, co konieczne, żeby dopiąć swego.

Evelyn potrząsnęła głową.

- Nie wierzę, że poznałeś Wellingtona z Victorem tylko, dlatego, żeby wziąć mnie na piknik. Saint tylko się uśmiechnął.
- Powiedz mi, kogo jeszcze potrzebuje twój brat, żeby zakończyć kampanię, a ja wszystko zorganizuję.

Evelyn się zatrzymała. Sally również przystanęła w takiej odległości, że dobrze ich słyszała.

- A czego oczekujesz w zamian?
- Więcej czasu Z tobą.

W pierwszym odruchu Evie chciała krzyknąć, że ma dość kupczenia jej osobą, ale zrozumiała, że Saint jedynie dostrzegł ambicje Victora i postanowił je wykorzystać, żeby osiągnąć swoje cele.

- Mogłeś odpowiedzieć, że po prostu chcesz pomóc, bez żadnych ukrytych motywów.
- To byłoby kłamstwo, a odniosłem wrażenie, że cenisz uczciwość.

Evelyn ruszyła dalej alejką i przez dłuższą chwilę szła obok markiza w milczeniu. Saint był uczciwy. Nigdy jej nie zwodził, od początku jasno stawiał sprawę, czego od niej oczekuje. Ale nawet ta szczerłość wynikała jedynie z chęci zyskania jej aprobaty. Wszystko było takie skomplikowane. Jeśli zamierzała nadal udzielać mu lekcji, musiała pomyśleć, jak go przekonać o korzyściach bezinteresownego czynienia dobra.

- Milady - szepnęła za nimi Sally. - Pan Ruddick. Evelyn podniosła wzrok. Na ganku stał Victor z ponurą miną i zegarkiem w ręce.

205

- Nie jesteśmy spóźnieni - powiedział cicho St. Aubyn, idąc za jej wzrokiem. - Twój brat zachowuje się jak rajfur. Mam mu przypomnieć, że nie jesteś kobietą wynajmowaną na godziny?

Mówił łagodnym tonem, ale Evie wydał się on zimny niczym stal. Saint był zły na Victora z jej powodu.

- Nie, bo tylko wprawiłbyś go w paskudny nastrój, co z pewnością na mnie by się odbiło.
- Ale bardzo poprawiłbym swój. Nie lubię, gdy mi się mówi, jak mam z kimś spędzać czas.
- Saint - syknęła błagalnie Evie, gdy skręcili na podjazd.
- Nie oświecę go dzisiaj - odszepnął St. Aubyn. - Ale pamiętaj, co powiedziałem o swojej silnej woli.

Drażnił się z nią. Evelyn chciała pocałować go w policzek, albo jeszcze lepiej w usta, ale wtedy brat padłby trupem.

- Mało prawdopodobne, żebym zapomniała.
- Wierzę, że miałaś miłe popołudnie - rzekł Victor, chowając zegarek do kieszonki i schodząc po schodach.
- Urocze.

Brat wziął ją pod drugie ramię, a Evie nagle się przestraszyła, że Saint jej nie puści i obaj rozerwą ją na pół. Mięśnie przedramienia St. Aubyna napięły się pod jej palcami.

- Pańska siostra jest czarująca - powiedział markiz.

- Jak zawsze. Evelyn odchrząknęła.
- Tyle komplementów. Bardzo mi miło. I dziękuję za przyjemny piknik, milordzie.
Saint uklonił się sztywno i puścił jej rękę.
- Ja również, panno Ruddick. Miała pani rację.
- W jakiej sprawie? - zapytała Evie.
- Dziennego światła. Jest naprawdę wyjątkowe. Zegnam państwa.
- Do widzenia.
Kiedy St. Aubyn wyszedł z koszem piknikowym na ulicę i zagwizdał na dorożkę, Victor mocniej ścisnął siostrę za

206

ramię. Evie oderwała wzrok od Sainta i ruszyła do domu.
- O co mu chodziło? - spytał Victor, prowadząc ją po schodach.
Langley zamknął drzwi, nim zdążyła sprawdzić, czy markiz za nią patrzy. Była na tyle próżna, że chciała wiedzieć, czy Saint poświęca jej, choć jedną myśl, gdy ona znika mu z oczu.
- A o co pytasz?
- O uwagę na temat światła dziennego.
- Poradziłam mu, żeby czasami spróbował wychynąć na słońce.
- Aha.
Victor puścił ją i skierował się do swojego gabinetu, w którym prawdopodobnie zamierzał spędzić resztę popołudnia na obmyślaniu planów.
- Sam mógłbyś tego spróbować! - krzyknęła za nim Evie. Brat obejrzał się ze szczytu schodów.
- Czego?
- Wyjść na światło słoneczne.
- Nie łudź się, że namówisz mnie na przyjaźń z tym draniem tylko, dlatego, że przedstawił mnie Wellingtonowi. Wyświadczył mi przysługę, więc pozwoliłem mu zabrać cię na piknik. Ale nie przyzwyczajaj się do niego, bo nic więcej nie jestem mu winien.
Evie westchnęła.
- Jeśli cię to interesuje, był dzisiaj prawdziwym dżentelmenem.
- Bo ty byłaś damą. A przy okazji, gratuluję determinacji. Robisz wszystko, żeby mnie zdenerwować. Evelyn Marie Ruddick, obrończyni biednych, je obiad z człowiekiem, który zamierza zburzyć sierociniec.
Nie, póki ona ma coś do powiedzenia w tej kwestii.
- Dziękuję, że mi przypomniałeś, Victorze! - odkrzyknęła, idąc do salonu.

207

Saint zasiadł przy głównym stoliku do faraona w klubie Society.
- Co to, u licha, jest „polityczna herbatka dla dam”? Tristan Carroway, wicehrabia Dare, odchylił się na oparcie krzesła i sięgnął po kieliszek porto.
- Czy ja wyglądam na słownik?
- Jesteś udomowiony. - Saint też zamówił trunek mimo nieprzyjaznych spojrzeń partnerów od stolika.
- Nieudomowiony, tylko zakochany. Sam powinieneś spróbować. Miłość w cudowny sposób zmienia poglądy na życie.

- Wierzę ci na słowo, dziękuję. Ale skoro jesteś taki zakochany, co tutaj robisz. Gdzie twoja żona?

Dare wychylił porto i ponownie napełnił kieliszek.

- Polityczna herbatka to towarzyskie spotkanie, na którym damy dyskutują, jak najlepiej pomóc swoim mężczyznom w karierze politycznej. Jeśli chodzi o drugie pytanie, to nie twoja sprawa. Proponuję, żebyś trzymał się z daleka od mojej żony.

Saint objął jednym spojrzeniem napiętą twarz Dare'a, na pół opróżnioną butelkę w jego dłoni oraz graczy, którzy zerkali na nich od sąsiednich stolików.

- Interesuję się wszystkim, tylko nie twoją żoną, Dare. Domagasz się walki, chętnie ci służyć, ale wolę wypić tobą drinka.

Tristan Carroway potrząsnął głową.

- Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, Saint. Evie Ruddick to moja przyjaciółka, a ty, zdaje się, nie żywisz wobec niej uczciwych zamiarów. Zostaw ją w spokoju, to napiję się z tobą.

Kilka tygodni wcześniej Saint nie namyślałby się dwa razy, tylko poinformował Dare'a i wszystkich obecnych, jak bardzo jego zainteresowanie uszczęśliwiło pannę Evelyn Marie Ruddick. Tego wieczoru wstał od stolika, nie zastanawiając się, dlaczego nie chce o niej rozmawiać.

- Nie stanie się ani jedno, ani drugie. Żegnam.

208

Opuścił Society, słysząc za sobą ożywione szepty. Niech się głowią, jakie ma zamiary wobec niewinnej Evie Ruddick. Już nie była taka niewinna, ale to nie ich sprawa. Nikt nie musiał również wiedzieć, że on nadał tęskni za jej ciałem, głosem, nawet za ciepłym uśmiechem. Domyślał się, że na polityczną herbatkę dla dam nie zostanie wpuszczony, ale pozostawał jeszcze Szekspir w Drury Lane. Zobaczysz dzisiaj Evelyn, bez względu na wszelkie przeciwności.

Jadąc do domu, nadał tak ochoczo po tygodniu uwięzienia w piwnicy sierocińca, że nawet chłodny, mglisty wieczór wydawał mu się przyjemny, wspominał wydarzenia dnia. Gdyby miesiąc temu ktoś mu powiedział, że wybierze się na piknik z porządną dziewczyną, roześmiałby mu się w twarz. A on nie tylko to zrobił, lecz czerpał z wycieczki przyjemność większą, niż odważyłby się przyznać.

Pora była jeszcze wczesna, ale podobnie jak w ciągu kilku poprzednich wieczorów, Saint nie wiedział, co ze sobą zrobić. Jego tradycyjne rozrywki: gra w karty, wizyty w domach uciech, pijaństwa w podrzędnych klubach, zwykle stanowiły wstęp do prawdziwej zabawy. Poza tym kiedyś wystarczyłaby mu w miarę atrakcyjna kobieta, teraz jednak nie chodziło mu o zaspokojenie chuci z byle, kim.

Prawdziwe pożądanie budziła w nim tylko jedna. Od lat nie czuł się taki ożywiony, krew szybciej płynęła mu w żyłach. Widok Evelyn, rozmowa bez możliwości jej dotknięcia, była wyjątkową torturą, ale znosił to cierpliwie, bo obiecał sobie, że znowu ją posiadzie.

Gdy Cassius się zatrzymał, Saint stwierdził, że znowu trafił pod Ruddick House. Tylko w jednym oknie na piętrze migotał płomyk świecy. St. Aubyn był ciekaw, czy noce Evelyn są równie bezsenne, jak jego. Miał nadzieję, że tak i że ona też o nim myśli.

Cmoknął cicho na gniadosza. Evelyn Marie Ruddick zostanie jego kochanką, już postanowił. Nie chciał żadnej in-

209

lej i w ogóle nie brał pod uwagę, że ona może odrzucić je-go propozycję. Wiedział, jak ją przekonać.

Evelyn udało się uniknąć spotkania z Victorem i matką. Wyszła na herbatkę u ciotki Houton dostatecznie wcześnie, żeby zajrzeć do sierocińca.

Miała wrażenie, że minęło dużo więcej niż dwa dni, odkąd ostatni raz postawiła nogę w starym, ponurym gmazysku. A sądząc po entuzjastycznym powitaniu, które zgotowały jej dzieci, każdy obserwator uznałby, że nie było jej tu od roku.

- Panna Evie, panna Evie! - zawołała Rose, obejmując ją w talii. - Myśleliśmy, że panią powiesili.

- Albo ścięli! - dodał Thomas Kinnett, miłośnik strasznych opowieści.

- Jak widzicie, jestem w jednym kawałku i bardzo się cieszę, że was widzę - powiedziała Evelyn, przytulając Penny wolną ręką.

- St. Aubyn uciekł czy sama go pani wypuściła? - zapytał Randall, który siedział na parapecie okna.

Pamiętała ostrzeżenie Sainta przed starszymi wychowankami, ale on był pozbawiony złudzeń i cyniczny. Pomagając jej, ci chłopcy ryzykowali więcej niż inne dzieci.

- Uciekł. Ale dał mi jeszcze cztery tygodnie na przekonanie go, żeby oszczędził sierociniec.

- Cztery tygodnie to niedużo czasu, panno Evie. A skoro nie potrafiła pani go przekonać, kiedy był w łańcuchach, dlaczego miałby teraz zmienić zdanie?

- Sam zaproponował te cztery tygodnie. Myślę, że to dobry znak.

- Mamy mu oddać rysunki? - zapytała Rose, odrywając twarz od fałdów sukni Evelyn.

- Jakie rysunki?

- Te, które zrobił w piwnicy. - Molly podeszła do swojego łóżka i wyjęła spod materaca plik kartek. - Schowaliśmy je, żeby nikt się nie dowiedział.

210

O czym? - chciała zapytać Evie, ale się powstrzymała, gdy zobaczyła rysunki. Kiedyś widziała, jak Saint szkicuje, dwa razy poprosił ją o papier, lecz pomyślała, że w ten sposób jedynie zabija czas albo pisze listy do armii swoich doradców. Opadła na brzeg jednego z łóżek.

- Bardzo ładnie pani wygląda - stwierdziła Rose, siadając obok niej.

Dziecięce twarze, szkielec w łachmanach przykuty do ściany, ale najwięcej jej ołówkowych portretów, po obu stronach kartek.

- Do licha! - wyszeptała z płonącymi policzkami.

St. Aubyn uchwycił jej oczy, uśmiech, zamyślenie, ręce, łzy; do tego przedstawił je z dużą wprawą. Zupełnie, jakby zajrzał w głąb jej duszy i wydobył na wierzch wszystkie sekrety.

- Na pewno pani go nie wypuściła, panno Evie? - spytał znowu Randall, bawiąc się nożem. - Bo to wygląda tak, jakby siedziała pani na dole i mu pozowała.

Evelyn wyraźnie usłyszała oskarżenie w głosie chłopca. Patrząc na rysunki, wcale mu się nie dziwiła.

- Nie - odparła. - Po prostu szkicował z pamięci. Spójrzcie zresztą, tu są również wasze portrety. To znaczy, że poświęcał wam uwagę.

- Pozwoli nam zostać? - zapytała Penny, siadając po jej drugiej stronie. - Ja nie chcę mieszkać na ulicy i jeść szczury.

- Och, Penny, tak się nigdy nie stanie! - Evelyn uściskała chudą dziewczynkę. - Obiecuję.

- Oby pani miała rację - powiedział Baker. - Bo są sposoby, żeby temu zapobiec.

- Randall, przyrzeknij mi, że nic nie zrobisz pochopnie - zażądała Evie. Zimny dreszcz przebiegł jej po krzyżu. - Najpierw ze mną się naradzisz.

- Bez obawy, panno Evie. Nie zapomnę, co pani dla nas zrobiła. Nikt z nas nie zapomni.

211

Po napiętej atmosferze spotkania w sierocińcu polityczna herbatka u ciotki Houton wydawała się wręcz nudna. Evie pomagała układać idiotyczne slogany do rymu z nazwiskami kandydatów, ale myślała o rysunkach, które starannie złożyła i wsunęła za podwiązkę. Drapiąc ją w nogę, przypominały o sobie. Najchętniej obejrzałyby je w samotności, nie słysząc chichotów ciekawskich dzieci.

- Twój brat przysłał list - odezwała się ciotka Houton, która siedziała obok niej i wymyślała rymujące się słowa do nazwiska Fox. -Jest cały w skowronkach, bo Wellington zgodził się przyjść do nas na prywatną kolację w piątek.

Znowu Saint!

- Och! - wykrzyknęła Evie dla efektu, choć wcale nie była zaskoczona nowiną. - Tylko my i Wellington?

- Niezupenie. Dołączą do nas Alvingtonowie i... St. Aubyn.

- Hm. To ciekawe. Nie sądziłam, że St. Aubyn zajmuje się polityką.

- Ja również. Victor przypisuje to nagłe zainteresowanie spiskowi, którego celem jest zwichnięcie jego kariery, ale...

- Nonsens!

- ... ale chętnie zaryzykuje za cenę następnego spotkania z Wellingtonem. - Gospodyni odwróciła się, żeby odpowiedzieć na pytanie jednej z dam, po czym znowu spojrzała na Evie.

- Wiesz, dlaczego St. Aubyn tak raptem zainteresował się karierą twojego brata?

Przez Sainta naprawdę pójdzie do piekła.

- Zaprosił mnie na piknik, lecz nawet słowem nie wspomniał o Victorze. Nie mam pojęcia, co Saint planuje, ale z pewnością nie zawiązaliśmy żadnego spisku.

- „Saint”? - powtórzyła ciotka, unosząc brew.

- St. Aubyn. Prosił, żebym mówiła mu Saint, jak wszyscy. Nalegał również, by zwracała się do niego po imieniu,

czego z kolei nikt nie robił. Nie zamierzała jednak przyznawać się do tego ani tłumaczyć, skąd taka poufałość.

- Cóż, nie wiem, czego od ciebie oczekuje, ale uważaj,

212

żeby go nie zachęcać. Markiz St. Aubyn to niebezpieczny mężczyzna. Nie potrzebujesz go w swoim życiu. Zwłaszcza teraz.

Zanim Evelyn zdążyła poprosić ciotkę o wyjaśnienie, lady Harrington i lady Doveston wszczęły sprzeczkę, jaki jest najlepszy rym do „Ruddick”.

Evie poprawiła się na krześle i rysunki znowu otarły się o jej udo. Zamiast tracić czas na herbatki, powinna zaplanować następny etap edukacji Michaela Halboro. Biorąc pod uwagę portrety, Saint zmienił się bardziej, niż przypuszczała. A zważywszy na sposób, w jaki ją narysował, mogła mieć nadzieję, że wkrótce znowu złoży jej wizytę.

"Szukam nie lada rzeczy - bohatera"

Lord Byron, „Don Juan”, pieśń I

- Wykupiłeś całą łożę tylko dla nas trojga? - zapytała Evie, kiedy brat wskazał jej jedno z dwóch krzeseł w pierwszym rzędzie, a sam usiadł z tyłu obok matki.

Sala była już pełna i nic nie wskazywało na to, żeby jakieś miejsce pozostało puste, ale ta rozrzutność, całkowicie niepodobna do Victora, zdziwiła Evie.

- Niezupełnie - odparł brat. - Zaprosiłem parę osób. Spojrzawszy na puste krzesło obok siebie, Evelyn nabrała podejrzeń.

- Kogo?

- Dobry wieczór, Ruddick - zagrzmiął za nimi głos lorda Alvingtona. - Zdaje się, że dzisiaj będzie tłok, a ja już odstąpiłem naszą lożę siostrzenicy i jej rodzinie. Cieszę się, że przyjąłeś nas do swojej.

- To wyjątkowo wspaniałomyślne z pana strony - rzekł Victor, ściskając dłoń wicehrabiego.

- Lady Alvington! - wykrzyknęła matka z przesadną radością i cmoknęła wicehrabinę w okrągły policzek. - Słyszała pani, że Wellington przychodzi do nas w piątek na kolację?

- Tak. To taki miły dżentelmen.

Evie wstała, ale wszyscy ją ignorowali, póki do loży nie wtoczył się Clarence Alvington. No tak, znowu ją sprzedano! Skrywając niesmak pod uśmiechem, dygnęła, kiedy Clarence pochylił się nad jej dłonią.

- Wygląda pani dzisiaj zjawiskowo, panno Ruddick - stwierdził.

- Istotnie - poparła go matka. - Jaki piękny naszyjnik. Evelyn dotknęła srebrnego serca z diamentem w środku.

Korciło ją, by powiedzieć, skąd ma tę ozdobę. Uznała jednak, że nie warto wywoływać skandalu, żeby zobaczyć miny obecnych.

- To stara rodzinna biżuteria - odparła i zauważyła, że matka marszczy czoło. - Należał kiedyś do babci, prawda?

- Tak. Chyba tak. - Genevieve Ruddick usiadła. - Proszę mi powiedzieć, lady Alvington, jak spędza pani dni?

- Jakie to miłe, że pani pyta. Ostatnio zaczęłam projektować krawaty w zupełnie nowym stylu.

W tym momencie Clarence uniósł brodę, żeby pokazać swój, zawiązany tak misternie, że razem z garderobianym musieli pracować nad nim od rana.

- Widzi pani? - spytał, zerkając na nią mimo zadartej głowy. - To węzeł Merkurego.

Podczas gdy wszyscy wyrazili stosowny zachwyt, Evelyn tylko kiwnęła głową i zajęła się ciekawszą rzeczą: obserwowaniem innych łóż. Najdalszą od sceny zajmowali lord i lady Dare w towarzystwie dwóch ciotek wicehrabiego i wszystkich jego dorosłych braci oprócz Roberta, który został ranny pod Waterloo i rzadko pokazywał się publicznie. Po przeciwnej stronie siedziała Lucinda z ojcem oraz kilkoma wojskowymi i politycznymi znajomymi generała Barretta.

Światła przygasły, więc Evelyn z uśmiechem pomachała przyjaciółce i zajęła swoje miejsce. Gdy kurtyna poszła w górę, jej uwagę przyciągnął błysk szkieł. Zerknęła w kierunku bardzo drogich łóż, najbliższych sceny, żeby zoba-

215

czyć, kto ją obserwuje. W tym momencie lornetka wycelowana w jej stronę opadła i Evie ujrzała rozbawioną twarz lorda St. Aubyna.

Wstrzymała oddech. Jego rodzina od wieków miała na własność lożę w Drury Lane, ale ostatni markiz nigdy nie bywał na przyzwoitych i nudnych przedstawieniach. Teraz jednak się zjawił... i to nie sam. Towarzyszyła mu grupka mężczyzn i kobiet. Zbyt mocno umalowana blondynka przyciskała duży biust do ramienia Sainta.

Evelyn poczuła ostre ukłucie w sercu. Tylko udawał, że stara się o jej względy, a w rzeczywistości potraktował ją jak inne swoje zdobycze, o których można natychmiast zapomnieć. Świetnie. Ona też oddała mu się wyłącznie z ciekawości.

- Co to za sztuka? - zapytał szeptem Clarence, nachylając się do niej. Wionął od niego silny zapach wody kolońskiej.

- „Jak wam się podoba” - odparła Evie bardziej opryskliwie, niż zamierzała. Tytuł widniał na programie, który ten osioł trzymał w ręce.

- Aha. Szekspir.

- Tak.

Ktoś postukał w tył jej krzesła. Na pewno Victor karmił ją za niewłaściwe zachowanie. Evie znowu zerknęła na Sainta. Jeśli nadal bawiło go towarzystwo takich kompanów i jeśli gotów był się pokazywać z tą wyzywającą kobietą, to znaczyło, że niczego się nie nauczył. A może to ona nie posłuchała ostrzeżeń rodziny i znajomych, łącznie z samym markizem?

Oddech Victora musnął jej ucho.

- Przestań się dąsać - szepnął brat niemal bezgłośnie.

Evelyn poczuła, że musi wyjść na chwilę, uciec z miejsca, gdzie wszyscy mogli zobaczyć wyraz jej twarzy, dostrzec każdą łzę w oku.

- Boli mnie brzuch - odszepnęła. - Muszę napić się wody.

- Idź, ale się pośpiesz.

216

Przeprosiła cicho obecnych i dyskretnie opuściła łóżę. Miała wielką chęć oprzeć się o ścianę i zapłakać, ale po korytarzu kręcili się lokaje, roznosząc drinki, lornetki i inne rzeczy, których zażyczyli sobie widzowie. Na jej prośbę jeden skierował ją do najbliższej niszy oddzielonej zasłoną od holu. Evelyn wśliznęła się do niej w chwili, gdy po jej policzku stoczyła się pierwsza łza.

Saint razem z krzesłem odsunął się od wydatnego biustu Delii. Nie powinien był zapraszać dzisiaj nikogo, ale wyglądałby jak idiota, siedząc sam w sześciuosobowej łoży.

Po raz kolejny skierował wzrok ku Evelyn, ale zobaczył, że jej miejsce jest puste. Natychmiast wstał.

- Przynieś mi brandy, Saint - zaszczebotała Delia.

St. Aubyn zignorował ją, bez słowa wyszedł na korytarz i pomaszerował ku łoży Ruddicków, Ani śladu Evelyn. W końcu doszedł do wniosku, że pewnie już wróciła, zaklął pod nosem i ruszył w drugą stronę. Nagle się zatrzymał, bo usłyszał chlipanie dobiegające zza najbliższej zasłony.

- Evelyn? - szepnął.

Miał nadzieję, że to nie Fatima albo inna jego znajoma.

- Odejdź. Dzięki Bogu!

- Co tu robisz? - Nic.

Saint odchylił kotarę i zobaczył, że Evelyn stoi przodem do ściany i dłońmi zasłania twarz.

-, Jeśli się ukrywasz, to mało skutecznie. Widzę cię.

- Ja też cię widziałam. Dobrze się bawisz?

- Nie bardzo. Na próżno czekałem, aż Delia pochyli się tak bardzo, że wypadnie z łoży.

Evelyn odwróciła się do niego i opuściła ręce.

- Co tu robisz?

Saint bez słowa wcisnął ją w kąt i pocałował. Evie zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła do niego całym ciałem.

217

- Ktoś nas znajdzie - wykrztusiła po chwili.

- Cii.

Gdy tylko ją ujrzał, ogarnęło go pożądanie. Nie zamierzał pozwolić jej uciec. Pocałunek jeszcze bardziej go rozpalił. Żadna kobieta tak na niego nie działała. Wiedząc, że mają niewiele czasu, sięgnął do zapięcia spodni.

- Tutaj? - spytała Evie zaskoczona.

- Pragnę cię - wyszeptał. Wsunął ręce pod jej spódnicę i podciągnął ją w górę. - Czujesz, jak bardzo? A ty mnie?

Gdyby powiedziała, że nie, pewnie umarłby na miejscu, ale na szczęście sama zaczęła rozpinać mu spodnie drżącymi rękami.

- Pospiesz się, Saint.

Uniósł ją i przycisnął do ściany. Jej szybki, urywany oddech doprowadzał go do szaleństwa. Gdy poczuł, że Evie jest bliska ekstazy, stłumił jej jęk pocałunkiem.

Nie miał ochoty wypuścić jej z objęć. Trzymał ją mocno, ona oplatała rękami jego szyję, a nogami biodra. Czuł jej gibkie ciało, zapach włosów, i już za nią tęsknił.

- Saint? - wyszeptała po dłuższej chwili.

- Hm?

- Jak brzmi twoje drugie imię?

St. Aubyn podniósł głowę z jej nagiego ramienia i spojrzał w jasnoszare oczy.

- Edward.

Evelyn się uśmiechnęła.

- Michael Edward Halboro - powiedziała, z czułością muskając jego policzek. - Zawsze jest tak dobrze?

- Nie. - Saint delikatnie pocałował jej miękkie usta.

- Evie? - dobiegł z korytarza ściszony głos Genevieve Ruddick. - Gdzie jesteś?

Evelyn zeszywniała, a na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

- Och, nie! Puść mnie.

Saint postawił ją na podłodze.

218

- Tutaj, mamó - odpowiedziała cicho Evelyn. - Zaraz idę.

- Pospiesz się. Twój brat jest wściekły. Myśli, że starasz się unikać pana Alvingtona.

Evie szybko doprowadziła suknię do porządku, wzięła głęboki oddech i sięgnęła do zasłony, ale Saint chwycił ją za łokieć i odwrócił do siebie. Przesunął opuszkami po jej dekolcie, a następnie schylił się i po raz ostatni ją pocałował.

- Evie! -Idę!

Odepchnęła Sainta, rozchyliła kotarę i wyszła na oświetlony korytarz, zostawiając markiza ukrytego w cieniu.

St. Aubyn jeszcze przez chwilę stał w niszy i słuchał cichnących kroków pań Ruddick. Znowu dochował sekretu. Nikt nie wiedział, że on i Evelyn są kochankami. Choć miał w życiu wiele kobiet, świadomość, że był jej pierwszym mężczyzną, przyprawiała go o zawrót głowy.

Lecz jej matka wspomniała coś o młodym Alvingtonie. Więc tak to sobie zaplanował Victor Ruddick! Ojciec Clarence'a miał niewiele pieniędzy, ale kilka posiadłości ziemskich w West Sussex dawało mu duże wpływy polityczne. Kalkulacja była prosta w zamian za miejsce w Izbie Gmin Alvingtonowie dostaną Evelyn i jej sakiewkę.

Saint odsunął zasłonę, rozejrzał się czujnie i pospiesznie wyszedł na korytarz. Ciekawe, czy Evelyn wie, że została sprzedana. Jeśli już teraz z trudem znajdowała czas i pieniądze na sieroty, po ślubie musiałyby zapomnieć o wszelkiej dobroczynności. Cały jej posąg bez wątpienia poszedłby na krawaty męża dandysa, wyścigi koni i zakłady.

Oczywiście nie miało to znaczenia, bo Saint postanowił, że wkrótce z nią skończy. I nie będzie się przejmował, że tłusty Clarence Alvington o wielkiej głowie ma nieograniczony dostęp do jej łoża i pięknego ciała.

- Gdzie moja brandy? - zapytała Delia, kiedy opadł na krzesło obok niej.

- Sama sobie przynieś.

219

Przez następną godzinę gapił się na scenę, ale aktorzy równie dobrze mogliby recytować wiersze dla dzieci, bo w ogóle nie zwracał na nich uwagi. Ściągnął Wellingtona na przyjęcie, więc Victor Ruddick był mu winien, co najmniej jedno wyjście z jego siostrą. Poza tym Evelyn na pewno spróbuje jeszcze kilka razy odwiedzić sierociniec. Ale tak czy inaczej za cztery tygodnie przepadnie ostatnia szansa na jej widywanie.

Zerknął na łożę Ruddicków. Modniś szeptał coś do Evelyn, a ona najwyraźniej go ignorowała. Gdy odwróciła głowę i napotkała wzrok Sainta, czym prędzej uciekła spojrzeniem.

Sytuacja była nie do zniesienia. Pragnął jej tak bardzo, że nie mógł spać po nocach, a teraz chciano odebrać mu ją na dobre. O ile znał Evie, jako mężatka, nawet bardzo nieszczęśliwa, nigdy nie zgodzi się pozostać nadal jego kochanką.

Musiał pozbyć się Clarence'a Alvingtona, czyli zapewnić Victorowi Ruddickowi miejsce w parlamencie albo stanowisko w rządzie. I zobaczyć się z Prinnym, żeby odwlec zburzenie sierocińca, bo wtedy Evelyn już nigdy by na nie-' go nie spojrzała.

- Saint?

St. Aubyn drgnął.

- Co?

- Przerwa.

Światła się zapaliły, kurtyna opadła, łoże opustoszały, widzowie ruszyli do foyer, żeby się pokazać i porozmawiać.

- To dobrze. Wychodzę.

Delia wstała z krzesła i obciągnęła przód sukni, żeby lepiej zaprezentować swoje walory.

- To świetnie - zamruczała, oblizując wargi. - Tak sobie pomyślałam, że zechcesz czegoś spróbować.

- Już jadłem. Dobranoc.

O, nie! Stała się jedną z tych osławionych kobiet, które wymykały się z lordem St. Aubynem na tarasy, schody, do

220

spizarni, za kotary, podczas gdy ich mężowie drzemali obok. Evelyn osłoniła oczy, gdy powozik Barrettów wyjechał na blask słońca, zalewającego Regent Street. Co gorsza, bardzo się jej podobało, że jest kochanką Sainta? Wszyscy wiedzieli, że markiz zawsze dostaje to, czego pragnie, a najwyraźniej pragnął jej. Ona z kolei nie mogła znieść nawet krótkiej rozłąki. Chyba powinna wstąpić do sierocińca po południu. Może tam go spotka.

- Nie sądziłam, że tak się stanie - powiedziała Lucinda, wrywając ją z zadumy.

- Przepraszam, ale, o czym mówisz?

- O twoim sukcesie. St. Aubyn przez cały piknik zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen, a ostatniego wieczoru został na całym pierwszym akcie „Jak wam się podoba”. Nie znajduję innego wyjaśnienia niż twoje lekcje przyzwoitości.

Tak, oboje byli tak przyzwoici i dobrze wychowani, że schowali się w teatrze za zasłoną i kochali na stojąco.

- Myślę, że to tylko zbieg okoliczności.
- Czy on nadal próbuje cię zgorszyć? - zapytała przyjaciółka, pokazując w uśmiechu dołeczki.
- Przy każdej okazji - odparła Evie, zadowolona, że choć raz może powiedzieć całą prawdę.
- Ale już nic ci nie kradnie? Tylko dziewictwo.
- Nie. Przynajmniej nie zauważyłam żadnej zguby. Lucinda westchnęła głośno.
- Co się dzieje, Evie? Mnie możesz zaufać, przecież wiesz.
- Wiem. - Evelyn ściągnęła brwi, myśląc gorączkowo, ile powiedzieć przyjaciółce. - St. Aubyn dał mi cztery tygodnie na przekonanie go, żeby nie burzył sierocińca. Próbowałam wszystkiego. Nie mam pojęcia, jak wpłynąć na zmianę jego decyzji.
Lucinda zmarszczyła czoło.
- Ale...
Zimne palce zacisnęły się wokół serca Evelyn.

221

-Co?
- Nie jestem całkiem pewna, ale wczoraj słyszałam, że parlament zatwierdził projekt nowego parku księcia Jerzego.
W uszach Evie zaszumiało.
- Nie - wyszeptano.
Przecież obiecał. Całe cztery tygodnie. A zeszłego wieczoru ani słowem nie napomknął o decyzji parlamentu.
Evelyn zaśmiała się cicho. Oczywiście, że nic jej nie powiedział. Gdyby to zrobił, nie pozwoliłaby mu się dotknąć. Nigdy więcej.
A już zaczynała myśleć, że jednak czegoś się nauczył, że się zmienił, przynajmniej trochę. I może nawet... zależało mu na niej. Czasami mówił takie miłe rzeczy. Teraz zrozumiała, że to były kłamstwa. Wszystko. Łudziła się, głupia, że Saint jest godny zaufania. Ha!
- Lucindo, wyświadczysz mi przysługę? - zapytała. W jej oczach kręciły się łzy.
- Oczywiście. Jaką?
- Chodź ze mną do rezydencji St. Aubyna.
- Jesteś pewna?
- Tak. Całkowicie.
Przyjaciółka najwyraźniej jej uwierzyła, bo skinęła głową.
- Griffin, zmiana planów. Zawieź nas do domu lorda St. Aubyna.
Stangret obejrzał się przez ramię.
- Panno Barrett, powiedziała pani...
- Słyszałaś. Natychmiast.
- Tak, proszę pani.
Saint przechylił się przez poręcz.
- Jansen, przysłała już wiadomość z Carlton House?
- Jeszcze nie, milordzie - zawołał z holu kamerdyner. - Na pewno pana od razu poinformuję.
- Bezwzględnie - przykazał St. Aubyn i wrócił do gabinetu.

222

Czekając na zaproszenie Prinny'ego, spacerował w tę i z powrotem. Zajął się ratowaniem Ufnego Serca, żeby coś zrobić, zanim zdoła obmyśleć, jak uprzedzić Alvingtona i zapewnić Ruddickowi miejsce w parlamencie. Całe szczęście, że książę Jerzy nie mógł nic zrobić bez zgody parlamentu, cudzych pieniędzy i tysięcy doradców. Oraz doskonałego bordo. Saint znowu podszedł do drzwi.

- Jansen, potrzebuję skrzynkę mojego najlepszego wina.

- Zajmę się tym, milordzie.

Rezygnacja z umowy oznaczała przywiązanie do tego cholernego sierocińca. Saint pocieszał się jednak, że nie na zawsze. Tylko do czasu, aż postanowi, co dalej z Evelyn. Na pewno trafi się następna okazja albo uda się odwlec pomysł z parkiem o kilka miesięcy.

Jego rozmyślenia przerwało pukanie do uchylonych drzwi.

- Milordzie?

- Znalazłeś bordo?

- Nie, milordzie. Goście do pana.

- Nie ma mnie w domu.

- Damy.

- Tym bardziej mnie nie ma. Przynieś to cholerne wino. Wyruszam do Carlton House, jak tylko dostanę pozwolenie na wizytę.

- Tak, milordzie.

Saint wiedział, że drugie zadanie jest trudniejsze. Jego wpływy w West Sussex były znikome. Nie miał tam posiadłości ani znajomych właścicieli ziemskich. Nie przypominał sobie również niczego, co mógłby wykorzystać przeciwko Alvingtonowi.

- Milordzie?

- Carlton House?

- Nie, milordzie.

- Więc co, na litość boską?!

- One nie chcą odejść. Jedna mówi, że musi pilnie się z panem zobaczyć.

223

St. Aubyn westchnął. Tylko tego mu brakowało.

- Kto to?

- Nie podały nazwisk. I nie pamiętam, żebym je tu kiedyś widział, milordzie.

Saint spiorunował kamerdynera wzrokiem.

- Dobrze. Daję im dwie minuty. A ty...

- Zawiadomię pana, jak tylko przyjdzie wiadomość z Carlton House.

St. Aubyn chwycił surdut z poręczy krzesła i włożył go w drodze do schodów. Z góry dostrzegł jedynie kapelusz i czubek buta. Jeśli to te przekłete damulki z organizacji dobroczynnych, zbierające datki na biednych, odprawi je z niczym za to, że mu przeszkadzają.

- Niestety, drogie panie, jestem dziś bardzo zajęty... Nagle umilkł i zatrzymał się w pół kroku.

- Evelyn?

Gdy ruszyła w jego stronę, otworzył ramiona z bijącym sercem i tysiącem myśli kłębiących się w głowie. Panna Ruddick uderzyła go pięścią w brzuch.

- Ty draniu! Nienawidzę cię, kłamco! Bardziej zaskoczony niż obolały Saint chwycił ją za rękę i unieruchomił.

- O czym ty mówisz, do licha?

- Puszczaj! Okłamałeś mnie!

- Więc przestań mnie atakować. - Spojrzał ponad głowę Evie na jej towarzyszkę. - Panna Barrett? Co...

Czubek pantofla trafił go w kolano.

- Auu!

- Mówiłeś, że mam cztery tygodnie! Nie poczekałeś nawet czterech dni!

Saint potrząsnął Evelyn za ramiona, a następnie odsunął ją od siebie.

- Jeśli jeszcze raz mnie uderzysz albo kopniesz, przy-szpilę cię do podłogi - ostrzegł, masując nogę. - Domyślam się, że chodzi ci o... - Zerknął na pannę Barrett.

224

- Lucinda wie o sierocińcu. Nie waż się mnie oszukiwać, Saint.

- Nawet nie wiem, o co jesteś zła - oświadczył St. Aubyn, siadając na najniższym stopniu. - Jeśli chcesz wiedzieć, czekam na wiadomość z Carlton House. Zamierzam złożyć wizytę Prinny'emu i wycofać ofertę.

Po bladym policzku Evelyn stoczyła się łza.

-Jakim cudem, skoro parlament już zatwierdził powiększenie parku? - spytała drżącym głosem.

Saint zamrugał. Albo się myliła, albo stało się coś niedobrego.

- Co takiego?!

- Nie udawaj zaskoczonego. Chciałam zrobić, choć jedną ważną rzecz, a ty wszystko obróciłeś w żart.

- Evelyn, ja... to... jesteś pewna?

Jego pytanie sprawiło, że Evie się zawahała.

- Lucinda słyszała, jak jej ojciec wczoraj mówił, że markizowi St. Aubynowi udało się zamienić sierociniec na garniec złota.

- Nie miałem pojęcia, naprawdę - zapewnił Saint. Nie dziwił się jednak, że Evelyn mu nie dowierza. Do

tej pory szczerość nie była jego mocną stroną.

- Chciałam, żebyś wiedział, że ja wiem - rzekła spokojniejszym głosem. - Żałuję, że cię poznałam. Jesteś najgorszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam.

Kobiety nieraz mówiły mu takie rzeczy, ale gdy usłyszał je z ust Evelyn, poczuł się, jakby znowu dzieliła go pięścią. Wstał ze schodów.

- O niczym nie wiedziałem - powtórzył z całą mocą. -Ale zamierzam sprawdzić, co się stało. - Ktoś najwyraźniej knuł za jego plecami. Prinny nie zrobiłby nic bez uprzedniej rozmowy. - Nigdy cię nie okłamałem, Evelyn Marie. - Ruszył w jej stronę, ale się cofnęła. - I wszystko naprawię.

Panna Ruddick potrząsnęła głową, cofając się do drzwi.

225

- Nie rób dla mnie niczego - powiedziała, ocierając łzy. To nic nie zmieni.

Saint ściągnął brwi. Nie zamierzał stracić tej kobiety tylko, dlatego, że ktoś go przechytrzył, podczas gdy on wpatrywał się w jej śliczną twarz.

- Evelyn.

- Muszę już iść, poszukać innego domu dla tych dzieci. Zegnaj, St. Aubyn. Mam nadzieję, że nigdy więcej się nie zobaczymy.

Pozwolił jej odejść, bo i tak nie zdołałby przekonać jej o swojej niewinności. Klnąc pod nosem, poszedł do stajni i kazał osiodłać Cassiusa. Jeszcze z niej nie zrezygnował. Nie był na to gotowy. Musiał zobaczyć się z Prinny, z zaproszeniem czy bez.

"I oto me życie to źródło trujący, Bom z młodu kietznać nie umiał swych chuci. Dziś duch mój, zmienion, lecz jak dawniej chcący Dźwigać ciężary, których czas nie zrzuci."

III

- Nie lubię, gdy mi się przeszkadza - oświadczył książę Jerzy, wchodząc do prywatnego salonu, do którego wcześniej skierowano St. Aubyna. - W sobotę mam spotkanie z hiszpańskim ambasadorem i wielkie przyjęcie w Brighthon.

- Przedłożył pan sprawę rozszerzenia parku w parlamencie - stwierdził Saint.

Silił się na uprzejmy ton, bo krzycząc, doprowadziłby Prinny'ego do omdlenia, nie pamiętał jednak, kiedy ostatnio był taki wściekły.

- Jestem w trudnej sytuacji, sam pan wie - odparł regent. - Ci cholerni politycy tak mocno sznurują moją sakiewkę, że nie ucieknie z niej nawet światło. To naprawdę nie do zniesienia, ale...

- Po co było przyspieszać sprawę w czasie mojej nieobecności w mieście, gdy nie mogłem wyjaśnić, że chcę wyłożyć pieniądze?

- Przez głupią radę nadzorczą sierocińca. Wszyscy się zgodzili, że rządowe fundusze zaoszczędzone dzięki zbu-

227

rzeniu starego gmaszyska będzie można lepiej wykorzystać. - Regent wyjął z kieszeni srebrną tabakierę i otworzył wieczko. - Dostał pan to, co chciał, więc niech pan przestanie piorunować mnie wzrokiem, Saint.

St. Aubyn z całych sił starał się nad sobą zapanować, żeby nie zdzielić Prinny'ego pięścią w nos.

- Zmieniłem zdanie. Sierociniec był drogi sercu mojej matki, dlatego chcę go zachować.

Prinny się roześmiał.

- Kim ona jest? -Kto?

- Dziewczyna, która okręciła cię wokół palca. „Drogi sercu mojej matki”. Ha, ha! A to dobre! Umieścił tam pan dzieciaka i teraz kobieta panu grozi, że ujawni prawdę? Nikt się tym nie przejmie, chłopcze. Jesteś osławionym markizem St. Aubynem.

Patrząc na regenta, Saint zrozumiał, że nikt nie uwierzy w jego dobre intencje. Nawet Evelyn, która próbowała go przekonać, że jest zdolny zrobić coś bezinteresownie, straciła do niego zaufanie. I słusznie.

- Dzieci uważają ten stary budynek za swój dom - powiedział. - Wspólnie z paroma osobami zapoczątkowaliśmy ostatnio pewne zmiany i nowy program edukacyjny. To, co robimy, może zmienić życie sierot, wasza wysokość. Proszę, żeby oszczędził pan sierociniec.

- Niestety sprawa została przegłosowana, Saint. Co ważniejsze, już to ogłoszono w gazetach. Wyszedłby pan na głupca.

- Nie dbam o to.

- Ale mnie zależy na opinii. Nie chcę, żeby uznano mnie za głupca, który spełnia kaprysy takiego drania jak pan. Jeśli pozwolę ludziom wpływać na moje decyzje, równie dobrze można będzie zaprowadzić cholerną demokrację. Przykro mi, ale los sierocińca jest przesądzony.

- A dzieci?

228

- Sam pan się zaoferował, że znajdzie im nowy dom. Proponuję, więc, żeby pan to zrobił. Bez zwłoki. - Prinny ruszył do drzwi. - I niech pan przyjedzie w sobotę do Brighton, Saint. Turecki konsul obiecał sprowadzić tancerki wykonujące taniec brzucha.

Gdy lokaj zamknął drzwi za księciem, Saint wstał i podszedł do okna. W dole rozpościerały się ogrody Carlton House, niemal puste, nie licząc ogrodników i kilku przypadkowych gości. To oczywiste, że Prinny nie zamierzał nic robić, skoro gazety już napisały o jego planach, a rada sierocińca znalazła taki pretekst do jego zburzenia, który nie wywoła publicznego gniewu.

Z kolei rada dowiedziała się p pomyśle St. Aubyna, kiedy Prinny zdradził się przed swoimi gadatliwymi doradcami. Nic dziwnego, że jego koledzy skorzystali z okazji, żeby zaskarbić sobie wdzięczność księcia w zamian za poparcie jednego z jego ukochanych projektów oraz uszczknąć trochę z rządowych funduszy.

Saint powoli opuścił zasłony. Przechytrzone go, chyba po raz pierwszy w życiu. A cena, którą miał zapłacić, była wyższa niż urażona duma czy strata pieniędzy. Wziął głęboki oddech. Nie podobał mu się ucisk w piersi, który czuł od chwili, kiedy Evelyn go pożegnała.

Powiedziała, że znajdzie dzieciom inne miejsce. Saint zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi. Może uda mu się jej pomóc.

- Evie, naprawdę nie powinnyśmy robić tego same -szepnęła Lucinda. - Niektóre z tych miejsc są...

- Okropne - dokończyła Evie. - Wiem. Ale muszę obejrzeć wszystkie, zanim St. Aubyn spróbuje umieścić dzieci w pierwszej lepszej norze.

Drzwi biura otworzyły się ze skrzypnięciem. Do pokoju wszedł zwalisty mężczyzna z dużymi bokobrodami i małymi, ciemnymi oczkami.

229

- Sekretarka przekazała mi, że szukają panie miejsca dla dziecka - powiedział gładkim tonem, siadając za małym biurkiem. - Potrafimy być bardzo dyskretni w zamian za stosowną sumę na jego utrzymanie. Czy mogę zapytać, która z uroczych dam... oddaje je do depozytu.

- Och! - wykrzyknęła Lucinda, zrywając się z krzesła. -To najgorsza rzecz, jaką w życiu słyszałam!

Evie wzięła ją za rękę.

- Zaszło nieporozumienie.

- Oczywiście. Jak zwykle.

- Nie mówimy o dziecku - rzuciła cierpko Evelyn, zastanawiając się, dlaczego jeszcze nie wychodzi, skoro już wie, że nigdy nie zostawi żadnej ze swoich sierot pod opieką tego człowieka. - Mówimy o pięćdziesięciorgu trojgu dzieciach, które wkrótce zostaną pozbawione dachu nad głową. Chcemy znaleźć im nowy dom.

- Ach, rozumiem. Sierociniec Ufne Serce, tak? Słyszałem, że benefaktorzy go zamykają. U nas nigdy do tego nie dojdzie. Nasza instytucja jest w całości finansowana przez rząd.

- I z dobrowolnych datków - wtrąciła Lucinda sarkastycznym tonem.

- Musi pani zrozumieć, że czasami rodzice zostawiają dzieci pod naszą pieczę i że one oczywiście wymagają... specjalnego traktowania.

Jak przyrodnie rodzeństwo Sainta, pomyślała Evie. Ciekawe, gdzie teraz są. Dobrze, chociaż, że nie umieszczono ich tutaj.

- Sądzę, że dowiedziałyśmy się już wszystkiego - stwierdziła, wstając. - Dziękuję, że poświęcił nam pan czas.

Mężczyzna zerwał się z biurka.

- Mam miejsce dla tuzina dzieci poniżej siódmego roku życia. Jestem nawet gotów dać po pięć funtów za każde.

- Dlaczego tylko najmłodsze? - zapytała Evelyn. Czuła się coraz gorzej, ale jednocześnie była coraz bardziej zdeterminowana, żeby pomóc swoim podopiecznym.

230

- Bo są lekkie. Wysyłamy je do cegielni, żeby obracały schnące cegły. Starsze są za ciężkie i nie mogą chodzić po mokrej glinie, rozumie pani.

- Zastanowię się - obiecała Evie, idąc za przyjaciółką do drzwi. - Jeszcze raz dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Idąc do powozu, obie milczały.

- O, Boże! - wybuchnęła w końcu Lucinda. - To straszne!

- Zaczynam myśleć, że Saint nie jest taki okropny - wyznała Evie. - Przynajmniej nie kazał dzieciom pracować, karmił je dobrze i odziewał, nie domagając się pieniędzy od ich rodzin.

- St. Aubyn wydawał się zaskoczony tym, co powiedziałaś.

- Nieważne, czy dziś, czy za cztery tygodnie, ale zamierzał odesłać sieroty w takie miejsce. - Wskazała na niski, ciemny budynek, który został w tyle za powozem.

Zradził ją. Michael Edward Halboro całkowicie zawiódł jej zaufanie. Już nie potrafiłaby mu uwierzyć. Wszyscy mieli, co do niego rację. Bolało ją, że tak bardzo się myliła.

Lucinda posłała jej współczujący uśmiech.

- Chciałabym poznać te dzieci. Zdaje się, że podbiły twoje serce.

Evie przez cały ranek odkładała wizytę w sierocińcu, bo liczyła na to, że przywiezie ze sobą dobre wieści. Niestety każdy kolejny przytułek, który odwiedziła z Lucinda, wydawał się gorszy od poprzedniego. Wiedziała jednak, że musi przygotować podopiecznych na to, co najprawdopodobniej ich czekało.

- Dobrze - powiedziała i udzieliła wskazówek stangretowi.

Do tej pory w Ufnym Sercu przyzwyczajono się do jej niespodziewanych wizyt, dlatego Evelyn była zaskoczona, kiedy zobaczyła panią Nathan spieszącą ku niej po schodach.

- Panno Ruddick, czy to prawda? - wysapała gospody-

231

ni z troską malującą się na twarzy. - Ten okropny St. Aubyn zamierza zburzyć sierociniec?

- Obawiam się, że tak, pani Nathan. Dzieci już wiedzą?

- Niektóre chyba tak. Powinnam była wyrzucić klucz, kiedy go tam zobaczyłam.

Evelyn zerknęła na Lucindę, która z coraz większym zdziwieniem patrzyła na gospodynię. Gdyby nawet osoby zaufane, takie jak jej przyjaciółki, dowiedziały się, że porwała St. Aubyna, pewnie straciłaby ich poparcie. Tymczasem pani Nathan najwyraźniej uważała, że to był dobry pomysł. Musi zapytać Sainta... Tyle, że nie mogła. Już nie.

- Wiem, jaka jest pani sumienna - powiedziała. - Dziękuję. Dzieci są na lekcjach?

- Tak, panno Ruddick. Ale co zrobimy?

- Jeszcze nie wiem. Czekam na propozycje.

Gospodyni odeszła, kręcąc głową. Evelyn wzięła przyjaciółkę za rękę i poprowadziła ją w stronę klas. Miała nadzieję, że Lucinda nie zacznie wypytywać, o co chodziło pani Nathan.

- Jak im powiesz?

- Wprost. Powinny znać prawdę. - Evie westchnęła głęboko. - Dałabym wszystko, żeby nie musieć przekazywać im tej nowiny, ale to byłoby nieuczciwe i tchórzliwe.

- I widzę, że markiz nie przyjdzie ci z pomocą - zauważyła Lucinda.

- Nie został zaproszony.

Evelyn zaglądała po kolei klas i prosiła nauczycieli, żeby po lekcjach posłali dzieci do sali balowej. Przyjaciółka stała milcząc u jej boku, a ona była jej wdzięczna za wsparcie.

- Panno Evie!

Za nimi po schodach wbiegała Penny. Za nią podążała Rose.

Evelyn przywitała obie uściskiem, choć czuła, że nie zasługuje na ich sympatię. Znowu zawiodła. I tym razem nie potrafiła wymyślić żadnego rozwiązania.

232

St. Aubyn czuł się nieludzko zmęczony. Przez ostatnie trzy noce spał po cztery godziny, i to kiepsko.

- Milordzie, pan Wiggins przyniósł dokumenty, o które pan prosił.

Saint ze znużeniem odłożył rozprawę, którą czytał, wstał z wygodnego fotela i podszedł do stołu zarzuconego książkami i papierami.

- Zobaczymy.

Jansen i drugi lokaj wnieśli dwa grube pliki dokumentów oprawione w skórę.

- Pan Wiggins prosił również o przekazanie, że właściciel posiadłości, którą pan rano oglądał, będzie jutro w Londynie.

St. Aubyn pokiwał głową.

- To dobra nowina. Dziękuję.

Lokaj wyszedł z biblioteki, ale kamerdyner jeszcze zatrzymał się w progu.

- Milordzie? - Tak?

- Pozwoliłem sobie polecić pani Dooley, żeby ugotowała zupę. Zostanie pan na kolacji?

- Jaki dziś dzień?

Saintowi wydawało się, że dostrzegł przelotny uśmiech na zwykle poważnej twarzy Jansena.

- Piątek, milordzie.

- Piątek. - St. Aubyn wyjął zegarek z kieszonki. Piętnaście po ósmej. - Do diaska! Jestem spóźniony. - Niemal biegiem ruszył do drzwi. - Przyślij na górę Pemberly'ego.

Gdy pukał do drzwi rezydencji Houtonów, dochodziła dziewiąta. Z niecierpliwością czekał na chwilę, kiedy wreszcie, po trzech dniach, zobaczy Evelyn, choć wiedział, że ona nie będzie zachwycona jego widokiem. Niepokoiła go myśl, że panna Ruddick może, choćby jemu na złość, spojrzeć łaskawiej na Clarence'a Alvingtona, a przecież chciał namówić ją na sobotni spacer.

233

- Lordzie St. Aubyn - powitał go markiz Houton, wyciągając dłoń. - Chyba nie ma pan nic przeciwko temu, że zaczęliśmy kolację bez pana.

Saint celowo unikał patrzenia na Evelyn. Nie zdołałby się skupić, gdyby piorunowała go wzrokiem.

- Ależ oczywiście. Przepraszam za spóźnienie. Przedłużyło mi się spotkanie z prawnikiem.

- Tak, słyszeliśmy, że pan i księżę Jerzy finalizujecie transakcję sprzedaży terenu pod nowy park - odezwał się Victor Ruddick.

St. Aubyn zachnął się w duchu, ale skinął głową.

- Budynków w Londynie nie brakuje, natomiast zieleni jest coraz mniej.

- Istotnie - przyznał Wellington. - Jeszcze raz dziękuję za wspaniałą sherry, Saint. Nigdy nie piłem lepszej.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - St. Aubyn zajął miejsce między lady Alvington a panią Ruddick, dokładnie naprzeciwko Evelyn. Stwierdził, że trudno mu będzie na nią nie patrzeć, zwłaszcza, że najchętniej wyciągnąłby ją z pokoju i wszystko jej wytłumaczył. Skrucha. Ostatnio wciąż odkrywał nowe, zaskakujące uczucia. - Jestem ciekaw, czy wasza lordowska mość i pan Ruddick doszukaliście się wspólnych znajomych z Indii?

Tym pytaniem ożywił konwersację, która zamarła po jego przybyciu, a Victorowi dyskretnie przypomniał, że tylko dzięki niemu może teraz rozmawiać z Wellingtonem. Niezłe jak na jedno krótkie zdanie.

Rozłożył serwetkę na kolanach i podniósł wzrok.

Evelyn gawędziła z Clarence'em Alvingtonem, udając zachwyt jego perłową spinką do krawata. Była czarująca, na pewno ze względu na brata, ale Saint zastanawiał się, czy już przejrzała zamiary Victora.

Jemu plany Ruddicka wobec siostry bardzo się nie podobały.

- Nie widziałem pana ostatnio u Jacksona, Clarence - po-

234

wiedział, krojąc pieczoną szynkę, którą przyniósł mu lokaj.

- Byłem zajęty pisaniem wiersza - odparł dandys, zerkając na Evelyn.

W tym momencie Saint chętnie by go udusił.

- Wiersza?

- Dokładnie sonetu.

On i Clarence mieli ze sobą niewiele wspólnego i obracali się w innych kręgach, ale sądząc po misternie zawiązanym krawacie oraz kamizelce i surducie, które niemal pękały w szwach, domyślał się, jaka może być poezja tego fircyka. Jako wytrawny hazardzista postanowił zaryzykować podziw Evelyn dla jego dzieła.

- Może pan go nam zaprezentuje? Clarence poczerwieniał na twarzy.

- Och, jeszcze nie jest gotowy.

- Znajduje się pan wśród przyjaciół - rzekł Saint z miłym uśmiechem. - A tworzenie poezji mnie fascynuje.

- Jeśli pan nie chce, nie musi pan recytować wiersza - wtrąciła Evelyn, posyłając krótkie spojrzenie St. Aubynowi.

- Och, Clarence ma wielki talent - oświadczyła z dumą lady Alvington. - Kiedy był w szkole, co tydzień przysyłał nam swoje poematy.

- To godne podziwu - rzekł Saint.

Jeśli porządni ludzie w ten sposób spędzali wieczory, całe szczęście, że on uchodził za drania.

- Dobrze - zgodził się rozpromieniony Clarence i wstał z krzesła. - Jak już wspominałem, nadal nad nim pracuję, ale chętnie wysłucham opinii państwa.

- Dobry Boże - mruknął pod nosem lord Alvington, ale St. Aubyn udał, że go nie usłyszał.

- „W pogodny letni poranek na pięknych ulicach Londynu ujrzałem obiekt marzeń i westchnień. Pełen zachwytu i nadziei wysiadłem z powozu, żeby przyjrzeć się z bliska aniołowi w ziemskim przebraniu”.

Evelyn dostała kolorów. Gdy zerknęła na Santa, ten od-

235

wzajemnił jej spojrzenie, po czym skupił uwagę na domorosłym poecie.

- „Przemówiłem do dziewicy, pytając o jej imię, a ona zapłonęła uroczym, delikatnym rumieńcem. Czystym jak rosa, którą próbuje poskromić słońce. Jej milczenie i spokój ukołysały me serce”.

- Ach, jakie to śliczne, kochanie - zachwyciła się matka. - Mów dalej.

- „Och, Evelyn, Evelyn, radości mej duszy, dostrzegam ciebie w każdej gwiazdce na niebie. A kiedy wstaje dzień, nadal cię widzę w słonecznym blasku”.

Kiedy wszyscy zaczęli bić brawo, St. Aubyn popatrzył na Evelyn. Dziewczyna przenosiła wzrok z brata na Clarence'a i z powrotem, a wyraz jej twarzy stawał się z każdą chwilą coraz bardziej ponury.

- Bardzo ładny, panie Alvington - powiedziała w końcu, po solidnym łyku wina, - Ja...
- Myślałem, że każdy sonet ma czternaście wersów - odezwał się Saint, widząc, że Evelyn jest bliska rzucenia się na wierszokletę z pięściami. - Naliczyłem ich tylko dwanaście.
- Tak, trochę zmodyfikowałem formę, ale myślę, że ostatnie cztery wersy wprowadzają romantyczny nastrój.
- Istotnie - przyznał Saint, sięgając po kieliszek. - Zdumiewająca kompozycja.
- Dziękuję, St. Aubyn. Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że jest pan miłośnikiem sztuki.
- Lord St. Aubyn chyba lubi czcze pochlebstwa i zręczne wybiegi - wtrąciła Evelyn? Nawet, jeśli z nim nie rozmawiała, przynajmniej o nim mówiła.
- Jestem pewien, że pan Alvington nie miał na myśli czczych pochlebstw, panno Ruddick - odparował Saint.
- Oczywiście, że nie - poparła go lady Alvington. Evelyn oblała się jeszcze silniejszym rumieńcem.
- Chodziło mi jedynie o to, że poezję można wykorzy-

236

stać, żeby komuś pochlebić, i właśnie tak, jak mniemam, postępuje lord St. Aubyn. Saint uniósł brew.

- Często pani zastanawia się nad moim postępowaniem, panno Ruddick? - zapytał.
- Evie! - odezwała się ostrym tonem Genevieve Ruddick. - Powstrzymaj się, proszę, przed obrażaniem gości twojego wuja.
- Lord St. Aubyn nie jest gościem - stwierdziła córka, po czym rzuciła serwetkę na stół i wstała. - Sam się wprosił.
- Evie!
- Boli mnie głowa - oznajmiła dziewczyna łamiącym się głosem i ruszyła do drzwi. Saint odprowadził ją wzrokiem. Uratował ją przed Clarence'em, ale nie doczekał się za to uznania. Jutro Evelyn nadal będzie go nienawidzić, ale przynajmniej zapomni o tym idiotycznym pseudosonecie.
- Proszę mi powiedzieć, wasza lordowska mość, czy już pan upatrzył sobie kandydata do Izby? - spytał, przerywając ciszę. - Mimo konfliktu opinii z panną Ruddick uważam, że jej brat to wyjątkowy człowiek, całkowite moje przeciwieństwo niemal pod każdym względem.
- Nie pozwolę się sprzedać Clarence'owi Alvingtonowi w zamian za miejsce w parlamencie! - wykrzyczała Evie, chodząc w tę i z powrotem przed kominkiem. Victor podniósł na chwilę oczy znad gazety i zaraz wrócił do lektury.
- Jest dość przystojny i pochodzi z dobrej rodziny. Poza tym lord Alvington gwarantuje mi dosyć głosów, żeby pokonać Plimptona.
- Clarence to idiota! I ubiera się jak pajac! Nie obchodzi cię, że będę nieszczęśliwa?
- On bardzo cię lubi, kochanie - wtrąciła matka, która siedziała przy stole w drugim końcu salonu i pilnie adreso-

237

wała listy, może zaproszenia na ślub. - Przyznaj, że bez naszej pomocy nikogo byś nie wybrała.

- Na pewno nie jego. W dodatku nawet mnie nie uprzedziłeś, Victorze. Sama musiałam odkryć prawdę w obecności... wszystkich, kiedy recytował ten głupi niby-sonet.

Brat znowu na krótką chwilę oderwał wzrok od gazety.

- St. Aubynowi się podobało.

- St. Aubyn zrobił sobie z niego zabawę - odparowała siostra. - Ja też bym się śmiała, ale walczyłam z mdłościami.

Gazeta opadła w dół.

- Dość tego, Evie. Jeszcze nic nie zostało postanowione. Clarence Alvington jedynie wyraził zainteresowanie twoją osobą. On naprawdę nie jest taki zły. Ten mariaż bardzo by mi pomógł, a tobie w niczym by nie zaszkodził.

-Ja...

- Mama słusznie zauważyła, że miałaś pięć lat, żeby kogoś sobie znaleźć. Clarence utrzymałby albo nawet podwyższył twój status, a to więcej, niż można powiedzieć o innych mężczyznach. Porozmawiam z nim dzisiaj, choć po twoim wczorajszym... przedstawieniu mógł zmienić o tobie zdanie.

Evie wycelowała w niego palec.

- Nie wyjdę za Clarence'a Alvingtona, wolę zostać starą panną.

Określiła się na pięcie i wybiegła z pokoju. W drzwiach prawie zderzyła się z Langleyem.

- Przepraszam, panno Ruddick.

- Nic się nie stało. Wychodzę.

- To dobrze, bo ja również - odezwał się znajomy głos. Dopiero w tym momencie zauważyła, że za kamerdynerem

stoi Saint. Choć miała ochotę krzyknąć ze złości i rozczarowania, ciało zareagowało na jego bliskość wbrew jej woli. Serce zaczęło bić szybciej, od stóp do głów przeszło ją mrowie.

- Nigdzie z panem nie idę.

- Muszę pani coś pokazać.

238

Niemożliwe, żeby próbował ją teraz uwieść. Nie po tym, co zrobił.

- Nie.

Saint chwycił ją za łokieć, łagodniej, niż się spodziewała.

- Proszę, chodź ze mną - szepnęła, muskając jej włosy ustami. - Dotrzymuję wszystkich twoich sekretów, pamiętasz?

- Nienawidzę pana - odszepnęła, po czym zajrzała do pokoju. - Lord St. Aubyn, który przedstawił cię Wellingtonowi i uważa, że jesteś mu winien przysługę, chce zabrać mnie do zoo. Wrócimy z Sally na obiad.

Victor mruknął coś, co zabrzmiało jak zgoda, więc wysłała Langleya po służącą, a sama pomaszerowała do holu. Saint następował jej na pięty. Wszyscy próbowali kierować jej życiem, nie pytając o zdanie. Jej protesty na nikim nie robiły wrażenia.

- Niech zgadnę - odezwał się St. Aubyn. - Przerwałem pogawędkę o młodym Alvingtonie, tak?

Więc on też się zorientował, co knuje Victor. Chyba nie powinna być zaskoczona.

- Może pan szantażem zmusić mnie do wyjścia, ale nie będę z panem rozmawiać - oświadczyła.

- Jak sobie życzysz, kwiatuszku.

Gdy Sally zbiegła po schodach, Evelyn ruszyła do drzwi. Była przynajmniej spokojna, że obecność pokojówki uchroni ją przed zakusami markiza. A ponieważ bardzo pragnęła wyrwać się z domu, mogła zgodzić się na jego towarzystwo.

- Mam nadzieję, że będziesz pod wrażeniem. Wziąłem duży powóz, żeby zmieściła się cała świta. Na pewno nie chcesz zabrać kamerdynera albo ogrodnika?

Evelyn konsekwentnie się nie odezwała, tylko prychnęła i z pomocą lokaja wsiadła do pojazdu. Niestropiony jej milczeniem Saint zajął miejsce obok niej i cmoknął na parę siwków. W tym momencie Evie uświadomiła sobie, że powinna by-

239

ła spytać, dokąd jadą, zanim postanowiła markiza ignorować. Z drugiej strony, St. Aubyn niewiele mógł zdziałać w obecności pokojówki. W dodatku zapowiedziała rodzinie, że wróci w południe. Zerknęła na Michaela ukradkiem. Jednak w teatrze udowodnił, że nie istnieją dla niego żadne przeszkody. Po piętnastu minutach stało się jasne, że nie zmierzają do zoo ani do Hyde Parku.

- Gdzie jedziemy? - zapytała w końcu.

- Sądziłem, że ze sobą nie rozmawiamy.

- To nie jest rozmowa, tylko pytanie o cel podróży. Odpowiedz, proszę.

Markiz posłał jej spojrzenie z ukosa.

- Nie. To niespodzianka.

Świetnie. Ona też potrafiła dać się we znaki.

- Pamiętaj o tym, co powiedziałam. Nienawidzę cię. Saint kiwnął głową. Jego wzrok stwardniał.

- Przypominam sobie kilka niepochlebnych uwag na mój temat. Oczekuję przeprosin za wszystkie.

- Nigdy.

- Nigdy to bardzo długo, Evelyn Marie.

- Właśnie.

Skręcili w starą ulicę wysadzaną drzewami. Po obu jej stronach mieściły się duże rezydencje, które czasy świetności miały już dawno za sobą. Przed jedną z nich biegł po trawniku czarny, chudy pies. Jego szczekanie spłoszyło konie, ale markiz zapanował nad nimi bez wysiłku.

Pół przecznicy dalej zatrzymał się przy krawędzi jezdni, naprzeciwko dużego, czarnego powozu z opuszczonymi zasłonami. Evelyn ogarnął lekki niepokój. Ta cicha, odludna okolica doskonale nadawała się na porwanie.

Markiz zeskoczył na ziemię, obszedł pojazd i wyciągnął rękę. Evelyn się zawahała, bo każdy dotyk Sainta sprawiał, że natychmiast zapominała, jakim jest łajdakiem. Ale też nie chciała upaść, gramoląc się z powozu w spacerowej sukni i cienkich pantoflach. Po chwili wzięła głęboki oddech

240

i wstała z siedzenia. Wtedy St. Aubyn zrobił krok do przodu, objął ją w talii i przeniósł na chodnik.

- Puść mnie - szepnęła, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy.

Wiedziała, co dalej mogłoby nastąpić, a przecież była na niego zła.

- Dobrze - rzekł Saint i postawił ją na ziemi. - Idziemy? Nie czekając na odpowiedź, ruszył kolistym podjazdem

w stronę największej rezydencji. Gdy ciekawość wzięła górę nad ostrożnością, Evie poszła za nim.

Drzwi otworzył starszy dżentelmen, lekko przygarbiony i utykający. Wyciągnął rękę na powitanie.

- Lord St. Aubyn, jak sądzę? Saint uścisnął podaną dłoń.

- Sir Peter Ludlow? Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać.

- To żaden kłopot. - Gospodarz zerknął na Evie. - Czy państwo życzą sobie obejrzeć dom?
-N...

- Tak - przerwał jej Saint, podając ramię. - Jeszcze raz dziękuję.

Nagle zrobił się uprzejmy. Razem z Sally, która trzymała się dwa kroki za nimi, weszli do starej rezydencji. Ich ciche kroki odbijały się echem w dużym, pustym holu. Evelyn mocniej zacisnęła palce na ramieniu Sainta. Nie zamierzała spuszczać go z oczu, póki nie wróca bezpiecznie do domu.

- Jak pan wczoraj zauważył, nie ma większości mebli i zaston - powiedział sir Peter. - Ale podłogi są solidne, a mury i dach były reperowane po ostatniej deszczowej zimie.

- Ile jest pokoi? - zapytał Saint.

- Dwadzieścia siedem, w tym dwie bawialnie na górze, biblioteka i salonik na dole. Sala balowa i duży salon znajdują się na drugim piętrze razem z pokojem muzycznym, a jadalnia tam. Pod schodami mieści się dwanaście słuźbówek oraz kuchnia i spiżarnia.

241

- Saint - szepnęła Evie, zastanawiając się, czy on naprawdę uwięzi ją w tym dużym, starym domu.

- Cii. Obejrzyjmy jadalnię, dobrze?

Gdy sir Peter pchnął duże podwójne drzwi, ich oczom ukazało się pomieszczenie wielkości refektarza, na co najmniej siedemdziesiąt osób.

Saint wyjął z kieszeni kawałek papieru, napisał coś na nim ołówkiem i wręczył świstek gospodarzowi. Ludlow najpierw oniemiał, a po chwili wyjął z kieszeni klucz i powiedział:

- Niech pański prawnik spotka się z moim. Dom należy do pana.

Saint wyciągnął rękę.

- Dziękuję, sir Peterze.

- A ja tobie, chłopcze. Nie lubię długich targów. - Starzec uchylił kapelusza, patrząc na Evie. - Do widzenia, milady.

Gdy frontowe drzwi zamknęły się za Ludlowem, Evelyn puściła ramię Sainta.

- Chciałeś, żebym była świadkiem, tak? A możesz mi przynajmniej wyjaśnić, co się dzieje?

- Odpraw pokojówkę.

- Nie.

-, Więc nic ci nie powiem.

Evelyn знаła go na tyle, że mu uwierzyła. Odwróciła się do Sally.

- Poczekaj na zewnątrz, ale wróć za pięć minut. Służąca dygnęła.

- Dobrze, panno Ruddick.

Po jej wyjściu Evie spojrzała na St. Aubyna. Wiedziała, że pięć minut sam na sam z markizem to całkiem długo, ale była gotowa zaryzykować.

- No, więc - ponagliła go. - Nie mam pojęcia, co knujesz, ale pamiętaj, że zasłużyłeś na to, jak cię potraktowałam.

Przez kilka uderzeń serca Saint patrzył na nią bez słowa.

- A ty zasłużyłaś na to - powiedział cichym głosem, podając jej klucz. - Gratulacje.

242

Evelyn zmarszczyła brwi, lecz wyciągnęła rękę. Chciała nie tylko uniknąć zamknięcia w piwnicy, ale przy okazji dotknąć jego dłoni.

- Dajesz mi w prezencie stary dom? - zapytała sceptycznie. St. Aubyn potrząsnął głową.

- Nowy sierociniec.

- Co takiego? - wykrztusiła Evie.

- W całości urządzony przez ciebie. I z personelem, który sama wybierzesz, choć z góry protestuję przeciwko zatrudnieniu pani Nathan.

Evelyn patrzyła na niego w milczeniu, ściskając w ręce klucz. Nic nie rozumiała. St. Aubynowi w końcu udało się pozbyć zobowiązania, które od dawna mu ciążyły, i brał na siebie nowe?

- Dlaczego to robisz?

- Rozmawiałem z Prinnym, ale powiedział, że nie chce stracić twarzy, wycofując się ze swoich planów dzień po ich ogłoszeniu. Okazuje się, że trudno przekonać władcę, żeby odwołał coś, co już zostało wydrukowane w gazecie.

- Ale przecież ty nienawidzisz sierocińca. Więc dlaczego? Zmysłowe usta Sainta wykrzywił lekki uśmiech.

- Mówiłem ci, że chcę wszystko naprawić.

Serce Evelyn waliło tak mocno, że na pewno je usłyszał.

- Więc zrobiłeś to... dla mnie? -Tak.

- Nie wiem, co powiedzieć, Saint. To... nadzwyczajne. St. Aubyn przekrzywił głowę.

- Ale? - W jego zielonych oczach pojawił się dawny ironiczny wyraz. - Czytam z twojej twarzy, że jest jakieś „ale”.

Dopiero wtedy Evie sobie uświadomiła, co się ostatnio w nim zmieniło: zniknął jego zwykły cynizm. I właśnie to wzbudziło w niej największy niepokój.

- Po prostu miałam nadzieję, że zrobiłeś to dla dzieci, a nie dla...

- Do licha, Evelyn! - wybuchnął Saint. - Czy wszystko

243

trzeba robić z właściwych powodów? Jestem bardzo zmęczony i obawiam się, że już nic nie rozumiem, więc wyjaśnij mi, proszę, dlaczego nie mogę zrobić czegoś dla ciebie.

- Ja...

- Wyjaśnij mi, dlaczego uważasz, że nie zasługujesz na taki prezent - przerwał jej, zbliżając się o krok.

- Saint...

- Wyjaśnij, dlaczego nie miałabyś okazać wdzięczności, pozwalając mi się pocałować.

Musnął wargami jej usta, lekko jak piórkiem.

-Jestem wdzięczna - wykrztusiła Evie, z trudem powstrzymując się przed zarzuceniem mu ramion na szyję. -Bardzo. Ale...

- Na Lucyfera, dlaczego mnie dręczysz? - szepnął Saint z ustami przy jej ustach.

Evie nic nie odpowiedziała. Nie mogła.

"Lecz nad kraj uroczy marzeń
Cudniejszą rzeczywistość bywa;
W czar ona kształty i barwy jednoczy
Nad niebo rojeń, ponad gwiazd tych dziwa"

Lord Byron, „Wędrówki Childe Harolda”, pieśń

IV

Evelyn, którą Saint odwoził do domu, była dużo bardziej rozmowna niż ta, z którą wyjechał z Ruddick House. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wypomnieć jej, że przecież postanowiła

z nim nie rozmawiać, ale za bardzo podobał mu się jej entuzjazm, żeby go zgasić. A poza tym, gdyby zwrócił jej uwagę, że złamała ślub milczenia, niepotrzebnie przypomniałby, że uciekła z domu, ponieważ brat próbował wyswatać ją z Clarence'em Alvingtonem.

- Myślisz, że dałoby się przerobić salę balową na klasy lekcyjne? - zapytała, niemal podskakując na siedzeniu.

Saint przez chwilę podziwiał jej biust.

- Ja jestem od finansów, ty od podejmowania decyzji - odparł. - Jeśli chcesz wprowadzić jakieś zmiany, tylko powiedz, a ja wszystkim się zajmę.

- Wiesz, ile to wszystko będzie kosztować?

St. Aubyn uśmiechnął się lekko, czując przyjemne ciepło wokół serca.

- A ty?

245

- Och, wiem, że czeka mnie dużo pracy, ale jeśli zatrudnię właściwych ludzi, chyba dam sobie radę.

Więc zamierzała nadal trzymać swoją pracę charytatywną w sekrecie przed rodziną. Saint skupił się na kierowaniu powozem, a jednocześnie oceniał w myślach sytuację. Uroczą i bogatą Evelyn Ruddick byłaby świetną zdobyczą dla Alvingtonów. Ponadto jej nienaganna opinia stanowiła wielki atut w grze, którą prowadził jej brat. Chyba, że...

- Na pewno sobie poradzisz, ale nie to miałem na myśli - odezwał się w końcu.

- A co?

- Wszystko ma swoją cenę. Myślisz, że wydałem ponad dwadzieścia tysięcy funtów bez powodu?

- Przecież... powiedziałaś, że zrobiłeś to dla mnie. Zabolęła go uraza brzmiąca w jej głosie.

- Owszem, ale nie za darmo. Evelyn uniosła podbródek.

- Więc jaka jest twoja cena?

- Wyznaj rodzinie prawdę.

Przez chwilę zdawało się, że Evie zemdleje; cała krew odpłynęła jej z twarzy. Saint już szykował się na to, że będzie musiał ratować ją przed wypadnięciem z powozu. Mimo wszystko postanowił przeprowadzić swój zamysł.

- Co?

- Słyszałaś. - St. Aubyn obejrzał się przez ramię na pokojówkę. - Powiedz matce i bratu, że poświęcasz czas i pieniądze sierocińcowi i że dzięki tobie dzieci wkrótce przeniosą się do lepszego domu. I uprzedź, że zamierzasz nadal im pomagać.

- Nie mogę - wykrztusiła. - Nic nie rozumiesz. Victor...

- Nie musisz o mnie wspominać. Wystarczy, że powiesz im, co robisz.

-Nie!

- W takim razie wycofuję ofertę.

- Nie możesz!

246

Jego usta wykrzywił nieznaczny uśmiech.

- Moja droga, mogę zrobić wszystko, co zechcę. Jeszcze się o tym nie przekonałaś?

- Zniszczysz mi życie - stwierdziła Evelyn drżącym głosem, zaciskając pięści. - Nie rozumiesz? A może w ogóle cię to nie obchodzi?

Saint milczał przez chwilę. Miała rację. Dostatecznie dobrze znał Victora Ruddicka, by wiedzieć, co czeka Evelyn, jeśli wyzna prawdę. Ale nie powinien się tym przejmować.

Zawsze robił rzeczy, które sprawiały mu przyjemność, nawet kosztem innych. Ta sytuacja nie była inna... A jednak.

- Dobrze, więc zrobimy inaczej - odezwał się wreszcie, wyzywając się w duchu od idiotów. - Co mi proponujesz zamiast przyznania się rodzinie?

Evie kilka razy otwierała usta.

- Nie wiem - powiedziała w końcu.

- Niestety to nie brzmi kusząco.

- Mogę przynajmniej się zastanowić?

- Masz dwadzieścia cztery godziny, moja droga. - Saint znowu obejrzał się na pokojówkę i rzucił surowym tonem: - Jeśli komuś wspomnisz o tej rozmowie, gorzko pożałujesz. Chyba tego nie chcesz, prawda?

Oczy Sally się rozszerzyły.

- Nie, milordzie.

- Tak myślałem.

Evelyn spiorunowała go wzrokiem, ale w jej oczach malowała się również ulga.

- Niech pan przestanie straszyć moją pokojówkę, lordzie St. Aubyn.

Gdy skręcili na podjazd Ruddick House, Saint skorzystał z okazji, nachylił się i szepnął jej do ucha:

- Wziąłbym cię tu i teraz, gdybyś mi pozwoliła, Evelyn. Zaproponuj mi swoje ciało.

- Mam dwadzieścia cztery godziny na decyzję - odparła Evie. Na jej policzki wróciły kolory.

247

- Nie możesz przepędzić mnie z myśli, co? - ciągnął St. Aubyn ściszonego głosem. - Pragniesz mnie.

- Tak - wyszeptała Evelyn, po czym wysiadła z pomocą lokaja. - Dziękuję za miłą wycieczkę, po zoo, lordzie St. Aubyn - dodała głośniejszym głosem. - Przekażę bratu pańskie pozdrowienia.

Nim Saint zdążył zeskoczyć na ziemię, weszła do domu. I może dobrze, bo nie był pewien, czy potrafiłby zachować pozory.

Kiedy opuścił półkolisty podjazd, jego miejsce przed domem zajął faeton z wysokim siedzeniem. Clarence Arlington? Do diabła!

Irytowało go, że fircyk spędza więcej czasu z Evelyn niż on, mimo zasług dla Victora Ruddicka. Oczywiście Clarence miał nieskałaną reputację, ale tylko dlatego, że był śmiertelnie nudny.

Tego wieczoru odbywał się bal u Hillarych i kilka innych przyjęć. Jeśli Saint chciał je przetrwać, musiał położyć się, choć na godzinę. Mógł zostać w domu i pójść spać, o czym marzył, ale wtedy straciłby okazję ujżenia Evelyn.

Gdy Jansen otworzył mu drzwi, St. Aubyn zdjął w holu płaszcz i zapowiedział:

- Będę w...

- Ma pan gościa, milordzie - przerwał mu kamerdyner, kierując wzrok na salonik.

Do diaska!

- Kogo?

- Saint! Dzięki Bogu!

Fatima Hynes, krągła, miękka i ciepła, rzuciła się w jego ramiona. St. Aubyn odruchowo objął ją w talii, żeby nie runąć na plecy.

- Co tutaj robisz?

- Muszę z tobą porozmawiać, kochanie - szepnęła lady Gladstone, ciągnąc go do pokoju.

Gdy Saint usłyszał słowo „kochanie”, ścierpły mu zęby.

248

Jednak stojąc na środku holu, nie mógł się dowiedzieć, o co jej chodzi, pozwolił, więc zaprowadzić się do saloniku.

- Bardzo teatralne - zauważył, uwalniając ręce. - Czego chcesz?

- Gdzie byłeś?

- Nie twoja sprawa. Czego chcesz, Fatimo? Pytam ostatni raz.

- Z nią, prawda? Z Evie Ruddick.

W pierwszym odruchu Saint postanowił chronić Evelyn, co bardzo go zaskoczyło. Na ogół najpierw myślał o sobie.

- Tak, namiętnie kochałem się z Evie Ruddick, bo ze wszystkich kobiet w Londynie tylko ona jest w stanie dłużej mnie zainteresować.

Fatima skrzywiła umalowane usta.

- Saint!

- Jeśli przyszedłeś po to, żeby mnie wypytywać, co robiłem albo, co jadłem na śniadanie, to sobie idź. Natychmiast.

- Nie musisz mnie obrażać - odparła lady Gladstone, wygładzając przód ciemnoróżowej sukni. - Złożyłam ci wizytę specjalnie po to, żeby ci dać jeszcze jedną szansę.

St. Aubyn zrobił się czujny.

- Szansę?

- Gladstone jest przekonany, że ty i ja nadal jesteśmy kochankami. Nie rozumiem, po co marnować takie wygodne podejrzenie.

- Aha. Więc lord Brumley... nie spełnił twoich oczekiwań, tak?

Fatima zmierzyła go wzrokiem.

- Nic się przed tobą nie ukryje, prawda?

- Wiedza pozwala mi zwyciężać - odparł sucho St. Aubyn. - I uchylać się przed pociskami, które lecą w moją stronę.

- I co ty na to, Saint? - zamruczała pani Hynes, przesuwając palcem po jego szczęce. - Tak dobrze do siebie pasujemy.

249

O dziwo, nie poczuł najmniejszej pokusy.

- Kiedyś tak. Niestety teraz muszę odmówić. Fatima spochmurniała.

- A następnym?

- Nie sądzę, żeby był następny raz, milady. - Saint się uśmiechnął. - Ale dziękuję za propozycję.

Lady Gladstone ze zdziwieniem uniosła brwi.

- No, proszę, co za maniery. Byłeś w kościele?

- Coś w tym rodzaju.

- Hm. To przejdzie.

- Nie wątpię.

Odprowadziwszy gościa do drzwi, ruszył na piętro. Nie wiedział, czy udało mu się oszukać Fatimę w kwestii stosunków łączących go z panną Ruddick, ale nie mógł zaprzeczyć, że między nimi jednak coś jest. Z jakiegoś powodu Evelyn zaszła mu za skórę, a on marzył o niej jak głodujący człowiek o suto zastawionym stole.

Zdawał sobie sprawę, że taka sytuacja nie potrwa długo. Najdalej do chwili, kiedy Ruddick wyda siostrę za Clarence'a Alvingtona. I co on wtedy zrobi? Będzie stał w cieniu pod jej domem i z tęsknotą patrzył w okna? Miałby szansę ją zatrzymać, gdyby zepsuł jej opinię w oczach wymagających Alvingtonów, ale z kolei brat uczyniłby jej życie żalonym.

- Do diaska! - zaklął, opadając na łóżko.

Evelyn, Evelyn, Evelyn. Na jawie czy we śnie, myśli o niej nie dawały mu spokoju. Czuł się dobrze tylko w jej obecności, ale ledwo rozpoznawał całkiem miłego człowieka, w którego jakimś cudem się zmienił. Chyba oszalał. Gdyby był zdrowy na umyśle, nigdy nie wydałby dwudziestu tysięcy funtów na przytułek i nie został z własnej woli jego jedynym benefaktorem.

Z drugiej strony, nowy sierociniec wydawał się jedyną gwarancją, że nadal będzie regularnie spotykał się z Evelyn. Albo ślub.

250

Saint usiadł prosto.

To była najbardziej niedorzeczna myśl, jaka kiedykolwiek przyszła mu do głowy. Owszem, miał obsesję na punkcie panny Ruddick, ale małżeństwo? Od chwili, gdy odkrył, jak fascynujące są kobiety, wiedział na pewno, że pójdzie w ślady ojca. Kiedy Carouse'owi zabrakło sił na hulanki i rozpustę, którym oddawał się przez całe życie, wybrał sobie odpowiednią kandydatkę, ożenił się z nią, żeby spłodzić prawowitego dziedzica, i umarł.

Saint nie chciał, żeby Clarence Alvington zdobył Evelyn, ale poślubienie jej, żeby temu zapobiec, wydawało się grubą przesadą, delikatnie mówiąc. Zresztą Evie nigdy nie zgodziłaby się na taką farsę. Brakowało mu palców, by zliczyć, ile razy nazwała go godnym pogardy.

Pozwolić mu się uwieść to jedno, natomiast wyjść za łajdaka o jego reputacji, zwłaszcza przy jej obsesji na punkcie przyzwoitości... Evelyn pewnie wolałaby wstąpić do klasztoru. A to byłoby dla niego gorsze niż jej małżeństwo z Alvingtonem.

Gdy frustracja wzięła górę nad zmęczeniem, St. Aubyn wstał z łóżka i zaczął wydeptywać drogi perski dywan leżący pośrodku sypialni. Dlaczego, u licha, w ogóle snuł takie rozważania? Chyba, dlatego, że panna Ruddick była jedyną od miesiąca kobietą, z którą naprawdę rozmawiał. Nie mówiąc o dotykaniu. Nieprzyzwyczajonego do monogamii hulakę ten nienaturalny stan po prostu wytrącił z równowagi.

Źle zrobił, że odprawił Fatimę. Powinien natychmiast złożyć wizytę innej kobiecie, żeby uwolnić się od myśli o Evelyn Ruddick. Skoro już do tego doszło, że zastanawiał się nad małżeństwem, nie mógł ryzykować, że obsesja całkowicie nim zawładnie. Jeszcze chwila, a zacznie myśleć o posiadaniu dzieci z Evelyn.

- Dobry Boże!

Masując skronie, opadł na wygodny fotel stojący przed kominkiem. Wiedział, że nie pójdzie szukać kochanki,

251

choć wydawało się to idealnym rozwiązaniem. Prawda była taka, że pożądał Evelyn Ruddick, i powrót do dawnych zwyczajów nie mógł tego zmienić. Nie, zostanie dzisiaj w domu i zdrzemnie się jak znużony starzec, a potem wyjdzie na któreś z wieczornych przyjęć, najbardziej sztywne i porządne ze wszystkich, w nadziei, że ona tam będzie.

Evelyn trzymała srebrny wisiołek z diamentem, podczas gdy Sally zapinała łańcuszek na jej karku. Był zbyt wyszukany jak na skromne przyjęcie, ale z wdzięczności postanowiła go dziś włożyć.

Słowo „wdzięczność” niezupełnie oddawało jej uczucia, lecz nie znajdowała lepszego określenia. St. Aubyn uratował dzieci, owszem, ale zrobił też o wiele ważniejszą rzecz: postąpił wbrew sobie. I to najwyraźniej dla niej.

Do pokoju zajrzała matka.

- Wybrałaś zielony jedwab? To dobrze. Podkreśla kolor twoich oczu.

- Dlaczego miałyby mi akurat dzisiaj zależeć na podkreśleniu oczu? - zapytała Evie, gestem odprawiając Sally.

Widać poranna kłótnia na temat Clarence'a Alvingtona i jego idiotycznej poezji im nie wystarczyła. Cóż, ona była gotowa.

- Powinnaś zawsze wyglądać jak najlepiej, oto dlaczego. Nie zapominaj, że skończyłaś już dwadzieścia trzy lata i że większość dam w twoim wieku jest zamężna i ma dzieci.

Evelyn milczała przez chwilę. Matka nie wspomniała o Alvingtonie; na szczęście miało go nie być na przyjęciu, chyba, że był jeszcze głupszy, niż sądziła.

- Raczej nie znajdę męża na literackim wieczorku u lady Bethson, więc nie sądzę, by miało znaczenie, jakiego koloru suknię włożę.

Matka zmarszczyła nos.

- Nie rozumiem, dlaczego Victor wciąż pozwala ci chodzić na te bezsensowne zebrania sawantek. Za bardzo cię

252

rozpieszcza mimo twojej skłonności do złych decyzji. Z pewnością nic dobrego nie wyniknie ze spotkań nierozsądnych kobiet i pretensjonalnych nudziarzy, którzy cytują dawno nieżyjących ludzi.

- Nie wiedziałaś, że kuzynem lady Bethson jest minister skarbu? - spytała Evie. Miała dość udawania czarującej, ale pustogłowej istoty przed kandydatami na sojuszników Victora. Teraz się okazało, że nie tylko brat, ale również matka naprawdę uważa ją za głupią. Ona natomiast stwierdziła, że ma więcej siły woli i determinacji, niż przypuszczała. - Właśnie, dlatego pielęgnuję naszą przyjaźń. Chcę pomóc Victorowi. I robię to z przyjemnością, bo tak się składa, że nasza gospodyni jest uroczą osobą.

- Widzisz? Nigdy nie byłaś taka przekorna, Evie.

- Nie musiałam.

Matka zmierzyła ją wzrokiem.

- A teraz nie powinnaś. Wiesz, że nic dobrego z tego nie wyniknie. I pamiętaj, że jutro o dziewiątej jemy z Victorem wczesne śniadanie.

Evelyn ogarnęły złe przeczucia. Takie wyraźne polecenie prawdopodobnie oznaczało, że brat chce przekazać jej kolejne ultimatum. Nie zamierzała dłużej się na nie godzić. Uświadomiła sobie, że odkąd po raz pierwszy skorzystała z okazji, żeby wyrazić własne przekonania i postąpić zgodnie z nimi, nigdy nie czuła się lepiej. Była ciekawa, co by powiedzieli jej bliscy, gdyby oznajmiła, że woli towarzystwo St. Aubyna i że nawet, kiedy jest na niego zła, lubi go bardziej niż politycznych znajomych Victora. Może brat chciał dobrze, ale bardzo się, co do niej mylił.

Jak zwykle, kiedy pomyślała o Saincie, jej serce zaczęło łomotać. Zostało niecałe osiemnaście godzin na postanowienie, jak mu się odwdziaczyć za kupno nowego sierocińca. Oczywiście wiedziała, czego chce najbardziej, i wręcz nie mogła uwierzyć, że to w niej rodzą się takie lubieżne pragnienia.

253

Uznała jednak, że ten sposób zapłaty, choć niewątpliwie przyjemny, jest zbyt łatwy. Powinien to być raczej dalszy ciąg lekcji, jak stać się prawdziwym dżentelmenem i dobrym człowiekiem.

Gdy zjawiała się Lucinda, Evie nadal nie miała pojęcia, co robić. Czuła, że jeśli wkrótce czegoś nie wymyśli, skończy naga w objęciach Sainta. Nie mogła przecież powiedzieć Victorowi ani matce, że bez ich wiedzy praktycznie adoptowała cały sierociniec.

- Nie martw się - pocieszyła ją Lucinda. - Nie pozwolimy, żeby dzieci trafiły do któregoś z tych okropnych przytułków.

Evelyn zamruwała. Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyła o niczym opowiedzieć przyjaciółce.

- Mam dobrą nowinę. St. Aubyn kupił dla nich nowy dom.

- St. Aubyn? - powtórzyła Lucinda z miną, która wyraźnie mówiła, że ktoś tutaj oszalał.

- Tak. To piękna, stara rezydencja. Pomieszczą się w niej wszystkie dzieci, a ja będę mogła sama urządzić klasy, wybrać meble i dekoracje.

- Chwileczkę, Evie. Markiz St. Aubyn pozbył się jednego sierocińca i zaraz potem kupił drugi?

- Tak. Próbował przekonać Prinny'ego, żeby zrezygnował z transakcji, ale informacja o nowym parku już ukazała się w gazetach, więc regent oznajmił, że nie może się wycofać. St. Aubyn znalazł inny dom i zawiózł mnie tam, żeby mi go pokazać. Zaproponował sir Peterowi Ludlowowi taką cenę, że baron tylko kiwnął głową i dał mu klucz. A Saint od razu przekazał go mnie.

Lucinda patrzyła na nią przez dłuższą chwilę.

- Gdyby ktoś usłyszał, że St. Aubyn kupił ci dom, byłabyś skompromitowana na zawsze - oświadczyła w końcu.

Właśnie, dlatego wszystko było takie ekscytujące, ale oczywiście nie mogła tego powiedzieć przyjaciółce. Nikt nie mógł poznać jej największego sekretu. Potrząsnęła głową.

- Nie zrobił tego dla mnie, tylko dla sierot.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek uwierzył w takie tłumaczenie - stwierdziła Lucinda. - Słyszałaś, co mówił Dare. St. Aubyn niczego nie robi za darmo. A zważywszy na to, że kupił dom w twojej obecności, wszyscy pomyślą, że zostałam jego kochanką.

Bo to prawda. Serce Evie ogarnął chłód. Te słowa wypowiedziane na głos zabrzmiały jak oskarżenie. A jeśli Saint przez cały czas planował ją skompromitować? Kiedy uwięziła go w lochu, zapowiedział, że najpierw na niej się zemści. Potrafił być przebiegły. Dobrze o tym wiedziała. Ale to było... podłe.

- Nie jestem naiwna - rzuciła z niedbałym uśmiechem. - Już tyle zrobiłam, że nawet, jeśli znalezienie nowego domu dla dzieci oznacza utratę reputacji, to trudno.

Oczywiście, że zadając się z Saintem, dużo ryzykowała. Ale przecież pozwolił jej wybrać sposób zapłaty, a ten, który sam zaproponował, czyli wyznanie rodzinie prawdy o sierocińcu, groził jej jedynie pogorszeniem stosunków z matką i bratem. Była pewna, że reszta świata o niczym się nie dowie, a już z pewnością nie o tym, że St. Aubyn kupił jej dom.

- Przestałam cię rozumieć - stwierdziła Lucinda.

- Może, dlatego, że już nie boję się popełniać błędów. Przynajmniej staram się coś robić, zamiast tylko narzekać, że wszyscy uważają mnie za bezużyteczną.

Przyjaciółka najwyraźniej miała ochotę kontynuować rozmowę, ale na szczęście powóz się zatrzymał i lokaj otworzył im drzwi. Evelyn nie chciała kłamać, ale Lucinda miała o Saincie taką samą opinię jak wszyscy w Londynie. Nie zrozumiałyby, jakie to dla niej ważne nie czuć zakłopotania ani wstydu z tego powodu, że pracuje z St. Aubynem.

Evie pospiesznie wysiadła z powozu, obawiając się kolejnych pytań. Luce zapewne próbowałaby wybadać, skąd w niej ta zmiana, a ona miała tylko jedną odpowiedź: wszystko przez Santa.

255

Snuła wielkie plany, jak zrobić coś wartościowego i godnego zapamiętania, ale to dzięki St. Aubynowi nie skończyło się na marzeniach. Dzięki niemu jej wysiłki miały teraz przynieść bardziej widoczne rezultaty.

Evelyn ledwo mogła się doczekać, żeby omówić z nim następny krok. Na jej policzki wypłynął rumieniec. Musiała go zobaczyć, i już. Michaela Edwarda Halboro, zupełnie nieoczekiwane wcielenie świętego.

- Dobry wieczór, panno Barrett, panno Ruddick - powitała je lady Bethson, kiedy dołączyły do małej grupki zebranej w salonie.

Evie wróciła do rzeczywistości na tyle, żeby się uśmiechnąć i cmoknąć gospodynię w policzek.

W przeciwieństwie do politycznych herbatek markizy Houton na wieczory literackie odbywające się u lady Bethson dwa razy w miesiącu czekała z niecierpliwością. Nie brała w nich udziału żadna ze znajomych snobek jej ciotki, bo spotkania były poświęcone dyskusjom o literaturze, w czasie, których należało używać rozumu.

- No, chyba jesteśmy wszyscy, panie i panowie - powiedziała lady Bethson, kiwając głową wicehrabiemu Quentonowi, jedynemu, na szczęście miłemu, uczestnikowi ich zebrań. - Zajmijmy się, więc „Śnie nocy letniej” Williama Szekspira.

Obecni wyjęli książki albo przysiedli się do tych, którzy nie mieli swoich egzemplarzy sztuki. Evelyn miała wrażenie, że Saintowi spodobałby się taki wieczór mimo braku kompanów do zabawy. Nikt niczego nie udawał, wszyscy goście, w liczbie dwunastu, byli inteligentni, ocytani i dowcipni. Inni już dawno przestali przychodzić.

Słuchacze akurat śmiali się z tkacza Spodka w interpretacji lorda Quentona, gdy do pokoju wszedł kamerdyner i szepnął coś hrabinie do ucha.

- Wprowadź go - powiedziała cicho gospodyni. Po wyjściu sługi sięgnęła po kieliszek madery. - Zdaje się, że będziemy mieli jeszcze jednego uczestnika dyskusji.

256

W tym momencie w progu stanął markiz St. Aubyn.

- Dobry wieczór, lady Bethson - powiedział, kłaniając się dwornie.

- Lord St, Aubyn, co za niespodzianka.

- Dużo słyszałem o waszych literackich wieczorkach - rzekł niespodziewany gość, śląc Evie gorące spojrzenie. - Pomyślałem sobie, że mógłbym się do państwa przyłączyć.

- Im nas więcej, tym weselej - odparła hrabina ze śmiechem. - Miło nam powitać w gronie słynnego Sainta.

Markiz skinął głową.

- Staram się, jak mogę.

Evelyn odwróciła wzrok, ale wpadła z deszczu pod rynnę, bo siedząca obok niej Lucinda mierzyła ją spojrzeniem.

- O co chodzi? - zapytała szeptem Evie.

- Nic nie mówię - odpowiedziała równie cicho przyjaciółka.

- Dlaczego...

- Panno Ruddick, podzieli się pani ze mną egzemplarzem sztuki? - Saint patrzył na nią z góry z lekkim uśmiechem w zielonych oczach. - Widzę, że zjawiłem się zupełnie nieprzygotowany.

Evelyn nie wiedziała, co St. Aubyn knuje, ale zachowywał się całkiem grzecznie. Odnosiła wrażenie, że od ich popołudniowego spotkania minęło dużo czasu, a kiedy jego wzrok powędrował ku jej ustom, przez chwilę miała nadzieję, że ją pocałuje. Chętnie zarzuciłaby mu ramiona na szyję i objęła go mocno.

- Oczywiście, milordzie - odparła. Przynajmniej jedno z nich musiało wykazać się samokontrolą, a ona najwyraźniej nie mogła pod tym względem polegać na nim. - Rozmawiamy dzisiaj o „Śnie nocy letniej”.

- Aha. - Saint usiadł na kanapie obok niej. Udało mu się przy tym musnąć jej dłoń. - „Przegalopował swój prolog jak nieujeżdżony źrebiec. Ani wiedział, gdzie stanąć. Do-

257

bra stąd nauka, książę. Nie dość jest mówić, trzeba mówić do rzeczy".

Lady Bethson się roześmiała.

- Oczytany łajdak. Jest pan pełen niespodzianek, lordzie St. Aubyn.

Podobnie jak ona. Evelyn zawsze podziwiała hrabinę za bezpośredni sposób bycia i pewność siebie, ale niewiele osób odważyło się mówić wprost o reputacji Sainta.

- Moim zdaniem, oczekiwania wobec mnie są tak niewielkie, że po prostu muszę zaskakiwać - odparł markiz.

- Mimo obecności młodego mężczyzny w naszym gronie odmawiam zrzeczenia się roli Spodka - oświadczył lord Quenton, zmieniając temat.

Saint uniósł brew.

- I tak wolę Puka.

- Świetnie! - wykrzyknęła lady Bethson. - Zatem kontynuujemy?

Evie stwierdziła, że trudno jej się skupić, mimo że była to jedna z jej ulubionych komedii. Saint siedział tak blisko, że ich uda się stykały, a tekst sztuki leżał jedną połową na jej kolanach, a drugą na jego. Kiedy się pochylił i zaczął czytać partię Puka, ogarnęła ją nieprzeparta chęć, żeby pocałować go w ucho. Ledwo się pohamowała.

Evie odgrywała Lyzandra i Tytanie, którzy na szczęście nie mieli wspólnych scen z Pukiem, ale mówienie normalnym głosem i tak przychodziło jej z trudem. A potem Saint jeszcze pogorszył sprawę.

- Jak mi zapłacisz? - spytał, podczas gdy inni omawiali związek Lyzandra z Hermią.

- Cii. Jeszcze nie minęły dwadzieścia cztery godziny.

- Powiedz teraz, bo uznam, że postanowiłaś zapłacić mi swoim ciałem. Jędrnymi piersiami i...

- Już dobrze. - Evelyn umilkła, gorączkowo starając się

258

coś wymyślić, choć w rzeczywistości miała wielką ochotę mu ulec. - Załatwię ci zaproszenie na doroczny piknik u generała Barretta.

- Słucham?

U ojca Lucindy bywało doborowe towarzystwo, tak, że propozycja powinna skusić Sainta. Ponadto ona mogłaby udzielić mu kolejnych lekcji.

- To bardzo ekskluzywne przyjęcie.

- Wiem. Lecz co mi po udziale w przyjęciu, na którym będzie się o mnie szeptać, a poza tym ignorować?

- Nieprawda...

- Spędzisz ten dzień u mojego boku.

Już miała odmówić, ale uświadomiła sobie, że Victor na pewno odrzuci zaproszenie, by nie narażać się na spotkanie z tłumem liberałów.

- Zgoda.

Gdy ponownie zaczęto czytać sztukę od miejsca, gdzie Bottom i jego towarzysze rozmawiają o próbach do przedstawienia, Saint dotknął jej nogi pod rozłożonym egzemplarzem. Evelyn omal nie zerwała się z kanapy.

- Przestań - syknęła z opuszczoną głową. Próbowwała się odsunąć, ale Saint mocniej zacisnął dłoń

na jej udzie.

- Obliz usta - powiedział cicho.

- Nie.

St. Aubyn powędrował dłonią w górę.

- Pragniesz mnie?

Evelyn szybko przesunęła językiem po wargach.

- Teraz stanąć mam na głowie? Uważaj, Lucinda zobaczy.

Saint znieruchomiał, ale nie zabrał ręki.

- Powiedziałaaby komuś?

- Nie. - Evie odważyła się zerknąć na jego profil. - Ale poprosiłaby o wyjaśnienie.

W tym momencie wszyscy roześmiali się z jakiegoś za-

259

- I co by od ciebie usłyszała? - zapytał niemal bezgłośnie. Ależ miała ochotę go dotknąć!

- Że cię lubię - odszepnęła drżącym głosem. - I nie zmuszaj mnie, żebym tego pożałowała, Michaelu. Weź dłoń.

Gdy Saint posłusznie cofnął rękę, Evie stwierdziła, że wreszcie znowu może oddychać. Nadal pragnęła go objąć i zasypać pocałunkami, ale przynajmniej wiedziała, że dzisiaj zdoła się pohamować.

- Lubisz mnie - powiedział St. Aubyn w zadumie. - To ciekawe. - I odczytał kwestię Puka, jakby przez cały czas śledził akcję. - „Cóż to za ciury tu się popisują? I przy kolebce królowej tak blisko?”

Tymczasem Evelyn ledwo pamiętała, że w pokoju są inni ludzie. Z pewnością nie wróżyło to dobrze jej reputacji.

21

"Dobrze mi będzie czynić zadość Sprawom tak obcym przeszłej porze."

Lord Byron, „Cios jeszcze jeden"

St. Aubyn tak bardzo nie miał ochoty się pożegnać, że nałożył sobie drugi kawałek ciasta. Gdyby inne przyjęcia były równie interesujące, jak to u lady Bethson, nie starałby się ich unikać.

Ale jeszcze ciekawsza okazała się jego cicha wymiana zdań z panną Ruddick. Teraz zerkał na nią, gawędząc z Lucindą Barrett i z gospodynią. Po przeczytaniu sztuki, dyskusji i kolacji wolał nie nadużywać jej cierpliwości, dlatego wdał się w rozmowy z pozostałymi gośćmi. Jednak przez cały czas myślał o słowach Evelyn Marie. Powiedziała, że go lubi, choć nie zdradziła, dlaczego. W każdym razie na pewno nie dlatego, że zostali kochankami, ani dlatego, że kupił nowy dom dla sierot.

Nieczęsto w życiu słyszał komplementy, ale jeśli już, to zwykle chwalono go jako uwodziciela albo świetnego strzelca, mówiono mu, że jest czarujący. Myśl, że ktoś może go lubić dla niego samego, nigdy wcześniej nie przyszła mu do głowy. Ale teraz sprawiła mu przyjemność.

Evelyn i panna Barrett wstały roześmiane. Saint szybko

261

odłożył talerzyk z ciastem i też poderwał się z krzesła. Złożył ukłon lady Bethson.

- Muszę już iść, bo inaczej właściciele klubów wyślą ekipy poszukiwawcze. Dziękuję, że pozwoliła mi pani uczestniczyć w słynnym wieczorku literackim. Wydaje pani bardzo ciekawe przyjęcia.

W okrągłych policzkach hrabiny pojawiły się dołeczki.

- Następne odbędzie się dwunastego. Będziemy dyskutować o „Wędrówkach Childe Harolda” Byrona. Proszę czuć się zaproszonym, lordzie St. Aubyn.

- Chętnie przyjdę - odparł Saint i podał ramiona obu młodym damom. - Mogę panie odprowadzić?

Dotyk panny Barrett był dużo bardziej ostrożny niż jej przyjaciółki, co Saint uznał za kolejny dobry znak. Evelyn nie wahała się go dotykać, nawet publicznie, tyle, że w stosownych okolicznościach. Po prostu musiał częściej je stwarzać.

- Evie mówiła, że kupił pan dom dla sierot - powiedziała Lucinda Barrett, kiedy szli w stronę powozu.

Panna Ruddick mogłaby dotrzymywać sekretów.

- Zrobiłem to, co należało - odparł, pomagając jej wsiąść do pojazdu.

Następnie podał rękę drugiej damie, ale nie miał ochoty jej puścić. Evelyn odwróciła się w drzwiach powozu i spojrzała na niego z góry.

- Dobranoc, Saint.

- Śpij dobrze, Evelyn Marie.

Gdy pojazd ruszył z turkotem, St. Aubyn dosiadł Cassiusa. Choć dla niego wieczór ledwo się zaczął, łatwiej mu będzie porozmyślać w domu przy butelce brandy niż przy kartach u Jezebel.

Jansen zamrugnął ze zdziwieniem, kiedy otworzył frontowe drzwi.

- Nie spodziewaliśmy się pana tak wcześnie, milordzie.

- Zmiana planów - skwitował Saint, podając mu płaszcz. Idąc przez hol, wziął karafkę ze stolika.

262

- Mam przysłać Pemberly'ego? - zapytał kamerdyner.

- Nie trzeba. Sam sobie poradzę. Dobranoc, Jensen.

- Dobranoc, milordzie.

Saint wspinał się po schodach i ruszył długim korytarzem do prywatnego apartamentu. Wiedział, że następnego dnia zacznie się kołowrót, ale dziś zamierzał wypić kilka drinków i porządnie się wyspać.

Mimo ognia trzaskającego w kominku w sypialni panował chłód. Ktoś zostawił otwarte okno.

- Cześć, milordzie.

Saint odwrócił się i zobaczył młodzieńca opartego o zagłówek jego łoża. Brudne buty zostawiły ślady błota na drogiej narzucie.

- Randall. - St. Aubyn zdjął surdut i cisnął go na najbliższe krzesło. - Nie powinieneś zostawiać otwartych okien.

- Myślałem, że będę musiał wychodzić w pośpiechu. Chłopak miał prawą rękę ukrytą pod poduszką. Saint

spokojnie ocenił odległość do drzwi, garderoby i intruza. Baker znajdował się najbliżej.

- Dlaczego? .

Randall przesunął dłoń, odsłaniając pistolet. Palec trzymał na spuście.

- Mogliby tu wpaść pańscy słudzy zaalarmowani trzaskiem kuli przebijającej pańską czaszkę.

Saint pokiwał głową i opadł na jeden z foteli stojących między kominkiem a łóżkiem. Wszystkie mięśnie miał napięte.

- Coś cię zdenerwowało czy po prostu lubisz mordować? Są łatwiejsze cele niż ja.

- Mówiłem panie Evie, żeby pogrzebać pana w piwnicy. Uważałem, że nic dobrego nie wyniknie z wypuszczenia pana na wolność. Panna Evie nie rozumie, że bogaczy nie obchodzą tacy jak my.

- Ale ludzie, którzy do nich strzelają, zwykle potem trafiają na szubienicę.
Chłopak wzruszył ramionami, opuścił nogi na podłogę

263

i wstał. Pistolet nawet nie drgnął. St. Aubyn nie przypuszczał, żeby Randall, choć sekundę zawahał się przed naciśnięciem spustu. Dzięki Lucyferowi, że przyszedł do niego, a nie do Evelyn.

- A pan nie zastrzełiby kogoś, kto zabrał panu dom? Gdyby pan przez cały tydzień słuchał, jak dzieciaki płaczą, że tracą dach nad głową, będą musiały spać w rynsztoku i jeść szczury, nie zabiłby pan człowieka, który im to zrobił, nawet arystokratę?

Randall coraz bardziej się zaperzał, a Saint nie mógł go za to winić.

- Zabiłbym - przyznał. - Chyba, że on by się rozmyślił i znalazł inne rozwiązanie.

- Niech pan mówi, co chce, ale to nic nie zmieni. Może pan oszukać pannę Evie, ale nie mnie.

- Oszukać?

Gdy Randall otworzył usta, St. Aubyn zerwał się z fotela i skoczył. Wykręcił chłopakowi rękę, odebrał mu broń i pchnął go na podłogę. Pistolet opuścił i wycelował w drugą stronę.

- Chodź ze mną - polecił.

Baker usiadł, rozcierając nadgarstek.

- A niech mnie! Gdzie się pan tego nauczył?

- Nie jesteś pierwszym, który mierzy do mnie z broni palnej - odparł Saint sucho. - Wstawaj.

- Nie pójdę do więzienia.

- Dobre postanowienie, ale spóźnione.

- Nigdzie nie idę. St. Aubyn westchnął.

- Nie będzie żadnego więzienia, żadnego lochu, żadnych łańcuchów. Ale nie będę mieć nic przeciwko temu, żeby się odwzajemnić i zdzielić cię kolbą w głowę, jeśli będziesz źle się zachowywał.

Randall łypnął na niego spode łba i dźwignął się z podłogi.

264

- Panna Evie myślała, że pana zabiłem. Próbowałem, ale ma pan twardą głowę.

St. Aubyn zaniósł kolejną cichą modlitwę dziękczynną do nieba, że Randall Baker nie postanowił wyładować swojego gniewu na Evelyn. Gdyby ją zranił albo tylko przestraszył, Saint nie byłby dla niego tak łaskawy jak teraz.

Trzymając chłopaka na muszce, na wypadek gdyby ten postanowił go zaatakować, zszedł z nim na dół do gabinetu. Służba już udała się na spoczynek, co bardzo mu odpowiadało. Nie chciał, żeby ktoś zobaczył, jak markiz grozi wyrostkowi pistoletem.

- Siadaj! - Wskazał na krzesło stojące przed biurkiem. Randall spełnił polecenie, łypiąc na niego podejrzliwie. St. Aubyn opadł na fotel, położył broń przy łokciu i przesunął plik dokumentów w stronę Bakera.

- Panna Evie czegoś was nauczyła czy mam ci przeczytać pierwszą stronę?

Chłopak popatrzył na niego posepnie.

- Trochę czytam.

Saint pokiwał głową, ukrywając zaskoczenie. Evelyn rzeczywiście dokonała paru cudów.

- Więc czytaj - powiedział, zapalając lampę. Randall zaczął się mozolić nad kartką, poruszając ustami. Po kilku minutach uniósł wzrok.

- Co to za słowo?

St. Aubyn pochylił się do przodu.

- Ono oznacza, że podatki od nieruchomości będą naliczane raz do roku. - Przez chwilę obserwował z rosnącą irytacją, jak chłopak próbuje odszyfrować niemal obcy dla siebie język. W końcu nie wytrzymał. - Mam ci streścić dokument?

- Tu jest mowa o jakimś domu.

- Dużym domu, przy Earl Court Garden, z dwudziestoma siedmioma pokojami. Oto dwudziestostronicowa umowa kupna rezydencji z przeznaczeniem na siedzibę dla nieletnich pozbawionych opieki rodzicielskiej.

265

Na twarzy Randalla pojawił się wyraz zrozumienia.

- Kupuje nam pan nowy sierociniec. -Tak.

- Dlaczego? Saint westchnął.

- Wasza panna Evie potrafi przekonywać.

- Ożeni się pan z nią?

St. Aubyn wzruszył ramionami, starając się zignorować ucisk w żołądku spowodowany tym pytaniem.

- Prawdopodobnie. - Ułożył dokumenty w równy stos. -Idź już do domu. I raczej nie wspominaj o pistolecie i włamaniu do mojego domu. Panna Evie mogłaby się trochę zdenerwować, zwłaszcza, że to ona dostarczyła broń.

- Nie jest pan takim diabłem, jak myślałem, markizie. Cieszę się, że pana nie zastrzeliłem.

- Ja też.

Saint wziął z biurka pistolet i odprowadził Randalla do frontowych drzwi. Zamknął je za nim starannie i oparł się o framugę. Bywał w gorszych opałach, ale niespodziewana wizyta wytrąciła go z równowagi.

Do tej pory celowali w niego rozgniewani mężowie jego kochanek, a on sam nie czuł żadnego strachu. Dziś było inaczej. Bał się, ale nie tego, że zginie, tylko tego, że śmierć przeszkodzi mu w osiągnięciu celu, czyli w zdobyciu Evelyn Marie Ruddick. Inaczej mówiąc, wolał nie umierać, bo znalazł coś, a raczej kogoś, dla kogo chciał żyć.

Wyjął pistolet z kieszeni, żeby go rozbroić. Postukał nim w dłoń, ale nic się nie stało. Uniósł broń i obejrzał ją w bladym świetle księżycy wpadającym przez okno w holu.

- A niech mnie!

Broń była nienaładowana. Sądząc po wyglądzie, jeszcze nigdy jej nie użyto. Panna Ruddick uwięziła go, strasząc muzealnym eksponatem. Saint pokręcił głową. Evelyn powiedziała, że nigdy go nie skrzywdzi, i najwyraźniej mówiła szczerze. Na Boga, ta dziewczyna naprawdę miała tupet.

266

Co w połączeniu ze szlachetnymi intencjami oraz skłonnością do doszukiwania się we wszystkim i wszystkich dobra czyniło ją niebezpieczną. A jedynym sposobem, żeby się przed nią bronić, było zatrzymać ją przy sobie.

Chętnie porozmawiałby z kimś o tym dziwnym objawieniu, ale osoby godne zaufania były bardziej związane z Evelyn niż z nim. Przez chwilę stał w holu, słuchając ciszy, która panowała w całym domu. I nagle zrozumiał, kto najbardziej nadaje się na powiernika. Odsunął się od drzwi i ruszył w stronę pokoi dla służby.

- Jansen! - zawołał, pukając do drzwi. - Wyłaź! Chwilę później kamerdyner wybiegł do holu, bez surduta, w rozpiętej koszuli.

- Coś się stało, milordzie?
- Chodź ze mną - polecił St. Aubyn, obracając się na pięcie.
- Teraz, milordzie? -Tak.
- Eee... dobrze, milordzie.

Saint wziął świecę ze stolika w holu i ruszył do salonu. Za nim rozlegało się szuranie stóp odzianych w same skarpety. Dobrze, że Jansen jeszcze nie zdjął spodni. Po wejściu do pokoju St. Aubyn ukucnął przed prawie wygasłym kominkiem i zapalił knot od żaru. Kamerdyner zatrzymał się w progu.

- Siadaj - powiedział markiz, stawiając świecę na półce.
- Zwalnia mnie pan, milordzie? - spytał Jansen z napięciem w głosie. - Jeśli tak, to wolałbym być w butach.

Saint opadł na jeden z foteli. Wspaniale! Jego powiernik sądził, że został wezwany w sprawie zwolnienia z pracy.

- Nonsens. Gdybym zamierzał wręczyć ci wymówienie, czekałbym do przyzwoitej pory. Siadaj, Jansen.

Kamerdyner odchrząknął, wszedł do pokoju i przycupnął na brzegu krzesła, które stało najbliższej drzwi. Wyraźnie czuł się nieswojo. Po chwili wahania złożył dłonie na kościstych udach.

267

Wyglądał jak skazaniec przed egzekucją. St. Aubyn nawet zaczął się zastanawiać, czy nie przyprowadzi sługi o apopleksję.

- Brandy. - powiedział. Jansen zerwał się z krzesła.
- Już, milordzie.
- Siedź. Ja przyniosę. Chcesz kieliszek?

Saint wstał z fotela i podszedł do wózka z trunkami, który stał pod oknem. -Ja? Markiz obejrzał się przez ramię.

- Przestań popiskiwać jak mysz. Tak, ty.
- Ja... hm... tak, milordzie.

Gdy już obaj mieli kieliszki w dłoniach, Saint pociągnął ze swojego długi łyk.

- Chciałbym zasięgnąć czyjejś opinii w pewnej sprawie -zaczął. - Wybrałem ciebie.
- Jestem zaszczycony, milordzie.

Służący jednym haustem wypił brandy do dna, więc St. Aubyn pochylił się, żeby dolać mu trunku.

- Proszę o dyskrecję. I szczerłość.
- Oczywiście.

Teraz przyszła najtrudniejsza chwila. Saint nie mógł uwierzyć, że w ogóle myśli o takich rzeczach, nie mówiąc o ich wyjawieniu. W dodatku własnemu kamerdynerowi.

- Myślę o zaprowadzeniu tutaj pewnych zmian - oznajmił.
- Rozumiem.

- Pomyślałem o... - To słowo po prostu nie chciało przejść mu przez gardło. Było zbyt dziwne, zbyt obce. St. Aubyn odchrząknął i spróbował jeszcze raz. - Myślałem o...

- Nowych zasłonach, milordzie? Skoro chce pan znać moją opinię, to uważam, że story, zwłaszcza w pokojach na dole, są dość...
- Nie o zasłonach, -Aha.

268

Saint dokończył brandy i nalał sobie następną porcję.

- Chodzi o coś poważniejszego niż zaślony, wierz mi.
- Nowy dom, milordzie? 2 godnego zaufania źródła wiem, że dom lorda Wenstona przy Park Lane wkrótce będzie do sprzedania...
- O ślubie - warknął Saint. - Rozwazałem pomysł, żeby się ożenić.
Kamerdynier przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, z rozdziawionymi ustami.
- Ja... milordzie, po prostu nie czuję się na siłach, żeby radzić panu w takich sprawach.
- Nie mów takich rzeczy, tylko powiedz, czy potrafisz sobie wyobrazić mnie jako żonatego mężczyznę.
Jansen odstawił kieliszek i pochylił się do przodu.
- Milordzie, nie chciałbym przekraczać granic, ale zauważyłem ostatnio... zmianę w pańskim zachowaniu. Ale na pytanie, czy można wyobrazić sobie pana jako człowieka żonatego, musi pan odpowiedzieć sobie sam. I oczywiście wybranka.
St. Aubyn zmarszczył brwi.
- Tchórz.
- To również.
Zegar na podeście wybił pierwszą.
- Idź do łóżka, Jansen. Cholernie mi pomogłeś. -Tak, milordzie. - Kamerdynier poczłapał do drzwi, ale w progu się zatrzymał. - Ośmielę się doradzić, żeby pan zadał sobie pytanie, czy będzie pan szczęśliwszy z żoną czy bez niej. Po wyjściu sługi Saint został w salonie i. jeszcze długo popijał brandy w nikłym, migotliwym blasku świecy. Nie chodziło o małżeństwo z jakąś kobietą, tylko z Evelyn Marie Ruddick. Wolałby mieć ją przy sobie czy widywać jako żonę Clarence'a Alvingtona? Odpowiedź nie była prosta, podobnie jak decyzja, czy zachowywać się przyzwoicie, czy prowadzić tak jak od chwili, gdy skończył siedemnaście lat. A pytanie nie brzmiało, czy byłby szczęśliwy z Evelyn, tylko czy umiałby bez niej żyć.

"Choć twórz człowieczy - tyś mi nie kłamała; Chociaż kobieta - tyś mię nie zdradziła"

Lord Byron, „Strofy do Augusty”

Gdy Evie zobaczyła świeże truskawki na kredensie, od razu się zorientowała, co zamierza Victor. Brat już siedział przy stole, przy śniadaniu złożonym z grzanki z miodem oraz plastra szynki. Obok jego łokcia jak zwykle leżało poranne wydanie Timesa, ale tym razem, o dziwo, nawet nieotwarte.

- Dzień dobry, Evie.

Evelyn nałożyła sobie na talerz kilka truskawek i kromkę świeżego chleba.

- Dzień dobry.

- Mam nadzieję, że przyjęcie było udane? Zważywszy na to, że jej literackie spotkania Victor zawsze

nazywał „kółkiem plotkarskim”, Evelyn tylko utwierdziła się w podejrzeniach. A jeśli chodzi o poprzedni wieczór, nie skarżyła się, choć pamiętała jedynie to, że Saint siedział obok niej, był miły i jednocześnie bardzo niegrzeczny.

- Evie?

Przepędziła z głowy myśli o St. Aubynie. Ale niedaleko.

- O, tak, było miło. Dziękuję.

- O czym rozmawialiście? Evelyn usiadła przy stole.

- Gdzie mama?

- Zaraz zejdzie. Jak truskawki?

Miała ochotę rzucić jedną w brata. Myślał, że jeśli trochę poudaje uprzejmość i troskliwość, siostra nie będzie się kłócić, kiedy od niej zażąda, żeby wyszła za głupiego Clarence Alvingtona. A ona i tak wpadnie w złość, wybiegnie z jadalni, a na koniec zrobi to, czego chce brat, bo zawsze tak było. Cóż, ostatnio nauczyła się kilku nowych sztuczek, i to od wytrawnego gracza. Poza tym miała powód, żeby, choć raz postawić na swoim. A dokładniej mówiąc, pięćdziesiąt trzy powody, w wieku od siedmiu do siedemnastu lat.

- Pyszne. Dziękuję, że je zamówiłeś.

Victor patrzył na nią przez chwilę z podejrziwą miną, po czym wrócił do jedzenia.

- Proszę.

W tym momencie do jadalni weszła matka. Cmoknęła w policzek najpierw syna, potem córkę.

- Dzień dobry, kochani. Tak miło, kiedy wszyscy razem jemy śniadanie. Powinniśmy robić to częściej.

Tylko nie krzycz, przykazała sobie Evie. Cokolwiek powiedzą, nie krzycz.

- Istotnie. Masz do mnie jakąś sprawę, Victorze? Brat wytarł kącik ust serwetką.

- Po pierwsze, chciałem ci podziękować za pomoc w kampanii i w nawiązaniu bardzo obiecujących znajomości.

- Nie ma za co. Wiem. Matka westchnęła.

- Evie, nie bądź niemiła.

- Nie jestem. Przyznaję rację Victorowi. Brat ściągnął brwi.

- Pozwolisz mi dokończyć? Dziękuję. Zrobiłaś również parę złych rzeczy.

Evelyn pokiwała głową. Dobrze wiedziała, o czym mówi Victor.

- Tak, ale St. Aubyn przedstawił cię Wellingtonowi.

271

Langley poruszył się w kącie, a Evie odniosła wrażenie, że dostrzega przelotny uśmiech na jego surowej twarzy. Przynajmniej ktoś był po jej stronie.

- Nie o to chodzi.

- A o co, jeśli mogę zapytać? Wczoraj jedynie omawialiśmy możliwości, w każdym razie tak twierdziłeś.

Brat zmierzył ją wzrokiem znad filiżanki z kawą.

- Chodzi o to, że sojusz z lordem Alvingtonem zapewnia mi dość głosów, żeby znaleźć się w Izbie Gmin. Jak wiesz, od jakiegoś czasu szukam dla ciebie dobrej partii, mężczyzny, który będzie pielęgnował twoje najlepsze cechy i nie stłumi w tobie?.. radości życia. Lubię cię, Evie, i gdyby Clarence Alvington nie spełniał moich warunków, nie upatrzylibym go na twojego męża. I zauważ, że nie próbuję ukrywać, że ten wybór jest korzystny również dla mnie. - Victor wyprostował się na krześle. - Wysłuchaj mnie, zanim zaczniesz krzyczeć.

Evelyn zacisnęła dłonie na kolanach.

- Słucham.

- Co?... No, dobrze.

Victor był zbyt dobrym politykiem, żeby okazać zaskoczenie, lecz Evie znała go lepiej niż inni. Wytrąciła brata z równowagi.

- Pan Alvington napomknął mi kilka razy, że cię uwielbia i że byłabyś idealną wicehrabiną, kiedy przejmie tytuł po ojcu.

- A co myślisz o mojej przyjaźni z lordem St. Aubynem?

Bardziej zuchwałego pytania nie mogła zadać. Brak hamulców w wyrażaniu opinii przez Sainta był ożywczy, ale ona nie cieszyła się taką swobodą, jak on.

- W ogóle o niej nie myślę, a ty powinnaś bardziej dbać o swoją reputację - odparł Victor twardszym tonem. - Nie tylko Clarence i ja musimy zaakceptować wasz związek. Alvingtonowie absolutnie nie mają poczucia humoru, kiedy w grę wchodzi ich dobre imię.

272

Och, doprawdy? Od początku żywiła pewne podejrzenia, ale teraz zrozumiała plan Victora.

- Więc już wszystko ustaliłeś z Alvingtonami? - spytała chłodno.

- I tak musisz wyjść za mąż - wtrąciła matka. - Równie dobrze może to być ktoś użyteczny i nieszkodliwy.

Evie niezupełnie zgadzała się z tą oceną charakteru Clarence'a Alvingtona, ale dyskusję uznała za bezcelową. Już postanowili o jej losie. Poczowała ściskanie w gardle. Teraz musiała zgodzić się na życie, które jej zaplanowali, albo walczyć.

- Dobrze. Victor zamrugął.

- Co powiedziałaś?

Evie wzięła głęboki oddech.

- A kim ja jestem, żeby sprzeciwiać się bratu i matce? Jeśli nie wy macie na względzie moje dobro, to kto?

Brat zmrużył oczy.

- Bądź poważna.

- Jestem bardzo poważna.

- Wyjdiesz za Clarence'a Alvingtona, i koniec.

- Zgoda, ale wołałabym, żeby sam mnie o to poprosił, zamiast tylko złożyć podpis na dokumentach.

- Dobrze. - Victor wstał od stołu. - Ale trzymam cię za słowo, że nie odrzucisz tej partii.

Każda odpowiedź wzbudziłaby w nim podejrzenia, więc Evie tylko skinęła głową. Brat wziął gazetę i wyszedł z jadalni. Ha! Jeśli Alvingtonom tak zależało na pozorach, wiedziała dokładnie, co zrobić. Jeśli nie spełni wysokich wymagań jego rodziny, Clarence nigdy nie poprosi jej o rękę. Wystarczy jedynie skorzystać z kilku lekcji, których udzielił jej Saint. Odrobina niepokory nie zawadzi.

- Jestem z ciebie taka dumna - odezwała się pani Ruddick, sięgając po dłoń córki. - Wiedziałam, że Victor znajdzie ci dobrą partię.

- Tak, będę szczęśliwa, wychodząc za mąż z miłości. - Evie

273

zjadła ostatnią truskawkę i wstała od stołu. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę na spacer z Lucindą i Georgie.

- Rozumiem twój sarkazm, moja droga - rzekła cicho matka. - Radziłam, żebyś kogoś sobie znalazła, zanim twój brat wróci z Indii, ale wołałaś bawić się z przyjaciółkami. Teraz nie masz wyboru.

- Miałabym go, gdybyś dla odmiany poparła mnie, a nie Victora. Nigdy nie pytałaś, czy mam jakieś marzenia, ambicje, pragnienia. Z góry zakładałaś, że nie mam żadnych. Chętnie pomagam bratu, ale nie rozumiem, dlaczego tylko ja muszę się poświęcać.

- Evie...

- Zobaczmy się na herbacie u lady Humphreys, mamó. Wziąwszy kapelusz i szal, ruszyła do drzwi. Sally wyszła

razem z nią. Na ulicy Evie odwróciła się, marszcząc brwi.

- Idę tylko do Lucindy. Nie musisz mi towarzyszyć.
- Pan Ruddick powiedział, że mam z panią wszędzie chodzić - odparła pokojówka z przepraszającym uśmiechem.
- A wyjaśnił, dlaczego?
- Kazał mi tylko na panią uważać i donieść mu, jeśli coś będzie nie w porządku. - Dziewczyna dygnęła lekko, wyraźnie zdenerwowana. - Nigdy tego nie zrobię, panno Ruddick, ale pan by mnie zwolnił, gdyby się dowiedział.
- Więc się nie dowie. Wymyślmy, co masz mu przekazać, żebyś nie wpadła w kłopoty, a on nie nabrał podejrzeń. - Evie poklepała Sally po ramieniu. - I dziękuję.
- Och, nie ma, za co, panno Ruddick. Zupełnie nie wiedziałam, co robić.
W tym momencie zrównał się z nimi jakiś jeździec.
- Widzę, że znowu mam pecha. Niestety nie mogę zaproponować pani i pokojówce podwiezienia.
Evelyn wzięła głęboki oddech i spojrzała na St. Aubyna. W szarym cylindrze nasadzonym zawadiacko na ciemne, kręcone włosy, trzymając się prosto w siodle, wyglądał na

274

prawdziwego, choć trochę birbanckiego, dżentelmena. Czasami mogłaby patrzeć na niego przez cały dzień.
- Dzień dobry - powiedziała lekko zmieszana, gdy sobie uświadomiła, że się na niego gapi.
Markiz zeskoczył z wierzchowca, ujął wodze lewą ręką i ruszył obok niej ulicą.
- Dzień dobry. Coś się stało?
- Nic. Dlaczego pytasz?
- Nie okłamuj mnie, Evelyn. - Saint wyglądał raczej na zatroskanego niż rozgniewanego. - Twoja szczerość wydaje się jedyną pewną rzeczą na tym świecie.
- O, nie miałam pojęcia, że jestem taka ważna - odparła Evie z wymuszonym uśmiechem.
Do licha, musiała obmyślić plan, jak uniknąć małżeństwa z Clarence'em, a Saint tak rozpraszał uwagę, że w jego obecności ledwo pamiętała własne imię.
St. Aubyn wzruszył ramionami.
- Tylko dla ludzi, którzy potrafią docenić takie rzeczy. Powiesz mi, co cię dręczy, czy mam cię zaciągnąć za tamten budynek i odnowić naszą znajomość?
- Cii! - syknęła Evelyn, oglądając się na Sally, która szła parę kroków za nimi.
Markiz nachylił się bliżej.
- Minał prawie tydzień - szepnął jej do ucha. - Z trudem nad sobą panuję.
Evie zrobiło się gorąco.
- Przecież wczoraj trzymałeś mi rękę pod spódnicą - przypomniała ściszym głosem.
- Całe szczęście, że miałem egzemplarz sztuki na kolanach, bo wszyscy zobaczyliby, jak bardzo cię pragnę.
Evelyn się skrzywiła, bo właśnie mijały ich dwie młode damy w kariolce. Wiedziała, że prędzej czy później ktoś zanieśie najświeższą nowinę Victorowi. I dobrze, tyle, że ona jeszcze nie ułożyła planu działania. Nie chciała, żeby brat krzyczał na nią bez dostatecznego powodu.

275

- Przestań mówić takie rzeczy - fuknęła. - Ja... wychodzę za mąż.
St. Aubyn zatrzymał się tak raptownie, że Evie dopiero po kilku krokach zauważyła, że nie ma go przy niej. Kiedy się odwróciła i zobaczyła wyraz jego twarzy, zamarło w niej serce.
- Saint?
- Za Clarence'a Alvingtona? - spytał, przeszywając ją wzrokiem.

- Brat poinformował mnie, że zostanę poproszona o rękę i że mam odpowiedzieć „tak”. Poparcie Alvingtonow zapewni mu miejsce w parlamencie.

Nie powinna tyle mówić. To były jej rodzinne sprawy, lecz z drugiej strony, Saint i tak by się dowiedział.

- I oczywiście się zgodziłaś.

- Jeszcze mnie nie poprosił, ale tak, przyjmę jego oświadczyzny.

- Co za poczucie obowiązku! Twój brat zapewne wyraził ci szczerą wdzięczność?

- Nie bądź cyniczny, Saint. Złapali mnie w pułapkę.

- Traktują cię jak domowe zwierzątko - stwierdził z gniewem St. Aubyn.

- Jak śmiesz? - Evie nagle zachciało się płakać. - Jesteś zły, bo wiesz, że kiedy wyjdę za mąż, już nie będziemy... przyjaciółmi. Odejdź, Saint. Myślałam... Odejdź. Na pewno mi nie pomożesz, krzycząc na mnie za to, że zrobiłam właściwą rzecz.

- Właściwą rzecz?

- Proszę, idź już.

St. Aubyn chciał coś powiedzieć, zapytać, dlaczego się nie sprzeciwiła, ale bał się, że Evelyn go znienawidzi. Jeśli nie pokaże jej innego wyjścia, panna Ruddick nie odrzuci prośby Clarence'a, a tym bardziej nie poślubi kogoś, kto mógłby zniszczyć cenną karierę polityczną jej brata.

- Więc życzę miłego dnia - burknął.

276

Dosiadł Cassiusa i odjechał pełnym galopem.

Gdy sobie uświadomił, że nigdy więcej jej nie dotknie, że wieczorami będzie stał w mroku i obserwował, jak Evelyn tańczy z innymi mężczyznami, a widując ją, zadręczał się myślą, że Clarence Alvington może przyjść do jej łóża, kiedy tylko zechce... Nie, nikt nie potrafiłby znieść takich tortur.

- Do diaska!

W pierwszym odruchu chciał odszukać Clarence'a, wyzwać go na pojedynek i zabić. Zemsta dałaby mu satysfakcję, ale nie zdobyłby w ten sposób Evelyn... i pewnie musiałby uciekać z Anglii, co oznaczałoby, że już nigdy by jej nie zobaczył.

Zbliżając się do celu, zwolnił i zmusił się do logicznego myślenia. Evelyn powiedziała dziwną rzecz: nie, że małżeństwo jest postanowione, ale że się zgodzi, kiedy Alvington poprosi ją o rękę. Nie powzięła sama decyzji o ślubie, tylko została schwyтана w pułapkę. Nie odprawiła go, tylko dała mu do zrozumienia, że nie pomaga jej, stojąc bezczynnie.

Zatrzymał się, zeskoczył z konia i rzucił wodze lokajowi. Evelyn nie kochała tego głupiego fircyka, a w dodatku gdyby go poślubiła, nie mogłaby więcej zajmować się sierocińcem. Narzucało się pytanie: co on powinien zrobić?

Stuk jego butów niósł się po długim korytarzu. Znowu się spóźnił, ale jednak przyszedł. Uznał, że w obecnej sytuacji to najlepszy plan. Victor Ruddick znalazł dla siostry kandydata, który mógł pomóc mu w karierze. Jeśli pojawiłby się lepszy, byłby głupcem i kiepskim politykiem, gdyby go odrzucił.

- Saint, co tu robisz, do diabła? - zapytał szeptem lord Dare, kiedy St. Aubyn wchodził po stopniach na swoje miejsce.

- Wypełniam obowiązek - odparł St. Aubyn, kłaniając się diukowi Wycliffe'owi.

Tak, wystarczy, że sam zostanie tą lepszą partią.

W tym momencie zauważył, że siedzący kilka rzędów niżej hrabia Haskell podnosi się z ławy. Jego twarz przybrała niepokojąco czerwony kolor.

277

- Nie będę tego tolerował! - zagrzemiał. - Jeśli St. Aubyn zostanie, ja wychodzę. Cholera! Saint też wstał.

- Lordzie Haskell, zasiada pan w Izbie od dwudziestu ośmiu lat, poświęca krajowi swoją wiedzę i czas. Dwa tygodnie temu obraziłem pana, dzisiaj przepraszam. Gdybym miał jedną dziesiątą pańskiej mądrości, bardziej nadawałbym się na członka parlamentu.

Wrzawa, która wybuchła po jego słowach, była niemal ogłuszająca, ale Saint na nią nie zważał. Skoro nie potrafił nawet godziny spędzić w towarzystwie parów, nie zasługiwał na nic.

- Oczekuje pan, że uwierzę w pańską szczerą, chłopcze? - zapytał hrabia.

- Nie, milordzie. Proszę, żeby pan przyjął moje przeprosiny. Żałuję swojego zachowania.

Pochylił się, wyciągając rękę do starszego kolegi. To dla Evelyn, pomyślał, kiedy Haskell spiorunował go wzrokiem. Dla niej był gotów na wszystko.

- A jeśli ich nie przyjmę?

- Jutro poproszę o nie znowu.

Hrabia z ciężkim westchnieniem uściskał dłoń St. Aubyna. Obecni zaczęli bić brawo, ale to nie był jeszcze koniec sprawy. Do tej pory niewielu ludzi zdobyło się na to, co zrobił Haskell. Saint stwierdził, że to całkiem miłe uczucie zostać obdarzonym zaufaniem. Teraz musiał jeszcze udowodnić, że na nie zasługuje.

Uklonił się uprzejmie.

- Dziękuję. Jest pan dla mnie bardzo łaskawy. - Uśmiechnął się lekko. - Postaram się, żeby nie pożałował pan swojej wspaniałomyślności.

- Na razie dobrze się pan spisuje - odparł hrabia grzmiącym głosem i usiadł.

- Możemy kontynuować obrady, panowie? - zawołał spiker, bębniąc młotkiem w podium.

- Co w ciebie wstąpiło? - szepnął Dare.

278

- Powiem ci, jak będę wiedział - odparł cicho Saint.

Ale już wiedział. Zaszło mu w ustach, gdy nagle zrozumiał, dlaczego próbuje wszystko naprawić, dlaczego zostanie na całym dzisiejszym posiedzeniu, dlaczego jutro też przyjdzie i pojutrze, i na każdą sesję do końca sezonu. Zrobi to, co konieczne, żeby poślubić Evelyn Marie Ruddick. Kochał ją. Michael Edward Halboro, człowiek bez serca, kochał prawdziwą damę. I nie cofnie się przed niczym, żeby ją zdobyć.

Uśmiechnął się do siebie. Miał nadzieję, że Evelyn doceni jego wysiłki. Dla niej zostanie dżentelmenem. Najzabawniejsze, że już po pięciu minutach przemiany cieszył się z niej jak dziecko.

- Udało ci się? - zapytała Evelyn, spacerując do okna i z powrotem.

- Tak, ale wierz mi, że nie było to łatwe. Ojciec zawsze jest zbyt dociekliwy, a przekonanie go, że powinien zaprosić markiza St. Aubyna na piknik... - Lucinda z westchnieniem odchyliła się na oparcie kanapy. - Pewnie nadal zadaje sobie pytania, a kiedy będę przechodzić obok jego gabinetu, wezwie mnie, żebym udzieliła mu odpowiedzi.

- Gdybym mogła, wyjaśniłabym ci, o co chodzi.

Przed bramą Barrett House przejechał jeździec, a jej zaparło dech, póki nie spostrzegła, że to nie Saint. Dlaczego miałby ją śledzić, skoro mu powiedziała, żeby zostawił ją w spokoju.

- Niczego nie musisz wyjaśniać. Jesteś moją przyjaciółką. - Lucinda wstała i podeszła do okna. - Domyślam się, że zamierzasz udzielić swojemu uczniowi kolejnej lekcji. Uważam jednak, że bardzo ryzykujesz. Jeśli twój zdeterminowany brat uzna, że próbujesz rzucać mu kłody pod nogi, nie wiadomo, co zrobi.

- Już zrobił.

- Co? - Lucinda wzięła ją za rękę i obróciła twarzą do siebie. - Musisz mi powiedzieć.

279

- Zupełnie nie obchodzi go, co czuję albo myślę. - Po policzku Evie stoczyła się łza. - Nie wyobrażam sobie nic gorszego jak poślubienie Clarence'a Alvingtona. A ty?

Lucinda przez chwilę patrzyła na nią bez słowa, a następnie podeszła do stolika z trunkami. Nalała dwa kieliszki madery, wróciła do okna i jeden podała przyjaciółce.

- Clarence Alvington? - wykrztusiła w końcu. - Ze względu na posiadłości jego ojca w West Sussex, jak przypuszczam. Na litość boską! Czy twój brat nie widzi, że wy w ogóle do siebie nie pasujecie?

Evie wypłała duży łyk madery, żałując, że to nie mocniejszy trunek.

- Clarence to idiota, a Victor mnie również uważa za idiotkę, więc jeśli o niego chodzi, idealna z nas para. - Westchnęła. - To niezupełnie prawda. Alvington jest tak bezbarwny i nieszkodliwy, że chyba ledwo bym zauważyła, że za niego wyszłam.

- To straszne. Co zamierzasz?

- Usilnie myślę, ale decyzja nie będzie łatwa. Naprawdę nie chciałabym zaprzepaścić szans Victora na miejsce w parlamencie. - Evie znowu wydała z siebie ciężkie westchnienie. - Czy to głupie?

Lucinda ją uściskała.

- Jesteś dobrą siostrą. Mam nadzieję, że Victor w końcu to zrozumie. U przyszłego szwagra raczej nie powinno się szukać bezbarwności jako jednej z zalet.

Przyjaciółki są cudowne!

- Dziękuję. Tymczasem jednak chyba skorzystam z lekcji St. Aubyna. Może nie zdołałam zrobić z niego dżentelmena, ale przynajmniej on nauczył mnie, jak wywoływać skandale.

- Nie możesz się skompromitować, Evie. Nawet po to, żeby uciec przed Clarence'em Alvingtonem.

- Nie, ale mogę posunąć się za daleko. Michael prowadzi... bardzo ekscytujące życie. Za bardzo jak dla pana Alvingtona.

280

Lucinda wróciła na kanapę.

- Michael? - powtórzyła.

Evelyn się zarumieniła. Do licha! Ukrywanie tego, co czuła do Santa, było trudne. Nie powinna zdradzać się w taki dziecinny sposób.

- St. Aubyn. Prosił... czasami mówię mu...

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Georgiana, jeszcze w nakryciu głowy.

- Evie, dzięki Bogu!

- Co się stało?

- Udało ci się - powiedziała wicehrabina, rzucając kapelusz na krzesło. - To prawdziwy cud. Szukałam cię w Ruddick House, ale Langley powiedział, że jesteś tutaj.

Na widok przyjaciółki w dobrym humorze Evelyn zrobiło się lżej na sercu. Przynajmniej ktoś był szczęśliwy.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Georgie.

- O St. Aubynie. Tristan właśnie wrócił z porannej sesji i opowiedział mi niezwykłą historię!

Na wzmiankę o Saincie Evie zakręciło się w głowie. Usiadła na parapecie i pociągnęła z kieliszka solidny łyk madery.

- Co znowu St. Aubyn nabroił?

- Zjawił się dzisiaj w parlamencie i przeprosił lorda Haskella za obraźliwą uwagę, którą poprzednim razem rzucił pod jego adresem.

Evie uniosła brew.

- Przeprosił kogoś?

- Jak dżentelmen. Tristan mówi, że St. Aubyn został do końca posiedzenia i na ochotnika zgłosił się do komitetu opracowującego reformę w sprawie pracy dzieci.

Obie przyjaciółki spojrzały na nią wyczekująco.

- Coś podobnego! - wykrztusiła Evelyn po dłuższej chwili. Na nic więcej się nie zdobyła. Z całego serca pragnęła

pobiec do Sainta, spytać go, co knuje, a potem uściskać i wycałować. Jednak czegoś się nauczył i mógł teraz zrobić

281

dużo dobrego dla innych, nawet, jeśli ich sprawie ta cudowna przemiana nie pomoże. Evelyn otrząsnęła się z zamyślenia i usłyszała słowa Lucindy.

- ... żeby wyszła za Clarence'a Alvingtona.

- Nie! Czy on nie widzi, że ten dandys jest zupełnie dla ciebie nieodpowiedni? - spytała Georgie, podchodząc do okna.

- Pewnie nie. Najważniejsze, że jest odpowiedni dla niego. Moje małżeństwo z Alvingtonem zapewnia Victorowi miejsce w Izbie Gmin.

- Ha! Byłoby lepiej, gdyby mu się udało ze względu na własne zasługi.

Evie się uśmiechnęła.

- Szkoda, że nie przyszedł mi do głowy taki argument.

- Możesz się nim posłużyć w dowolnej chwili.

Evelyn najchętniej pożyczylaby od przyjaciółki, co innego. Georgiana miała męża, który ją uwielbiał, wyrozumiałą ciotkę, bardzo wpływowego kuzyna, zdolnego ochronić rodzinę przed całym światem, oraz zamiłowanie do spraw, które nie przystoją kobiecie.

Ona natomiast miała łotra, który ją lubił, a jednocześnie chciał skompromitować, rodzinę, która przesadnie dbała o opinię innych i stawiała własne pragnienia ponad jej szczęście, oraz mrzonkę, żeby poprowadzić sierociniec dla biednych, ale zdolnych dzieci.

Z drugiej strony, dzięki Saintowi już dużo osiągnęła. A gdy mu udowodniła, że nie jest trzpiotką szukającą rozrywki, jego pomoc i rady, choć niebezinteresowne, okazały się bardzo cenne.

- I co zrobisz? - spytała Georgiana.

- Zastosuje niektóre metody St. Aubyna - odpowiedziała za nią Lucinda. - Ma nadzieję, że odstraszy Clarence'a, a przynajmniej jego rodziców.

- To bardzo ryzykowne, Evie - stwierdziła wicehrabina z zasepioną miną. - Wierz mi.

- Wierzę. Prawdę mówiąc... - Evelyn wzięła głęboki od-

282

dech i szybko odmówiła w duchu modlitwę. - Chyba będę potrzebować waszej pomocy.

- W wywołaniu paru skandali?

Obie przyjaciółki patrzyły na nią sceptycznie. Zapewne wąpiły w jej determinację. Cóż, ona jeszcze im pokaże. Miała bardzo dobrego nauczyciela.

- Nie, w udawaniu, że nie dzieje się nic skandalicznego. - Evie zaśmiała się z przymusem. - Na litość boską, jeśli zaczniecie potępiać mnie za to, że próbuję działać, moje wysiłki pójdą na marne.

Lucinda westchnęła.

- Doradziłabym ci po prostu porozmawiać z bratem i wytłumaczyć mu, jak bardzo unieszczęśliwi cię małżeństwo z Clarence'em Alvingtonem, ale widziałam, jak starałaś się go przekonywać. Możesz być spokojna, że nie doszukam się niczego skandalicznego w twoim postępowaniu.

- Ja też - obiecała Georgie. - Choć wolałabym, żebyś uczciła sukces, który odniosłaś z St. Aubynem, zamiast martwić się, co cię czeka. - Przeniosła wzrok na Lucinę. - Chciałabym jednak zauważyć, że jeśli St. Aubyn naprawdę stał się dżentelmenem, ty, moja droga, jesteś jedyną z nas, która jeszcze nikomu nie udzieliła lekcji.

- Hm. St. Aubyn był miły tylko przez pięć minut. Nie ogłaszałam jeszcze całkowitego zwycięstwa. Poza tym chodziło nam o uczenie mężczyzn, jak traktować kobiety. Ostatnio, kiedy sprawdzałam, w Izbie Lordów nie było żadnych kobiet. Od czasów królowej Elżbiety. Podczas gdy przyjaciółki zaczęły się sprzeczać o to, czy Lucinda wypełniła swoją część umowy, Evelyn usiłowała zapanować nad narastającym podnieceniem. Jutro zobaczy się z Saintem i dotrzyma mu towarzystwa, tak jak obiecała. Jutro udzieli sobie pozwolenia na to, żeby źle się zachowywać. Wprawdzie sporo czasu poświęciła na zrobienie z niego dżentelmena, ale w głębi duszy podobało się jej, że markiz St. Aubyn jest łajdakiem... jej łajdakiem.

23

"Gdy stąpa, piękna, jakże przypomina Gwiazdziste niebo bez śladu obłoku: Ciemność i jasność - każda z nich zaklina W nią swój osobny czar, i jest w jej oku."

Lord Byron, „Gdy stąpa, piękna”

Saint włączył się w długi ciąg powozów zmierzających w stronę tradycyjnego miejsca piknikowego generała Barretta. Musiał przyznać, że łąka na łagodnym stoku wzgórza górującego nad Londynem jest bardzo malownicza. Ale kiedy odwzajemnił zdumione spojrzenia lorda i lady Milton uprzejmym ukłonem, stwierdził, że czuje się jak głupiec.

Prawie nikt nie zapraszał go na obiady na świeżym powietrzu, a jeśli tak, St. Aubyn nie wysyłał gospodarzom odpowiedzi. Nie zdarzyło się również, żeby przybył na czas, w dodatku z postanowieniem, żeby zostać do końca.

Kiedy zatrzymał faeton i wysiadł, ocenił, że gości jest około pięćdziesięciu, nie licząc stajennych, lokajów, stangretów i pokojówek. Właściwie trudno było określić, czy zamierzano tutaj się bawić, czy pracować.

- Przyjechałeś.

Na dźwięk głosu Evelyn Saint natychmiast zapomniał o dyskomforcie.

- Przecież udało ci się zdobyć zaproszenie.

284

- Myślałam, że nadal jesteś na mnie zły.

- Mimo wszystko dotrzymałaś swojej części umowy. Jej szare oczy błyszczały, muślinowa suknia pasowała

kolorem do licznych żonkili, od których roilo się w trawie, a na widok uśmiechu Saintowi zaparło dech w piersiach.

- O ile sobie przypominam, miałam do wyboru: zdobyć zaproszenie albo rozebrać się do naga - powiedziała Evie cicho.

St. Aubyn ochłonął z oszołomienia.

- Co za śmiałość! - skomentował, podając jej ramię. - Byłbym szczęśliwy, mogąc ci pomóc w rozbieraniu.

Gdy oblała się rumieńcem, nagle odzyskał pewność siebie. Evelyn, o dziwo, wzięła go pod rękę.

- Może najpierw przedstawię cię paru osobom. Propozycja była nieoczekiwana, ale całkiem miła.

- Pójdziemy pod ramię? - zapytał Saint, unosząc brew. - Nie żebym się skarżył, ale odniosłem wrażenie, że dotykamy się tylko wtedy, kiedy nikt nas nie widzi.

- Jestem ci winna zapłatę. Powiedziałeś, że mam dzisiaj stać u twojego boku, więc stoję.

Wyjaśniła się jej uległość. Evelyn po prostu spełniała obietnicę. Gdyby wcześniej dała słowo, poszłaby z samym diabłem.

- Zatem chodźmy.

Gdy ruszyli w stronę największej grupy gości, Saint dostrzegł wśród nich Dare'a z żoną. Nagle spochmurniał. Kilka razy drwił z wicehrabiego, że został udomowiony, i oto trafił na to samo przyjęcie. Zresztą nie po raz pierwszy.

Nie! On nie został udomowiony. Zjawił się tutaj, bo chciał zobaczyć Evelyn, a poza tym mogło być ciekawie. Piknik dla najbardziej wpływowych i szanowanych osób z towarzystwa, na który on też dostał zaproszenie.

- Generale, poznał pan już lorda St. Aubyna? - rzekła Evelyn. - Milordzie, to pański gospodarz, generał Augustus Barrett.

Wysoki dżentelmen o stalowoszarych oczach i takich samych włosach ukłonił się po wojskowemu.

285

- St. Aubyn. Moja Lucinda zasugerowała, żebym pana zaprosił. Proszę się dobrze bawić. - Barrett zerknął na Evelyn i wrócił spojrzeniem do Sainta. - Tylko nie za wesoło.

- Dziękuję, sir.

Odprowadzając wzrokiem generała, który ruszył do następnej grupki gości, St. Aubyn zrozumiał, że gospodarz nieświadomie udzielił mu dobrej rady. Jeśli chciał pokonać Clarence'a Alvingtona i zdobyć Evelyn, musiał stać się bardziej powściągliwy. Zwycięstwo przyniesie mu nudna rezerwa, a nie zastosowanie jego zwykłej metody robienia tego, na co ma ochotę, i do diabła z konsekwencjami. Wiedział, że to będzie trudne, ale mógł uznać, że przynajmniej czeka go wyzwanie.

- Nie było tak strasznie, prawda? - zapytała Evelyn, mocniej ściskając go za ramię.

- Chyba nie. - Spojrzał na jej dłoń. - A tak przy okazji, co robisz?

- Nie rozumiem. Mówiłam ci, że obiecałam...

- Przez miesiąc znajomości wciąż mi powtarzałaś, Evelyn Marie, że chcesz mieć ze mną jak najmniej do czynienia. Co się stało? Czyżbyś postanowiła kontynuować naszą... przyjaźń po ślubie z Clarence'em Alvingtonem?

W obecności innych ludzi będzie zachowywał się poprawnie. Nie widział natomiast powodu, żeby przy niej też udawać.

- Oczywiście, że nie! - obruszyła się Evelyn.

W tym momencie Saint uświadomił sobie, że nie może liczyć na więcej niż zostanie kochankiem młodej pani Alvington.

- Byłoby tak źle? - spytał cicho. - Nikt by nie wiedział. Tylko ty i ja.

- Przestań! Nawet nie proponuj takich rzeczy. Nie zamierzam zdradzać męża.

- A jeśli nie chcę cię stracić?

Evelyn zwolniła i spojrzała mu w oczy.

- Więc zrób coś.

. Zabrała rękę i ruszyła w stronę Dare'ów.

Saint patrzył za nią, zastanawiając się, co próbowała mu powiedzieć. Że powinien oświadczyć się o jej rękę? Był gotowy to zrobić, ale Evelyn musiała wiedzieć równie dobrze, jak on, że Victor Ruddick nigdy nie dopuści do jej małżeństwa z człowiekiem o jego reputacji.

Mógł oczywiście ją porwać. Myśl, że trzymałby ją uwięzioną w St. Aubyn Park, odzianą tylko w jedwabny szlafrok, była bardzo kusząca. Evelyn też pewnie przez jakiś czas cieszyłaby się tą sytuacją, póki nie zrozumiałaby, że jest skompromitowana.

Saint zauważył, że wokół niego zrobiło się pusto. Tak samo działo się na większości wystawnych przyjęć, na których się zjawiał, ale dzisiaj nie powinno. Właśnie, dlatego chciał, żeby Evelyn nie opuszczała jego boku. Ludzie ją lubili. St. Aubyn wzięł głęboki oddech i ruszył jej śladem. Bądź grzeczny, upomniał się surowo. Niezależnie od wszelkich pokus.

- Skąd ten uśmiech? - zapytała Georgiana, całując Evie w policzek.

- Taki ładny dzień - odparła Evelyn lekkim tonem; i miała spędzić go z Saintem.

Dare ujął jej dłoń.

- Mimo słońca i ptaków ja bym się nie uśmiechał, gdyby zmuszono mnie do małżeństwa z Alvingtonem.

Georgie trąciła męża łokciem. Niezbyt delikatnie.

- Auu! Z drugiej strony, jestem szczęśliwie żonaty, więc nie powinienem mówić takich rzeczy.

- Możesz mówić, bo zgadzam się z tobą.

Patrząc, jak przyjaciółka ściska dłoń męża i wspiera się na jego ramieniu, Evelyn poczuła ukłucie zazdrości. Początki ich znajomości nie były łatwe, ale teraz kochali się do szaleństwa. Czasami, gdy Evie widziała ich razem, ogarniało ją wzruszenie. Nagle wyobraziła sobie, jak stoi obok Sainta, ale szybko odpędziła ten obraz.

287

- Jeszcze nie wyszłaś za mąż - powiedziała Georgiana. -Może twój brat jeszcze odzyska rozsądek.

- Zawsze możemy go porwać i nakłonić do zmiany zdania - odezwał się za nią St. Aubyn.

Evelyn zrobiło się gorąco.

- Wątpię, czy coś do niego dotrze. Saint wzruszył ramionami.

- Czasami ludzie potrafią zaskakiwać.

Evie naszła taka sama nieprzeparta ochota jak u lady Bethson, żeby go dotknąć, wodzić palcami po jego nagiej skórze. Zadrżała. I przypomniała sobie, że postanowiła być dzisiaj niegrzeczna.

- Istotnie - przyznała, obejmując jego ramię.

Saint zachował kamienną twarz, ale jego mięśnie napięły się pod jej palcami.

- Więc porwanie nie jest złym wyjściem - stwierdził, ale jego głos wcale nie brzmiał pewnie.

Dare odchrząknął.

- Chciałem ci powiedzieć, Saint, że zasłużyłeś wczoraj na szacunek Haskella... i paru innych osób.

- Mogłem albo przeprosić, albo wszcząć awanturę, a miałem na sobie nowy surdut.

Evie zerknęła na jego szczupłą, przystojną twarz. Sądząc po jego minie, Saint nie wiedział, jak potraktować komplement. Jego reakcja wyglądała na szczerą. Na Boga, była z niego naprawdę dumna. I tak bardzo chciała go pocałować, że z trudem się hamowała.

- Evelyn? -Tak?

- Uważaj, bo stracę władzę w ręce.
- Och. - Evie puściła jego ramię.
- Co pan sądzi o pikniku generała Barretta? - zapytała wesoło Georgiana.
- Cieszę się, że panna Ruddick postarała się o zaproszenie dla mnie.

288

W tym momencie Evelyn zauważyła lorda i lady Huntleyów, wędrujących od jednej grupki gości do następnej. Hrabina była kuzynką Clarence'a, znaną z lojalności wobec rodziny. Victora ani Alvingtonów nie było na pikniku, więc w tych dwojgu Evie dostrzegła swoją szansę. Pociągnęła markiza za rękę.

- Chodźmy nabierać kwiatów, milordzie - powiedziała głośno. - Goście zawsze przynoszą bukiety do ozdoby stołów.

Sądząc po wyrazie jego twarzy, Saint uznał, że postradała rozum, ale skinął głową.

- Oczywiście, panno Ruddick. Dołączą do nas państwo? Łatwiej byłoby ruszyć z miejsca Tower niż markiza St.

Aubyna, pomyślała Evelyn.

- Wszyscy idą. Pospieszmy się, zanim wybierają najlepsze kwiaty.

Dare też najwyraźniej miał wątpliwości, co do stanu jej umysłu.

- Może Saint wolałby zostać...

- Idźcie we dwoje - przerwała mu żona. - Spójrzcie, nawet pani Mullen zbiera żonkile z generałem. Nie potrzebujecie nudnego małżeństwa jako przyzwoitek.

Wicehrabia uniósł brew, patrząc na żonę.

- Nudnego?

Saint chyba nie miał ochoty słuchać nieuniknionej kłótni, bo tak wyrwał do przodu, że Evie omal nie upadła. Na szczęście zdążył ją przytrzymać.

- Mógłbyś mnie ostrzec - syknęła. Jego szare oczy zabłyśły.

- Wybacz, duszko. -Ha!

Trzymając go jedną ręką za ramię, a drugą unosząc spódnicę, Evelyn poprowadziła Sainta w dół zbocza.

- A przy okazji, jesteś szalona? - zapytał St. Aubyn niewinnym tonem.

289

- Dlatego, że chcę zbierać kwiaty?

- Dlatego, że nie boisz się ze mną pokazywać. Domagając się, żebyś mi towarzyszyła, nie miałem na myśli wyprawy w ustronne miejsce. Gdyby twój brat się dowiedział...

- Mniejsza o mojego brata - przerwała mu Evie z udawaną większą pewnością siebie. Balansowała nad przepaścią; jeden nieostrożny krok mógł się skończyć upadkiem. - Ciesz się chwilą, Michaelu.

- Gdyby chodziło mi o zabawę, znajdowałibyśmy się teraz oboje w mojej sypialni. Tę sytuację jedynie toleruję.

Evie zwolniła. Może to ona była dzisiaj podła i samolubna. Oczywiście, że Saint nie mógł dobrze się tutaj czuć, skoro wszyscy krzywo na niego patrzyli.

- Żałujesz, że przyjechałeś?

St. Aubyn uśmiechnął się lekko.

- Gdybym nie przyjechał, chodziłbym teraz po swoim pokoju bilardowym jak lew po klatce.

- Dlaczego?

- A jak myślisz? Bo ty jesteś tutaj.

- Ja... nie przypuszczałam... - Evie obląła się rumieńcem.

- Nie spodziewałaś się, że to powiem - dokończył St. Aubyn, wytrzymując jej wzrok. - Dlaczego miałbym ukrywać własne uczucia?

- Saint...

- Michael.

Gdyby potem udała zmieszana, mogłaby go pocałować i nie skompromitować się całkowicie. Byłoby warto, choćby po to, żeby poczuć jego usta na swoich, przekonać się, że on pragnie jej tak samo jak ona jego. Tylko że...

- Zobacz, stokrotki.

Saint, który zwykle poruszał się z gracją, teraz niemal jej się wyrwał, odwrócił gwałtownie i ruszył w stronę małego potoku. Evie patrzyła za nim, oddychając szybko. Coś było nie w porządku. Chciała, żeby ją pocałował, a on tego nie zrobił. Uciekł...

290

- Ładne, prawda? - zawołał, wrywając pęk stokrotek. Evie przygryzła policzek, żeby się nie roześmiać. Markiz był wyraźnie zdenerwowany.

- Tylko nie z korzeniami! - krzyknęła.

St. Aubyn spojrział na wiecheć, który ścisnął w garści, ukłęcił korzonki i wręczył jej kwiaty.

- Bardzo ładne - powiedziała Evelyn. - Nie masz noża?

- Mam. - Saint schylił się i wyjął z buta wąskie, dziewięciociałowe ostrze.

Evie przełknęła ślinę.

- Czy ty... - Podniosła wzrok na jego rozbawioną twarz. - W sierocińcu też go miałaś?

- A jeśli tak?

- Dziękuję, że go nie użyłeś.

Saint zacisnął usta i spojrział w dal, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Nie miałem go przy sobie. I cieszę się z tego. - Ukucnął, ściął kilka stokrotek i podał je Evie.

- Myślę, że moje życie wyglądałoby teraz inaczej, gdybym był wtedy uzbrojony.

- Więc... jesteś zadowolony, że cię porwałam i przez tydzień trzymałam w łańcuchach w piwnicy sierocińca.

Na twarzy St. Aubyna pojawił się łagodny uśmiech, jakiego Evelyn nigdy wcześniej u niego nie widziała. Serce w niej załomotało.

- W końcu zrozumiałem, dlaczego nazywają to cholerne miejsce Ufnym Sercem. Ktoś przewidział, że tam się poznamy, Evelyn Marie.

Och!

- Michaelu, muszę natychmiast cię pocałować.

Saint uśmiechnął się szerzej, w jego oczach pojawił się figlarny błysk.

- Całowanie to jedynie wstęp do tego, co chciałem z tobą robić. Ale nie obawiaj się, nie będę cię napastował.

Evelyn zmierzyła go wzrokiem.

- Dlaczego?

291

St. Aubyn musnął dłonią jej policzek.

- Bo bardzo się staram dobrze zachowywać.

- Ale ja nie chcę być grzeczna - oświadczyła Evie, drżąc pod jego lekkim dotykiem.

- Tarzanie się w trawie byłoby bardzo przyjemne, ale ktoś mógłby nas zobaczyć - rzekł Saint, podając jej ramię. - Poza tym zależy mi na czymś więcej niż na chwilowej rozrywce, dlatego będę grzeczny, choć to bardzo męczące.

Evelyn na chwilę zaniemówiła. Saint... Michael zmienił się nie do poznania. I to najwyraźniej z jej powodu.

- Czasami jesteś bardzo miły - wyszeptwała.

Jeszcze nie była gotowa powiedzieć sobie, a tym bardziej jemu, że nie ma dla nich nadziei. Nie dzisiaj.

Gdy głosy oddaliły się i ucichły, lady Huntley wyjrzała z zarośli, w których razem z mężem znalazła schronienie. Chwała Bogu! Gdyby nie uznała, że bazie będą pięknie wyglądały na środku stołu, prawda za późno wyszłyby na jaw.

- Słyszałeś? - szepnęła, trącąc męża łokciem.

- Wygląda na to, że St. Aubyn ugania się za tą Ruddick -odparł Huntley, wstając z mokrej trawy i otrzepując spodnie.

- Och, jest dużo gorzej. Myślę, że już ją dopadł. W dodatku ktoś został porwany, i Bóg wie, co jeszcze. Musimy poinformować Alvingtona.

- Alvingtona? Dlaczego?

- Bo właśnie tę dziewczynę chce poślubić Clarence, na litość boską! Nigdy nie wiesz, co się dzieje.

- Staram się, moja droga.

Evie doszła później do wniosku, że powinna była przewidzieć zasadzkę. Ale na najnudniejszym w tym roku przyjęciu Victora bardziej skupiała się na tym, żeby nie zasnąć, niż na wypatrywaniu pułapek. Po cudownym dniu sztywna atmosfera panująca w czasie kolacji wyjątkowo ją męczyła,

292

a jednocześnie pozwalała sobie uświadomić, jakie to szczęście, że w jej życiu pojawił się Michael Edward Halboro.

Wszyscy na nią patrzyli. Przynajmniej Evelyn się wydawało, że zwracają na nią więcej uwagi niż zwykle, lecz ignorowała, wścibskie spojrzenia. Siedzący naprzeciwko Clarence kilka razy trącił butem jej nogę, ale osiągnął tylko tyle, że Evie wbiła wzrok w talerz z pieczonym bażantem, a potem opuściła jadalnię najszybciej, jak mogła. Uznała, bowiem, że póki Alvington się nie oświadczy, wyniosła obojętność i zachowywanie się w nieco skandaliczny sposób będzie najlepszym wyjściem.

- Usłyszałam dzisiaj bardzo dziwną rzecz - oznajmiła lady Alvington pośród szczękania sreber.

W tym momencie lady Houton spojrziała na krewniaczkę, marszcząc brwi. Serce Evelyn przyspieszyło. Zaraz miała się dowiedzieć, czy Huntleyowie donieśli, że cały dzień spędziła z St. Aubynem, najczęściej trzymając go pod ramię, a raz nawet zdjęła biedronkę z jego włosów. Zaś Saint, ten łotr i hulaka, roześmiał się i zdmuchnął ją z ręki panny Ruddick.

- Co pani słyszała, milady? - zainteresował się Victor.

- Waham się przed rzucaniem podejrzeń na innych, zwłaszcza, że sprawa dotyczy bezpośrednio kogoś obecnego przy tym stole.

- Więc musi pani nam powiedzieć - stwierdziła Genevieve Ruddick.

Evie była ciekawa, czy mówią z teatralną przesadą ze względu na nią, czy zawsze w ten sposób ratują się przed zaśnięciem z nudów. Ale tak naprawdę niewiele ją obchodzili, szczególnie od chwili, gdy odkryła, ile jest w życiu ważniejszych rzeczy.

- Dobrze. - Lady Alvington pochyliła się do przodu jak spiskowiec, ale nie zadała sobie trudu ściszenia głosu. Płotki nie sprawiały aż takiej radości, kiedy służba nie mogła ich podsłuchać i przekazać dalej. - Podobno markiz St. Au-

293

byn był zamieszany w jakieś porwanie w sierocińcu, który nadzoruje. To, dlatego zniknął na tydzień.

Evelyn zbladła. Walcząc z paniką, wzięła kilka głębokich oddechów, żeby nie zemdlec przy stole. O, nie! Przecież Saint nikomu by nie powiedział. Sam. obiecał, że dochowa tajemnicy.

Teraz wszyscy patrzyli na nią i nikt nie wyglądał na zaskoczonego. Tylko na twarzy jej ciotki malowała się odrobina współczucia. Co robić? Skłamać? Nie mogła. Saint wypadłby jeszcze gorzej w oczach obecnych, a ona by tego nie zniosła.

- Wiem, co nieco - wykrztusiła. - I proszę mi wierzyć, że cała ta historia brzmi gorzej, niż było w rzeczywistości. - Zaśmiała się z przymusem, jednocześnie sięgając po kieliszek madery. - Od kogo pani ją usłyszała, milady?

Victor rzucił widelec na talerz z taką siłą, że omal nie stłukł delikatnej porcelany.

- Z twoich ust, Evie.

- Co...

- Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy lord Alvington przyszedł do mnie po południu ze swoim kuzynostwem, moja droga siostró. Lord i lady Huntley przypadkiem usłyszeli, jak na pikniku generała Barretta mówiłaś do St. Aubyna... pewne rzeczy, między innymi to, że chcesz go pocałować. Tego... łotra! Użyłbym mocniejszego określenia, ale w naszym gronie są damy.

- Mogę wyjaśnić? - zapytała Evie, choć nie miała pojęcia, co powiedzieć oprócz prawdy... albo przynajmniej takiej jej części, jaką brat był w stanie znieść.

- Nie, nie możesz. Myślałaś, że możesz zachowywać się, jak chcesz? Że będziesz zadawać się z tym... łotrem, a ja nie zareaguję? Wypytałem naszą ciotkę o twoje nieobecności na herbatkach, a ona przyznała, że traciłaś czas na te cholerne sieroty, wybaczenie język, drogie panie. Na przytułek Ufne Serce, ten sam, w którego radzie nadzorczej zasiada St. Aubyn!

Evelyn spojrzała na ciotkę.

294

- Powiedziałaś mu? - zapytała spokojnym głosem, który ją samą zaskoczył.

- Wybacz, Evie - rzekła markiza. - Twój brat i tak się domyślił. Nie miałam wyboru.

- Chwała Bogu, że Huntleyowie poszli do lorda Alvingtona, a nie do plotkarskich gazet - ciągnął Victor. - I chwała Bogu, że mamy dostateczne środki, by zapobiec nieodwracalnym szkodom.

Evie na chwilę zamknęła oczy. Marzyła o tym, żeby wszyscy już sobie poszli. Chciała porozmawiać z Saintem. On wiedziałby, co robić.

-, Co zamierzasz? - spytała. Clarence zakaszłał nerwowo.

- Po rozmowie z pani bratem i przyrzeczeniu przez niego bardzo hojnego posagu zgodziłem się wziąć panią za żonę.

Serce Evelyn zatrzymało się na chwilę. Wiedziała, że coś się szykuje, ale kiedy usłyszała...

- „Zgodził się” pan wziąć mnie za żonę? - powtórzyła, patrząc mu w twarz.

- Tak - wtrącił się Victor. - Niewiele osób wie o tej całej historii, a zapowiedź ślubu powstrzyma komentarze odnośnie do słabości twojego charakteru.

- Ale ja się nie zgadzam - oświadczyła Evie. Dość tego! Brat potrzebował aż sześciu osób, żeby ją zaatakować, ale ona poradzi sobie sama. Przynajmniej tak postanowiła. - Będę krzyzczyć i bronić się, aż w końcu ludzie przestaną podziwiać twoje talenty polityczne i zaczną szeptać, że jesteś tyranem, który wykorzystuje siostrę.

Genevieve Ruddick gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

- Evie!

- Będą raczej podziwiać moją siłę i cierpliwość - rzekł Victor. - Widać zbyt długo tolerowałem twój egoizm i kapryśność. Idź do swojego pokoju i nie wychodź, póki się nie opamiętasz. Żadnych więcej sierot, żadnych zakupów z płochymi przyjaciółkami, żadnych rozmów z St. Aubynem.

295

Evelyn odłożyła serwetkę na stół i wstała.

- Nie wiem, co ci powiedziano, ale pamiętaj, że nie znasz mojej wersji. Mogłeś mnie zapytać, Victorze, zanim upokorzyłeś w obecności rodziny i przyjaciół. Będiesz świetnym politykiem, ale byłbyś lepszym bratem, gdybyś mnie wysłuchał. Dobranoc.

Z godnością opuściła jadalnię i udała się do swojego pokoju. Oparła się o drzwi i przez długą chwilę starała się uspokoić oddech. Szybko jednak uświadomiła sobie, że nie tyle jest zdenerwowana, co wściekła. Przekręciła klucz. Nie chciała, żeby ktoś inny zamknął ją od zewnątrz. W ten sposób przynajmniej miała wrażenie, że panuje nad sytuacją... i własnym życiem.

I rzeczywiście nawet Victor nie był w stanie zmusić jej do niechcianego małżeństwa. Oczywiście mógł ją za karę wysłać do rodowej posiadłości w West Sussex i odmówić zgody na poślubienie innego mężczyzny. Mógł również wstrzymać jej pensję pod pretekstem, że nie wypełniła obowiązków wobec rodziny.

Najbardziej jednak Evie niepokoiła się o sieroty. Wiedziała, że Saint nie wycofa się z obietnicy przeniesienia ich do nowego domu, ale ona złamałaby dane im słowo. Dzieci uznałyby, że je porzuciła, tak jak wszyscy inni w ich życiu.

- Nie, nie, nie - powtarzała, chodząc od drzwi do okna i z powrotem.

Gdyby sześć miesięcy temu Victor kazał jej poślubić Clarence'a Alvingtona, płakałaby i protestowała, ale w końcu by ustąpiła.

Teraz było inaczej. Od tamtej pory się zmieniła. Zaprzyjaźniła się z sierotami i zrozumiała, że może poprawić ich życie. Odwiedziła inne przytułki i zobaczyła, ile jest jeszcze do zrobienia. Przekonała się, jak jest w ramionach mężczyzny i czym jest namiętność.

Otworzyła okno i wyjrzała. Zobaczyła jedynie gładki mur, a w dole ogród. Do licha! W romantycznych histo-

296

riach zawsze była jakaś rynna albo krata na pnące róże, pomocne w ucieczce... albo rendez-vous o północy. W ciemności nikt nie czekał, żeby podstawić jej drabinę.

Usiadła w fotelu przy oknie. Najchętniej poszukałaby St. Aubyna i przekonała go, żeby ją porwał albo, chociaż ukrył do czasu, aż ona coś wymyśli. Jednak Saint, mimo że lubił ryzyko, nienawidził zobowiązań i komplikacji. Gdyby zobaczył ją w drzwiach, sam uciekłby gdzie pieprz rośnie.

Cóż, jeśli jej życie ma stać się koszmarem, przynajmniej pozostaną jej fantazje, że niewiele brakowało, żeby Michael Halboro ją pokochał. Lepiej, żeby nie spotkał jej gorzki zawód.

- Och, Michaelu, co robić? - wyszeptwała.

Saint spiorunował wzrokiem prawnika.

- Nie zamierzam więcej się nad tym zastanawiać - warknął. - Daj mi te papiery albo będę zmuszony zabrać ci je siłą.

Wiggins przełknął ślinę.

- Widzę, że pan już się zastanowił - stwierdził. Jego powieka drgała, kiedy sięgał do teczek. - Proszę podpisać na czwartej stronie. Na obu kopiach.

St. Aubyn odwrócił do siebie dokument, z westchnieniem umoczył pióro w atramencie i energicznie skreślił podpis.

- To wszystko? Nieruchomość jest moja?

- Tak, milordzie. Teraz wystarczy przelać pieniądze.

- Świetnie. Zrób to, co zawsze robisz. Chcę dostać akt własności do południa.

- Do po... dobrze, milordzie.

Prawnik niemal wybiegł z gabinetu, a Saint złożył ręce na głowie i odchylił się z krzesłem na półkę z książkami. Sieroty miały dom. Kupno St. Eve House, jak postanowił go nazwać, było chyba najbardziej szaloną rzeczą, jaką zrobił w życiu. Nie mógł oczekiwać żadnego dochodu z nowego nabytku. Wręcz przeciwnie. Nad nikim nie zyskiwał przewagi, a co najwyżej względy jedynej kobiety, na której mu zależało.

297

Teraz wreszcie miał czas i spokój, żeby pomyśleć, jak ją zdobyć.

- Jansen!

Kamerdyner prawie natychmiast stanął w progu.

- Milordzie?

- Każ osiodłać Cassiusa. I przygotuj mi tuzin czerwonych róż.

- Dobrze, milordzie. Sługa zniknął za drzwiami.

- Jansen!

Kamerdyner wsadził głowę do gabinetu.

- Tak, milordzie?

- Niech będą dwa tuziny.

- Dobrze, milordzie.

Saint dokończył papierkową robotę i włożył rękawiczki do konnej jazdy. Było po dziewiątej. Poprzedniego dnia Evelyn wspomniała, że zamierza spędzić rano w nowym domu i zrobić listę niezbędnych zakupów.

St. Aubyn nie przypuszczał, żeby miał trudności z namówieniem jej do odwiedzin w jego prywatnym apartamencie. Czuł, że dłużej nie uda mu się kiełznać żądy.

Potem spróbuje przekonać Wellingtona, żeby jedno ze stanowisk w swoim gabinecie zaproponował Victorowi Ruddickowi. Idąc przez hol, nucił walca. Właściwe zachowanie okazało się łatwiejsze, niż sądził, zwłaszcza, że czekała na niego nagroda.

- Wrócę w południe po dokumenty, które ma przynieść Wiggins - zapowiedział.

Jansen otworzył frontowe drzwi.

- Dobrze, milordzie. Oto pańskie kwiaty.

- Dziękuję.

- Proszę, milordzie. I życzę powodzenia, jeśli mogę sobie pozwolić na taką śmiałość.

Saint uśmiechnął się szeroko.

- Możesz, ale lepiej się nie przyzwyczajaj.

298

Ulica biegnąca przed St. Eve House była pusta, nie licząc kilku powozów, które należały do właścicieli okolicznych rezydencji. Gdy Saint stwierdził, że frontowe drzwi są zamknięte na klucz, wszedł do środka przez uchylone okno.

- Evelyn? - zawołał. Jego głos odbijał się echem po pustych pomieszczeniach. - Panno Ruddick?

Upewniwszy się, że jej nie ma, wrócił do konia. Ruszył przez Marylebone do Great Titchfield Road.

W holu starego sierocińca natknął się na gospodynię.

- Milordzie - powiedziała kobieta, dygając nisko.

- Pani Nathan, szukam panny Ruddick. Jest może w Ufnym Sercu?

Żelazna Miotła wyglądała na oszołomioną, że jeszcze jej nie zwolnił. Saint nie miał zamiaru ułatwiać gospodyni sytuacji, choć był gotów ją zostawić ze względu na Evelyn.

- Nie, milordzie. Dzieci też o nią pytają, ale nie widzieliśmy jej od trzech dni.

- Hm. Dziękuję, pani Natham. St. Aubyn obrócił się na pięcie.

- Milordzie? - Tak?

- Młody Randall opowiadał dzieciom zadziwiającą historię o nowym domu. Są bardzo podniecone, ale zastanawiam się, czy... Randall lubi się drażnić, wie pan.

- Chłopak ma rację. Sądzę, że panna Ruddick chce sama przekazać nowinę, jak tylko dokumenty zostaną podpisane. Byłbym wdzięczny, gdyby pani zasugerowała dzieciom, żeby udawały zaskoczenie.

Gospodyni uśmiechnęła się, co złagodziło surowe rysy jej twarzy.

- Z przyjemnością, milordzie. I dziękuję... w imieniu dzieci.

- Miłego dnia, pani Natham.

Dziwne, myślał, jadąc z powrotem do centrum Mayfair, że radość innych ludzi sprawia mu... zadowolenie. Gdy tylko znajdzie Evelyn, zażąda od niej wyjaśnienia tego fenomenu.

299

Przed Barrett House zobaczył wychodzące właśnie Lucindę i lady Dare.

- Dzień dobry paniom.

- Milordzie - powiedziały jednocześnie przyjaciółki, wymieniając spojrzenia.

- Szukam panny Ruddick. Liczyłem na to, że znajdę ją w towarzystwie pań.

Panna Barrett zmarszczyła brwi.

- Wczoraj mówiła, że zamierza dziś rano odwiedzić pewne miejsce.

St. Aubyn zsiadł z Cassiusa.

- Nie ma jej tam. W Ufnym Sercu również.

- Wybierałyśmy się po południu do muzeum, ale przysłała liścik z przeprosinami - dodała w zamyśleniu lady Dare.

Saint wziął do ręki kartkę, którą podała mu wicehrabina.

- Nie napisala, dlaczego odwołuje spotkanie - mruknął do siebie.

- Na pewno brat wysłał ją gdzieś z misją. - Lady Dare wypowiedziała te uspokajające słowa bez przekonania.

Saint zorientował się po wyrazie oczu, że przyjaciółki wiedzą o planach Victora Ruddicka wobec siostry. Nie musiał zadawać pytań. Alvingtonowie jedli poprzedniego wieczoru kolację z Ruddickami. St. Aubyna ogarnęło uczucie, do którego nie był przyzwyczajony: niepokój.

- Może powinniśmy złożyć jej wizytę, by się upewnić, że u Evie wszystko w porządku - zaproponowała Lucinda.

Saint już siedział na Cassiusie.

- Nie trzeba. Sam do niej pojedę.

Instynkt podpowiadał mu, że ten ranek nie jest taki, jaki powinien być. Najchętniej puściłby się galopem, ale nakazał sobie rozagę i naszył do Ruddick House szybkim klusem.

- Lord St. Aubyn, dzień dobry - powiedział kamerdyner na jego widok.

- Chciałbym rozmawiać z panną Ruddick - rzekł Saint ze zniecierpliwieniem w głosie.

300

- Proszę zaczekać w saloniku, milordzie.

St. Aubyn wypuścił powietrze z płuc; nawet nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Evelyn była w domu. Nie wydano jej siłą za Clarence'a Alvingtona, nim on zdążył temu zapobiec.

Nerwowo spacerował po pokoju, dręczony pragnieniem, żeby jak najszybciej ją ujrzeć. Wszystko będzie dobrze. Evie zejdzie na dół i powie, że na nudnej kolacji wypija za dużo wina i po prostu zasnęła.

- St. Aubyn. Saint się odwrócił.

- Dzień dobry, Ruddick.

Włoski na karku mu się zjeżyły. Sytuacja wyglądała gorzej, niż przypuszczał. Bądź uprzejmy, powiedział sobie w duchu. Musiał przekonać do siebie Victora, tak jak wcześniej Evelyn o swojej szczerości.

- Dzień dobry. Niestety moja siostra nie czuje się dziś dobrze. Saint zacisnął szczęki. Więc jej nie zobaczy.

- Nic poważnego, mam nadzieję?

- Tylko boli ją głowa, ale nikogo nie przyjmuje.

- Cóż, w takim razie nie przeszkadzam. - Saint minął gospodarza, wyszedł do holu i oddał róże kamerdynerowi. -Dla panny Ruddick.

- St. Aubyn!

Tylko obecność Victora powstrzymała markiza od wbiegnięcia po schodach i wyłamania drzwi pokoju Evelyn, żeby się przekonać, czy u niej wszystko w porządku.

- O co chodzi?

- Moja siostra nie jest tak rozsądna, jak bym sobie życzył. Zareczyła się z Clarence'em Alvingtonem, więc byłbym wdzięczny, jak dżentelmen dżentelmenowi, gdyby pan trzymał się od niej z daleka.

Saint zamarł. Niemożliwe, żeby kobieta, w której się zakochał, dała słowo innemu. Przecież nawet nie zdążył postarać się o jej względy.

301

- Zgodziła się wyjść za Alvingtona?

- Oczywiście, że tak. Ma na sercu dobro rodziny. Miłego dnia, St. Aubyn. Sądzę, że nie będzie pan więcej nas odwiedzał.

Saint zatrzymał się w progu.

- Wiesz, Ruddick, myślałem, że jestem największym łajdakiem w Londynie, ale z radością stwierdzam, że się myliłem. Gratulacje. Teraz panu należy się ten tytuł.

- Gdyby pan miał siostrę, St. Aubyn, zrozumiałby mnie pan. A teraz proszę wyjść i więcej nie wracać.

Opuszczenie Ruddick House było najtrudniejszą rzeczą, jaką Saint zrobił w życiu. Wiedział, że Evelyn jest bardzo nieszczęśliwa. Musiał ją zobaczyć. Musiał jej pomóc. Musiał działać.

"Czyż tylko tyran tyrana przełamie? Wolność czyż znajdzie bojowniki swoje."

Lord Byron, „Wędrowki Childe Harolda”,

Gdy Saint, płonący chęcią sprania Ruddicka na kwaśne jabłko, brał wodze Cassiusa od stajennego Ruddicków, na frontowe schody wyszedł kamerdyner.

- Ty szmaciarzu! - krzyknął. - Nie zaczepiaj naszych gości! Nie wiesz, że wejście dla służby jest z tyłu?

St. Aubyn obejrzał się przez ramię. W pobliżu nie dostrzegł żadnego szmaciarza. Kamerdyner posłał mu przelotne spojrzenie, wrócił do domu i zatrzasnął drzwi.

Saint ruszył ulicą. Za rogiem Chesterfield Hill dał szylinga jakiemuś młodzieńcowi, żeby popilnował jego gniadosza. Następnie ukradkiem poszedł na tyły domu. Kuchenne drzwi się otworzyły w chwili, gdy do nich dotarł. Kamerdyner gestem zaprosił go do środka.

Personel kuchenny był pilnie zajęty sprzątaniami i udawał, że nie widzi markiza.

- Dziękuję - szepnął St. Aubyn, idąc za kamerdynerem w stronę wąskich schodów dla służby.
- Jeśli pan Ruddick pana zobaczy, będę musiał zaprzeczyć, że pana wpuściłem. Ale panna Ruddick pana lubi, a my ją, i nie zasługujemy na takie traktowanie. Proszę iść na

303

drugie piętro. Jej sypialnia to czwarty pokój po lewej.

Saint bez słowa kiwnął głową. Przynajmniej utwierdził się w podejrzeniach, że Evelyn nie unika go z własnego wyboru. Zapukał cicho do drzwi wskazanych przez służbę.

- Odejdź, Victorze! Nie będę z tobą rozmawiać!

- Evelyn Marie, to ja, Saint. Usłyszał szelest materiału.

- Saint? Co tutaj robisz?

- Nie ma klucza w zamku - szepnął.

- Zamknęłam się od środka. Odejdź, Saint. Natychmiast, bo tylko pogorszysz sprawę.

St. Aubyn poruszył klamką.

- Otwórz, Evelyn. Muszę z tobą porozmawiać.

- Nie.

- Włamię się, a wtedy wszyscy się dowiedzą, że tu jestem. Otwórz, zanim ktoś mnie zobaczy. Myślał, że go nie posłucha, ale po chwili zachrobotał klucz w zamku i drzwi się otworzyły. Saint wśliznął się do środka i cicho zamknął je za sobą.

Evelyn przez całą długą, bezseną noc marzyła o tym, że znowu go zobaczy. Teraz, gdy stał przed nią, nie wiedziała, jak mógłby jej pomóc.

- Nie powinieneś przychodzić - stwierdziła, siląc się na spokój. - Gdyby Victor się dowiedział, od razu wysłałby mnie do West Sussex.

St. Aubyn patrzył na nią przez chwilę, po czym dwoma krokami pokonał dzielącą ich odległość. Ujął w dłonie twarz Evie i delikatnie musnął wargami jej usta.

- Twój drogi brat niedawno wyrzucił mnie z domu -oznajmił i pocałował ją znowu, jakby nie widzieli się od lat, a nie zaledwie od poprzedniego dnia. - Wątpię, czy spodziewa się mnie tu zastać.

- Więc jak...

- Victor nigdy nie będzie taki podstępny jak ja, nawet gdyby próbował. Powiedz mi, co się stało.

304

Evelyn musiała się zgodzić z jego oceną. Miała ochotę rzucić mu się w ramiona, zwierzyć z kłopotów i pozwolić, żeby wszystko naprawił. Ale nic już nie można było zrobić.

- Victor dowiedział się o moich odwiedzinach w sierocińcu i o naszej znajomości. Postanowił położyć kres jednemu i drugiemu. Clarence Alvington zgodził się ożenić ze mną za hojny posag, a lord Alvington oddać głosy ze swojego okręgu Victorowi.

Markiz krążył po pokoju z zaciętą twarzą.

- Zatem dobili targu. A czy ktoś spytał, czego ty pragniesz?

- Nie. Ale przekroczyłam granice przyzwoitości. Wiedziałam, co może się zdarzyć.

- Więc akceptujesz ich decyzję? Evelyn wzięła urywany oddech.

- Wołałabym, żebyś tu nie przychodził, Michaelu. Oczywiście, że nie chcę poślubić tego idioty. Lecz co mogę zrobić?

- Chodź ze mną. Teraz.

O, Boże, tak bardzo chciała to usłyszeć.

- A co z moją rodziną?

- Sprzedali cię. Nie wąż się nimi przejmować.

- Ale to moja rodzina, Saint. Tak bardzo się starałam. Jeśli zniszczę karierę Victora, jak to będzie o mnie świadczyć?

Saint zmrużył oczy.

- Wyrównasz rachunki.

- Nie umiałabym tak postąpić - oświadczyła Evie, kładąc dłonie na klapach jego surduta; musiała go dotknąć.

- Nie pozwolę, żebyś wyszła za Clarence'a Alvingtona - rzekł Saint ostrym tonem, którego nigdy wcześniej nie słyszała. Jego serce bilo mocno i szybko.

- Wierz mi, gdyby istniało jakieś wyjście z tej sytuacji, na pewno bym z niego skorzystała. Ale nigdy nie zbrukam rodzowego nazwiska. Ojciec był z niego dumny i ja też jestem. Zaś Victor to dobry człowiek... choć czasami błądzi.

- A co z dziećmi? - zapytał Saint, przyciągając ją do siebie. - Zostawisz je na mojej głowie?

305

- Poradzisz sobie. - Po policzku Evie spłynęła łza. - Wiem, że masz dobre serce.

St. Aubyn wypuścił ją z objęć tak raptownie, że się zachwiała.

- Nie mam serca. I dlatego potrzebuję ciebie. Chodź ze mną. Kupię ci wszystko, czego zapragniesz, zabiorę wszędzie, gdzie zechcesz. Otworzymy sierocińce w całej Europie. Tylko bądź ze mną.

Słyszac desperację w jego głosie, Evelyn poczuła niemal fizyczny ból.

- Nie mogę, Michaelu. Zrozum, proszę.

Saint przez dłuższą chwilę patrzył za okno. Mięśnie jego pleców były tak napięte, że cały aż drżał.

- Rozumiem - powiedział w końcu. - Victor dostanie się do parlamentu, a ty, spokojna, że dzieci mają dobrą opiekę, będziesz prowadzić żalosne, beznadziejne życie.

- To nie...

St. Aubyn odwrócił się do niej gwałtownie.

- Zajmę się dwiema pierwszymi rzeczami, ale nigdy, przenigdy nie dopuszczę do tej ostatniej.

- Zbliżył się i pocałował ją mocno. - Zobaczmy się dziś wieczorem.

- Michaelu...

- Wieczorem.

Ruszył do drzwi. Evelyn zastąpiła mu drogę, przerażona, że Saint może zrobić coś szalonego.

- Michaelu, spójrz na mnie. Niechętnie spełnił prośbę.

- Obiecuję, że będziesz nadal podążał ścieżką, którą wybrałeś. I że zawsze będziesz dobry.

St. Aubyn potrząsnął głową.

- Nie. A ty lepiej nie przywykaj do myśli, że poświęciłaś się dla dobra innych. Zamierzam dostać to, czego pragnę, nawet, jeśli ty się poddałaś.

Po tych słowach wyszedł z pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi. Evelyn oparła się o nie i nasłuchiwała przez

dłuższą chwilę, ale nie wrócił. Wolno przekręciła klucz w zamku. Postanowiła, że nawet, jeśli Saint zjawi się w nocy, ona go nie wpuści. Gdyby to zrobiła, nie miałyby siły drugi raz go odprawić.

W drodze do domu Saint przejechał obok wspaniałej rezydencji lorda i lady Gladstone'ow i nawet tego nie zauważył. Dopiero dwie ulice dalej uświadomił sobie, że to najlepszy dowód, jak bardzo się zmienił. Nie pragnął Fatimy Hynes ani żadnej innej kobiety. Już nigdy. Zależało mu tylko na Evelyn Marie Ruddick, i niech go diabli, jeśli odda ją Alvingtonowi bez walki.

A umiał walczyć jak mało, kto w Londynie.

- Muszę natychmiast dostarczyć wiadomość Wellingtonowi - oznajmił zaraz po wejściu do domu.

- Wezwę Thomasona - rzekł Jansen i oddalił się pośpiesznie.

Tymczasem Saint udał się do swojego gabinetu. Wziął ze stolika plik zaproszeń i przejrzał je szybko. Dwanaście, więcej, niż zwykle dostawał. Nie wiadomo, czy ludzie docenili zmiany, które zaszły w markizie St. Aubynie, ale na pewno zauważyli, że częściej bywa na przyjęciach.

Wreszcie na samym spodzie pliku trafił na to, czego szukał. Na szczęście już wcześniej przyjął zaproszenie do Dorchesterów. Nie zostało mu dużo czasu, więc pośpiesznie skreślił list do Wellingtona. Napisał w nim, że przesyła jego lordowskiej mości ostatnią skrzynkę sherry, a jednocześnie prosi o wielką przysługę, a mianowicie o powiadomienie Victora Ruddicka, że chętnie zobaczyłby go na balu wraz z rodziną. Kiedy zjawił się Thomason, St. Aubyn natychmiast wyprawił go do diuka z poleceniem, żeby zaczekał na odpowiedź.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wysłać takiego samego liściku do Prinny'ego, ale od regenta potrzebował czegoś więcej niż przybycia do Dorchesterów: stanowiska w jego gabinecie. Doszedł jednak do wniosku, że w ten spo-

307

sób nie przeliczytuje Alvingtona, bo każda propozycja księcia utknie w komisji na rok. Musiał działać szybciej albo w ogóle dać sobie spokój.

Thomason wrócił po niecałej półgodzinie.

- Szybko poszło - stwierdził Saint. - Jak brzmi odpowiedź?

- Jego książęcej mości nie było w domu, milordzie.

- Do czarta! Czy kamerdyner powiedział, gdzie można znaleźć diuka?

- Tak, milordzie.

Saint spiorunował lokaja wzrokiem. Bycie uprzejmym wymagało czasami dużej cierpliwości.

- Więc gdzie?

- W Calais.

St. Aubyn zamarł.

- We Francji?

- Tak, milordzie. Jego książęca mość jest w drodze do Paryża. Bardzo mi przykro. Mógłbym pojechać za nim, jeśli...

- Nie. Idź już. Muszę pomyśleć.

- Dobrze, milordzie.

Tak, więc pozostał mu Prinny, ale zważywszy na to, z jaką dbałością regent zwykle wybierał stroje, przekonanie go w tak krótkim czasie, żeby zjawił się na balu, było prawie niemożliwe.

Poza tym książkę nie miał powodu, żeby zapraszać Ruddicka. Victor w jednej chwili przejrzałby podstęp. Saint podjął spacer, ale po trzech krokach nagle się zatrzymał.

- Thomason!

Do gabinetu wpadli jednocześnie lokaj i kamerdyner, jakby tego dnia cała służba czaiła się w pobliżu.

- Mam jechać do Calais, milordzie?

- Nie. Kiedy wyruszył Wellington?

- Rano. Chciał dotrzeć do Dover przed wieczorem. Saint pokiwał głową.

- To dobrze. Wiadomość o jego podróży pojawi się w gazetach dopiero jutro rano. Zaczekaj tutaj.

308

Wrócił do biurka i sięgnął po papier listowy.

- Czy mogę coś dla pana zrobić, milordzie? - zapytał Jansen.

- Nie. A właściwie tak. Będę potrzebował dziś wieczorem ośmiu powozów. Albo dziesięciu. Niech czekają przed domem o siódmej.

- Dobrze, milordzie.

Saint dwa razy podał list, zanim odpowiednio go sformułował. Wreszcie posypał kartkę piaskiem i złożył ją starannie. Po chwili zastanowienia użył własnej pieczęci, ale tak mocno wcisnął sygnet w miękki воск, że herb stał się nierozpoznawalny.

Wstał od biurka i w tym momencie zauważył czarno-czerwoną liberię Thomasona.

- Do diaska! Masz inną kurtkę?

- Nie rozumiem, milordzie.

- Mniejsza o to. Zajdź najpierw do Pemberly'ego. Służba Wellingtona ubiera się na czarno, tak?

- Tak.

- Na pewno znajdzie się coś w mojej garderobie. Zawieziesz ten list do Ruddick House jako lokaj Wellingtona. Nie czekaj na odpowiedź.

- Dobrze, milordzie.

- Musisz być przekonujący, tak by nikt nie miał wątpliwości, że pracujesz u Wellingtona, że diuk jest w mieście, a ty właściwie zajmujesz zbyt wysokie stanowisko, żeby dostarczać korespondencję. Jeśli nie dasz sobie rady, szkoda marnować czas.

Lokaj pokiwał głową.

- Rozumiem, milordzie. Saint wziął głęboki oddech.

- Idź teraz do mojego garderobianego.

Po wyjściu Thomasona St. Aubyn włożył surdut. Dzień mijał szybko, a on miał jeszcze jedną sprawę do załatwienia. A raczej trzy.

309

Gdy ktoś zaczął bębnić do drzwi, Evelyn przez chwilę myślała, że wrócił Saint, żeby ją porwać. Wcale by się nie opierała. Powinna była od razu z nim pójść. Miał rację. To niesprawiedliwe, że wszyscy dostawali to, co chcieli, a tylko ona musiała się poświęcać.

- Evie, otwieraj! - ryknął Victor.

W jednej chwili nadzieja przysła jak bańka mydlana. -Nie!

- Jeśli będę musiał wejść siłą...

- Wyważ drzwi, a potem zamknij mnie w piwnicy. Evie usłyszała stłumione przekleństwo.

Brat pewnie nie

miał pojęcia, co robić.

- Wellington prosi o naszą obecność na dzisiejszym balu u Dorchesterów - oznajmił po dłuższej chwili.

- Nigdzie nie idę.

- Diuk uważa, że jesteś czarująca, i życzy sobie z tobą zatańczyć. Oczywiście, że pójdziesz. I zatańczysz również z Clarence'em, a ja rozgłoszę nowinę o waszych zaręczynach.

Evie przez chwilę rozważała całkiem kuszący pomysł, żeby wyskoczyć przez okno. Już miała krzyknąć, że nie ruszy się z pokoju, ale przypomniała sobie słowa Sainta. „Zobaczymy się dziś wieczorem”. Czyżby to on wszystko zaaranżował? Znał Wellingtona.

To była szansa. Wprawdzie niewielka, ale przynajmniej zobaczyłaby się z przyjaciółkami i może znalazła jakieś rozwiązanie. I poprosiłaby Lucindę, żeby odwiedziła sierociniec i przekazała dzieciom, że panna Evie o nich pamięta.

- Pójdę pod warunkiem, że pozwolisz mi zobaczyć się z przyjaciółkami.

- Póki będę przy tobie, możesz się spotkać, z kim chcesz. Z wyjątkiem St. Aubyna.

Evelyn nic nie odpowiedziała. Brat i tak by jej nie uwierzył.

W akcie buntu włożyła diamentowy naszyjnik, który podarował jej Saint. Nikt nie znał jego znaczenia oprócz nich dwojga. St. Aubyn mógł źle odczytać znak - że ona

310

nadal liczy na ratunek - ale poczuła się silniejsza, mając wisiołek na szyi.

- Evie! - zawołała Lucinda na jej widok i uściskała ją mocno. - Martwiliśmy się o ciebie. Wszystko w porządku?

Gdy tuż za nią pojawili się Georgiana i Dare, Evelyn posłała im błądy uśmiech. -Ja...

- Niestety moja siostra nie czuje się całkiem dobrze -przerwał jej Victor. Od chwili, gdy otworzyła sypialnię, nie odstępował jej na krok. - To z podniecenia, jak sądzę.

- Podniecenia? - zdziwiła się Georgie, ujmując dłoń Evie. -Z jakiego powodu?

- Jutro albo pojutrze znajdzie się ogłoszenie w Timesie, ale już dziś mogę powiedzieć, że Clarence Alvington oświadczył się Evie, a ona go przyjęła.

Przez dłuższą chwilę przyjaciółki gapiły się na nią w osłupieniu.

- Gratulacje - wykrztusiła w końcu Lucinda. - Co za niespodzianka!

- Istotnie - zawtórowała jej Georgie, badawczo przyglądając się Evie. - Musisz koniecznie przekazać radosną nowinę mojej ciotce! - Obdarzyła Victora miłym uśmiechem, który nie objął jej oczu. - Księżna wdowa Wycliffe po prostu uwielbia Evie.

- Tak, tak! - poparła ją Lucinda, biorąc Evelyn za drugą rękę. - Chodźmy do niej!

W tym samym momencie Dare wkroczył między trzy przyjaciółki a Victora i otoczył ramieniem jego plecy.

- Czy mówiłem ci, Ruddick...

Victor uwolnił się i chwycił siostrę za rękę.

- Jak już wspominałem, Evie nie czuje się dobrze. Przyszliśmy wyłącznie na prośbę Wellingtona i musimy szybko wracać do domu.

Georgiana zmarszczyła brwi.

- Ale...

311

- Przykro mi.

Evie zauważyła, że przyjaciółki coraz bardziej się denerwują, więc uśmiechnęła się i powiedziała uspokajającym tonem:

- Wszystko w porządku. Po prostu jestem zmęczona.

- Więc musimy odwiedzić cię jutro. Ruddick potrząsnął głową.

- Najlepiej w czwartek.

Oczywiście. Do tego czasu w Timesie ukazały się zapowiedzi i wieść o zaręczynach obiegnie cały Londyn. Wtedy już nikt jej nie pomoże. Zresztą to było wyłącznie jej zmartwienie.

- O, jest Clarence - stwierdził Victor, patrząc ponad głowami Lucindy i Georgiany. - Obiecałaś mu taniec, prawda, Evie?

Siostra łypnęła na niego z ukosa. Czyżby oczekiwał, że ona sama uplecie dla siebie sznur?

- Nie wiem. A obiecałam?

- Tak, jeśli czujesz się na siłach. - Brat ukłonił się uprzejmie. - Wybaczycie, panie?

Kiedy Evie niechętnie ruszyła z nim przez tłum gości, pobiegła wzrokiem w drugi koniec sali balowej.

- Nigdzie nie widzę Clarence'a Alvingtona.

- Zjawi się we właściwej chwili. Nie chciałem, żebyś uraczyła przyjaciółki opowieścią o swojej niedoli.

Evelyn westchnęła ciężko.

- Już wygrałeś, Victorze. Musisz pogłębiać mnie jeszcze bardziej?

- Nie dałaś mi powodu, żebym ci zufała. I nawzajem.

- Znajdź Wellingtona. Niech wszyscy obejrzą mnie z nim jak na wystawie i chodźmy wreszcie do domu.

- Nie chcę być natrętny.

- Hm. Jeśli diuk jest dla ciebie taki ważny, może sam z nim zatańcz.

- Sarkazm do ciebie nie pasuje. - Brat przez chwilę mie-

312

rzył ją wzrokiem. - Nie sądzę, żebyś jeszcze długo potrafiła właściwie się zachowywać. Lepiej poszukajmy Wellingtona. Po piętnastu minutach krążenia po domu i dyskretnego rozpytywania stało się oczywiste, że diuka nie ma. I było równie pewne, że St. Aubyn też nie przyszedł na bal. Evie poczuła ukłucie zawodu w sercu. Nie spodziewała się ratunku, ale obecność Sainta... jednak coś by oznaczała.

- Cholera! - mruknął Victor pod nosem, kiedy wracali do zatłoczonej sali balowej.

- Zdaje się, że zostałeś porzucony - stwierdziła siostra. - Takiego samego losu życzyłabym sobie.

- Dość tego! Zostaniemy do końca walca i wracamy do domu, a ty do swojego pokoju. Aż do czwartku.

Evie przystanęła, zmuszając go, żeby też się zatrzymał.

- Proszę bardzo.

Victor łypnął na nią podejrzliwie. - Co?

- Nie przyszło ci nawet do głowy, że mogę powiedzieć „nie”, urządzić awanturę na środku sali balowej albo oznajmić wszem wobec, że... że St. Aubyn i ja jesteśmy kochankami? Jak myślisz, co stałoby się wtedy z twoją karierą?

- Byłabyś skompromitowana na zawsze - syknął brat. Jego wzrok stwardniał.

- Owszem. I wierz mi. lub nie, ale wolałabym hańbę niż małżeństwo z Clarence'em. Lecz mimo tego, co mi zrobiłeś, naprawdę uważam, że będziesz świetnym członkiem parlamentu i zrobisz dużo dobrych rzeczy dla Anglii. - Dźgnęła brata palcem w pierś. - Właśnie, dlatego milczałam. I dziękuję.

- Możesz być wdzięczna, teraz, kiedy zostałaś usidlona. To nie ja zadawałem się z St. Aubynem i nie ja chodziłem bez przyzwotki do brudnych sierocińców w Covent Garden.

Evie już miała coś odparować, ale kiedy spojrzała na nieustępliwą twarz brata, uświadomiła sobie, że nie wygra. Victor nigdy nie zrozumie, że postąpił wobec niej źle, a tym bardziej nie przyzna się do błędu. Nie mogła jednak całkiem zamilknąć.

313

- Markiz St. Aubyn jest prawdziwym dżentelmenem w przeciwieństwie do Clarence'a Alvingtona. Dokonałeś złego wyboru.

Brat uśmiechnął się blado.

- Teraz próbujesz mi wmówić, że oszalałaś, co? O, jest Clarence! Zatańcz z nim walca i wychodzimy.

Evelyn uniosła brodę.

- Tak się składa, że wolę spędzić czas z Alvingtonem niż z tobą.

Spotkała go w połowie sali i patrzyła obojętnie, jak Clarence ujmuje jej dłoń i muska ją wargami. Dzięki Bogu za rękawiczki!

- Moja urocza, urocza Evelyn - zapała dandys, ściskając jej palce.

- Podobno mamy zatańczyć walca, panie Alvington.

- Proszę mówić mi Clarence.

- Wolałabym nie - odparła Evie, niemal rozbawiona jego głupią miną.

Był jedynym pokrzywdzonym z grona spiskowców. Pozostali czerpali korzyści z jej sprzedaży rodzinie Alvingtonów, natomiast on musiał spędzić z nią życie.

Gdy rozbrzmiały dźwięki walca, Clarence objął ją w tali, a Evelyn zrobiło się słabo na myśl o nocy poślubnej i wszystkich następnych. Z drżeniem zamknęła oczy. Gdzie Michael? Czy on nie wie, jak bardzo jest jej teraz potrzebny?

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do sali balowej wpadły dzieci. Dziesięcioro, dwadzieścioro, a potem jeszcze więcej sierot. Jej sierot.

Goście stojący najbliżej wejścia krzyknęli i rozproszyli się po kątach, jakby ruszyło na nich stado rozjuszonych byków. Orkiestra przestała grać, tańczący zamarli na parkiecie.

- Na litość boską! - wykrztusił Clarence pobladły na twarzy. - To rewolta!

Nie był jedynym, który pomyślał, że niższe klasy wszczęły rewolucję. Lady Halengrove zemdlą, inni rzuci-

314

li się do wyjścia do ogrodu, tratując po drodze lokajów.

Tymczasem Evelyn patrzyła na wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę stojącego pośród chaosu. Saint trzymał na rękach małą Rose i był tak spokojny, jakby robił zakupy przy Bond Street.

Gdy sieroty ustawiły się w wachlarz, a St. Aubyn dał im znak, raptem wszystko nabrało sensu. Lord Alvington został przyparty do stołu z przekąskami, a Victor zawarł bliską znajomość z Randallem, Matthew i dwoma innymi starszymi chłopcami.

Evelyn nie wiedziała, czy ma być zakłopotana, czy rozbawiona. „Co robisz?” - spytała bezgłośnie.

Saint nic nie odpowiedział, tylko podszedł do jej brata.

- Dobry wieczór, Ruddick - rzekł donośnym głosem.

Tłum ucichł. Goście najwyraźniej zrozumieli, że nie grozi im bezpośrednie niebezpieczeństwo. Evie ruszyła przez salę, ciągnąc za sobą Clarence'a, który nie puścił jej ręki.

- Co to, do diabła, ma znaczyć, St. Aubyn? - warknął Victor. - Ostrzegano pana...

Saint wyjął coś z kieszeni.

- Jest pan zastępcą ministra skarbu. - Rzucił Ruddickowi zwój pergaminu. - Gratulacje.

St. Aubyn odwrócił się do niego plecami i spojrział na Evie. Jej serce zaczęło walić jak młot. Jednak Saint uprzedził Alvingtona i zapewnił Victorowi miejsce w rządzie.

- Proszę - powiedział markiz, przekazując Rose Clarence'owi.
- Jesteś moim tatą? - zapytała dziewczynka; Saint chyba musiał przeszkolić ją w drodze.
- Ja? - wykrztusił Alvington. - Och, na Boga, ja... Saint zbliżył się do Evelyn.
- Witaj - powiedział cicho. Evie zapało dech w piersiach.
- Witaj.

315

- Mogę? - Ujął jej obie dłonie. - Przyprowadziłem twoje dzieci.
 - Widzę.
 - Potrzebują ciebie,
- Evie uświadomiła sobie, że w sali panuje martwa cisza. Wszyscy słuchali ich rozmowy, ale ona o to nie dbała. Najważniejsze, że Saint przyszedł i trzymał ją za rękę.
- Ja też cię potrzebuję - rzekł St. Aubyn.
 - Saint...
 - Michael
 - Jak tego dokonałeś, Michaelu?
- Na wargach Sainta pojawił się uśmiech, od którego zawsze miękły jej kolana.
- Z twojej inspiracji, a właściwie uroczej lady Bethson. Postanowiłem zrobić wszystko, żeby zapewnić ci wolny wybór.
 - Dziękuję - powiedziała wzruszona Evie. - Bardzo. Ku jej zaskoczeniu St. Aubyn ukląkł przed nią na jedno kolano.
 - Okłamałem cię - wyznał cichym głosem.
 - Co takiego?
- Evelyn poczuła, że zaraz zemdleje. Gdyby oznajmił, że ją zostawia, padłaby na podłogę i umarła na środku sali balowej.
- Mówiłem, że nie mam serca - ciągnął Saint lekko drżącym głosem, patrząc jej w oczy. - Mam, ale o tym nie wiedziałem, póki ciebie nie poznałem. Ty jesteś moim światłem. Kocham cię z całej duszy, którą we mnie odkryłaś. Mógłbym bez ciebie żyć, ale nie chcę. Wyjdiesz za mnie, Evelyn Marie?
- Pod Evie ugięły się nogi. Osunęła się w ramiona Michaela i objęła go mocno, żeby nie zniknął.
- Kocham cię - wyszeptała. - Dałeś mi wszystko.
 - Tylko, dlatego, że pokazałaś mi jak. - Saint odsunął ją lekko od siebie, żeby spojrzeć jej w twarz. - Wyjdź za mnie.
 - Dobrze, Michaelu.
- Saint uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej

316

małe aksamitne pudełko i otworzył wieczko. W środku leżał pierścionek z diamentem osadzonym w srebrnym sercu. St. Aubyn wsunął go Evie na palec, a następnie ją pocałował. Wokół rozległy się radosne okrzyki dzieci.

- Bardzo starałam się ciebie zmienić - rzekła Evelyn, wstając z klęczek. - Ale muszę wyznać, że ostatnio zaczęłam doceniać łajdaków.

Saint też się podniósł, ale nie puścił jej dłoni.

- To dobrze. Bo nie jestem pewien, czy przy tobie potrafię grzecznie się zachowywać.

Na widok Georgiany, Dare'a i Lucindy bijących brawo Evelyn roześmiała się i wsparła na silnym ramieniu Sainta. „Ty następna” - powiedziała bezgłośnie do Luce.

- Orkiestra, walca! - zawołał St. Aubyn.

Błada lady Dorchester daremnie próbowała opędzić się od kilkorga dzieci, które, ciągnęły ją na parkiet.

- Co to ma znaczyć? - wykrzyknęła. - Oświadczyły oświadczynami, ale te brudne dzieci nie powinny tutaj być!

- Dlaczego? - zapytał Saint, wirując z Evelyn po sali. - Przecież umieją tańczyć walca.

"Słuchaj! na zamku już brzmią rogów dźwięki, Słuchaj! już ślubne hymny brzmią dokoła: Wesołej nucie płyną z ust piosenki, A piosnkom wtórzy muzyka wesoła."

Lord Byron, „Oskar z Alwy”

""Przekład Juliana Korsaka.